

*Curtis Gittenfeld*

P I E R W S Z E

W R A Ż E N I A

*„Jest prawdą powszechnie znaną, że samotnemu a bogatemu mężczyźnie brak do szczęścia tylko żony”. A czego brakuje współczesnej kobiecie?”*

*Curtis Gittenfeld*

**P I E R W S Z E  
W R A Ź E N I A**

Z języka angielskiego przełożyła  
Ewa Penksyk-Kluczkowska



Tytuł oryginału: ELIGIBLE

Copyright © 2016 by Curtis Sittenfeld. All rights reserved.

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Zdjęcia na okładce: Postać kobiety: peterkocherga (fotolia.pl)

Miasto: greens87 (fotolia.pl)

Zdjęcie autorki: © Josephine Sittenfeld

Redakcja: Magdalena Stec

Korekta: Iwona Wyrwisz

Pierwsze zdanie *Dumy i uprzedzenia* Jane Austen zamieszczone na froncie okładki w przekładzie Anny Przedpełskiej-Trzeciakowskiej.

ISBN: 978-83-8110-439-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadruga.pl](mailto:info@soniadruga.pl)

[www.soniadruga.pl](http://www.soniadruga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2018

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# *Spis treści*

Dedykacja

Motto

Część I

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Rozdział 73](#)

[Rozdział 74](#)

[Rozdział 75](#)

[Rozdział 76](#)

[Rozdział 77](#)

[Rozdział 78](#)

[Rozdział 79](#)

[Rozdział 80](#)

[Rozdział 81](#)

[Rozdział 82](#)

[Rozdział 83](#)

[Rozdział 84](#)

[Rozdział 85](#)

[Rozdział 86](#)

[Rozdział 87](#)

[Rozdział 88](#)

[Rozdział 89](#)

[Rozdział 90](#)

[Rozdział 91](#)

[Rozdział 92](#)

[Rozdział 93](#)

[Rozdział 94](#)

[Rozdział 95](#)

[Rozdział 96](#)

[Rozdział 97](#)

[Rozdział 98](#)

[Rozdział 99](#)

[Rozdział 100](#)

[Rozdział 101](#)

[Rozdział 102](#)

[Rozdział 103](#)

[Rozdział 104](#)

[Rozdział 105](#)

[Rozdział 106](#)

[Rozdział 107](#)

[Rozdział 108](#)

[Rozdział 109](#)

[Rozdział 110](#)

[Rozdział 111](#)

## [Część II](#)

[Rozdział 112](#)

[Rozdział 113](#)

[Rozdział 114](#)

[Rozdział 115](#)

[Rozdział 116](#)

[Rozdział 117](#)

[Rozdział 118](#)

[Rozdział 119](#)

[Rozdział 120](#)

[Rozdział 121](#)

[Rozdział 122](#)

[Rozdział 123](#)

[Rozdział 124](#)

[Rozdział 125](#)

[Rozdział 126](#)

[Rozdział 127](#)

[Rozdział 128](#)

[Rozdział 129](#)

[Rozdział 130](#)

[Rozdział 131](#)

[Rozdział 132](#)

[Rozdział 133](#)

[Rozdział 134](#)

[Rozdział 135](#)

[Rozdział 136](#)

[Rozdział 137](#)

[Rozdział 138](#)

[Rozdział 139](#)

[Rozdział 140](#)

[Rozdział 141](#)

[Rozdział 142](#)

[Rozdział 143](#)

[Rozdział 144](#)

[Rozdział 145](#)

[Rozdział 146](#)

### Część III

[Rozdział 147](#)

[Rozdział 148](#)

[Rozdział 149](#)

[Rozdział 150](#)

[Rozdział 151](#)

[Rozdział 152](#)

[Rozdział 153](#)

[Rozdział 154](#)

[Rozdział 155](#)

[Rozdział 156](#)

[Rozdział 157](#)

[Rozdział 158](#)

[Rozdział 159](#)

[Rozdział 160](#)

[Rozdział 161](#)

[Rozdział 162](#)



Rozdział 163

Rozdział 164

Rozdział 165

Rozdział 166

Rozdział 167

Rozdział 168

Rozdział 169

Rozdział 170

Rozdział 171

Rozdział 172

Rozdział 173

Rozdział 174

Rozdział 175

Rozdział 176

Rozdział 177

Rozdział 178

Rozdział 179

Rozdział 180

Rozdział 181

Podziękowania

Dla Samuela Parka, mojego cudownego przyjaciela i wielbiciela Jane Austen

*Gdy nadejdzie koniec świata, chcę być w Cincinnati. Oni tam są zawsze dwadzieścia lat do tyłu.*

MARK TWAIN

# Część I

## Rozdział 1

Kiedy Chip Bingley sprowadził się do Cincinnati, wszyscy już od dawna wiedzieli, że szuka żony. Absolwent Dartmouth College i Harvard Medical School, potomek Bingleyów z Pensylwanii, którzy w dwudziestym wieku zbili majątek na instalacjach hydraulicznych, dwa lata wcześniej wziął udział, podobno niechętnie, w przygotowanym z rozmachem reality show *Dobra partia*. Przez osiem tygodni jesienią 2011 roku dwadzieścia pięć kobiet stanu wolnego mieszkało w wielkim domu na ranczu Cucamonga w Kalifornii i rywalizowało o serce Chipa. Jeździły z nim pograć w blackjacka w Las Vegas i skosztować win w winnicach Napa Valley, walczyły ze sobą, szkalowały się nawzajem w jego obecności i nie tylko. Na koniec każdego odcinka Chip każdą z kobiet całował albo w usta, co oznaczało, że będzie ona uczestniczyć w dalszej walce, albo w policzek, co znaczyło, że niezwłocznie wraca do domu. W ostatnim odcinku, gdy na placu boju pozostały już tylko dwie kobiety – Kara, dwudziestotrzyletnia wielkooka blondynka o kręconych włosach, była cheerleaderka z college’u, nauczycielka drugiej klasy z Jackson w stanie Missisipi, i Marcy, dwudziestoośmioletnia dwulicowa, ale ponętna brunetka, asystentka stomatologiczna z Morristown w stanie New Jersey – Chip zapłakał rzewnie i odmówił oświadczania się którejkolwiek z nich. Oznajmił, że obie są nadzwyczajne, oszałamiające, inteligentne i wyrafinowane, ale z żadną nie czuje – jak to określił – „pokrewieństwa dusz”. W tyradzie, którą następnie wygłosiła na antenie Marcy, wypikano niemal wszystkie słowa, aczkolwiek wypikanie nie zdołało zatuszować jej furii.

– Chcę, by poznał nasze dziewczęta nie dlatego, że wziął udział w tym głupim programie – powiedziała pani Bennet do męża przy śniadaniu w czerwcowy poranek. Bennetowie mieszkali przy Grandin Road, w Tudor: wielkim domu o ośmiu sypialniach w Hyde Parku, dzielnicy Cincinnati. – W ogóle tego nie oglądałam. Ale Chip Bingley studiował w Harvard Medical

School, mówiłam ci?

– Coś tam napomknęłaś – odrzekł pan Bennet.

– Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, nie miałabym nic przeciwko lekarzowi w rodzinie. Możesz to nazywać wyrachowaniem, ale ja bym raczej powiedziała, że to spryt.

– Wyrachowanie? Ty i wyrachowanie?!

Pięć tygodni wcześniej u pana Benneta przeprowadzono pilną operację wszczępienia bajpasów; gdy stan jego zdrowia poprawił się w stopniu znacznym, wystarczyło poczekać zaledwie kilka dni, by wrócił do swojej typowej zgryźliwości.

– Chip Bingley nawet nie chciał brać udziału w *Dobra partia* – przypomniała pani Bennet. – To siostra go zgłosiła.

– A więc reality show niezbyt się różni od Nagrody Nobla – skonstatował pan Bennet. – Jedno i drugie wymaga nominacji.

– Ciekawe, czy Chip wynajmuje mieszkanie, czy też kupił coś na własność – rozważała pani Bennet. – Można by z tego wywnioskować, jak długo zamierza zostać w Cincinnati.

Jej małżonek odłożył swój tost.

– Jeśli wziąć pod uwagę, że to dla nas obcy człowiek, twoje zainteresowanie szczegółami jego życia wydaje się nadmierne.

– Nie użyłabym słowa „obcy”. Pracuje na oddziale ratunkowym Christ Hospital, a więc Dick Lucas na pewno go zna. Chip posługuje się piękną, poprawną angielszczyzną, nie jak ci pospolicie młodzi ludzie, którzy zwykle występują w telewizji. I jest bardzo przystojny.

– Mówiłaś chyba, że nie widziałaś tego programu na oczy.

– Któregoś razu obejrzałam kilka minut, jak dziewczęta oglądały. – Pani Bennet zerknęła z irytacją na męża. – Nie powinieneś się ze mną spierać. To ci nie służy. Tak czy owak, Chip mógł robić karierę w telewizji, ale postanowił wrócić do medycyny. No i wiadomo, że pochodzi z bardzo przyzwoitej rodziny. Fred, naprawdę uważam, że jego przeprowadzka właśnie teraz, gdy Jane i Liz są w domu, wróży odmianę naszej kłopotliwej sytuacji. – Od ponad dziesięciu lat dwie najstarsze spośród pięciu Bennetówien mieszkały w Nowym Jorku. Kierowane troską o ojcowskie zdrowie zjechały czym prędzej do Cincinnati, aczkolwiek nie na długo.

– Moja droga – rzekł pan Bennet – skoro już ta marionetka z funduszem powierniczym i dyplomem lekarskim Harvardu przeniosła się tutaj, to na

pewno tylko po to, by poślubić jedną z naszych córek.

– Możesz sobie ze mnie żartować, ale zegar tyka. Oczywiście po Jane nie widać, że w listopadzie skończy czterdziestkę, jednak każdy mężczyzna, który wie, ile ona ma lat, głęboko się zastanowi, co się z tym wiąże. A Liz jest od niej niewiele młodsza.

– Mnóstwo mężczyzn nie chce mieć dzieci. – Pan Bennet upił łyk kawy. – Ja sam nadal nie jestem przekonany do tej idei.

– Kobieta po czterdziestce, owszem, może mieć dzieci. Nie jest to jednak tak łatwe, jak wmawiają nam media. Córka Phyllis i Boba przeszła przez rozmaitej maści procedury adopcyjne i ostatecznie dostała się jej mała Ying z Szanghaju. – Pani Bennet wstała i zerknęła na swój owalny złoty zegarek. – Zadzwoń do Helen Lucas, zapytam, czy może zorganizować jakieś spotkanie zapoznawcze z Chipem.

## Rozdział 2

To pani Bennet zawsze odmawiała modlitwę przed rodzinnym obiadem – uwielbiała anglikańskie modlitwy do posiłku. Tego wieczoru, ledwie słowo „amen” spłynęło z jej ust, a oznajmiła z niepowstrzymanym entuzjazmem:

– Lucasowie zaprosili nas na Czwartego Lipca!

– Na którą? – spytała Lydia, najmłodsza, dwudziestotrzyletnia Bennetówna. – Bo my z Kitty mamy już plany.

– Żadne fajerwerki nie zaczynają się przed zmrokiem – zauważyła trzydziestoletnia Mary.

– Jesteśmy zaproszone na przyjęcie w Mount Adams – wpadła jej w słowo Kitty. Dwudziestosześcioletnia Kitty i wiekiem, i usposobieniem była najbliższa Lydii, inaczej jednak niż w typowym rodzeństwie, to ona podążała za młodszą siostrą i była przez nią sprowadzana na manowce.

– Ale nie powiedziałam wam jeszcze, kto przyjdzie na barbecue. – Pani Bennet promieniała u szczytu ciemnego dębowego stołu w kuchni. – Chip Bingley!

– Beksa do wzięcia?! – spytała Lydia. I dodała przy wtórze chichotu Kitty: – W życiu nie widziałam, żeby jakakolwiek kobieta płakała tak strasznie jak on w ostatnim odcinku.

– Co to jest beksa do wzięcia? – spytała Jane.

– Och, Jane – jęknęła Liz. – Taka niewinna i dziewicza. Słyszałaś o reality show *Dobra partia*, prawda?

Jane spojrzała niechętnie.

– Chyba tak.

– No więc Chip Bingley wziął w nim udział kilka lat temu. Wystąpił w roli faceta pożądanego przez dwadzieścia pięć kobiet.

– Pewnie żadna z was nie wyobraża sobie przerażenia mężczyzny, który ma do czynienia z taką przewagą liczebną – włączył się pan Bennet. – Ja często płaczę, choć was jest tylko sześć.



- *Dobra partia* to program poniżający kobiety – powiedziała Mary.
- Twoja opinia w ogóle nas nie zaskakuje – odparła Lydia.
- Ale w co drugim sezonie występuje kobieta i dwudziestu pięciu mężczyzn – przypomniała Kitty. – To równouprawnienie.
- Mężczyźni nigdy się tak nie upokarzają jak kobiety – rzuciła Mary. – One są takie zdesperowane.
- Chip Bingley studiował w Harvard Medical School – powiedziała pani Bennet. – To nie jest jakiś nieokrzesany hollywoodzki gwiazdor.
- Mamo, jego gwiazdorzenie to jedyny powód, dla którego budzi takie emocje w Cincinnati – odezwała się Liz.
- Wiedziałaś, że on tu jest? – spytała ją Jane.
- A ty nie?
- Mamo, jak sądzisz, która z nas mu się spodoba? – spytała Lydia. – On jest stary, prawda? Więc pewnie Jane.
- No dzięki – burknęła Jane.
- Ma trzydzieści sześć lat – odrzekła pani Bennet. – A więc jest odpowiednią partią dla Jane albo Liz.
- A dlaczego nie dla Mary? – spytała Kitty.
- Mam wrażenie, że nie jest w jej typie.
- Ponieważ Mary jest lesbijką, a on nie jest kobietą – wyjaśniła Lydia. Mary zgromiła ją wzrokiem.
- Przede wszystkim nie jestem lesbijką. Ale gdybym nawet była, wolałabym być lesbijką niż socjopatką.
- Lydia uśmiechnęła się z wyższością.
- Nie masz wyboru.
- Czy wy to słyszycie?! – Mary odwróciła się do matki siedzącej u szczytu stołu, a potem do ojca zajmującego miejsce po przeciwnej stronie. – Z Lydią jest coś mocno nie tak.
- Żadnej z was nic nie dolega – odparła pani Bennet. – Jane, jak się nazywa to warzywo? Ma niezwykley smak.
- To szpinak. Udusiłam go.
- Ścisłe rzecz biorąc – zauważył pan Bennet – każdej z was coś dolega. Jesteście dorosłe i powinnyście już pójść na swoje.
- Tato, przyjechałyśmy do domu z troski o ciebie – zauważyła Jane.
- Już jestem zdrow. Wracaj do Nowego Jorku. Ty też, Lizzy. Jako jedyna sama się utrzymujesz i, nie przypadkiem, jako jedyna masz prawdziwą pracę,

więc siostry powinny brać z ciebie przykład. Tymczasem one cię ściągną do swojego poziomu.

– Jane i Lizzy wiedzą, jak ogromne znaczenie ma mój uroczysty lunch – wtrąciła pani Bennet. – Dlatego jeszcze nie wyjechały.

Wydarzenie, o którym mówiła pani Bennet, to coroczny lunch charytatywny na rzecz Ligi Kobiet w Cincinnati, w tym roku mający się odbyć w drugi czwartek września. Choć pani Bennet wstąpiła do Ligi jako dwudziestoparolatka, dopiero teraz, po raz pierwszy od tamtego momentu, weszła w skład komitetu organizacyjnego i – jak często przypominała członkom rodziny – niebywała presja i odpowiedzialność wiążące się z tą rolą uniemożliwiły jej, oczywiście ku jej wielkiemu ubolewaniu, zajmowanie się rekonwalescencją męża.

– A więc barbecue u Lucasów rozpoczyna się o szesnastej – podjęła. – Lydio, Kitty, macie mnóstwo czasu, żeby do nas dołączyć i zdążyć na swoje przyjęcie przed pokazami fajerwerków. Oprócz Chipa Bingleya Helen Lucas zaprasza innych młodych ludzi ze szpitala, a więc szkoda by było, żeby was to spotkanie ominęło.

– Mamo, my z Kitty, w przeciwieństwie do naszych sióstr, jesteśmy w stanie same sobie zorganizować chłopców – odparła Lydia.

Pani Bennet spojrzała na męża na drugim końcu stołu.

– Jeśli któraś z naszych córek poślubi lekarza – powiedziała do niego – będę usatysfakcjonowana. Ale jeśli dzięki temu wyniosą się z domu, mój drogi, to ośmielę się zauważyć, że i twoje potrzeby zostaną zaspokojone.

## Rozdział 3

W sferze zawodowej pan Bennet miał na koncie niewielkie osiągnięcia – rodzinę utrzymywał dzięki znacznemu, acz kurczącemu się spadkowi – i jego uwagi na temat gnuśności córek mocno trąciły hipokryzją. Niemniej jednak nie można mu było odmówić słuszności. Rzeczywiście, gdyby ktoś postronny zastanawiał się, czym Bennetówny zajmują się całymi dniami, nie dałoby się tego wytłumaczyć w kilku słowach. Nie brakowało im wszak wykształcenia, a wręcz przeciwnie: każda z sióstr od trzeciego do osiemnastego roku życia uczęszczała do szkoły Seven Hills, koedukacyjnej placówki co prawda stawiającej wysokie wymagania, ale też pielęgnującej rodzinną atmosferę. W młodszych klasach uczyły się na pamięć takich piosenek jak *Fifty Nifty United States* i współpracowały – współpraca w Seven Hills miała pierwszorzędne znaczenie – z koleżankami i kolegami przy potężnych stegozaurach i triceratopsach z papier mâché. W wyższych klasach czytały *Odyseję*, pomagały przy dorocznym jarmarku Harvest Fair, a także jeździły na szkolne wycieczki do Francji i Chin. Przez cały okres edukacji grały w piłkę nożną i koszykówkę. Sumaryczny rachunek za całą tę postępową i wszechstronną edukację sięgnął ośmiuset tysięcy dolarów. W dalszej kolejności każda z Bennetównien udała się do prywatnego college’u, by później rozpocząć niedochodową pracę, eufemistycznie rzecz ujmując, chociaż w wypadku większości sióstr stosowniej by było sięgnąć po określenie „niedochodowa niby-praca”. Kitty i Lydia pracowały najwyżej po kilka miesięcy w roku, zupełnie się nie angażując emocjonalnie, jako nianie albo ekspedientki w Abercrombie & Fitch czy Banana Republic w Rookwood Pavilion. Z domu rodzinnego również wyprowadzały się jedynie na krótko, eksperymentując z niby-niezależnością, co zawsze kończyło się dramatyczną kłótnią z byłymi już przyjaciółkami, zerwaniem umowy najmu i pełnym focha transportem dobytku, w koszu na pranie i worku na śmieci, z powrotem do Tudor. W pierwszym rzędzie młodsze

Bennetówny absorbowало spożywanie lunchu w Green Dog Café albo w Teller's, wysyłanie esemesów i oglądanie filmików na smartfonach, a także ćwiczenia fizyczne. Jakiś rok wcześniej Kitty i Lydia wstąpiły w szeregi wyznawców crossfitu – był to intensywny reżim siłowy i kondycyjny, który obejmował podnoszenie ciężarów i girii, ćwiczenia z linami, niejasne akronimy, wystrzeganie się wszelkich pokarmów z wyjątkiem mięsa i eksponowanie drwiącego poczucia wyższości wobec słabych i nieoświeconych mas, które nadal wierzyły, że jogging jest wystarczającym treningiem, a bajgiel – akceptowalnym śniadaniem. Naturalnie wszyscy Bennetowie oprócz Kitty i Lydii należeli do nieoświeconych mas.

Mary tymczasem robiła swoje trzecie studia magisterskie online, tym razem z psychologii. Wcześniej studiowała prawo karne, a także administrację i zarządzanie. Z urody najpospolitsza spośród sióstr, Mary uważała, że mieszkając z rodzicami, dowodzi, iż przedkłada życie umysłowe nad materialne. Poza tym daje wyraz niechęci do marnowania – wszak jej dziecięcy pokój stałby pusty, gdyby go nie zajmowała. Zgodnie z tą logiką Mary naprawdę wzorowo unikała marnowania, ponieważ rzadko kiedy wychodziła ze swojego pokoju. Zamiast jednak ślęczyć nad podręcznikami, siedziała do późna i późno wstawała. Wyjątek stanowiły eskapady we wtorkowe wieczory, ale zapytana o tajemnicze cotygodniowe wyjścia – gdy jeszcze członkowie rodziny o to pytali – odwarkiwała: „To nie wasza sprawa”. Lydia z kolei wówczas sugerowała: „Mityng AA? Lesbijski klub czytelniczy? Lesbijski mityng AA?”.

Jane i Liz zawsze miały jakąś stałą pracę, ale poczucie finansowego zabezpieczenia w postaci rodzinnego majątku sprawiało, że przedkładały interesy osobiste nad wysokość pensji. Jane była instruktorką jogi. Posada ta może pozwoliłaby jej na opłacenie czynszu w mieście typu Cincinnati, ale nie na Manhattanie, a już na pewno nie na Upper West Side, które od piętnastu lat nazywała domem. Liz również spędziła trzecią i czwartą dekadę swego życia w Nowym Jorku, lecz aż do ostatniej przeprowadzki do Cobble Hill na Brooklynie na ogół mieszkała z dala od centrum, w obskurnych budynkach bez windy. Wyjątek stanowiło lokum na rogu Siedemdziesiątej Drugiej i Amsterdam, które siostry wynajmowały razem krótko po tym, jak Liz skończyła Barnard College pod koniec lat dziewięćdziesiątych, rok po Jane. Chociaż jako współlokatorki niezłe się dogadywały, ten okres dobiegł końca,

gdy najstarsza z sióstr zaręczyła się z Teddym, sympatycznym analitykiem funduszy hedgingowych. Wprawdzie panią Bennet niepokoiło to, że jej córka mieszka z mężczyzną przed ślubem, ale wszelkie obawy rozwiązał dyplom Cornell i lukratywna posada przyszłego zięcia. Niestety, budząca się w Teddym świadomość, że ciągnie go do innych mężczyzn, ostatecznie wykluczyła stały związek z Bennetówną. Jane utrzymywała jednak dobre stosunki z byłym narzeczoną i dwa, trzy razy do roku razem z Liz umawiała się z nim i jego apetycznym partnerem na brunch.

Z kolei całe dotychczasowe życie zawodowe Liz upłynęło na pracy w redakcjach magazynów. W czasach college'u zajmowała się weryfikowaniem faktów do tygodnika słynącego z przenikliwych tekstów z dziedziny polityki i kultury. Stamtąd przeskoczyła do „Mascary”, miesięcznika dla kobiet, który subskrybowała, odkąd skończyła czternaście lat, skuszona zarówno jego feministycznym profilem, jak i konsekwentnym zajmowaniem się tematem butów i kosmetyków. Najpierw była asystentem redaktora, potem młodszym redaktorem, wreszcie redaktorem artykułów lifestylowych. W wieku trzydziestu jeden lat uświadomiła sobie jednak, że jej pasją jest opowiadanie historii, a nie redagowanie ich, więc została w „Mascarze” autorem niezależnym i do dziś zajmowała to stanowisko. Chociaż za pisanie płacono zwykle mniej niż za redagowanie, Liz uważała, że wykonuje pracę swoich marzeń: stale podróżowała i przeprowadzała wywiady ze znakomitymi, a niekiedy sławnymi osobami. Jej osiągnięcia nie robiły jednak wrażenia na rodzinie. Ojciec wciąż, po tylu latach, udawał, że nie pamięta nazwy miesięcznika. „Jak tam w «Szmince»?” – pytał, albo: „Co nowego w «Makijażu»?”. Mary często mówiła Liz, że „Mascara” propaguje opresyjne i wykluczające standardy piękna. Nawet Lydia i Kitty, które nie miały problemu z opresyjnymi i wykluczającymi standardami piękna, zupełnie nie interesowały się magazynem, prawdopodobnie dlatego, że nie były wielbicielekami ani czasopism, ani książek, czytanie ograniczając do wyświetlaczy swoich telefonów.

Niemniej jednak, choć praca w „Mascarze” nie budziła entuzjazmu Bennetów, właśnie dzięki jej elastycznemu charakterowi Liz mogła pozostać w domu w czasie rekonwalescencji ojca. W podobnej sytuacji znalazła się Jane, która wzięła zwolnienie w szkole jogi, gdzie pracowała. Pięć tygodni temu siostry, bardzo wytrącone z równowagi, udały się do Cincinnati, nie mając pewności, na ile skuteczna okaże się operacja pana Benneta. Zanim

stało się jasne, że ten w pełni odzyska zdrowie, Liz i Jane zdążyły się mocno zaangażować zarówno w rekonwalescencję ojca, jak i w codzienne obowiązki domowe: robiły zakupy i dla całej rodziny przygotowywały posiłki „przyjazne dla serca”; na zmianę woziły pana Benneta do lekarzy, w tym do ortopedy, gdyż pan Bennet przy pierwszym incydencie kardiologicznym złamał rękę, przewracając się i spadając ze schodów z podestu piętra. (Wciąż z ręką w gipsie, nie był w stanie prowadzić samochodu). Poza tym zamierzały „odświeżyć” Tudor, który zastały zakurzony i zagracony, aczkolwiek w tej kwestii zrobiły na razie niewiele.

Ich młodsze siostry teoretycznie mogły wykonywać te wszystkie zadania, ale jakoś się do nich nie garnęły. Owszem, incydent kardiologiczny ojca wyprowadził je nieco z równowagi, nie na tyle jednak, by pod jego wpływem zmieniły porządek dnia: dalej zajmowały się crossfitem i niespiesznymi lunchami w restauracjach, podczas gdy Mary nieregularnie wyłaniała się ze swojego pokoju, żeby podejmować próby wciągnięcia członków rodziny w dyskusje o moralności. W kuchni, patrząc, jak ojciec pije napój zawierający otręby babki płesznik – by uporać się ze skutkiem ubocznym zażywania środków przeciwbólowych: zaparciami – oznajmiła, że jej zdaniem rdzenni Amerykanie, którzy postrzegają życie i śmierć jako cykl, stoją na wyższym szczeblu rozwoju niż cywilizacja Zachodu ze swoją skłonnością do kroków heroicznych. W tym momencie pan Bennet wylał resztki napoju do zlewu, rzekł: „Na miłość boską, Mary, zamknij się!”, i wyszedł.

Ciężki los męża niezwykle wstrząsnął panią Bennet – wieczorem tego dnia, gdy przewieziono go do szpitala, wręcz nie mogła wydusić słowa, roniąc łzy na wspomnienie grozy, którą w niej owo wydarzenie wywołało – ale odmówiła pełnienia funkcji pielęgniarki czy szofera, a to z racji licznych obowiązków związanych z planowanym uroczystym lunchem Ligi Kobiet.

– A może byś poprosiła którąś panią z komitetu, by przejęła twoje obowiązki, ty natomiast zajęłabyś się tym w przyszłym roku? – spytała Liz pewnego dnia, gdy jeszcze pan Bennet przebywał w szpitalu.

Matka spojrzała na nią z przerażeniem.

– Dopiero bym się nasłuchiwała! – odrzekła. – Lizzy, te wszystkie przedmioty wyblągane na aukcję... Tylko ja nad tym panuję.

– W takim razie może stworzysz arkusz kalkulacyjny online, do którego każdy mógłby zajrzeć? – A ponieważ pani Bennet nie radziła sobie biegle

z komputerem, córka dodała: – Chętnie ci pomogę.

– To kwestia poza dyskusją. Poza tym to ja jestem odpowiedzialna za rozmowy z florystką i tylko ja wiem, jak robić serwetki z insygniami Ligi. Nie można ot tak przekazywać takich rzeczy, kiedy machina została puszczona w ruch.

– Czy mama w skrytości nienawidzi taty? – spytała Liz następnego ranka, gdy poszły z Jane pobiegać. – Bo moim zdaniem nie daje mu żadnego wsparcia.

– Według mnie ona po prostu nie chce przyjąć do wiadomości, że sytuacja jest poważna – odparła Jane.

Kiedy jednak pan Bennet wrócił do domu, Liz zaczęła się zastanawiać, czy Jane aby się nie myli. Chociaż rodzice nadal wychodzili na wspólne lunche do Cincinnati Country Club, gdy tylko pan Bennet odzyskał siły, generalnie w Tudor każde z nich wiodło osobne życie. Ojciec prawie już nie korzystał z małżeńskiej sypialni; spał na wąskim łóżku w swoim gabinecie na piętrze, a to rozwiązanie obowiązywało jeszcze przed jego hospitalizacją. Gdy Liz spytała Mary, jak długo to trwa, ta ściągnęła brwi i odpowiedziała: „Od pięciu lat? Zresztą nie wiem... może od dziesięciu?”.

Konsternację Liz podsycił fakt, że chociaż doktor Morelock dobitnie podkreślał, że pan Bennet musi koniecznie przejść na dietę ubogą w czerwone mięso, sól i alkohol, pani Bennet powitała męża w domu szkocką i cheetosami, na obiad zaś zaserwowała stek. Gdy nazajutrz jako danie główne podano rostbef, Liz dyskretnie zasugerowała matce, że może rozważyłaby ugotowanie kurczaka albo łososia.

– Przecież Kitty i Lydia lubią wołowinę, ponieważ to dieta jaskiniowców – zaprotestowała pani Bennet.

– Ale tata miał zawał.

Odtąd co wieczór Liz i Jane na zmianę przygotowywały posiłki. Uzgodniły również, że pozostaną w Cincinnati aż do weekendu po lunchu Ligi Kobiet. Liz nie sądziła, by po tym terminie matka zapewniła mężowi opiekę. Raczej zakładała, że skoro ojciec do tego czasu pozbędzie się gipsu i podejmie – a może i ukończy – fizjoterapię, to zapewne siądzie na powrót za kierownicą i zdoła sam o siebie zadbać.

## Rozdział 4

– Zatrąb, żeby twoja matka wiedziała, że czekamy – zaproponował pan Bennet. Liz siedziała za kierownicą lexusa pani Bennet, obok niej miejsce zajął ojciec, a z tyłu Jane, i całą trójką czekali na wielkim podjeździe Tudor, by wyruszyć na barbecue u Lucasów.

– Już wie – odrzekła Liz. Pan Bennet wychylił się i lewą ręką, tą bez gipsu, sam wcisnął klakson. – Jezu, tato! – zareagowała Liz. – Trochę cierpliwości.

Bennetowie udawali się do Lucasów aż trzema pojazdami: Lydia i Kitty w mini cooperze tej ostatniej, Mary zaś uparła się, że weźmie swoją hybrydową hondę. „Dzięki temu nie będzie problemu, jeśli tata poczuje się zmęczony i zechce wyjść wcześniej” – powiedziała pani Bennet, gdy wraz z najstarszymi córkami naradzała się w kuchni nad przygotowanym przez Jane nieco smętnym biszkoptem udekorowanym truskawkami i jagodami.

Na podjeździe Liz odwróciła się do ojca.

– Tak się palisz, by poznać słynnego Chipa Bingleya?

– W przeciwieństwie do twojej matki nie przejmuję się, za kogo powychodzicie za mąż ani czy w ogóle powychodzicie za kogokolwiek – odrzekł pan Bennet. – Bóg mi świadkiem, że mnie instytucja małżeństwa do siebie nie przekonała.

– Urocze stanowisko. – Liz poklepała ojca po kolanie. – Dziękuję, że się nim podzieliłeś.

W tylnych drzwiach ukazała się pani Bennet.

– Jeszcze minutka! – zawołała podenerwowana, po czym zniknęła, zanim zdążyli zareagować.

Liz spojrzała w lusterku na siostrę.

– A może ty wypatrujesz chwili, gdy poznasz Chipa?

Jane patrzyła za okno; zachowywała się tak spokojnie, że czasami trudno było odróżnić, czy jest zdenerwowana czy po prostu zadumana. Tak czy



owak, przekomarzenie, któremu oddawali się ojciec i Liz, nigdy nie było jej ulubioną rozrywką.

– Pewnie tak – odparła, kiedy pani Bennet w końcu wyszła z domu.

– Jakże miło, że postanowiłaś do nas dołączyć! – zawołał pan Bennet przez otwarte okno.

Liz uruchomiła silnik, gdy tylko matka wsunęła się na tylną kanapę.

– Telefon zadzwonił – wyjaśniła pani Bennet. – Ginger Drossman zaprasza nas na brunch. To mi zajęło tyle czasu. – Wychyliła się do przodu; na jej twarzy odmalowała się głęboka troska. – Liz, na pewno jeszcze zdążysz pobic po spódniczkę.

Dawniej, kiedy Liz miała lat naście i później dwadzieścia parę, taka uwaga by ją zirytowała, ale w wieku trzydziestu ośmiu lat uważała kłótnie z matką o garderobę za absurdalne.

– Nie – odrzekła pogodnie. – Dobrze się czuję.

Choć matka się nie zorientowała, jej szorty były wyjątkowo stylowe, podobnie jak biała bluzka bez rękawów i espadryle.

– Moim zdaniem Liz wygląda ślicznie – odezwała się Jane, gdy wyjeżdżali na ulicę.

## Rozdział 5

O ile, technicznie rzecz biorąc, w wypadku Liz i Jane termin „singielka” czy „wolna” rzeczywiście precyzyjnie oddawał stan rzeczy, to w odniesieniu do żadnej z nich nie zdradzał całej prawdy. Po bezowocnym pierwszym narzeczeństwie Jane poznała niejakiego Jeana-Pierre’a Babineaux, wytwornego francuskiego finansistę, i stali się parą na ładnych kilka lat. Choć panna Bennet zakładała, że się pobiorą, rozmowy na ten temat zawsze charakteryzowała nuta słodko-gorzka, którą z perspektywy czasu Jane postrzegała jako swego rodzaju ostrzeżenie. Nie w tym rzecz, że któreś nie pałało do drugiego wielkim afektem. Chodziło raczej o to, że ich sytuacja życiowa była nieporównywalna: on o piętnaście lat starszy, rozwiedziony, był ojcem bliźniąt, dwunastoletnich w chwili, gdy Jane je poznała. Często latał do Paryża, a chociaż Jane raczej nie narzekała na swoje wizyty we francuskiej metropolii, gdzie korzystali z jego mieszkania w szóstej dzielnicy, nie chciała żyć tak daleko od swojej rodziny i na pewno nie na stałe; Jean-Pierre tymczasem ostatecznie zamierzał wrócić do ojczyzny. Co więcej, Jane zdecydowanie chciała urodzić dziecko, a jej ukochany poddał się wazektomii, kiedy bliźnięta miały dwa lata.

Choć odwlekali ostateczne zerwanie i byli nim zdruzgotani, to jednak rozstali się z godnością. W wieku trzydziestu siedmiu lat Jane po raz kolejny została singielką i tak to trwało od dwóch lat. Wkrótce po trzydziestych dziewiątych urodzinach, w następstwie skrupulatnych rozważań wielu anonimowych kandydatów, ubrana w szpitalną koszulę najstarsza z Bennetówien położyła się w pozycji ginekologicznej w klinice przy Wschodniej Pięćdziesiątej Siódmej, czekając, aż do jamy jej macicy zostanie cewnikiem wprowadzone nasienie dawcy. Chociaż Jane zastosowała się do wszystkich zaleceń, by stworzyć warunki korzystne do zapłodnienia – przestała pić alkohol, spała po osiem godzin i codziennie medytowała – nie doszło do niego. I nie doszło do niego jeszcze kilka razy. To niepowodzenie

co prawda nie odbiegało od normy – niewiele kobiet poddających się inseminacji nasieniem anonimowego dawcy odnosiło natychmiastowy sukces – ale rezultat był zniechęcający, zabieg kosztowny, a żadnego z comiesięcznych tysiąc dolarowych obciążeń nie zrefundowano z ubezpieczenia Jane. Przewidując brak aprobaty rodziców, nie zwierzyła im się ze swoich starań, więc nie dostawała żadnych dodatkowych środków (pan Bennet opłacał tylko bezpośrednio jej czynsz). Tak więc po raz pierwszy w dorosłym życiu Jane zaczęła omijać knajpki, rezygnowała z fryzjera i stroniła od ulic, przy których stały jej ulubione butiki z szykownie skrojonymi spódnicami ołówkowymi po czterysta dolarów i gustownymi swetrami po trzysta. Miała świadomość, że te wyrzeczenia wedle standardów większości ludzi nie oznaczają nędzy, ale w głębi duszy boleśnie odczuwała oszczędności.

Tylko z Liz omawiała swoje starania o dziecko. Ginekolog sugerował, by powiedziała o tym rodzicom jeszcze przed pierwszą inseminacją, ale Jane pomyślała, że jeśli nie zdoła zajść w ciążę, to czeka ją podwójna kara: komedia w wykonaniu matki i brak dziecka. A ciągle miała nadzieję na zamążpójście, chociaż małżeństwo nie należało już do jej priorytetów.

W przeciwieństwie do siostry, Liz wolałaby unikać macierzyństwa. Skoro spotykała się z żonatym mężczyzną, wydawało się to logiczne, ale nawet ona nie umiałaby powiedzieć, czy te okoliczności zbiegły się przypadkiem, czy były podświadomym planem. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych Liz i Jasper Wick zaczęli pracę w dziale weryfikacji faktów prestiżowego magazynu i zaprzyjaźnili się: uśmiechali się pod nosem, gdy redaktor pochodzący z Delaware wymawiał *memoir* z francuska „memła”, kilka razy zjedli lunch w taniej tajskiej knajpie i zwykle pomagali sobie nawzajem, kiedy sprawdzali fakty do trudniejszych artykułów. (Zaczynali pracę, używając komputerów z kulejącym połączeniem z internetem, gdy jeszcze weryfikacja oznaczała wizyty w bibliotece albo niespokojne czekanie na oddzwonienie).

Kiedy się poznali, Jasper był zajęty, zresztą nic dziwnego: miał ciemnobrązowe oczy i niesforne kręcone blond włosy, a do tego był bystry i zuchwały, chłopięcy i uważny. Dzięki doskonałej – w ocenie Liz – proporcji neuroz i lubieżności rozmowa z nim stawała się interesująca, był otwarty na plotki i skory do analizowania zachowań i osobowości bliźnich, a jednocześnie nie przekraczał granicy, za którą mógłby się wydać niemięski.

Zdaniem Liz Jasper miał tylko dwie wady: dziewczynę oraz noszony na palcu złoty sygnet Uniwersytetu Stanforda, swojej Alma Mater. Liz nie przejmowała się ani męską biżuterią, ani chełpieniem się uczelnią, lecz faktycznie cieszyła się, że znalazła w Jasperze choć jedną rzecz, którą by zmieniła. To tak, jakby odkryć, że owszem, zapomniałaś coś spakować w podróż, ale są to raptem perfumy, a nie na przykład prawo jazdy.

Początkowo uważała, że ich związek to tylko kwestia czasu. Jasper miał tak silną potrzebę zwierzenia się jej z ogromu wyzwania, z którymi mierzył się, chodząc z Sereną, że Liz wyobrażała sobie, że nie musi go do niczego przekonywać. Słyszała z jego ust takie rewelacje jak: „Wiesz, z tobą rozmawiam bardziej otwarcie niż z nią” i „Czasami myślę, że stanowilibyśmy dobraną parę. Przyszło ci to kiedyś do głowy?”. Liz wiedziała na pewno, że tak właśnie brzmiały te słowa, bo chociaż już nie prowadziła pamiętnika, zapisała je, wraz z datą, na kartce A4 i trzymała na szafce nocnej. A gdy wspomniała Jasperowi, że jako małe dziecko mówiła o sobie „Ninny” albo „Nin”, on zaczął się do niej zwracać tym ostatnim zdrobnieniem.

Znała Jaspiera już osiem miesięcy, a od siedmiu miesięcy i trzech tygodni się w nim durzyła, gdy w którąś sobotę lutego, w czasie zadymki, poszła z nim pobiegać w Central Parku po kilkunastocentymetrowym śniegu. Tempo Jaspiera w połączeniu z zaśnieżonym traktem uczyniły tę eskapadę najbardziej wyczerpującym wysiłkiem fizycznym w życiu Liz. Na czwartym kilometrze skapitulowała. Zatrzymała się, pochyliła, oparła dłonie na kolanach i wydyszała:

– Poddaję się. Wygrałeś.

– Naprawdę? – Jasper był półtora metra przed nią, oglądał się przez ramię i uśmiechał szeroko spod czarnej włóczkowej czapki. – Co dostanę w nagrodę?

„Mnie” – pomyślała Liz.

– Order z ziemniaka – odparła. – I ciepły napój w dowolnej knajpie, która będzie otwarta. – Przyklękła i padła jak kłoda na plecy prosto w śnieg.

Jasper zawrócił i położył się obok niej. Milczeli, płatki śniegu wirowały w powietrzu nad nimi, niebo miało brudnobiały kolor, a śnieg zapewniał im chłodne posłanie. Jasper wytknął język, złapał płatek, ona zrobiła to samo. Zadymka stłumiła wszystkie codzienne odgłosy Manhattanu, a Liz poczuła się bezgranicznie szczęśliwa. Nagle Jasper popatrzył na nią.

– Wczoraj zerwałem z Sereną – powiedział.

Radość, która zapłonęła w sercu Liz... niemal ją przerosła.

– To chyba dobrze. – Miała nadzieję, że zachowuje spokojny ton.

– Tak sądzisz?

– No, bo wydaje mi się, że mieliście sporo problemów.

– Ale ona jest wściekła. Twierdzi, że ją osaczyłem. – Serena nie była ładniejsza od Liz, ale na pewno o wiele bardziej wymagająca i mniej skłonna do kompromisu; to ona zawsze oczekiwała ustępstw i starań o zgodę.

– Ciągle chcesz iść na tę imprezę do Alex czy dasz sobie spokój? – spytała Liz. Koleżanka z pracy wydawała przyjęcie antywalentynkowe, ale gdyby Jasper z niego zrezygnował, mogliby zamówić jedzenie na wynos, obejrzeć film i urządzić sobie wieczór na luzie.

– Pewnie pójdę.

Nagle na twarz Liz padła mokra gruda, która rozbiła się jej na nosie i zasypała oczy i nozdrza.

– Auć! – krzyknęła. – Co to, do cholery?! – Ale już wiedziała. W zasadzie nie miała odruchu, by odwzajemnić się śnieżką, Jasper jednak uśmiechał się z wyczekiwaniem. Jej pocisk odbił się od jego wodoodpornej kurtki na wysokości ramienia.

– Och, Nin. Muszę cię jeszcze tyle nauczyć...

Tamtego wieczoru wyobrażała sobie, że zostaną parą. Za ile tygodni? Sześć, może osiem – tyle powinno wystarczyć, by Jasper przetworzył zerwanie z Sereną, przy czym słowa „przetworzyć” w odniesieniu do własnych emocji Jasper sam używał, inaczej niż wszyscy chłopcy Liz z czasów college’u. Najwyraźniej odrobina „przetwarzania” była niezbędna. Liz nie czuła wewnętrznej potrzeby, by pilnować Jaspera na przyjęciu, więc tym bardziej pękło jej serce, gdy wyszedł z Natalie, siostrą gospodarza, studentką trzeciego roku Uniwersytetu Nowojorskiego.

Odreagowuje, powiedziała sobie. To naturalne i lepiej jak najszybciej mieć ten etap za sobą. Na pewno to, co było oczywiste dla Liz – i dla innych też, bo nawet jedna starsza redaktorka w magazynie szepnęła jej: „Tworzylibyście taką uroczą parę z Jasperem Wickiem” – stanie się wkrótce takie i dla Jaspera.

Niestety, Jasper i Natalie chodzili ze sobą przez dwa lata, a już po kilku tygodniach ich związku Liz wróciła do zwyczajów z epoki Sereny: umawiała się z Jasperem na lunch, sporadycznie z nim biegała, on sprawdzał na niej

swoje pomysły – redagowała i korygowała artykuły, które on czytelował w nadziei, że dostanie zlecenie na artykuł okładkowy – ale była też jego powiernikiem, pomagała mu przeprowadzić analizę jego trosk co do niedojrzałości Natalie albo rozłożyć na czynniki pierwsze jego irytację na współlokatora, który po pijaku zjadł należące do Jaspera tortille czy wyżarł całe masło orzechowe. Raz, gdy Natalie była u rodziców w Phoenix, wypili sporo piw w środowy wieczór w speluncie niedaleko Times Square i Liz, nie mogąc już tego dłużej znieść, wypaliła:

– Ale co z nami?! Myślałam, że będziemy parą!

Jasper wydawał się niebywale zaskoczony.

– A chcesz tego?

– No pewnie, że chcę!

– Ja w jakimś stopniu też – rzekł głosem raczej zbolalym niż uwodzicielskim – ale to by było na poważnie, a nie wiem, czy jestem na to gotowy. Nie chcę ryzykować, że stracę tak ważnego przyjaciela.

Wyszli z baru, a zanim się pożegnali w Port Authority, stali na rogu Czterdziestej Drugiej i Siódmej Alei i dalej rozmawiali. Zawsze mieli nieprzebrane zasoby tematów do omówienia, przeanalizowania, wykpienia i przywołania. Był wietrzny marcowy wieczór. Kosmyki brązowych włosów Liz wydostały się z jej kucyka i muskały czoło i policzki.

– Twoje włosy dzisiaj oszalały – powiedział nagle Jasper.

Zrobił krok w jej stronę z wyciągniętą ręką. Niestety, w tym samym momencie Liz odgarnęła sobie włosy z twarzy, a wtedy Jasper cofnął dłoń i się odsunął. Niezliczone godziny – a może nawet dni i tygodnie – Liz przeklinała siebie za tę niezaistniałą akcję, niedokonany kontakt. Bo jej włosy wcale nie były szalone, często wymykały się spod gumki, więc to oczywiste, że Jasper chciał jej dotknąć, może nawet ją pocałować, może zostać jej chłopakiem i miłością życia. Czy przerwała mu z nawyku? Bo była przeciwna całowaniu cudzych chłopaków? A może w jakiś instynktowny sposób chciała zniweczyć swoje szanse na szczęście?

W wieczór niedotknięcia mieli po dwadzieścia cztery lata. Przez następne sześć ani razu się nie pocałowali. Dwukrotnie spali nawet w jednym łóżku: w domu ciotki koleżanki w Sag Harbor i potem w drodze do siostry Jaspera studiującej na Uniwersytecie Virginia. Jasper zmieniał kolejne tymczasowe dziewczyny – po Natalie nastąpiła Gretchen, po Gretchen Elise, po Elise zaś Katherine – a Liz bez entuzjazmu chodziła z jakimiś chłopakami, ale nigdy

dłużej niż kilka miesięcy. Jasper szczegółowo wypytywał o tych mężczyzn, a raz, gdy spróbowała randki online, uzgodnili, że on i Elise pójdą na drinka do tego samego baru co Liz ze swoim internetowym kandydatem, tak żeby mogła zdać Jasperowi raport w trakcie. Na etapie planowania pomysł ten wydawał się straszliwie zabawny, w fazie realizacji natomiast okazał się zwyczajnie popierdzielony. Jasper oczywiście nie powiedział nic Elise, udawał, że spotkanie Liz to zbieg okoliczności, Elise najwyraźniej uwierzyła w tę farsę, a Liz nie była pewna, czy to lepiej czy gorzej.

Żadne z nich nie pracowało już wtedy dla magazynu, w którego dziale weryfikacji faktów się poznali, ale Liz ciągle była zatrudniona w tym samym budynku, a Jasper przychodził na lunch do bufetu zaprojektowanego przez słynnego architekta. Przepierzenia z niebieskiego szkła sprawiały, że bufet kojarzył się z rzędami akwariów. Przez wszystkie lata znajomości w żartach robili aluzje, że Jasper pociąga Liz, a ona pociąga jego, choć ewidentnie słabiej. Na przykład po wspólnej wizycie w Guggenheimie, trzymając w ręku bilet wstępu, powiedziała z niekwestionowanym – miała nadzieję – sarkazmem: „Może jeśli wsadzę to na noc pod poduszkę, zakochasz się we mnie”, a on z szerokim uśmiechem odrzekł: „Może”. Rzadziej, ale nadal regularnie, odbywali emocjonalne, podlane alkoholem konfrontacje, zawsze inicjowane przez Liz.

– To bez sensu, że nie jesteśmy parą – rzuciła raz. – Pod niemal wszystkimi względami jestem twoją dziewczyną.

– Strasznie mi ciężko, że przysparzam ci tyle bólu – odrzekł Jasper.

– Jestem idiotką. Każdy, kto mi się przyjrzy, uzna mnie za idiotkę.

– Nie jesteś idiotką – zapewnił. – Jesteś moją przyjaciółką.

Gdyby tylko wtedy dała mu się pogłaskać!

Co pewien czas zrywała z Jasperem. Mówiła: „Nasza przyjaźń jest niezdrowa” – i na krótki czas oddawała się jodze, której nienawidziła, abstrahując od lojalności wobec Jane – ale ich kręgi towarzyskie na tyle się przecinały, że już po tygodniu czy miesiącu wpadali na siebie na imprezie albo na turnieju frisbee i rozmawiali bez końca o wszystkich tych rzeczach, którymi od dawna chcieli się ze sobą podzielić.

Gdy mieli po trzydzieści jeden lat, Jasper obwieścił zaręczyny z Susan, zgrabną i miłą panną z wyższych sfer, partnerką firmy prawniczej. Zdaniem Liz traktował ją równie niejednoznacznie co wcześniejsze dziewczyny. Przy przypadkowym spotkaniu spytał Liz, czy będzie jego drużbą. Widząc jej

minę, dodał: „Albo druhną, jak zwał, tak zwał”. Kiedy zaczęła płakać, wydukał: „Co... co się stało?”, ale ona uciekła, zniknęła i nie odzywała się do niego przez pięć lat. Co prawda wciąż nie odrywała od niego wzroku na rozmaitych rautach, ale nie przysłała na jego ślub, nie wspominając o aktywnym udziale w ceremonii.

Którejś soboty wiosną 2011 roku Liz i pewien oboista poznany na randce w ciemno wpadli na Jaspera i Susan na High Line. Jasper prowadził spacerówkę ze śpiącym dzieckiem. Susan ciepło przywitała się z Liz – podobnie jak Elise, Susan zawsze wydawała się nieprawdopodobnie niepodejrzliwa wobec niej, przez co Liz zastanawiała się, jak dokładnie Jasper wyjaśnił istotę ich przyjaźni – i ostatecznie całą piątką poszli na brunch, podczas którego maluch, chłopczyk o imieniu Aidan, obudził się i zaczął krzyczeć wniebogłosy tak, że Liz trochę wybaczyła Jasperowi. W poniedziałek rano napisał do niej mejl: *Bardzo się cieszę, że Cię zobaczyłem. Strasznie mi brakuje naszej przyjaźni.*

Po wymianie wiadomości spotkali się w tygodniu na lunchu – omówili artykuły, które nad wyraz im się spodobały albo nad wyraz ich rozwścieczyły, a potem Jasper zwierzył się, że odczuwa presję finansową, odkąd Susan postanowiła rzucić karierę prawniczą i zostać w domu z Aidanem. Ostatnie lata najwyraźniej należały do ciężkich: jako noworodek Aidan miał kolki, Susan początkowo źle znosiła karmienie piersią, ale teraz nie chciała z niego zrezygnować i mnóstwo czasu spędzała w internecie, usiłując ustalić, które potencjalnie toksyczne chemikalia znajdowały się w środku czyszczącym użytym do prania wykładziny w holu ich budynku. Tymczasem Jasper bezowocnie trudził się w pracy. Wiedział, że jest w stanie kierować redakcją magazynu – nadal był starszym redaktorem, nie redaktorem wykonawczym, a to właśnie stanowisko standardowo już tylko krok dzielił od stołka redaktora naczelnego – i chętnie wysłucha pomysłów Liz, jakie publikacje ułatwiłyby mu najsprawniejsze pokonanie kolejnych szczebli drabiny zawodowej. Wielki szacunek Jaspera do pomysłów i opinii Liz, wyczekiwanie jej zdania na każdy temat, nawet w kwestii, czy to nie dziwne, że jego żona karmi piersią półtoraroczne dziecko, z jednej strony zdecydowanie Liz pochlebiało, a z drugiej czuła, że nikt nigdy jej tak nie wykorzystał. Miała wrażenie, że gdyby była dostępna taka opcja, Jasper przeciągnąłby przewód pomiędzy jej mózgiem a swoim albo po prostu by przekopował zawartość jej kory mózgowej.



Kiedy następnym razem spotkali się po tej pięcioletniej przerwie, na drinka, po trzeciej kolejce Jasper oznajmił, że doszli z Susan do bolesnej konkluzji, że ich małżeństwo naturalną kolejną rzeczą dobiegło końca, a oni popełnili błąd, wiążąc się ze sobą, choć mieli jak najlepsze intencje. Problem polegał na tym, że gdyby Susan lub ktokolwiek z jej rodzeństwa się rozwiódł, żarliwie katolicka babcia, bogata, złośliwa i zadziwiająco krzepka dziewięćdziesięcioośmiolatka mieszkająca na Upper East Side, wydziedziczyłaby ich, a Aidan nie mógłby chodzić do prywatnej szkoły. I chociaż Jasper i Susan udzielili sobie wzajemnego błogosławieństwa dla związków pozamałżeńskich, będą razem mieszkali, dopóki babcia nie umrze. Po zakomunikowaniu tej informacji Jasper przełknął ślinę, a w jego brązowych oczach błysnęły łzy.

– Zawsze liczyłaś się tylko ty, Nin – rzekł. – Strasznie namieszałem, ale zawsze liczyłaś się tylko ty.

W trakcie tej pięcioletniej przerwy Liz chwilami pozwalała sobie na fantazję, że Jasper pojawia się w jej biurze lub w mieszkaniu – możliwe, że jak w filmie przybiega do niej w deszczu – by niecierpliwie wyznać swą miłość. Może nawet w tym scenariuszu mówić: „Zawsze liczyłaś się tylko ty”. Ale na pewno nie był mężem Susan, oficjalnie czy nie. I na pewno nie był ojcem półtorarocznego dziecka. A jednak, poprzez łagodną mgiełkę trzech wypitych drinków Liz pomyślała, że w takich kompromitujących okolicznościach sytuacja wydaje się bardziej wiarygodna – to nie jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Nie musiała się denerwować, że dostaje wszystko, o czym zawsze marzyła.

Poszli do niej i skonsumowali to coś, co było między nimi, ale na pewno nie było to ziszczenie snu – czternaście lat eskalacji emocji i kilka wypitych drinków nie pomogło – choć w sumie było okej i potem, gdy Jasper zasnął, trzymając ją w objęciach, żałowała, że w wieku dwudziestu dwóch lat nie wiedziała, że to się ostatecznie wydarzy. Dwudziestodwuletnia Liz może mniej by była poruszona, gdy czterdzieści minut później Jasper obudził się, wziął szybki prysznic i pognął do żony i dziecka. Ugoda ugoda, lecz wypadła kolej Jaspera, by rano wstać z Aidanem o piątej.

W ciągu tygodnia Jasper jeszcze trzykrotnie odwiedził Liz, z czego dwa razy u niej nocował. Ustalił się pewien rytuał. Minusy tej wersji ich związku były tak jaskrawo oczywiste, że w zasadzie nie zasługiwały na rozpamiętywanie – ponieważ na Manhattanie mieszkali członkowie licznej

rodziny Susan lojalni wobec babci, Liz i Jasper musieli zachować dyskrecję, tak więc nie wychodzili razem do restauracji, chyba że spotykali się służbowo. Mogła jednak cieszyć się prawdziwą bliskością, życiem intymnym z kimś, kogo dobrze znała i kto wiele dla niej znaczył, a jednocześnie dalej miała czas, by pracować, biegać, czytać i spotykać się z przyjaciółmi – może nawet miała na to więcej czasu, niż gdy przetrząsała portale randkowe albo spędzała z Jane czy innymi kobietami trzy godziny z rzędu na analizowaniu swojej samotności. Garstka przyjaciółek wiedziała o Jasperze, jej starsza siostra również, ale ich sceptyczne reakcje na tyle odstraszały Liz, że nie próbowała wnikliwiej omawiać niecodziennego układu. Zbyt łatwo można było dojść do wniosku, że Jasper po prostu zdradza żonę.

Pewnego piątkowego wieczoru pod koniec maja, gdy relacja z Jasperem trwała już dwa lata, Liz w mieszkaniu siostry otworzyła przyniesioną butelkę wina, a Jane siekała jarmuż na sałatkę.

– Znowu będę musiała sama pić? – spytała Liz.

– Tworzę przyjazne środowisko maciczne – rzuciła Jane.

– Czyli tak, muszę pić sama.

– Przepraszam. – Jane się skrzywiła.

– Nie przepraszaj. – Liz zdjęła kieliszek z półki. – Płód, który zamieszka w twoim łonie, będzie szczęściarzem. Założę się, że jesteś Ritzem wśród macic. – Podniosła wysoko szkło. – Za reprodukcję! – Jane stuknęła się z nią kieliszkiem wypełnionym wodą, a Liz dodała: – Pamiętasz Sandrę ode mnie z pracy, która trzy lata usiłowała zajść w ciążę? Poszła do akupunkturzystki, a ona... – W jej kieszeni zawibrował telefon. Zastanawiała się, czy to Jasper; najwyraźniej Jane pomyślała o tym samym, bo spytała, nie do końca skrywając dezaprobatę:

– To on?

Ale to nie był on. To była ich siostra Kitty. Liz pokazała wyświetlacz Jane i odebrała:

– Cześć, Kitty, właśnie jestem z Jane.

– Tata... – Kitty najwyraźniej płakała. – Tata jest w szpitalu.

## Rozdział 6

Pan Bennet poskarżył się na zgagę, która jego zdaniem wynikała z przyrządzonej przez małżonkę cielęciny po myśliwsku, a pół godziny później wszedł schodami na drugie piętro domu i tam padł, dysząc ciężko. Lydia usłyszała, jak ojciec przewrócił się na podłogę, Mary zadzwoniła po pogotowie i karetka przewiozła go do Christ Hospital.

Po telefonie od Kitty Jane natychmiast odstawiła jedzenie, a Liz w pośpiechu zaczęła szukać lotów. Okazało się jednak, że tego dnia już nic nie leciało do Cincinnati ani z LaGuardii, ani z JFK. Liz zrobiła rezerwację na następny dzień, wróciła do siebie, wrzuciła parę ubrań do walizki i spała niespokojnie przez kilka godzin. O szóstej rano spotkała się z Jane w Terminalu D LaGuardii. Ich ojciec po sześciogodzinnej operacji leżał już zaintubowany i nieprzytomny na oddziale intensywnej opieki medycznej.

Chociaż się obudził i usunięto mu rurę respiratora, nim dwie najstarsze córki prosto z lotniska dotarły do szpitala, wydawał się niepokojąco otumaniony i w szpitalnej piżamie jeszcze drobniejszy niż w swoim codziennym mundurku, na który składały się spodnie khaki, koszula i granatowy blezer. Na widok ojca Liz z trudem powstrzymała łzy, podczas gdy Jane rozpląkała się bez skrępowania.

– Moja kochana Jane... – powiedział pan Bennet, ale nic poza tym; nie pokrzepił ich żadnym żartem. Urządzenia monitorujące jego funkcje życiowe pikały obojętnie.

W szpitalu spędził tydzień. Nazajutrz po operacji przeniesiono go z intensywnej terapii na salę intensywnego nadzoru, a stan jego zdrowia stale się poprawiał. Zmiany na lepsze nie tyle następowały miarowo, co raczej uwidaczniały się nagle – wróciły mu kolory, energia, zgryźliwy humor, wydawało się więc, że naprawdę nic mu nie będzie.

Tymczasem najstarsze Bennetówny szybko zaczęły działać według określonego szablonu. Spały na drugim piętrze, w dwuosobowym łóżku

w pokoju, który kiedyś należał do Liz. Nastawiały budzik w komórce na siódmą, wstawały i szły pobiegać, zanim zrobiło się zbyt upalnie: pokonywały szeroki łuk Grandin Road, mijały wzniesienia Cincinnati Country Club, dalej na Madison Road i znowu na Observatory, później długim odcinkiem Edwards Road wspinającym się na pierwsze, łagodne i rozległe wzniesienie, a potem na drugie, o wiele bardziej strome, choć dla odmiany krótkie. Po powrocie zjadały płatki, kolejno brały prysznic, a na koniec naradzały się, jakie zadania czekają je tego dnia.

Z początku przygnębiał je zły stan zdrowia ojca, ale w miarę jak się poprawiał, siostry dostrzegały coraz wyraźniej, że zbudowany w 1903 roku Tudor jest w stanie całkowitej ruiny. Od dwudziestu lat składały w domu trzydniowe wizyty, zwykle z okazji świąt, a teraz Liz uświadomiła sobie, że wówczas matka prawdopodobnie całymi tygodniami szykowała się na ich przyjazd. Tym razem nie przygotowała się wcale, więc na marmurowym stoliku w holu leżały stosy korespondencji, w umywalce łazienki na drugim piętrze wyhodowała się pleśń, na żyrandolach i w rogach sufitów zawisły pajęczyny, a Jane i Liz musiały zająć jeden pokój na spółkę, ponieważ łóżko i większa część podłogi w sąsiedniej sypialni, kiedyś należącej do Jane, zostały zastawione różnymi kartonami – w niektórych znajdowała się wyłącznie folia bąbelkowa, ale inne stały nieotwarte, zaadresowane przez jakiś ekskluzywny dom towarowy do pani Frederickowej M. Bennet. Dzień przed wypisaniem ojca ze szpitala Liz za pomocą scyzoryka otworzyła trzy paczki i znalazła w nich: kremową pluszową poduszkę ozdobną z wyszywanym ananase, komplet ręczników w kolorze szafirowym z monogramem pani Bennet i dwanaście talerzyków deserowych z yorkshire terrierem (Bennetowie nigdy nie mieli yorkshire terriera, zresztą nie mieli nigdy psa żadnej rasy).

To, że matka przywiązywała dużą wagę do artykułów wyposażenia wnętrz, nie było żadną sensacją. Jeśli już dzwoniła do Liz w Nowym Jorku, to zwykle po to, by zapytać, czy córka nie potrzebuje, dajmy na to, porcelanowego imbryka z motywem liści laurowych, normalnie kosztującego dwieście sześćdziesiąt dolarów, a na wyprzedazy dwieście trzydzieści. Liz niezmiennie odmawiała, w ogóle nie poruszając przy tym kwestii, kto miałby zapłacić za ów imbryk. Z opisu wydawał się uroczy, ale jej i tak brakowało miejsca, a poza tym, o czym musiała przypomnieć matce, niezbyt lubiła herbatę. Kiedyś, przed laty, Liz dała się namówić na przyjęcie w prezencji

wielkiego półmiska ze złotą obwódką – „Będiesz miała na uroczyste kolacje!”, oznajmiła radośnie pani Bennet – ale gdy półtora roku później dowiedziała się, że Liz w tym okresie nie wydała ani jednej uroczystej kolacji, nalegała na zwrócenie półmiska. Przesyłka kosztowała ponad pięćdziesiąt dolarów. Tak więc nie, to nie był żaden sekret, że matka lubowała się we wszystkim, co wiązało się z wystrojem wnętrza, ale liczba kartonów w dawnej sypialni Jane w połączeniu z faktem, że tylu z nich w ogóle nie otwarto, nasunęła Liz pytanie, czy aby nie wchodzi tu w grę jakaś patologia.

Tymczasem niemal codziennie Tudor odsłaniał kolejne swoje zaniedbania: ciekące krany, uszkodzone klepki, dobrane według niejasnego klucza żarówki do kinkietów, w dodatku przepalone. W wielu przypadkach, takich jak zaciek o powierzchni metra kwadratowego po wschodniej stronie salonu, Liz nie była w stanie określić, czy to nowa awaria, czy może rodzice i siostry od dawna udają, że nic nie widzą.

Teren o ponadhektarowej powierzchni, należący do posiadłości, przysparzał osobnych kłopotów, a wśród nich szczególnie uciążliwe były nadmierny rozrost sumaka za domem i grzyb na wielkim platanie, pod którym Liz niegdyś urządzała pikniki dla swoich lalek. Na ile zdołała się zorientować, ojciec od pewnego czasu kosił jedynie trawę, a odkąd zachorował, nie robił nawet tego. Gdy któregoś dnia Liz czekała, aż rozmówca na drugim końcu linii wyceni utrzymanie obejścia Bennetów, przyszło jej do głowy, że dom rodziców przypomina skrajnie otyłą osobę, która już nie widzi swojego ciała, nie dotyka go ani nie panuje nad nim; sytuacja ją przerasta, przerasta jej rodzinę, więc w końcu wszyscy, zmęczeni, kostnieją w tym stanie.

W godzinach, które wyznaczyła na codzienną pracę, Liz otwierała swojego laptopa na różowym biurku z formiki, które rodzice kupili jej w 1987 roku, i odpowiadała na pytania redaktorów „Mascary” odnośnie do ostatniego artykułu, który oddała, umawiała albo prowadziła wywiady, zbywała rzeczników prasowych bądź ich ścigała. Oprócz dużych artykułów na rozmaite tematy lifestylowe Liz pisała co miesiąc trzy minisywetki do kolumny *Siłaczki* – na przykład o pani kapral z Iraku, o niewidomej instruktorce aerobiku albo o dyrektorze szkoły z Wichity, która uratowała swoich uczniów w czasie tornada. W myślach tytułowała tę kolumnę *Siłaczki – kobiety atrakcyjne i zadbane*, a wyszukiwanie takich postaci

i przeprowadzanie z nimi wywiadu należało do jej ulubionych zadań.

Jane natomiast nie próbowała pracować podczas pobytu w Cincinnati. Kilka razy w tygodniu chodziła na lekcje jogi do studia w Clifton, ale raczej jako uczeń niż nauczycielka. Niemniej jednak obu siostronom dni mijały zaskakująco szybko, w cyklu porannego joggingu, wizyt u lekarzy, sprawunków, przygotowywania posiłków i rodzinnych obiadów. Maj się skończył, zaczął się czerwiec, a potem lipiec.

Jasper i Liz często pisali do siebie esemesy, czasami co godzinę. On przysyłał jej na przykład zdjęcie sprzedawcy porannych kanapek, w turbanie, z rogu Pięćdziesiątej Piątej i Szóstej: *Ten gość na pewno za Tobą tęskni.*

Gdy pan Bennet został wypisany ze szpitala, Liz poleciała na jedną dobę do Nowego Jorku i w tym czasie spotkała się z redaktorką naczelną, zabrała dodatkowe ubrania, również dla Jane, wyrzuciła otwarte opakowania jogurtu z lodówek w obu mieszkaniach, zatroszczyła się o bambusa w doniczce i zostawiła zapasowe klucze asystentce z biura nieruchomości – kobiecie z zaskakująco pozytywnym nastawieniem, która na ostatnią chwilę znalazła studentki na podnajem mieszkań Liz i Jane do trzydziestego pierwszego sierpnia. Wykonawszy te wszystkie zadania, przed odjazdem na lotnisko, we wtorek o jedenastej, Liz spotkała się z Jasperem w jego mieszkaniu. Susan właśnie wychodziła z Aidanem na zajęcia gimnastyczne. Chociaż nie widziały się od tamtego spotkania na High Line przed dwoma laty – tymczasem Aidan z berbecia zmienił się w miniaturowego człowieka – Susan przywitała ją tonem, jakim zapewne witała sąsiadki:

– Cześć, Liz.

Gdy Susan i Aidan sobie poszli i gdy Liz i Jasper w końcu zdjęli ubrania w sypialni – nie mieli jakoś dużo czasu, zresztą, tak czy owak, etap czasochłonnego uwodzenia był już dawno za nimi – w Liz obudził się niepokój, równie nieoczekiwany, co oczywisty.

– Sypiacie ciągle w jednym łóżku? – spytała.

– Ale jak brat i siostra – zapewnił Jasper. – I tylko dlatego, że kanapa jest niewygodna. Nie zapominaj, że Susan ma faceta.

Nagi Jasper wszedł do niezasłanego łóżka, z beżową pościelą i lawendową narzutą zepchniętymi na koniec materaca. W pewnej chwili Liz poczuła, że nie jest w stanie dłużej tego ciągnąć – spotkanie z Aidanem, zetknięcie się z życiem codziennym Jaspera i Susan, bez względu na ich umowę, okazało się po prostu zbyt krępujące. No ale Jasper, taki przystojny,

czekał oto w ewidentnej gotowości, a ona przecież też stęskniła się za seksem – którego dawno nie miała i pewnie długo mieć nie będzie. Rozpięła i zrzuciła stanik jako ostatnią część garderoby i dołączyła do Jaspera. Pięć godzin później jej samolot lądował w Cincinnati.

## Rozdział 7

Jak się okazało, pani Bennet nie musiała ponad miarę naciskać na panią Lucas, by ta ułatwiła zapoznanie Bennetów i Chipa Bingleya. Odebrawszy telefon przyjaciółki, pani Lucas zapewniła, że nic nie sprawi jej większej przyjemności ani nie zaprezentuje korzystniej Cincinnati niż obecność pięknych panien Bennet oraz ich rodziców na barbecue, które Lucasowie wydawali dla nowo przyjętych medyków Christ Hospital, gdzie doktor Lucas był lekarzem, a jednocześnie zajmował stanowisko kierownicze wysokiego szczebla.

Pani Lucas dzieliła z panią Bennet niedolę posiadania niezamężnej dorosłej córki, chociaż w wypadku pani Lucas ucieleśnienie tego rozczarowania było jednokrotne, nie zaś pięciokrotne. Charlotte Lucas, dla Liz koleżanka z klasy i najbliższa przyjaciółka przez piętnaście lat spędzonych w Seven Hills, też była singielką. Inteligentna i pewna siebie, dyrektor HR w Procter & Gamble, od czasu college'u przybrała jakieś trzydzieści pięć kilogramów. Zdaniem pani Bennet ten fakt sadowił nieszczęście pani Lucas w osobnej, acz równie frustrującej kategorii, innej niż ta, do której kwalifikowały się jej córki. Charlotte nie wyszła za mąż, ponieważ była gruba. A zatem musiała jedynie schudnąć. Natomiast w wypadku córek pani Bennet, niemających żadnych dostrzegalnych wad fizycznych (prócz Mary, która niestety nie grzeszyła urodą) czy charakterologicznych, żadne oczywiste środki zaradcze nie istniały.

Pani Bennet, której nieobce były problemy z krągłościami, zastanawiała się, czy pani Lucas widzi w córce kandydatkę do względów Chipa, ale włączenie Bennetów do listy gości barbecue upewniło ją, że przyjaciółka nie żywi nierealistycznych oczekiwań wobec szans Charlotte. I tak oto, choć dwadzieścia lat prób dobrania córkom partnerów nie zaowocowało sukcesem, pani Bennet wiązała z tym przyjęciem zaiste wielkie nadzieje.

Lucasowie mieszkali w Indian Hill, podmiejskiej dzielnicy dwadzieścia



kilometrów od centrum, gdzie osiedlili się głównie miłośnicy koni albo chociaż rasowych psów, te bowiem mogły biegać bez ograniczeń po wielohektarowym terenie. Ogromny ceglany dom w stylu kolonialnym miał balkon nad frontowym wejściem i łupkowy dach. W kuchni poszczególni Bennetowie wyściskali poszczególnych Lucasów, Jane przekazała swój biszkopt, a Liz podeszła do okna, żeby rzucić okiem na kilkunastu gości rozmawiających na brukowanym patio.

– Jane, chodź zobaczyć swojego przyszłego męża – zawołała wesoło.

Siostra dołączyła do niej.

– Zakładam, że Chip Bingley to ten wysoki, ciemnowłosy i przystojny?

– Nie – włączyła się Charlotte Lucas. – Chip to ten w szortach. Wysoki, ciemnowłosy i przystojny to jego przyjaciel Fitzwilliam Darcy, neurochirurg. W zeszłym roku dołączył do zespołu tutejszego centrum udarowego. Krążą plotki, że on też jest singlem, ale traktuje ludzi z rezerwą i jest podobno dość opryskliwy. Studiował razem z Bingleyem. – Charlotte odwróciła się do Jane: – Naprawdę ani razu nie widziałaś *Dobrej partii* z Chipem?

– Ona nie widziała żadnej *Dobrej partii* – sprecyzowała Liz. – Moja siostra to istny jednorozec.

– Och, sezon z Chipem był fantastyczny. Doszło do prawdziwej bójki, a w niej do wrywania włosów, a właściwie do rwania przedłużek.

Mary, która w ostatniej chwili zdążyła wsiąść do samochodu matki, włączyła się do rozmowy:

– Moim zdaniem *Dobra partia* poniża kobiety.

– Już o tym wspominałaś. – Liz obejrzała się na Charlotte. – Mówiłaś, że przyjaciel Chipa ma na imię Fitzwilliam. Czy on tu przypłynął na *Mayflower*?

– Zwykle posługuje się nazwiskiem – uśmiechnęła się szeroko Charlotte. – Chociaż nie jestem pewna, czy „Darcy” to dużo lepsze rozwiązanie.

W ostatnich latach Liz i Charlotte nie spędzały razem dużo czasu, jeśli nie liczyć przyjęć bożonarodzeniowych i lunchów umówionych w trakcie wizyt Liz w domu rodzinnym, ale nadal czerpały ogromną przyjemność ze swojego towarzystwa. Wręcz jedną z głównych atrakcji długoterminowego pobytu w Cincinnati było dla Liz odnowienie przyjaźni z Charlotte i odkrycie, że towarzystwo tej dorosłej już kobiety sprawia jej nie mniejszą rozkosz niż towarzystwo niegdysiejszej dziewczyny. Tylko półzartobliwie

zastanawiały się, czy są ostatnimi singielkami ich licealnej klasy, chociaż Liz nie była pewna, czy Charlotte aby nie cierpi dotkliwiej z powodu tego wyróżnienia – mieszkała w Cincinnati, więc matce z bliska łatwiej było ją nękać; nie miała bufora w postaci starszej siostry, która rzekomo jeszcze bardziej spóźniała się z zamęściem; chciała urodzić dzieci i nie miała sekretnego kochanka.

– W telewizji Chip wydawał się wyższy, prawda? – zagaiła Charlotte. – Ale zdecydowanie jest słodki. Tamten facet z dekoltem w serek, Keith, to też nowy lekarz na SOR-ze – wspomniany mężczyzna był czarny, jako jedyna osoba na przyjęciu – a kobieta w sukience w paski jest internistką. Mężczyzna obok to jej mąż, a ten berbec to ich dziecko. – Oprócz tych osób wśród gości znalazła się atrakcyjna blondynka, której Liz nie знаła, i dwie starsze pary, które spotkała już na noworocznym przyjęciu u Lucasów. Obaj panowie też byli lekarzami w Christ Hospital.

– Keith jest singlem? – spytała Liz. – Bo jeśli tak, Jane, to masz tu naprawdę w czym wybierać.

– Przypomnę wam – odezwał się pan Bennet, który w pobliskim barku właśnie beztrąsko zaopatrzył się w dżin z tonikiem – że nie przyglądacie się tym dżentelmenom przez lustro fenickie. – Podniósł rękę, a doktor Lucas pozdrowił go w ten sam sposób.

– Nie sądzę, by czytali z ruchu warg – odparła Liz.

Jane odwróciła się do Charlotte.

– Ta blondynka jest lekarką?

– To Caroline Bingley, siostra Chipa. Mieszka w Los Angeles, ale pomaga mu się tu zadomowić.

– Chip naprawdę jest przystojny – dodała Jane, a Liz i Charlotte wymieniły rozbawione spojrzenia.

– No to chodźmy, przedstawię was – zaproponowała córka gospodarzy.

## Rozdział 8

Po lawinie powitań i zapoznań Liz zaangażowała się w rozmowę z Keithem, który był sympatyczny i – jak się szybko dowiedziała – zaręczony z kobietą kończącą rezydenturę w San Diego. Zanim ugrillowano piersi kurczaka, podano sałatkę ziemniaczaną, coleslaw i bułki, omówili kwestię klimatu San Diego, klimatu Cincinnati i słynnego chili z Cincinnati, którego Keith jeszcze nie próbował. Kiedy przeszli do jego zainteresowania golfem, Liz z radością zauważyła, że Jane najwyraźniej pograżyła się już w rozmowie z Chipem Bingleyem. Prowadzili ją nieprzerwanie, od momentu gdy zaopatrzyli się w strawę i usiedli obok siebie na murku. Po pewnym czasie dołączyła do nich siostra Chipa, Caroline.

Liz przygotowała dla siebie talerz z jedzeniem i podeszła do czteroosobowego stolika na patio, przy którym siedział Fitzwilliam Darcy wraz z mężem internistki i jednym ze starszych lekarzy. Ci dwaj ostatni dyskutowali o tym, jak Redsi sobie radzą w tym sezonie. Liz, zwracając się do Fitzwilliam Darcy'ego (czy też, napomniała się, do Darcy'ego po prostu), spytała, wskazując puste krzesło:

– Zajęte?

– Tak – odrzekł Darcy. Nie złagodził odmowy żadnymi przeprosinami, więc Liz uznała, że została źle zrozumiana. Musiał pomyśleć, że ona pyta, czy jest wolne.

– Pytałam, czy jest zajęte.

– Tak – odrzekł, równie nieprzyjemnie. – Jest zajęte.

Choć Charlotte ostrzegała, że Darcy jest opryskliwy, jego zachowanie tak zbiło Liz z tropu, że kusilo ją, by powiedzieć: „Proszę wybaczyć, ubzdurałam sobie, że jestem godna zasiadania przy pańskim stoliku”. Owszem, studiował na Harvardzie, owszem, był neurochirurgiem – ale to wszystko nie dawało mu prawa do grubiaństwa. Zanim się oddaliła, uśmiechnęła się do niego zdecydowanie fałszywie.

Wyśledziwszy w pobliżu Kitty i Lydię, podeszła do nich i przycupnęła na miękkim podnóżku przy kolanach Kitty. Młodsze siostry debatowały, o której godzinie najlepiej stawić się na następnej imprezie, wydawanej przez właściciela ich siłowni CrossFit.

– Nie robisz się aby ociążała od węglowodanów? – spytała Lydia, wskazując bułkę na talerzu Liz.

– Wszystko, byle z umiarem – odrzekła. Entuzjazm sióstr dla crossfitu i diety paleo denerwował ją z wielu powodów, również dlatego, że sama знаła jedno i drugie od dawna, dłużej niż one, ponieważ pisała artykuł o crossficie w 2007 roku. Irytujący był również fakt, że siostry wyglądały fantastycznie. Zawsze były atrakcyjne, ale odkąd uprawiały crossfit, dosłownie emanowały energią i siłą.

Zanim w kieszeni Liz zawibrował telefon, zdążyła prawie wszystko zjeść i jeszcze bardziej czuła się obrażona afromentem Darcy’ego, ponieważ przez ten cały czas krzesło obok niego stało puste. Skorzystała z okazji, by wejść do domu, zmyć w kuchni z rąk sos barbecue i przeczytać esemes.

*Największy rozpiardol wszech czasów w Southampton – donosił Jasper. Odpisała: Trzymaj się. Kiedy fajerwerki?*

*Diabli wiedzą, ale nic świetlistością nie dorównuje Tobie.*

*Masz na myśli światłość mojego umysłu czy naklejki na cycki z cekinami? Odjazd.*

Stojąc tuż za siatkowymi drzwiami, ze wzrokiem utkwionym w telefonie, Liz stopniowo uświadamiała sobie, że na zewnątrz toczy się rozmowa; skupiwszy się na kilka sekund, zorientowała się, że rozmawiają Chip Bingley i Fitzwilliam Darcy.

– ...o wiele lepiej, niż się spodziewałem. – To był głos Chipa. – Gdy mówiłem ludziom, że przenoszę się do Cincinnati, wręcz składali mi kondolencje, ale nie jest tak źle.

– Bo przez ostatnią godzinę rozmawiałeś z jedyną atrakcyjną kobietą na przyjęciu – odrzekł jego przyjaciel. – Jedyną, nie licząc twojej siostry, oczywiście. – Liz usłyszała grzechot kostek lodu, a Darcy dodał: – Na pewno się starają, ale Cincinnati jest boleśnie prowincjonalne. – Liz się uśmiechnęła. Z jakąś dziwną satysfakcją utwierdziła się w przekonaniu, że Darcy to prawdziwy snob.

– Spędziłeś tu rok – powiedział Chip pogodnie – i nie poznałeś żadnej mieszkanki Ohio, która by sprostała twoim rygorystycznym standardom?

– Samo wyrażenie „mieszkanka Ohio” jest zaprzeczeniem jakiegokolwiek pokusy.

Chip zachichotał.

– Ktoś wspomniał, że Liz, siostra Jane, też jest singielką.

– Pewnie zachowałbym się niehonorowo, mówiąc, że nie dziwota.

Liz rozdziawiła usta. Nagle podsłuchiwanie straciło na atrakcyjności. Za kogo ten człowiek się uważał? I co konkretnie miał do niej? Gdy ich sobie przedstawiano, wymienili ledwie parę słów.

– Oto czego się nauczyłem o ludziach w tym mieście – mówił Darcy. – Oceniają kobiety miejscową miarą. Jeśli o którejś się mówi, że jest „wyrafinowana”, to znaczy, że za czasów college’u raz była w Paryżu, jeśli „piękna”, to znaczy, że ma siedem kilo nadwagi, a nie dwadzieścia. I mają obsesję na punkcie swatania. Zachowują się tak, jakby wyświadczali ci przysługę, werbując cię na kawę z nauczycielką z podstawówki z ich parafii, gdy ty w tygodniu masz wolne marne dwie godziny. Straciłem rachubę, ile żon moich kolegów próbowało mnie umówić. A ty byłeś w telewizji, więc już ostrzą sobie na ciebie zęby.

– Wiesz co? – rzucił Chip. – Stawiam sobie za punkt honoru zapewnić ci życie towarzyskie w Cincinnati, i nie próbuj mi wmawiać, że to oksymoron. Jeśli dysponujesz tylko dwiema godzinami w tygodniu, niech to będą dwie świetne godziny. – Serdeczny ton według Liz nie przynosił Chipowi chluby. Najwyraźniej ani myślał bronić Bennetówny przed oszczerstwami Darcy’ego, a co gorsza, w ogóle nie przyszło mu do głowy, że słowa przyjaciela mogły być obraźliwe.

– Dobrze, że ci się tu dziś podoba – podjął Darcy. – Wcale nie kpię. Ale ciekaw jestem, jakie będziesz miał zdanie za rok.

Chip zaczął coś mówić, a Liz otworzyła drzwi siatkowe i przesadnie przyjaznym tonem zawołała:

– Cześć! – Popatrzyła na Chipa, potem na Darcy’ego, temu ostatniemu spojrzała nawet prosto w oczy. I wytrzymała jego wzrok. – Właśnie byłam w środku i zastanawiałam się, jaką przyznałabym sobie ocenę. Pewnie by to była piątka z plusem, ale słyszałam, że tu oceniamy miejscową miarą, więc dla reszty kraju... hm, zasłużyłabym raczej na czwórkę? Albo może czwórkę z minusem? Jeśli macie czas, żeby to przeanalizować, z niecierpliwością wypatruję odpowiedzi.

Nie czekając na ich reakcję, oddaliła się, by jak najszybciej i jak

najefektywniej rozgłosić uwagi Darcy'ego.

## Rozdział 9

Następnego ranka Liz i Jane poszły jak zwykle pobiegać i właśnie mijaly Edwards Road, gdy Jane powiedziała:

– Jak już poszłyśmy spać, Chip przysłał esemes, czy chcę jutro pójść na kolację.

– Już przysłał esemes? Na kolację? W sobotę wieczorem? Jane, on stracił dla ciebie głowę.

– Sama nie wiem...

– Czego nie wiesz? Jak wychodziliśmy od Lucasów, trzeba było was wręcz odrywać od siebie.

– Jest rzeczywiście uroczy – przyznała Jane. – I atrakcyjny. Ale cała ta sytuacja wydaje się taka wymuszona. On był w telewizji, mama zainicjowała nasze spotkanie. Czy to nie wygląda śmiesznie?

– Nie mam cienia wątpliwości, odrobinki nawet, że prędzej czy później spotkasz mężczyznę swoich marzeń. Jeśli jakimś zrzędzeniem losu będzie to ktoś, kogo naraiła ci mama, no to cóż... nawet zepsuty zegar dwa razy na dobę wskazuje dobrą godzinę.

– Odkąd zaczęłam z całym tym sztucznym zapłodnieniem, nie poznałam nikogo, z kim chciałabym się związać, i dzięki temu moje życie jest prostsze – odrzekła Jane. – Bo co bym powiedziała na randce? „Podobasz mi się, ale wiesz, co miesiąc daję sobie wstrzykiwać do macicy nasienie obcego faceta; mam nadzieję, że to nie stanie nam na drodze”?

– Nie wybiegaj tak daleko w przyszłość. Idź z nim na tę kolację, i tyle. – A gdy Jane milczała, Liz dodała: – Widzę, że coś cię męczy. O co chodzi?

– Wiem, że nie powinnam wyolbrzymiać tej jednej randki – odparła Jane – ale nie mogę się powstrzymać od wyliczeń. Jeśli zaczniemy ze sobą chodzić i będziemy tak chodzić przez trzy miesiące albo pół roku, albo półtora, a potem zerwiemy? Będę miała już czterdzieści lat, może nawet czterdzieści jeden.

– Tu, w Cincinnati, nie podejmujesz prób sztucznego zapłodnienia, prawda? – Liz spojrzała na Jane, a ta skinęła głową.

– Zaczynanie całej tej procedury w nowej klinice jest zbyt skomplikowane – odpowiedziała.

– W takim razie daj Chipowi szansę na czas pobytu w Cincinnati. Taka wakacyjna przygoda. Spodobał ci się przecież.

Mijały Corbin Drive, gdy Jane wyszeptała, tak cicho, że Liz ledwie ją usłyszała:

– To prawda. Bardzo mi się spodobał.



## Rozdział 10

– Nie do końca się orientuję, w który dzień przychodzi Mervetta – zaczęła Liz Mary. – Bo w domu robi się obrzydliwie. – Od jej dzieciństwa Mervetta niezmiennie dwa razy w miesiącu sprzątała toalety Bennetów, odkurzała dywany i zmieniała pościel. Gdy Liz miała dziesięć lat, powiedziała jej pewnego dnia, że Bennetowie to jedyni znani jej biali, którzy jedzą mamałygę.

Mary, sądząc z miny, poczuła się niezręcznie, a jednocześnie coś ją ubawiło. Jakby Liz rzuciła jakiś obraźliwy dowcip, który mimowolnie ją rozśmieszył.

– Mervetta nie żyje – odrzekła.

– O Boże! Nikt mi nie powiedział.

– Może dlatego, że wcześniej mama ją zwolniła. Przyłapała ją, jak siedziała na łóżku Lydii i oglądała telewizję.

Liz się skrzywiła.

– Więc kto teraz sprząta dom?

– Nikt – odparła Mary, wzruszając ramionami.

Stały w kuchni, Liz właśnie wróciła z lunchu z Charlotte Lucas.

– Ktoś poszedł na pogrzeb Mervetty? – spytała.

Mary raz jeszcze wzruszyła ramionami.

– Ja nie.

## Rozdział 11

– Wasza matka właśnie podzieliła się ze mną tragicznymi wieściami na temat kuzyna Williego – oznajmił pan Bennet, gdy rodzina zebrała się na kolację. – Otóż przyjeżdża z wizytą.

– Fred, no naprawdę... – skarciła go małżonka.

– Tato, to okropne tak nas nabierać – dodała Jane.

Pan Bennet uśmiechnął się, jakby go podwójnie skomplementowano.

– Jak wiecie, moja siostra przylatuje w przyszłym tygodniu, żeby sprawdzić, czy jeszcze oddycham, a gdyby się okazało, że nie, to żeby wziąć w posiadanie srebra naszej matki. Z powodów, które są dla mnie niejasne, pasierb postanowił jej towarzyszyć.

Liz przełknęła łyżkę gazpacho przygotowanego przez Jane.

– Wiem, że mi nie uwierzycie – rzuciła – ale kuzyn Willie to naprawdę gruba ryba.

– I gdybym cierpiał na bezsenność – odrzekł pan Bennet – nadzwyczaj chętnie usłyszałbym od niego, jak do tego doszło.

– Może on nam powie, dlaczego internet w domu jest taki wolny – wtrąciła Kitty.

– Albo nauczy mamę, jak używać komórki – podsunęła Lydia.

– Jego start-upy zarobiły miliony dolarów – ciągnęła Liz.

– Ale on nie umie sam włożyć spodni – dodał pan Bennet.

– To było w osiemdziesiątym szóstym roku, tato – zaoponowała Jane.

Bo rzeczywiście – latem, zanim Jane zaczęła szóstą klasę, Bennetowie ruszyli do Kalifornii z wizytą do siostry pana Benneta, Margo, by poznać mężczyznę, z którym właśnie się zaręczyła, wdowca z trzyletnim synem. Ktoś (zarówno pan Bennet, jak i jego małżonka żarliwie wypierali się tej odpowiedzialności) uznał, że dla hecy należy wybrać się w tę podróż samochodem. Tak więc rodzina Bennetów wyruszyła z Cincinnati swoim minivanem i pokonywała po jakieś osiemset kilometrów przez pięć dni

z rzędu. Jane miała wówczas dwanaście lat, Liz jedenaście, Mary trzy, Kitty była w brzuchu, a Lydia nie została jeszcze poczęta. Liz zapamiętała podróż jako rozmytą masę przesuających się za oknem wzniesień, które przechodziły w płaskie prairie, płaskie prairie przeobrażały się w rozległe rancza, a rancza – w porośniętą karłowatymi krzakami pustynię. Z Utah, gdzie zajechali, by zobaczyć rejon czerwonych skał, uciekali z powodu narastających napięć rodzinnych; na tylnej kanapie minivana dziewczynki ciągnęły się za włosy, puszczały bąki, Mary wrzeszczała, rozprasząc Liz nade wszystko pragnącą dokończyć pretensjonalny romans, w którym tajemniczy samotny Czejen wsuwał palce w najintymniejszą świątynię młodej brytyjskiej dziedziczki, jadąc z nią na jednym rumaku. Bez reszty zniewolona historią Colta i Jocelyn, Liz całkowicie zignorowała wzmagające się mdłości, które ostatecznie upomniały się o należny im respekt, aż krzyknęła: „Będę rzygać!”, po czym – osiemdziesiąt kilometrów na północny wschód od Sacramento – zwróciła na Mary kanapkę z jajkiem, placki ziemniaczane i keczup. Liz czasami się zastanawiała, czy jej relacja z Mary po tym wydarzeniu kiedykolwiek wróciła do normy. Jeśli nie, to naprawdę się siostrze nie dziwiła.

Gdy Bennetowie dotarli na podjazd domu należącego do nowego narzeczonego ciotki Margo w Sausalito, minivan ginął pod górą opakowań po jedzeniu, skarpetek i książek Mad Libs i nie tylko cuchnął wymiotami, lecz także wydawał niewytłumaczalne skrzypienie z prawej tylnej strony podwozia. Bennetowie wylali się z samochodu i ruszyli ceglana ścieżką do zadbanego pawilonu, ale zanim zdążyli użyć dzwonka, drzwi wejściowe się otworzyły i stanął przed nimi nieduży rudy chłopiec, kompletnie nagi.

– Tato! – krzyknął. – Już są! – Ciało miał alabastrowe, penis maleńki i zwłaszcza dla Mary niewiarygodny.

– Dziewczęta, nie patrzcie! – krzyknęła pani Bennet, wywołując u starszych córek napad chichotu. To był kuzyn Willie. Kuzyn Willie i jego ptaszek.

Od tamtego czasu Bennetowie i Collinsowie widywali się sporadycznie. W pewnym momencie stało się oczywiste, że kuzyn Willy jest technologicznym geniuszem. W wieku trzynastu lat sam nauczył się kodowania, w wieku piętnastu zaczął doradzać miejscowym firmom, jak ulepszyć swój wizerunek w internecie, i porzucił Uniwersytet Kalifornijski na drugim roku, gdy sprzedał firmę, która opracowała opatentowany format do

transmisji danych pomiędzy serwerami a aplikacjami webowymi – Bennetowie z tej firmy nie rozumieli absolutnie nic – za podobno dwadzieścia milionów dolarów. Teraz, jako trzydziestolatek, Willie prowadził trzeci czy czwarty start-up software’owy. A jednak wszyscy Bennetowie z wyjątkiem Liz i jej matki uparcie widzieli w nim gołego trzylatka. Panią Bennet ewidentnie intrygowały jego pieniądze i kiedyś wypytywała Liz dociekliwie, w jakiej postaci dostał wynagrodzenie za swoją pierwszą firmę, na które to pytanie Liz nie знаła odpowiedzi. A sama Liz parę lat temu wpadła na Williego na konferencji technologicznej w Las Vegas, w której brała udział jako dziennikarka, i zjadła z nim zaskakująco miły lunch. Chociaż rozmowa zasadniczo sprowadziła się do monologu kuzyna, był to monolog interesujący. I to właśnie Willie powiedział jej o Twitterze.

Przy obiedzie pan Bennet rzekł:

– Jane, ty pewnie będziesz zajęta Chipem Bingleyem, ale Liz może zabawiać kuzyna Williego.

– Dlaczego Jane ma być zajęta Chipem Bingleyem? – spytała Kitty.

– Jedzą jutro kolację w Orchids – odpowiedziała pani Bennet ukontentowana.

– Mamo – odezwała się niepewnie Jane – chyba nie czytałaś moich esemesów, prawda?

– Mama nie umiałaby tego zrobić – odparła ubawiona Lydia.

Pani Bennet nie dała się zbić z pantafiku.

– Helen Lucas coś wspomniała.

Jane ściągnęła brwi, co w jej wypadku wyrażało prawdziwą złość.

– A skąd wie pani Lucas?

Liz odchrząknęła.

– Chyba ja powiedziałam Charlotte. Ale tylko mimochodem.

– Niewykluczone, że po tej sobocie nigdy się już z Chipem nie umówimy. – Jane aż zapłonęły policzki. – Więc bardzo was proszę, czy moglibyście nie robić z tego wielkiego halo? Mamo, mam mnóstwo czasu, który mogę spędzić z kuzynem Williem.

– Jane – odparła pani Bennet – to oczywiste, że Chip uznał cię za niezwykle czarującą. I słusznie. Ale będziesz musiała go spytać, dlaczego nie otworzył prywatnej praktyki. Pracując na SOR-ze, musi oglądać wielu nieatrakcyjnych ludzi.

– Tak się zastanawiam – wtrąciła Liz, która poczuła się odpowiedzialna za rozdrażnienie siostry – czy Willie byłby zainteresowany wizytą we Freedom Center.

– Jak pewnie wszyscy pamiętacie, ja mam egzamin pod koniec przyszłego tygodnia – powiedziała Mary. – Nie będę miała dużo czasu ani dla kuzyna Williego, ani dla cioci Margo.

– To druzgocące – skomentowała Lydia. – Chyba już nigdy się po tym nie pozbierają.

– A ja nie mogę się ich doczekać – wtrąciła Jane.

– Podobnie jak my wszyscy – podsumował pan Bennet.

## Rozdział 12

Po obiedzie Liz podążyła za zapachem lakieru do paznokci i okazało się, że jego źródłem jest – żadna niespodzianka – Kitty; siedziała na blacie w łazience, z której korzystała na spółkę z Lydią, przy otwartych drzwiach, i złotymi kropkami malowała zaiste imponujący wzorek na paznokciach stóp pokrytych kremową emalią.

Liz włączyła wiatrak pod sufitem.

– Wiesz, że tata sypia w gabinecie? – spytała. – Chodzi o tę kwestię żydowską?

– Może – odparła Kitty, nie podnosząc wzroku.

– Naprawdę tak myślisz?

Kitty w końcu spojrzała na siostrę.

– Spytaj rodziców.

Tego Liz nie zamierzała robić. Dwie wielkie i powiązane ze sobą pasje pana Benneta to genealogia i historia – gdy mógł sam prowadzić, wiele razy wyjeżdżał po południu do archiwów biblioteki Mercantile w śródmieściu – i jakieś dziesięć lat temu któregoś dnia oznajmił z zadowoleniem, że babcia pani Bennet ze strony matki była Żydówką. Rzeczywiście, przed zamążpójściem Ida Conner nazywała się Rosenbluth. Chociaż pani Bennet nie była jawną antysemitką, chętnie wygłaszała opinie na temat wyznawców niemal wszystkich religii i przedstawicieli mniejszości etnicznych, co było często krępujące dla jej słuchaczy. „Żydzi bardzo lubią suszone owoce” – mówiła przy niejednej okazji do Liz, a gdy ta była w piątej klasie, matka nie chciała jej kupić sukienki, która miała czarny stan wyszywany cekinami i czarną aksamitną spódniczkę. Twierdziła, że wygląda zbyt żydowsko.

Nic dziwnego, że pani Bennet z umiarkowanym entuzjazmem przyjęła odkrycie męża dotyczące jej pochodzenia. Już i tak urażona, musiała znosić zniewagi, gdy Lydia i Kitty zaczęły mówić o niej „Żydówka” zarówno w jej obecności, jak i pod jej nieobecność. Lydia wręcz doprowadziła raz matkę do

płaczu, zalecając jej spóznioną bat micwę. Te żarty z czasem straciły na sile, pewnie wyparte przez zadręczanie Mary sugestiami co do jej orientacji seksualnej. Liz nie wykluczała jednak, że konsekwencje genealogicznej rewelacji dawały o sobie znać do dziś.

– Nie sądzisz, że rodzice się kiedyś rozwiodą? – spytała malującą paznokcie siostrę. Nie zadała natomiast o wiele ważniejszego pytania: „A myślisz, że powinni?”.

– Nie chciałoby im się – prychnęła drwiąco Kitty.

## Rozdział 13

W sobotni wieczór, czekając na Chipa Bingleya, Jane stała przed lustrem wiszącym nad komodą Liz i nakładała róż. W pewnym momencie podniosła wzrok na siostrę i spytała:

– Powinnam obejrzeć ten jego sezon *Dobrej partii*? Są jakieś rzeczy, które wszyscy o nim wiedzą, tylko ja nie mam pojęcia?

Liz usiadła przy biurku, gdzie zamierzała spędzić następne kilka godzin, pracując – rodzice udali się do Country Clubu na obiad z sąsiadami, Lydia i Kitty wychodziły, Mary zamknęła się w swoim pokoju – choć zdążyła już trafić, przypadkowo i ku swemu przerażeniu, na stronę z kanibalistycznymi lemurami. Jeśli wziąć pod uwagę, że zbierała materiały do artykułu do „Mascary” o tym, jak prosić o podwyżkę, trudno było doprawdy wyjaśnić, co naprowadziło ją na taki trop.

Odsunęła krzesło i położyła nogi na skraju biurka, czyli zrobiła dokładnie to, przeciwko czemu matka protestowała przez ostatnie trzydzieści lat.

– Powiedziałaś mu u Lucasów, że nie oglądałaś ani jednego odcinka? – spytała.

Jane skinęła głową.

– Więc to może przemawiać na twoją korzyść. Wszedł na porządnego faceta, zapewniam cię. Owszem, migdalił się na wizji, ale nie był obleśny.

– Mówił, że pacjenci proszą go czasami o autograf. – Jane sprawiała wrażenie raczej skąpowanej niż ucieszonej. – Wyobrażasz sobie?

– Jedna tylko rzecz budzi moją niepewność co do niego. Nic wielkiego, no ale... chodzi o ten pomysł, że niby nie chciał iść do *Dobrej partii*, tylko siostra go namówiła. Moim zdaniem to bzdura. Ludzie idą do reality show wyłącznie dlatego, że tego chcą. Czytałam gdzieś, że wszyscy, którzy tam trafiają, mają za cel karierę w Hollywood.

Jane odłożyła róż i odwróciła się do siostry.

– Tak sądzisz?



Liz wzruszyła ramionami.

– Nie on pierwszy, nie ostatni.

– Czy to nie ty mnie zachęcałaś, żebym się z nim dziś umówiła?

– Niewykluczone, że zrobił to dla hecy i pomyślał „Czemu nie?”.

Rozmawiałam z nim i nie powiało od niego egocentryzmem. Po prostu zupełnie nie łykam tej bajeczki.

– Teraz niemal się boję ci to powiedzieć, ale wiesz, że jego siostra Caroline przyjechała tu z Los Angeles na kilka tygodni?

– Widziałam ją u Lucasów, chyba nawet nie zamieniłyśmy słowa.

– Jest jego menadżerką.

– Co to znaczy? – spytała Liz, mrużąc oczy.

– Domyślam się, że od czasu *Dobrej partii* ciągle się do niego zgłaszają z propozycją reklamy jakiegoś produktu albo prośbą o udział w imprezie charytatywnej. Ona to ogarnia w jego imieniu.

Liz z ogromnym wysiłkiem skryła niechęć. Na barbecue Caroline Bingley wydała się jej niemal równie odpychająca jak Fitzwilliam Darcy. Gdy rodzeństwo zbierało się już do wyjścia razem z Darcym, Caroline najpierw wyznała Liz, że wciąż zapomina, czy znajduje się w Cleveland, Cincinnati czy Columbus, następnie ponarzekła na tutejszy brak porządnego sushi i zajęć jogi. Liz zastanawiała się, czy powiedzieć jej o studiu Modo Yoga, do którego chodziła Jane, ale uznała, że daruje sobie tę uprzejmość.

Zanim nastał ów moment pożegnań, Liz zdążyła się już podzielić uwagami Darcy’ego z innymi uczestniczkami przyjęcia, przepełniona żywym oburzeniem i oszałamiającym zapałem. Charlotte Lucas się uśmieła, pani Bennet poczuła się głęboko urażona, a Jane zasugerowała, że Darcy, świadom obecności podsłuchującej Liz, żartował. Zdaniem Liz siostra zdecydowanie przeceniała Darcy’ego.

Teraz, w ich wspólnym pokoju, Liz zwróciła się do Jane:

– Może tobie i Chipowi zapłacą za pojawienie się razem w jakimś nocnym klubie. To byłoby zabawne.

– No, Lizzy, teraz to wysyłasz sprzeczne komunikaty.

Siostra się uśmiechnęła.

– I tak mocno się powstrzymuję. Przepraszam – dodała po chwili. – Baw się dzisiaj dobrze i zapomnij o wszystkim, co powiedziałam.

## Rozdział 14

Liz nadal siedziała przy biurku, chociaż teraz już pracowała – czytając mowę wygłoszoną przez Kathy de Bourgh na uroczystości wręczenia dyplomów; miała nadzieję przeprowadzić z tą znaną feministką wywiad do artykułu o podwyżkach – gdy do pokoju weszła Lydia.

– Widziałaś mój telefon? – spytała.

Liz pokręciła głową.

– Kurwa. Muszę wysłać Hamowi esemes, bo nie pamiętam, na którą się umówiliśmy, ale jego numer mam tylko w moim telefonie.

– Kim jest Ham?

– Ham Ryan.

– Powinam wiedzieć, kto to jest? – pytała Liz.

– Do niego należy box, do którego idziemy.

Ku irytacji Liz terminu „box” crossfitowcy używali na określenie swojej sali treningowej.

– To twój chłopak?

Na twarzy Lydii odmalowała się pogarda.

– Czy ze sobą chodzimy? – spytała kąśliwie. – Myślisz, że da mi ponosić swoją bluzę sportową?

– Przepraszam, że ośmieliłam się podjąć rozmowę, skoro już weszłaś do mojego pokoju.

– Masz pająka na ścianie.

Przez chwilę Liz się zastanawiała, czy to jakaś zaszyfrowana obelga używana przez milenialsów, ale odwróciwszy się, ujrzała prawdziwego pająka, brązowego, wielkości ćwierćdolarówki. Wstała i sięgnęła po sandał, a gdy grzmotnęła w ścianę, odpadł z niej wielki kawał farby.

– Ohyda – powiedziała Lydia. – Daj mi znać, jeśli znajdziesz mój telefon.

Jeszcze nie zdążyła wyjść z pokoju, a Liz otworzyła nowe okno w przeglądarce i wpisała „Ham Ryan crossfit Cincinnati”.

Był przystojny, oczywiście: krótkie jasnobrązowe włosy wystylizowane za pomocą odpowiedniego produktu w jakieś połyskujące kolce, a także niebieskie oczy i starannie wypielęgnowana kozia bródka. Wyglądało na to, że nazywa się Hamilton i przybył z Seattle.

Liz niewiele obchodził crossfit czy miłości Lydii (zmieniały się tak często, że nie poświęcano im zbyt wielkiej uwagi), podczas gdy mowa Kathy de Bourgh naprawdę ją zainteresowała. A jednak następne czterdzieści minut spędziła na zwiedzaniu zakamarków strony internetowej boxu Hama Ryana i ostatecznie dałaby się nawet skusić na wypróbowanie przepisu na ciasteczka krabowe paleo, gdyby nie to, że wzbudziłaby tym niezadowolenie swoich sióstr.

## Rozdział 15

Okolo północy, kiedy Liz wyłączała komputer, usłyszała, że ktoś wchodzi na drugie piętro. O dziwo, nie była to Jane, lecz Mary.

– Spójrz. – Podała Liz swój telefon.

Na niewielkim ekranie było widać materiał z portalu plotkarskiego, który Liz uznałaby za atrakcyjny raczej dla Kitty i Lydii niż dla Mary. Tytuł głosił: *Czy Kawaler z Dobrej partii omal nie wyleciał z Harvard Medical School?*. Poniżej widniało zdjęcie Chipa Bingleya w smokingu, jak stuka się kieliszkiem szampana z jedną z urodziwych finalistek show. Liz przebiegła wzrokiem podpis pod fotografią, który liczył raptem kilkanaście słów: „Dawni koledzy ze studiów mówią, że Bingley słynął raczej z wyczynowej jazdy na rowerze niż z zamięłowania do podręczników”, po czym oddała telefon.

– No i? – spytała. – Egzaminy końcowe najwyraźniej zdał.

– Gdybyś odcięła sobie palec, chciałabyś, żeby on ci go przyszył?

– Nawet jeśli nie był prymusem, nie znaczy to jeszcze, że jest niekompetentny.

Mary z powątpiewaniem podniosła brew.

– Wiedziałałam, że to podejrzane: gość kończy Harvard Medical School, a ląduje na SOR-ze w Cincinnati. Innej pracy nie mógł pewnie znaleźć.

Był to dość arogancki osąd w ustach kogoś, kto nigdy w życiu nigdzie nie pracował.

– Nikomu tego nie pokazuj – powiedziała Liz. – Nawet jeśli to prawda, to bez znaczenia.

## Rozdział 16

O piątej trzydzieści nad ranem Liz się obudziła – to Jane kładła się do swojego łóżka.

– Aj! – wymamrotała Liz. – Randka się chyba udała.

– Och, Lizzy. Chip jest cudowny.

## Rozdział 17

Po kolacji w Orchids Jane i Chip przenieśli się do Bakersfield na drinka. (Liz dowiedziała się tego wszystkiego dopiero po południu, ponieważ Jane nie tylko przespała ich poranny jogging, ale też mszę na jedenastą w Kościele Prezbiteriańskim Knox, na którą Mary z matką chodziły co niedzielę, Liz i Jane – podczas pobytu w mieście, a pozostali Bennetowie się jej wystrzegali z wyjątkiem Bożego Narodzenia). Po drinkach („Naprawdę piłaś czy dbałaś o przyjazne środowisko maciczne?” – spytała Liz, a siostra uściśliła, że wypła kieliszek wina do kolacji i drugi przy barze) Jane i Chip udali się do jego mieszkania w Oakley, gdzie mieli okazję przekonać się, że jako para są dopasowani pod każdym względem.

– Myślisz, że jestem szmatą? – spytała Jane.

– Masz trzydzieści dziewięć lat. Powinnaś robić, co chcesz. A obecność jego siostry ci nie przeszkadzała?

Najstarsza Bennetówna pokręciła głową.

– Ona ma pokój po drugiej stronie mieszkania. – Jane jeszcze leżała w łóżku, gdy relacjonowała te wydarzenia. – W ogóle nie czuliśmy się sobą skrępowani – dodała – a żadne z nas nie było pijane. Naprawdę mi się podoba. Mam... mam takie poczucie... Już dawno tego nie doświadczyłam. I to w zasadzie zupełnie nie wiąże się z tym, że on jest taki przystojny. Jest przystojny, owszem, ale po prostu dobrze się przy nim czułam, tak swobodnie. Jest miły i zupełnie nieskupiony na sobie. Nie sądzę, by zamierzał zostać aktorem. Mówił, że producenci *Dobrej partii* ostatnio się z nim skontaktowali, żeby ponownie wystąpił w programie, ale odmówił.

– Więc się myliłam.

– Wstydział się też, że słyszałaś jego rozmowę z Darcym u Lucasów. Chciał, żebym ci powiedziała, że bardzo mu przykro i że nie podziela zdania Darcy’ego o Cincinnati.

Liz się uśmiechnęła.

- W każdym razie jeśli chodzi o tutejsze kobiety. To raczej oczywiste.
- Nie, nie w tym rzecz. – Jane mówiła z poważną miną. – Według Chipa Darcy może być obcesowy, ale to naprawdę porządny człowiek i chirurg światowej klasy.
- Ma również światowej klasy ego. Ostrzegam, że mama na dole już prawie wychodzi z siebie. Wie, że późno wróciłaś.
- Ale nie powiedziałaś jej, jak późno, prawda?
- Nie, nie mogę ci jednak zagwarantować, że nie podglądała przez okno, jak Chip cię podwoził.
- To zabawne, nie? Pomyśl tylko, jak bardzo by mi się oberwało, gdybym za czasów liceum wróciła do domu o piątej nad ranem. A wystarczy odczekać dwadzieścia lat i mama jest zachwycona.

## Rozdział 18

– Mam pytanie, którego nie musisz powtarzać żadnej ze swoich sióstr – oznajmił pan Bennet. Siedział z Liz w gabinecie ortopedy, czekając na zdjęcie gipsu z ręki.

Wcześniej Jane powiedziała siostrze, że nie zdierży tego zadania. „Obawiam się, że zwymiotuję” – wyjaśniła. „Przez piłę?” – spytała Liz, a Jane pokręciła głową i odparła: „Przez zapach”.

– To z Mary... że jest homoseksualna... – ciągnął pan Bennet. – Myślisz, że to prawda?

– Dlaczego pytasz? – Liz nie kryła zaskoczenia.

– Twojej matce to by się oczywiście nie podobało. Ale jak to się mówi: nie twoja sprawa, co ludzie robią, dopóki nie robią tego na ulicach i nie straszą koni.

– Rany, tato. Czyżbyś został demokratą?

Ojciec się wzdrygnął.

– Prawie. Ale dokąd Mary wychodzi we wtorki wieczorem?

– Lepiej zapytaj ją. O te wyjścia, nie o to, czy jest lesbijką. No, w sumie o to też możesz ją zapytać, chociaż nie wiem, czy ja bym się odważyła.

Kilka lat temu Liz doszła do wniosku, że jej siostra jest za mało interesująca na lesbijkę. Wszyscy homo, których znała w Nowym Jorku, płci obojga, byli odrobinę bardziej jacyś niż przeciętni – odrobinę bardziej oryginalni, stylowi czy zabawni – chociaż, uświadomiła sobie, może to Nowy Jork, a nie orientacja seksualna, leżał u podstaw ich wyjątkowego powabu.

– Gdyby Mary miała kogoś, kogo obawiałaby się przyprowadzić do nas na kolację, byłby to wstyd, prawda? – mówił dalej pan Bennet. – Jej druga połówka zasługuje na to, by cierpieć tak jak my wszyscy. – Patrzył cały czas na Liz, a ta poczuła niepokój. Czy ojciec mówił o Mary, czy może czynił aluzje do niej i Jaspera?

– Najwyraźniej ma swoje powody – odparła. – Dopiero co sam



powiedziałaś, że mama byłaby przerażona.

– Wasza matka jest przerażona średnio kilka razy dziennie.

– Teraz mama przynajmniej może pokładać nadzieje w Chipie Bingleyu.

Wiesz, że wczoraj Jane znowu się z nim umówiła? Poszli do kina.

Pan Bennet nie zdążył odpowiedzieć, bo drzwi gabinetu się otworzyły i stanął w nich pielęgniarz w morskoniebieskim uniformie. W ręku trzymał plastikową piłę z tarczą zębatą. Całe ustrojstwo było nie większe od elektrycznej szczoteczki do zębów.

– Fred! – powiedział, chociaż nigdy ich sobie nie przedstawiono. – Jak się dziś czujemy?

Pan Bennet odczytał treść plakietki na piersi mężczyzny i odrzekł z udawanym entuzjazmem:

– Bernard! Właśnie opłakujemy upadek dobrych manier i nastanie dyskursu nadmiernej poufałości. A co u ciebie?

## Rozdział 19

– Pamiętasz Allena Bauscha? – spytała pani Bennet, gdy jej córka usiadła samotnie do stołu kuchennego, żeby zjeść lunch.

Liz spojrzała na matkę z ciekawością.

– To ten, z którym Mary poszła na bal maturalny?

– Powinnaś poszukać go w komputerze i wysłać mu wiadomość od Mary. Teraz dużo się dzieje takich rzeczy. Pary znajdują się dzięki komputerom, chociaż dawno temu straciły ze sobą kontakt, i biorą ślub.

– On pewnie już się z kimś ożenił.

– Nie. Jego ciotka należy do Ligi Kobiet.

– Tak czy owak, dlaczego ja mam go szukać? Czy to nie Mary powinna to zrobić?

– Ona jest taka uparta.

– A Mary i Allen w ogóle byli parą? Mogli przecież pójść na bal jako koledzy.

– On jest prawnikiem w Atlancie i aktywnie działa w swojej wspólnocie parafialnej – odrzekła pani Bennet. – Jeśli pod takim opisem nie kryje się mężczyzna poszukujący żony, to ja już w ogóle nie znam życia.

## Rozdział 20

Charlotte Lucas zadzwoniła do Liz w środku tygodnia.

– Organizuję w piątek wieczór kalamburów. Możesz przyjść? I czy zechcesz przekazać zaproszenie swoim siostrom?

– Pamiętasz, że Lydia oszukuje?

– A da się oszukiwać w kalambury?

– Och, ona na pewno znajdzie sposób – zapewniła Liz. – Wydaje mi się, że Jane w piątek znowu wychodzi z Chipem, po raz trzeci, wyobrażasz sobie? Ale ja na pewno przyjdę i postaram się zagonić Mary albo Kitty.

– To niech Jane przyprowadzi Chipa. Czy może sama powinnam go zaprosić?

Liz się zawahała. Z jednej strony kusila ją okazja, żeby popatrzeć na siostrę z Chipem Bingleyem. Z drugiej strony, jeśli weźmie on udział w wieczorze kalamburów, może przyprowadzić swoją siostrę albo, co gorsza, Fitzwilliamą Darcy'ego. Ale jakie ona ma prawo kogokolwiek wyłączać?

– Jasne – powiedziała do Charlotte. – Zadzwoń do Chipa.

## Rozdział 21

Wieści o Mervetcie tak przygnębiły i zażenowały Liz, że szukając nowych sprzątaczy, wybierała agencje, które przysyłały zmieniające się kilkuosobowe ekipy, a nie konkretnego stałego pracownika, który mógłby wejść w zatarg z panią Bennet.

Trzymając w dłoni szacunki odnośnie do kosztów sprzątnięcia domu i utrzymania obejścia, zapukała do gabinetu ojca. Gdy zawołał: „Nikogo tu nie ma”, otworzyła drzwi.

Biurko, za którym pan Bennet siedział, stało przodem do wejścia, tak że Liz widziała tył monitora. Oprócz tego komputera gabinet wyglądał jak w chwili, gdy dziadkowie sprzedali synowi dom w 1982 roku za jednego dolara. Tego samego roku sprzedali Margo swój letni dom w Petoskey w Michigan, również za jednego dolara. Wręcz niewykluczone, że gabinet pana Benneta, ze stylowym łóżkiem, brązowymi aksamitnymi zasłonami, biurkiem obitym skórą na blacie (skóra miała ceglany kolor i border z wypukłych złotych liści) i porcelanową lampką z frędzlowanym abażurem, nie zmienił się od czasu, kiedy dziadkowie Liz wprowadzili się do Tudor w 1927 roku.

Jako nastolatka Liz sądziła, że ojciec jest ważnym biznesmenem, inwestorem – co rano jechał do dwupokojowego biura na Hyde Park Square i miał tam sekretarkę, niejaką panią Lupshaw. Dopiero z upływem czasu zdała sobie sprawę, że inwestycje, które nadzoruje, to tylko przedsięwzięcia należące do jego najbliższej rodziny, a co więcej – ten nadzór to cała jego praca. Uświadamiała to sobie tak stopniowo i długo, że dopiero na przedostatnim roku college’u, gdy koleżanka opowiedziała jej o bogatym starszym facecie, z którym się spotykała: „On udaje, że pracuje, ale moim zdaniem to jeden z tych, którzy tylko przesuwiają stosy pieniędzy swojej rodziny”, Liz doznała niemiłego uczucia, że skądś to zna. Dziesięć lat temu, kiedy ojciec przeszedł na emeryturę, z przykrością odnotowała w głowie

okrutną myśl: „Ale chyba zupełnie niezasłużoną”.

Teraz weszła do gabinetu.

– Znalazłam ludzi do sprzątnięcia domu i podwórka – oznajmiła. Zerknęła na trzymany w dłoni notes. – Moim zdaniem najlepiej, żeby przychodzili we dwójkę co dwa tygodnie, chociaż jak się skończy lato, podwórko nie będzie już wymagało tyle zachodu. Pani Bildeier podała mi nazwę firmy sprzątajacej i mówiła, że są świetni.

Ojciec nie odrywał wzroku od ekranu komputera.

– Dom sprząta twoja matka, a ja koszę trawę – rzekł.

– Może teoretycznie. Ale ty nie wróciłeś jeszcze do sił, a mamę pochłania lunch w Lidze Kobiet. – Poprzedniego dnia panu Bennetowi zdjęto gips i teraz prawe ramię miał blade, chude, wymizerowane i pomimo prysznicą ciągle zalatujące zgnilizną, której to woni obawiała się Jane. Gdy Liz spytała doktora Facciana, kiedy ojciec będzie mógł prowadzić samochód, lekarz odrzekł, że za cztery, góra sześć tygodni.

– Dom Nancy Bildeier też nie świeci przykładem – podjął pan Bennet. – Chciałbym tam choć raz zobaczyć jakiś mebel niepokryty psią sierścią.

Liz nie spodziewała się oporu.

– A jeśli ja zapłacę za pierwsze wizyty? – zaproponowała niepewnie. W tej chwili miała trzysta tysięcy dolarów oszczędności, która to suma uspokajała ją w stopniu znacznym w porównaniu do nieistniejących zasobów na czarną godzinę jej sióstr, ale też wydawała się niewytłumaczalnie niska, jeśli wziąć pod uwagę, że Liz zarabiała ponad sto tysięcy rocznie, nie miała nikogo na utrzymaniu, a jedynym przejawem jej rozrzutności było mieszkanie w Nowym Jorku.

– To nie jest dobry użytek dla twoich pieniędzy – rzekł pan Bennet. – Ani dla moich. Odpowiedź brzmi „nie”.

– Ale nie sądzisz, że dom jest w strasznym stanie? Nie mówiąc już o podwórku?

– Wszystko zmierza ku entropii, moja droga – odparł pan Bennet z niezmaconym spokojem. – Drugie prawo termodynamiki.

## Rozdział 22

Ku zaskoczeniu Liz młodsze siostry krzyknęły z uciechy, gdy przy kolacji dowiedziały się o zaproszeniu od Charlotte.

– Wiecie, że skopię wam wszystkim tyłki – powiedziała Lydia.

– Oszukując, oczywiście – odparowała Mary.

– A gdybyśmy były w jednej drużynie? – spytała Liz. – Twoje kopanie tyłków ogranicza się do przeciwników czy stosujesz je na oślep?

– Czy ty nie przepuścisz żadnej okazji do użycia wielkich słów? – odgryzła się Lydia. – Czy też uważasz, że każda peryfrazja podsycą serdeczną atmosferę.

– To było niezłe – odrzekła Liz. – Zwłaszcza jak na kogoś, kto miał tak niski wynik na ustnej części egzaminów na studia.

– Dziewczeta, przestańcie się kłócić – interweniowała pani Bennet. – To nie wypada.

– Inaczej w ogóle by ze sobą nie rozmawiały – zauważył pan Bennet.

– My z Chipem wychodzimy w piątek – oznajmiła Jane. – Gdyby nie to, z radością wzięlibyśmy udział w kalamburach.

– Charlotte zaprasza również jego – powiedziała Liz, na co głos zabrała pani Bennet:

– Chip na pewno woli spędzać czas sam na sam z Jane. Nowy związek potrzebuje przestrzeni dla siebie.

– Jane – zwróciła się Lydia do swojej najstarszej siostry – myślisz, że to z Chipem stracisz dziewictwo?

Pan Bennet wstał, odkładając serwetkę na stół.

– Choć odbieram tę rozmowę jako interesującą, mam pilną sprawę. Chcę hamburgera.

– Tato, nie możesz prowadzić – przypomniała mu Liz.

– Tato, nie możesz jeść czerwonego mięsa – zawtórowała jej Jane.

Pan Bennet wskazał swój talerz, na którym leżała średnia porcja gulaszu

z soczewicy przyrządzonego przez Jane i sałatki przygotowanej przez Liz.

– To nie do przyjęcia – rzekł. – Nie jestem leśnym stworzonkiem. Lizy, jedziemy do Zipa.

– Tato, to doktor Morelock zalecił ci dietę warzywną – mówiła Jane. – Nie my.

– Tacie pomoże żelazo w hamburgerze – powiedziała Kitty. – Tylko nie jedz bułki.

– To tak, jakbym oglądał burleskę, zamknąwszy jedno oko – odrzekł pan Bennet.

– Fuj – zareagowała Mary.

Pan Bennet wskazał tylne drzwi.

– Liz, prędziutko.

Obejrzała się na Jane, a ta westchnęła głośno, co Liz odebrała jako ciche przyzwolenie, więc też wstała. Niestety, soczewica prawie nie miała smaku, taka była prawda.

– Czy ktoś coś chce? – spytała.

Chcieli wszyscy oprócz Jane – hamburgery, cheeseburgery i frytki – chociaż w ostatniej chwili, dosłownie gdy Liz już wychodziła za ojcem, i ona zawołała:

– No dobra. Poproszę krążki cebulowe.

## Rozdział 23

– Nadal zamierzasz zostać w Cincinnati do września? – spytał Jasper przez telefon. – Bo nie wiem, czy dam radę tyle czekać.

– Tak właśnie myślałam, że powinniśmy się gdzieś umówić na weekend – odparła Liz. – Może Cape Cod?

– Mam pytanie. Wiem, że impreza twojej mamy jest najważniejsza w jej życiu. Ale kiedy ona twierdzi, że całymi dniami non stop planuje, to co dokładnie robi? Czy ta impreza nie odbywa się przypadkiem w hotelu i to hotel przygotowuje jedzenie i zajmuje się wystrojem?

Liz co prawda też zadawała już sobie dokładnie to samo pytanie, ale nie sądziła, że Jasper zna panią Bennet na tyle dobrze – spotkali się tylko raz, przed laty – by mieć prawo je postawić.

– Razem z innymi paniami starają się zdobyć dary na aukcję – odrzekła. – A dochód z niej idzie na schronisko dla bezdomnych nastolatków. Ta impreza to nie jest jakieś fiu-bździu pań z towarzystwa.

– No dobra, teraz wpędzasz mnie w poczucie winy. Ale czy twoja matka nie wie, że ja potrzebuję swojej Nin?

Liz się uśmiechnęła.

– Wiesz, że przyjechałam tu ze względu na tatę, nie dla mamy. Poza tym kazałeś mi czekać czternaście lat. Na pewno wytrzymasz teraz dwa miesiące.

– Co za dupek kazał czekać Liz Bennet czternaście lat? – odrzekł Jasper. – Jeśli go spotkam, skopię mu tyłek.



## Rozdział 24

Gdy Caroline Bingley i Fitzwilliam Darcy stanęli w progu mieszkania Charlotte, widok tego ostatniego wytrącił Liz z równowagi bardziej, niżby chciała przyznać.

– Liz – szepnęła do niej Jane, gdy nowi goście ruszyli do kuchni po napoje. Jane i Chip postanowili zacząć wieczór u Charlotte. – Wszystko w porządku?

– Oczywiście – odrzekła tamta, krzyżując ramiona na piersi.

Ale wygłoszona na barbecue u Lucasów uwaga Darcy'ego o jej rzekomym statusie singielki – „Pewnie zachowałbym się niehonorowo, mówiąc, że nie dziwota” – niemile obijała się po głowie Liz przez ostatni tydzień. Czy to była jego spontaniczna próba dowcipu? Czy też w trakcie ich krótkiej interakcji zauważył u niej coś odpychającego – na przykład odrażająco cuchnący oddech – o czym nikt nigdy, nawet Jane, skrepowany nie napomknął? W Nowym Jorku Liz rzadko dumiała nad kształtem swojego życia uczuciowego, lecz w Cincinnati wyjątkowo wyraźnie dostrzegła braki relacji z Jasperem. Zależnie od tego, ile czasu zajmie babci Susan umieranie, mogło minąć jeszcze kilka lat, nim Jasper i Susan oficjalnie się rozwiodą, a Jasper – jak zakładała Liz – zamieszka z nią. W końcu się pobiorą, to będzie jakaś dyskretna ceremonia. Niewykluczone, że ona wyjdzie za mąż jako ostatnia z Bennetówien, ale Liz w przeciwieństwie do matki nie postrzegała zamążpójścia jako wyścigu. Przecież już miała zaufanego towarzysza do prowadzenia poważnych rozmów i kogoś do przytulenia w łóżku, a czy to nie były najważniejsze korzyści małżeństwa?

A jednak, jeśli chodzi o Jaspersa, Liz nie uniknęła chwil zwątpienia. Na ślubie koleżanki z pracy albo gdy w jakimś formularzu musiała podać stan cywilny czy dane osoby, z którą należy się skontaktować w nagłym wypadku (zawsze wpisywała Jane), albo jeśli w inny sposób konfrontowała się ze skutkiem wyborów, których dokonała niekoniecznie świadomie – w takich to

okolicznościach nie mogła się oprzeć refleksji. W ostatnich tygodniach, kiedy wciąż wpadała na szkolne koleżanki lub starych przyjaciół rodziny, dostawała przekonujący dowód, że inni dokonywali odmiennych wyborów. Kilka dni wcześniej spotkała się z Charlotte na drinka w Don Pablo, kiedyś ich ulubionej restauracji, i gdy wzięła łyk margarity, zauważyła, że przy sąsiednim stole właśnie zbierają się do wyjścia jej koleżanka z Seven Hills Vanessa Krager, a także łysy mężczyzna, chyba jej mąż, oraz czwórka dzieci w wieku od pięciu do dwunastu lat, najwyraźniej ich własnych. Jak to możliwe z matematycznego punktu widzenia? I czy w tej gorliwej prokreacji Vanessy nie było czegoś niestosownego, jakiejś manifestacji narcyzmu czy agresji? Generalnie Liz jako mniej szokujące odbierała to, że dwadzieścia lat po liceum wciąż jest zasadniczo sobą, sobą taką, jaka dorastała, nieobciążoną mężem ani dzieckiem, niż że niemal wszyscy inni się zmienili, poszli dalej, rozmnożyli się. Po umiarkowanie serdecznym powitaniu, prezentacji i aktualizacjach (Vanessa na pół etatu prowadziła księgowość dla kręgarza, a rodzina właśnie wybierała się na występ pianistyczny dziesięciolatka) dawna koleżanka powiedziała:

– Liz, czytałam twój wywiad z Jillian Northcutt. Myślisz, że Hudson Blaise ją zdradzał?

Pięć lat temu, po rozpadzie jednego z wówczas najślawniejszych małżeństw Hollywood, Liz jako pierwsza dziennikarka przeprowadziła wywiad z aktorką Jillian Northcutt. Fakt, że to wciąż był jej najbardziej znany artykuł, trochę ją krępował – wywiad zajął jej w całości osiemnaście minut, a przeprowadziła go w apartamencie hotelowym, w obecności nie tylko asystentki i rzeczniczki Jillian Northcutt, lecz także asystentki rzeczniczki, milczącej manikiurzystki i równie milczącej pedikiurzystki. Chociaż spotkanie przyniosło Liz korzyści w postaci rozmów na późniejszym koktajl party i trafiła nawet do kilku talk-show rozrywkowych, było jej żal aktorki, że wzbudziła tyle chorobliwej ciekawości.

– Myślę, że tylko oni wiedzą, co się naprawdę wydarzyło – odpowiedziała Vanessie.

Ta jednak nie ustępowała.

– Ale on już chyba po miesiącu był z Roxanne DeLorenzo!

W tym momencie włączył się mąż Vanessy:

– V, musimy iść.

– Cieszę się, że się zobaczyliśmy – rzuciła Liz.

I cała rodzina wyszła w rozgardiaszu, któremu towarzyszyło rozsypywanie ryżu ze styropianowych pudełek na wynos, łyzy i akty przemocy pomiędzy rodzeństwem.

Po ich wyjściu Charlotte i Liz spojrzały po sobie i odezwały się niemal w tym samym momencie:

- Dzięki Ci, Panie, żeś mnie uchronił przed tym losem – westchnęła Liz.
- Powinnam zamrozić jajeczka? – spytała jednocześnie Charlotte.
- Jakieś fatum?

Gdy Charlotte się roześmiała – choć Liz nie była pewna, czy przyjaciółka to robi – Bennetówna po raz kolejny sobie przypomniała, jak bardzo ją lubi.

O ile Liz rozumiała swoją awersję do posiadania dzieci, o tyle nie umiała określić swojego statusu w sferze życia miłosnego. Czasami zastanawiała się, dlaczego nikt prócz Jaspera nie podbił jej serca albo – i może to ciekawsze – dlaczego ona nie podbiła niczyjego serca. Bo nawet jeśli spojrzeć na tych kilku mężczyzn, z którymi się kiedyś umawiała, oni kończyli relację równie często jak ona, a i ci, których ona rzucała, wydawali się co najmniej mało zdruzgotani.

Takie to niepokojące myśli krążyły po głowie Liz, gdy rozmaici goście Charlotte brali sobie drinki i się witali. Oprócz sióstr Bennet i reprezentacji Bingleyów Charlotte zaprosiła kolegę z Procter & Gamble o imieniu Nathan, on zaś przyprowadził swojego chłopaka Stephena. Początkowo Liz rozmawiała wyłącznie z Nathanem i Stephenem, których wcześniej nie знаła, ale gdy minęło dwadzieścia minut i nie spojrzała nawet w kierunku Darcy'ego, nagle uświadomiła sobie, że stoi tuż przy panie Bingley.

Caroline patrzyła na nią w sposób, jej zdaniem, obcesowo badawczy; ponieważ jednak miała do czynienia z siostrą nowego adoratora Jane, stłumiła impuls, by odwzajemnić się spojrzeniem równie grubiańskim.

– Liz Bennet – przedstawiła się z uśmiechem. – Siostra Jane. Poznałyśmy się na barbecue z okazji Czwartego Lipca.

Piękna twarz Caroline (niebieskie oczy, garstka piegów, delikatny i tylko odrobinę zadarty nosek) lekko się wykrzywiła.

– Doprawdy? – spytała.

„Och, na miłość boską” – pomyślała Liz. „Nic dziwnego, że się przyjaźnisz z Darcym”.

– Tylko nas sobie przedstawiono – wyjaśniła. – A ty powiedziałaś, że ogromną trudność sprawia ci zapamiętanie, czy znajdujesz się właśnie

w Cincinnati, w Cleveland czy w Columbus. W tej chwili w Cincinnati, tak swoją drogą.

– Owszem – odrzekła Caroline nieprzyjaźnie. – Już się zorientowałam.

Zapadło milczenie, które przerwała Liz.

– Słyszałam, że jesteś menadżerką Chipa. Masz innych klientów czy pracujesz wyłącznie dla niego?

– Bardzo uważnie dobieram klientów. Jest pewna niesamowicie utalentowana dziewiętnastoletnia aktorka, która do tej pory zagrała w paru niezależnych filmach, i teraz jedna ze stacji chciałaby dla niej zrobić sitcom. Z taką właśnie osobą pracuję; nie z jakimś przypadkowym kołesiem, który akurat w tym tygodniu macha pacynkami w telewizji.

– A więc gwiazdy reality show, ale tylko z górnej półki – podsumowała Liz.

Caroline zamrugała, lecz nic nie powiedziała.

– Jak ona się nazywa? – zapytała Liz. Siostra Chipa wyraźnie się zmieszała. – Ta dziewiętnastolatka. Czasami piszę o gwiazdach, więc mogę ją znać.

– Ach. Ella Brandy.

– A w czym grała?

Caroline potrząsnęła głową, a Liz nie do końca rozumiała, czy ten gest wyraża protekcjonalność, czy jest wymijający.

– Film, wokół którego zrobiło się najwięcej szumu, był pokazywany na festiwalach, ale nie wszedł jeszcze do kin. – Caroline nie spytała o kontekst, w jakim Liz pisze o gwiazdach. Dodała natomiast: – Właśnie, kiedy mówię ludziom w Cincinnati, że jestem menadżerką, są przekonani, że pracuję w McDonalddie.

– O, nie sądzę. Chociaż sama często się zastanawiam, czym zajmuje się menadżer. Rozumiem, co robi agent, rozumiem, co robi rzecznik, ale kim jest menadżer? Udziela porad? To taki lepszy przyjaciel? – Caroline podejrzliwie zmrużyła oczy, a Liz przyszło do głowy, że może przekroczyła granice udawanej grzeczności. Dodała: – Wiosną byłam w L.A. na...

Ale w tym momencie Charlotte postukała widelcem o kieliszek i w pomieszczeniu zapadła cisza.

– Złożono wniosek, by podzielić drużyny na siostry kontra reszta – obwieściła gospodyni.

Goście zachichotali.

– To chyba niesprawiedliwie – powiedziała Mary.

– Ale niesprawiedliwie dla tej reszty, jak sądzę – odrzekł Darcy. Stał jakieś trzy metry od Liz, rozmawiając z Chipem i Jane. – Bo rodziny mają swoje tajemne kody.

Nie chodziło o to, że się myli, lecz o to, że mówił to takim okropnym tonem.

– Jestem za podziałem na Bennetówny kontra reszta – oznajmiła Liz głośno.

– A zatem zaczynamy! – Charlotte uśmiechnęła się szeroko.

## Rozdział 25

Charlotte rozdała kartki i długopisy, po czym właśnie utworzone drużyny wycofały się do swoich narożników salonu, by przyciszonymi głosami ustalić hasła.

– *Dobra partia* – zasugerowała od razu Kitty, ale Liz pokręciła głową.

– Za łatwe. Tom Cruise?

Teraz to Lydia zmiażdżyła Liz wzrokiem.

– Tom Cruise jest stary i obleśny.

– Frida Kahlo? – podsunęła Mary.

– To lesbijka? – spytała Lydia.

– Może powinniśmy wybrać film – zasugerowała Jane.

– *Dirty Dancing* – wypaliła Kitty.

– Strzał w dziesiątkę – ucieszyła się Liz.

Gdyby padło na Darcy’ego, z prawdziwą przyjemnością patrzyłaby, jak musi to odgrywać. Jane oddała kawałek papieru, na którym napisała: „*Dirty Dancing*”, i teraz już w większej zgodzie podejmowały decyzje odnośnie do kolejnych haseł.

Druga drużyna nie była tak skuteczna, aczkolwiek – co zauważył już Darcy – jej członkowie nie znali się równie dobrze jak Bennetówny. Oprócz Darcy’ego w jej skład wchodził Caroline, Chip, Charlotte, Nathan i Stephen.

Kiedy zespoły zebrały się wokół stołu, Chip rzucił monetą i zdecydowano, że Bennetówny zaczynają. Mary wybrała ze stosu na stole złożony kawałek papieru, przeczytała to, co na nim zapisano, i się skrzywiła.

– Ale ja nie wiem, co to jest.

– Nie wolno rozmawiać – napomniała ją Caroline. – Zaczynaj, czas leci.

Mary podniosła dłoń, a drugą pokazała, że kręci film.

– Film! – krzyknęły Kitty i Lydia.

Podniosła trzy palce.

– Trzy słowa – odgadła Jane. – Świetnie sobie radzisz.

Mary zastanowiła się chwilę.

– Na miłość boską – ponagliła ją Lydia. – Ogarnij się.

Średnia Bennetówna znowu podniosła trzy palce.

– Trzecie słowo – odczytała Liz.

Mary zadarła górną wargę, odsłaniając zęby.

– Wściekłość? – zaryzykowała Liz. – Wściekły byk?

Średnia siostra pokręciła głową i powtórzyła gest.

– Coś cuchnie! – krzyknęła Kitty. – Srać po gaciach!

– Biegunka! – dołączyła Lydia. – Stoperan! Okres!

Kiedy Mary z powagą pokręciła głową, a dwie najmłodsze siostry zaczęły chichotać, Liz nagle zrozumiała, cóż to za zażenowanie pobrzmiewa jej w duszy od chwili, gdy Caroline Bingley i Fitzwilliam Darcy weszli do mieszkania Charlotte: planowany wieczór głupawych rozrywek nabierał właśnie barw pod osądającym wzrokiem osób postronnych. W ten sposób gra zaczęła przypominać próbę, w trakcie której niekorzystne zdanie o Cincinnati Darcy’ego i Caroline miało się potwierdzić albo pierzchnąć. Ale dlaczego niby ten duet, tylko z racji swojej wyniosłości, zasługiwał na to, by wszyscy obecni walczyli o ich przychylną opinię? Choć nie, nie wszyscy – na pewno nie Lydia i Kitty. I jeśli obojętność najmłodszych sióstr na obecność osób z zewnątrz Liz odbierała jako upokorzenie, to właśnie to upokorzenie ją rozwścieczyło. A niech sobie Darcy i Caroline myślą źle o Cincinnati i jego mieszkańcach! Co ją to obchodzi? Z niewyjaśnionych przyczyn jednak ją obchodziło.

Mary pomachała ręką, jakby chciała wymazać poprzednie wypowiedzi, po czym podniosła jeden palec.

– Pierwsze słowo – powiedziała Jane.

Bennetówna podniosła dwa palce.

– Dwie sylaby – odgadła Liz.

Mary bezgłośnie poruszyła ustami.

– Mówić... – powiedziały jednocześnie Liz i Jane.

Ich siostra ruchem ręki zachęciła je do poszukiwania synonimu.

– Rozmowa – podsunęła Jane.

Mary pokręciła głową. Zwinęła dłoń i przysunęła sobie do ust, na co Kitty zawołała:

– Robić loda!

– Wzajemne robienie loda! – zawtórowała jej Lydia.

Na szczęście wtedy odezwał się timer, a Mary tonem sugerującym, że do kłeski przyczyniły się jej siostry, nie zaś ona, powiedziała:

– *Wywiad z wampirem.*

– Co to, kurwa, jest? – spytała Lydia.

– Film – odparła Liz. – A także książka, ale w filmie grał Brad Pitt.

– Więc dlaczego jego nie pokazałaś? – rzuciła Kitty. – Musiałabyś tylko udawać orgazm.

– Nie, to było zbyt trudne – skwitowała Jane. – Nawet gdybyśmy miały więcej czasu, i tak chyba bym nie skumała.

– Nie rozumiem, dlaczego pokazywałaś robienie lodu – poskarżyła się Lydia, a Mary odparła niecierpliwie:

– To miał być mikrofon.

Liz starała się nie patrzeć ani na Darcy’ego, ani na Caroline, gdy Nathan z Procter & Gamble wstał i wziął karteczkę ze stosu przygotowanego dla ich drużyny. Rozłożył ją i wykonał ten sam gest kręcenia filmu co wcześniej Mary.

– Film – odgadła Charlotte.

Mężczyzna podniósł palec.

– Jedno słowo – odezwał się Chip.

Nathan zamknął oczy, zwinął dłonie w pięści i zaczął potrząsać nimi przy uszach, udając, że krzyczy.

– *Psychoza* – rzucił Darcy bezbarwnym głosem.

– Ej – odrzekł Nathan. – Nieźle.

– Na pewno nie oszukujesz, Darcy? – spytał Chip, chichocząc.

– Poważnie? – odezwała się Caroline z zachwytem. – To *Psychoza*?

– Tak – odparł Nathan. – Wszyscy wołamy... jak się nazywa nasza drużyna?

– Konkwistadorzy! – podsunęła Charlotte. – Lękajcie się, Bennetówny!

Liz nie przeszkadzało bojowe nastawienie przyjaciółki – wiedziała, że kryje się pod nim sympatia – ale dostrzegła spojrzenie Caroline Bingley i w nim nie było już żadnego ciepła.

– Tyle chyba, jeśli chodzi o rodzinne kody – powiedziała siostra Chipa.

Gra przebiegała dalej mniej więcej w podobny sposób: Lydia i Kitty zgadywały nieprzyzwoicie i nietrafnie; gdy rozwiązaniem były *Dźwięki muzyki*, one obstawiały „Hemoroidy!” czy „Obciążanie!”, a gdy Dwight Eisenhower – „Dildo!” i „Trójkącik!”. Wulgarność najmłodszych sióstr nie



stanowiła dla Liz niespodzianki; ona sama bardziej niż Jane i Mary lubowała się w świńskich dowcipach. Najmłodsze Bennetówny tym się jednak od niej różniły, że okazywały całkowite lekceważenie dla kontekstu. Pośród niemal obcych ludzi Liz nigdy by się nie poważyła na tak prostacką, bezwzględną wulgarność. Kitty i Lydia zawsze jednak były sobą w sposób, który Liz odbierała jako bulwersujący i godzien podziwu jednocześnie. Przy posiłku dyskutowały o włosach łonowych, w kościele wysyłały esemesy, przyznawały się do kaca bez zażenowania, jakby mówiły o uderzeniu w palec. Może – myślała Liz – nonszalanckie podejście do skutków ich zachowania oraz do opinii innych wynikało z tego, że rodzice okazywali im większą pobłażliwość. Gdy Liz i Jane były dziećmi i później nastolatkami, państwo Bennetowie nieustannie ściśle przestrzegali pory pójścia spać i powrotu do domu, wymagali dobrych stopni, wypełniania obowiązków i wysyłania podziękowań. A gdy niedawno Liz spytała Lydię, czy ta ma papeterię, bo chciała wysłać spóźnione podziękowania wydawcy, który zabrał ją w Nowym Jorku na lunch w tym samym tygodniu, kiedy zachorował pan Bennet, Lydia odparła, że nie. „Więc jak przesyłasz ludziom podziękowania?” – chciała wiedzieć Liz, co siostra skwitowała: „A niby za co?”.

Najbardziej jednak frapował Liz brak troski Lydii i Kitty, że przyłgnie do nich opinia prostackich. Były takie śliczne, miały długie blond włosy jak Jane – Liz i Mary były brunetkami – a ich ciała dzięki oddaniu crossfitowi nabrały cudownych kształtów. Poza tym były jeszcze młode, miały mleczną cerę, świetliste oczy, bez względu na to, jak późno wracały do domu i jak często. Czy nie myślały o tym, że gdy krzyczą o „rodzynchach”, odwracają uwagę od swojej niewinnej urody, a w głowach słuchaczy maluje się niespójny, niepochlebnie wyrazisty obraz? Wyglądało na to, że nie.

Liz, owładnięta wręcz zażenowaniem, czuła też coś przeciwnego – oswabdzającą rezygnację. Jej siostry nigdy nie przepuściły okazji do rozmów o seksie, gównie czy połączeniu jednego i drugiego. Jeśli jej rodzina przejęła zgrozę Darcy’ego i Caroline, trudno. Żal jej było tylko Jane – czy aby po tym wieczorze Chip się do niej nie zrazi.

W trakcie trzeciej rundy, gdy przypadła kolej najstarszej Bennetówny, nieprzyzwoitość sięgnęła zenitu. Hasłem, jak się okazało, było *Jingle Bells*, ale Lydia z wielkim entuzjazmem wciąż wołała „Pizdozwisy!”, Liz ją zignorowała i razem z Mary ostatecznie zgadły hasło.

– Aż się boję zapytać, co to takiego – powiedział na koniec Stephen.

Lydia i Kitty umierały ze śmiechu. Liz wstała.

– Ktoś ma ochotę się napić?

– Powiesz mi na ucho? – spytał Stephen Lydię.

– Och, nie – zaprotestowała Charlotte – żadnych tajemnic. Po prostu powiedz.

Liz wzniosła oczy do nieba pod adresem najmłodszych sióstr, mijając je w drodze do kuchni. Tam otworzyła nową butelkę wina, nalała sobie do kieliszka i sprawdziła telefon. Nie dostała żadnych interesujących mejli i w ogóle żadnych esemesów. „Sporty” wychodził w poniedziałki, więc wiedziała, że Jasper będzie pracował przez cały weekend.

– Caroline chyba piła cabernet – odezwał się męski głos. – Jak ci się wydaje?

Liz podniosła wzrok. Darcy wszedł do kuchni i stanął przy blacie, trzymając dwie otwarte butelki.

– Nie mam pojęcia. – Patrzyła, jak nalewa. – Musiała pić tamto, bo to właśnie otworzyłam. – Postąpiła o krok i sięgnęła po kieliszek, który trzymał Darcy. Jednym długim łykiem dopiła jego zawartość. Gdy bordowy trunek zniknął, odstawiła naczynie na blat. – Proszę. Problem rozwiązany.

– Ten kieliszek był mój – powiedział Darcy.

– Ups. Bardzo się przejmujesz moimi prowincjonalnymi zarazkami na czwórkę z minusem?

Darcy napełnił ten sam kieliszek i patrząc na nią, wziął łyk, po czym odrzekł bez uśmiechu:

– Wierzę w mój system immunologiczny. – A dolewając z drugiej butelki do kieliszka Caroline, dodał: – Może pamiętasz, że to ty oceniłaś siebie na cztery minus? Nie ja.

– Wczuwałam się w twój ciężki los, patrząc na świat z twojej perspektywy.

– Rozumiem.

Wszystko w nim – każda modulacja głosu, każda mina – emanowało wyniosłością.

– Cokolwiek to znaczy, moje siostry nie są reprezentatywnymi przedstawicielkami mieszkańców Cincinnati – podjęła Liz. – Tak się składa, że Lydia i Kitty mają wyjątkowo fatalne maniery.

– Nie mam cienia wątpliwości co do manier twoich sióstr – odrzekł

Darcy, a Liz natychmiast pożałowała swoich quasi-przeprosin.

– W takim razie skąd ty jesteś, że uważasz to swoje miejsce za lepsze?

– Wychowałem się pod San Francisco. I znowu muszę zaznaczyć... bo przypisujesz mi słowa, których nie wypowiedziałem... nigdy nie użyłem słowa „lepsze”.

– Ale czegoś podobnego – odparła Liz. – I wiesz, tak między nami, cokolwiek sobie myślisz o tutejszych mieszkańcach, twoja opinia więcej mówi o tobie niż o naszym mieście. Nie wiem, co twoim zdaniem mają inne miasta, czego nam brakuje, ale... Drinki z regionalnych składników za piętnaście dolców? Mamy. Niezależne kapele? Mamy. Uzdrowiciele reiki? Też mamy. Może powinieneś uważniej poszukać, ale wszystko tu jest, a także mnóstwo innych rzeczy, takich jak piękne stare domy w cenach jak najbardziej przystępnych i zachwycający park na nabrzeżu, i zespoły sportowe odnoszące sukcesy na szczeblu krajowym, i dobrą komunikację miejską, i mieszankę rasowo-etniczną. W Cincinnati możesz wieść życie naprawdę wysokiej jakości.

Bez dwóch zdań Liz jeszcze nigdy nie wygłosiła tak płomiennego peanu na temat swojej małej ojczyzny. Prawdę mówiąc, nie była pewna, czy w to wszystko wierzy.

– Szczęściara z ciebie, że z takim entuzjazmem myślisz o miejscu, w którym mieszkasz – rzucił Darcy.

– Och, ja tu nie mieszkam – odrzekła Liz. – Mieszkam w Nowym Jorku.

Darcy zrobił coś, czego jeszcze nie widziała: uśmiechnął się.

– Ale nie dlatego, że tu bym nie chciała mieszkać – dodała szybko, chociaż tego też nie była pewna. – Po prostu kolidowałoby to z moją pracą. Piszę do magazynu „Mascara”, lecz wróciłam, bo mój tato miał operację serca.

– Bajpasy?

Kiwnęła głową.

– Dochodzi do siebie. – Odruchowo odpukała w drewnianą szafkę.

– Zabieg miał w Christ? – Liz przytaknęła, a Darcy rzekł: – Mają tam dobrą kardiologię.

– Poddajesz winogrona fermentacji? – rozległ się nagle czyjś głos. Liz i Darcy odwrócili się i ujrzeli Caroline. – Bo siedzisz tu już dwadzieścia minut – dodała, a pod jej lekkim tonem Liz wyczuła wyraźny terytorializm. Jakżeż to się dogodnie złożyło, pomyślała, że obowiązki menadżerskie

sprowadziły siostrę Chipa Bingleya do Cincinnati.

– Liz właśnie mi opowiadała, że pisze do magazynu – wyjaśnił Darcy. – Do „Mascary”, tak?

– Ach, a to zabawne – odparła Caroline. – Piszesz materiały w rodzaju „Jak być dobrą w łóżku – dwadzieścia wskazówek”?

– W „Mascarze” nie ukazują się takie artykuły – odrzekła Liz.

– Mam już dość kalamburów – powiedziała Caroline do Darcy’ego. – Chcesz już iść?

Liz odezwała się głośniej:

– Wiem, jakiego typu magazyny masz na myśli. „Mascara” to zupełnie inna półka. Oczywiście piszemy o seksie, ale nie tandetnie.

Caroline się na nią obejrzała.

– Słucham?

– „Mascara” zajmuje się poważnymi sprawami. W zeszłym roku pojechałam do Arabii Saudyjskiej zebrać materiały na temat relacji międzypłciowych na Bliskim Wschodzie.

– Musiałaś zakrywać włosy? – spytała Caroline, a w jej głosie zabrzmiało coś wyzywającego czy też osobliwie oskarżycielskiego.

– W miejscach publicznych nosiłam abaję i chustę – odrzekła Liz.

– No proszę, jaka z ciebie podróżniczka. – Caroline uśmiechnęła się blado i zwróciła się do Darcy’ego: – Charlotte chce zamawiać jedzenie, ale ja bym wolała już iść.

– Możemy iść – odrzekł Darcy.

Kalambury na pewno się nie skończyły, lecz Liz nie zamierzała naciskać na przeciąganie rozgrywek.

Darcy odwrócił się do niej.

– Sugerowałbym, żeby zatrudniła cię Izba Handlowa Cincinnati, ale miałybyś daleko do pracy.

Już prawie wyszedł z kuchni, gdy Liz odparowała:

– Czyżby to był żart? Nie wiedziałam, że masz poczucie humoru.

## Rozdział 26

Ani pan Bennet, ani jego małżonka raczej nie zachodzili na drugie piętro, i właśnie dlatego Liz, pracując przy biurku, z niejakim zaskoczeniem ujrzała matkę w progu swojego pokoju. Pani Bennet trzymała w wyciągniętej dłoni niewielki karton z rozchylonymi klapkami.

– Myślałam, że to do mnie – poinformowała bez cienia skruchy.

Kilka razy dziennie do drzwi Tudor dzwonił dzwonek i zwykle okazywało się, że to albo jakiś przyjaciel rodziny przyniósł zapiekankę czy ciasto, które miały pokrzepić pana Benneta w okresie rekonwalescencji, albo przybył kurier z FedExu czy UPS-u. Jakieś trzy czwarte przesyłek było zaadresowanych do pani Bennet – gromadziły się, często nieotwarte, w głównym holu i jadalni – a resztę stanowiły rozmaite produkty i materiały promocyjne przesyłane Liz na adres redakcji „Mascary” i stamtąd przekierowywane do Cincinnati: mieszanka do diety proteinowej, próbki skarpetek z celebryckich kolekcji, zapowiedzi sensacyjnych książek, nowe rodzaje szminek.

– Dzięki. – Liz wstała, by wziąć karton.

– Nie mam pojęcia, od kogo to przyszło – rzuciła pani Bennet ostentacyjnie.

Gdy matka się oddaliła, Liz zauważyła, że na etykiecie widnieje logo i adres „Sporty”, a nad nimi imię i nazwisko Jaspiera dopisane odręcznie, jak najbardziej czytelnie. Sięgnęła do środka, rozsunęła bibułkę i ujrzała arkusz papeterii firmowej z nagłówkiem „Sporty”, na której Jasper napisał „Myślę o Tobie!”. Pod kartką znajdowało się jaskrawoczerwone przezroczyste body i stringi w tejże barwie. Bielizna, która prawdopodobnie byłaby tandetna, nawet gdyby ją dobrze wykonano, najwyraźniej należała do tanich, ale i tak nadawała się na półzartobliwą schadzkę. Tylko ta upokarzająca ewentualność, że została obejrzana przez matkę Liz. Albo raczej upokarzająca pewność... Skoro jednak pani Bennet nie zamierzała

wypytywać córki o prezent, to Liz dobrowolnie nie złoży jej żadnego wyjaśnienia.

Z komórki zadzwoniła do Jaspera:

– Moja mama otworzyła paczkę od ciebie. Prosiła, żeby ci pogratulować dyskrecji i dobrego gustu.

Jasper się roześmiał.

– Czy twoja matka wie, że otwieranie cudzej poczty i przesyłek jest przestępstwem federalnym? Ej, mówią na mieście, że Noah Trager wyleci w tym tygodniu. Nie sądzisz, że byłbym dobrym naczelnym w „Dude”?

– Owszem, byłbyś.

– Edward van Pallandt jest współgospodarzem dzisiejszej imprezy charytatywnej na rzecz birmańskiego dysydenta. Bilety są wyprzedane, ale na pewno jakoś się wkręcę. Myślisz, że zrobię falstart, jeśli pójdę tam i napomknę van Pallandtowi, że jestem zainteresowany „Dude”?

Noah Trager był obecnym naczelnym „Dude”, magazynu dla mężczyzn. Edward van Pallandt był jego dyrektorem kreatywnym, bon vivantem, który w jednej z najważniejszych chwil w życiu Liz, gdy jechali razem windą, pochwalił jej buty. (Były to beżowe, ażurowe zamszowe botki, a przede wszystkim Liz kupiła je za trzydzieści dolarów w TJ Maxx w Cincinnati). Jeśli chodzi o birmańskiego dysydenta, Liz nie miała pojęcia, kto to.

– Na ile to pewne, że Noah wyleci? – spytała. – Kto ci to powiedział?

– Słyszałem od paru osób.

– Myślę, że to dobry pomysł, żeby pójść na imprezę i pogadać z Edwardem van Pallandtem, by przypomnieć mu, kim jesteś, ale nie wspominałabym konkretnie o „Dude”. To by było zachowanie sępiarskie. Masz aktualne CV?

– Wyślę ci je, żebyś rzuciła okiem. Wiesz, co powinnaś wysłać mnie? Zdjęcie w tej bieliźnie.

– Z mamą w tle czy raczej bez?

Jasper zachichotał.

– Ona wie, że jesteś dorosła, Nin.

– Nie byłabym taka pewna. – Liz położyła stopy na biurku i odchyliła się na tylnych nogach krzesła. – Kim jest ten birmański dysydent? Artystą?

– Hm. Może zanim tam dzisiaj pójdę, powinienem poznać odpowiedź na to pytanie.

## Rozdział 27

Ciotka Margo i kuzyn Willie dotarli do Tudor akurat w porze koktajlu we wtorek. Po raz pierwszy na obiedzie miał pojawić się u Bennetów Chip Bingley.

– Dobrze, że ciotka i Willie tu są, to trochę odwróci uwagę mamy – powiedziała Liz do Jane w kuchni, wsypując migdały do miski. – Może nie będzie za bardzo prowokować Chipa.

– Skoro rodzice poznali go u Lucasów, atmosfera nie powinna się rozładować? – spytała Jane. – Bo tak właśnie sobie wmawiałam.

– Och, nie chodzi o to, czy oni go zaakceptują. Ale jeśli nie odstraszyły go Lydia i Kitty na kalamburach, to nic ci nie grozi, jestem pewna. – Liz zawięła brzegi torby z migdałami i zapięła je klipsem. – A swoją drogą mam wrażenie, że Willie korzysta z porad stylisty. Wygląda o wiele lepiej.

Jane się uśmiechnęła.

– Sądzisz, że nie wystroił się sam?

– Nie chcę być nieżyczliwa, ale nie. Te spodnie, które ma na sobie, są naprawdę trendy. – Od chwili ich nieporadnego przywitania na lotnisku Liz miała niezłomną pewność, że pomimo zmian w garderobie Williego męczyło go to samo skrępowanie co zawsze. Myślała o nim, że jest albo najbardziej wstydliwą pewną siebie osobą, jaką zna, albo najbardziej pewną siebie wstydliwą osobą. Średniego wzrostu, pulchny, ze strzechą rudych włosów wciąż wykazywał zamiłowanie do długich wywodów na temat swoich zawodowych wyznań, i tylko trochę go zniechęcało, gdy słuchacze nie byli w stanie za nim nadążyć.

Liz i Jane weszły do salonu, w którym zebrały się ich siostry, rodzice, ciotka i kuzyn. Willie najwyraźniej był w trakcie monologu.

– Mam trzydzieści milionów indywidualnych wejść w miesiącu – mówił, a gdy Liz spojrzała na ojca, który siedział z metr od Williego, zauważyła, że z lekka opadają mu powieki. Odwróciła wzrok. – Jeśli chcecie to porównać

z konkurencją, to nie są nawet blisko nas. Jig-Jig ma dziesięć milionów, może dwanaście, ale tylko może! Jak rozwiążemy parę problemów, zostawimy ich daleko w tyle.

– Pewnie nie macie sera i krakersów? – spytała ciotka Margo.

– Mary, podaj cheddar z Vermontu – odezwała się pani Bennet.

– Kazomorfiną w serze jest równie uzależniająca jak opium – obwieściła Lydia.

– W dzisiejszych czasach wszyscy mają zdecydowane poglądy, co należy jeść – zauważyła jej matka poirytowana.

– Lizzy – odezwał się Willie – widziałem na lotnisku, że ciągle wydają twój magazyn drukiem na martwych drzewach.

– Niektórzy ludzie wolą tak czytać – odparła Liz. – Rozumiem, że ty do nich nie należysz?

– Willie – wtrąciła pani Bennet – jeśli chcesz robić w Cincinnati coś konkretnego, zgłoś się do Liz, ma najmniej napięty grafik. Jane jest teraz zajęta swoim nowym adoratorem, który zresztą zje z nami dziś obiad. – I zwróciła się do szwagierki: – Nazywa się Chip Bingley i przeprowadził się tu, by pracować w Christ Hospital. Studiował w Harvard Medical School.

– Jak ciocia powiedziała? Bingley? – Willie zmrużył oczy. – Coś mi to mówi...

Pani Bennet doinformowała go z prawdziwą przyjemnością:

– Jego prapradziadek założył Bingley Manufacturing, która od wielu, wielu lat produkuje ceramikę łazienkową.

– A pod pojęciem ceramiki łazienkowej mama ma na myśli sedesy – uzupełniła Lydia. – Wszyscy trzymamy kciuki, żeby Jane została królową gówna.

– Umówiliśmy się z Chipem parę razy – wyjaśniła spokojnie Jane.

– Gdyby tylko istniała taka globalna sieć komputerowa, gdzie da się znaleźć takie informacje – rzekł Willie i zachichotał, wyciągając telefon.

– Oglądasz *Dobłą partię*? – zapytała kuzyna Liz. – Kilka lat temu Chip występował w tym programie.

– To był taki niewinny wygląd – wyjaśniła pani Bennet. – Odreagowanie po rezydenturze.

Willie z ożywieniem oderwał wzrok od telefonu.

– To on płakał w finale! – krzyknął. – Wiedziałem, że skądś znam jego nazwisko.



– Nie miałam pojęcia, że oglądasz *Dobrą partię* – odezwała się ciotka Margo.

– Chyba wszyscy oglądamy – powiedziała Liz. – Wszyscy oprócz Jane.

– Był pod ogromną presją. – Jane odchrząknęła, po czym już głośniejsze dodała: – A z tym płaczem... producent powiedział mu, że jedna z kobiet ma myśli samobójcze, bo on się jej nie oświadczył, i on się poczuł z tym okropnie. Zwykle nie płacze więcej niż przeciętny mężczyzna.

Uwagę Liz przyciągnęła nie tyle treść wypowiedzi Jane, ile jej wyważony i opiekuńczy ton. Może Chip był rzeczywiście mężczyzną życia jej siostry, choć takie się to wydawało nieprawdopodobne. Jakże wspaniałe by to było i jakże Jane sobie na to zasługiwała.

Kuzyn Willie zaczął czytać z ekranu smartfona.

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku rodzina Bingleyów sprzedała Bingley Manufacturing międzynarodowej firmie L.M. Clarkson. Nie piszą za ile, ale można założyć, Jane, że twój facet ma solidne zabezpieczenie, gdyby go ktoś kiedyś pozwał za błąd w sztuce. – Willie podniósł wzrok znad telefonu. – Lizzy, chętnie bym pozwiedzał miasto. Wyliczyliśmy z Margo po drodze, że nie byłem tu od czternastego roku życia. Przez te wszystkie lata planowaliśmy z tatą, że przyjedziemy, gdy któraś z was będzie wychodziła za mąż. – Mówił tonem serdecznym, najwyraźniej nie mając świadomości, że porusza drażliwy temat. – Na Twitterze doradzają, by w Cincinnati zobaczyć zoo i Muzeum Kolei Podziemnej.

– Gdybyś chciał rekomendacji – włączył się pan Bennet – mógłbyś spytać kogoś, kto mieszka tu od sześćdziesięciu czterech lat.

– Tato, twoja noga nigdy nie powstała we Freedom Center – zauważyła Kitty.

– To prawda, za to kiedyś spotykałem się z Harriet Tubman.

– Tato – odezwała się Liz – jutro zawożę cię na fizjoterapię na dziewiątą, prawda? Potem, o jedenastej, mam wywiad przez telefon. Ale później, Willie, mogę cię zabrać na miasto. Albo, czy ja wiem... Mary, może ty byś chciała?

– Mam za dużo pracy. – Średnia siostra pokręciła głową, nawet nie udając żalu.

Liz przypomniała sobie swoją teorię, że ponieważ Mary nie jest zbyt ładna, często przypisywano jej inteligencję i cnotliwość, których siostra zupełnie była pozbawiona, przynajmniej na ile Liz już się orientowała.

Prawdę mówiąc, nie lubiła Mary bardziej niż Lydii i na pewno bardziej niż Kitty, przy czym wszystkie, oczywiście, z obowiązku i przyzwyczajenia, kochała. Ale jeśli ktoś zakładał, że rzekomo naukowym zainteresowaniem Mary towarzyszy wolna od uprzedzeń akceptacja albo że w parze z nieatrakcyjnością idzie empatia, grubo się mylił. Mary, zdaniem Liz, stanowiła dowód na to, że łatwo być nieciekawą i niemiłą jednocześnie.

– Mam jutro mnóstwo spotkań z ramienia Ligi Kobiet – mówiła pani Bennet do szwagierki i Williego. – Dziewczęta potwierdzą, że urabiam sobie ręce po łokcie. Ale wszyscy zjemy obiad w Country Clubie. – Wychyliła się do przodu, jakby zdradzała jakąś poufną informację, i wyszeptała: – Margo, na pewno pamiętasz, jak wyborną serwują tam sałatkę Cezar.

– Czy to na ścianie to zacieki? – Ciotka Margo wstała i przeszła przez salon. – Fred, mój Boże, masz szczęście, że ten dom jeszcze nie rozpadł się na kawałki.

– Nie tracę nadziei, że to nastąpi – odrzekł pan Bennet.

– To po burzy z zeszłego tygodnia – wyjaśniła jego małżonka i chociaż Liz nie uważała swojej matki za szczególnie gorliwą wyznawczynię prawdy, te bujdy, głoszone w obecności co najmniej sześciu osób, które mogły im zaprzeczyć, wydały się jej nadzwyczaj zuchwałe. – Ale skoro mi o tym przypomniałaś, Margo – dodała radośnie – zanotuję sobie, by zadzwonić po jakiegoś majstra.

## Rozdział 28

Zjedli w jadalni, a nie w kuchni. Przed przyjazdem Williego i ciotki Margo Lydia i Kitty dostały zadanie przemieszczenia kartonów z holu i stołu w jadalni do dawnego pokoju Jane (Liz po raz pierwszy od przyjazdu widziała swoje najmłodsze siostry podejmujące jakikolwiek wysiłek fizyczny), a wraz ze swoją najelegantszą porcelaną pani Bennet wyjęła wizytówki stołowe, niewątpliwie po to, by Chip Bingley na pewno usiadł obok niej. On przyniósł butelkę wina i kwiaty i chociaż na stole znajdował się już wazon z fioletowymi hortensjami, pani Bennet kazała Liz szybko je zabrać, a ustawić w ich miejsce bukiet od Chipa, zupełnie jakby gość miał uznać obecność innego bukietu za osobisty afront.

Po burzliwej dyskusji pomiędzy Jane a panem Bennetem menu składało się z łososia z wody na zimno, pieczonych ziemniaków, zielonej sałaty i tarty z owocami leśnymi. Z racji wyjątkowej doniosłości spotkania pani Bennet odłożyła na bok obowiązki wobec Ligi Kobiet i wraz z córką posprzątała parter oraz przygotowała posiłek.

Odkąd zajęli miejsca przy stole, minęły ze dwie minuty, gdy Kitty zapytała:

- Chip, zapłacili ci za udział w *Dobrej partii*?
- Nad tym samym się zastanawiałem – odezwał się kuzyn Willie.
- Boże drogi – zainterweniowała pani Bennet – Chip nie chce o tym rozmawiać. Powiedz mi lepiej, czy twoi rodzice mieszkają w Filadelfii.

Chip, który dopiero co ugryzł kęs, przeżuł go, przełknął, a potem delikatnie otarł usta białą płócienną serwetką.

- Mieszkają na Main Line – odrzekł – a więc na przedmieściach, chociaż staram się ich namówić na kupno mieszkania w centrum. W ostatnich latach Center City przeżywa prawdziwe odrodzenie. – Zerknął na siedzącą naprzeciwko Kitty. – Nie mam nic przeciwko rozmowom o programie. – I zwrócił się do pani Bennet: – Jeśli oczywiście pani nie ma nic przeciwko

nim. Nie chciałbym urazić pani poczucia przyzwoitości.

Czy pani Bennet kiedykolwiek słyszała słodsze słowa? I to jeszcze z ust bogatego konkurenta do ręki jej córki! Niemal mrucząc z rozkoszy, gospodyni położyła dłoń na przedramieniu Chipa.

– Śmiało, proszę się nie krępować – zapewniła.

Chip powiódł wzrokiem po biesiadnikach.

– Zakładam, że to rozmowa nieoficjalna. Ale tak, gwiazdy poszczególnych sezonów otrzymują honorarium. Myślę, że jego wysokość różni się w zależności od negocjacji z prawnikiem czy agentem. W moim wypadku był to prawnik telewizji, bo nie mam agenta. Ale to suma przyzwoita.

– Sześciocyfrowa? – spytała Lydia.

– Na miłość boską – westchnęła pani Bennet. – Lydio, gdzie twoje maniery?

Chip uśmiechnął się dzielnie.

– Pozostanmy przy przyzwoitej.

– Czy ja dobrze rozumiem, że tobie zapłacono, a kobietom nie? – spytała Mary.

– Obawiam się, że tak właśnie się stało. Chociaż to nie z powodu seksizmu. Wszystko wygląda dokładnie tak samo, gdy gwiazdą show jest kobieta, a konkurentami mężczyźni. Tak czy owak, myślę, że uczestnicy przynajmniej dostają dniówkę.

– Jak długo trwały zdjęcia? – spytała Liz. Siedziała na drugim końcu stołu, pomiędzy kuzynem Williem a ojcem.

– Krócej, niż myślisz – odrzekł Chip. – Osiem tygodni.

– Wszystko jest w scenariuszu, prawda? – chciała wiedzieć Mary. – To żadna tajemnica.

– I tak, i nie. Pewnie, producent narzuca ci określone treści. Albo coś się dzieje spontanicznie, lecz kamery nie łapią tego na czas, albo ktoś kichnie w tle, i wtedy robi się dwie, trzy powtórki. I oczywiście ogromna większość materiału w ogóle nie trafia do emisji. Z kilkuset godzin nagrań muszą zrobić osiemdziesięciminutowy odcinek. Ale i tak myślę, że przebija się osobowość każdego uczestnika. Wiele z tych dziewcząt na początku mogło przyprawić o szok. – Rozejrzał się po zebranych. – Czy już pana uśpiłem, panie Bennet?

– Nie bardziej niż nasze codzienne obiady. Proszę mówić dalej.

Chip uśmiechnął się szeroko.

– Inny powód, z którego robi się dramatycznie, to że alkohol płynie szczerze, i to nie tylko wieczorami. Podają wódkę od lunchu, a jeśli jest jakiś słuszny powód, by podać ją wcześniej, na przykład Krwawą Mary na drugie śniadanie, to też podają.

– No teraz to się robi kulturalnie – rzucił pan Bennet.

– Szkoda, że jesteś żonaty, co, tato? – spytała Kitty.

– Filmują cię i chodzisz z mikrofonem od chwili, gdy się obudzisz, aż do późnej nocy. – Chip wciąż trzymał widelec nad talerzem i nie jadł. – Zabierają ci komórkę i komputer, muzykę, nawet książki i gazety... po części, by uniknąć pozwów o pogwałcenie praw autorskich, ale też dlatego, że te wszystkie rzeczy nie wypadają dobrze w telewizji. Kto chce oglądać, jak ludzie czytają? Albo gdybyś słuchał muzyki, montażyście ciężko by było zrobić cięcie. Ale to oznacza, że się nudzisz, nie masz prywatności i nie masz dostępu do swojego normalnego systemu wspomagającego. Trzeba dać z siebie wszystko. Chciałbym powiedzieć, że ludzie są tam sobą, ale oni jednocześnie nie są sobą, jeśli mnie dobrze rozumiecie.

– Nosileś mikrofon przy sraniu? – spytała Lydia.

– Lydio! – skarciła ją Jane.

Chip był niezrażony.

– To jedyne miejsce, gdzie rzeczywiście masz zapewnioną prywatność.

– Jaki jest Rick Price? – To pytanie padło, o dziwo, z ust ciotki Margo. Od jedenastu lat, co w rachunkach telewizyjnych stanowi odpowiednik osiemnastu sezonów, program prowadzi Rick Price: sympatyczny z pozoru facet z Phoenix z Arizony, który zaczynał karierę jako prezenter prognozy pogody.

– Porządny gość – odrzekł Chip. – I na planie, i poza nim. To musi być dziwna praca, bo na ogół spędzał na planie jakieś pięć godzin, ale czasem, ni z tego, ni z owego, pewne zadania i ceregiele trwały dosłownie całą noc. Albo jechał z nami do Barcelony. Muszę nadmienić, że chociaż był miły, to do jego obowiązków służbowych należało podnosić napięcie. On i producenci trajkotali jak stare plotkary. Mówili mi na przykład: „Taka i taka powiedziała tamtej, że ty jej to powiedziałaś”.

– To siostra nakłoniła cię do udziału w programie, prawda? – odezwała się pani Bennet. – To nie był twój pomysł? – Liz i Jane spojrzały na siebie znacząco.

– Do chwili, gdy Caroline zasugerowała, bym się tam zgłosił, nie oglądałem ani razu *Dobrej partii*. Nakręciła ze mną filmik, jak gadam przez parę minut. Ale to ja wypełniłem formularze. Sądziłem, że to głupie, lecz zrobiłem to, żeby ją zadowolić.

– Wiedziałam! – krzyknęła pani Bennet.

– Muszę jednak przyznać – dodał Chip – że zanim cię zakwalifikują, skrupulatnie wszystko sprawdzają. Musisz przejść przez całą masę testów psychologicznych i sprawnościowych. Myślę, że przez coś takiego właśnie przechodzi kandydat na wiceprezydenta. Producenci się z tobą nie certolą. Więc skłamałbym, gdybym powiedział, że obudziłem się pewnego dnia i znalazłem się w telewizji. Po drodze miałem mnóstwo okazji, żeby się wycofać.

– Znaleźli jakieś trupy w twojej szafie? – spytał kuzyn Willie.

Chip pokręcił głową.

– Na szczęście jestem dość nudnym gościem. Ale dzwonili do moich sublokatorów z college’u, do byłych pracodawców, rodziców. Oni zresztą niezbyt się ucieszyli z moich planów. Państwo zapewne czuliby to samo, gdyby któraś z waszych uroczych córek oznajmiła, że wystąpi w reality show.

– Udział w *Dobrej partii* tylko brzmi niepokojąco – zauważyła Liz. – Jako dziennikarka widziałam ciemne strony świata rozrywki, i to nie jest nic miłego.

– Przeprowadziłam wywiady z tyloma sławnymi ludźmi – przedrzeźniała ją Lydia, a Kitty, idąc za jej przykładem, dodała:

– Wiecie, że trzy razy byłam w telewizji?

– Przeprowadziłam wywiad z Jillian Northcutt, gdy rozstała się z Hudsonem Blaise’em – wyjaśniła Liz Chipowi. – Mam nadzieję, że to nie jest ukoronowanie mojej kariery, ale pojawiłam się w kilku programach, by opowiedzieć o Jillian, i moje wrażenie na temat producentów, z którymi miałam do czynienia, było takie, że to ludzie bardzo inteligentni i przyjaźni, lecz całkowicie bezwzględni w dążeniu, byś przed kamerą powiedział to, czego oni oczekują.

– Co do tego się zgadzam – odparł Chip.

– Więc dlaczego to zrobiłeś? – spytała, mając nadzieję, że w jej głosie nie słychać żadnego wyzwania.

Na twarzy Chipa odmalowało się coś dziwnego, a może tak się tylko Liz

wydawało, bo nie znała go zbyt dobrze; nie była pewna, czy widzi zakłopotanie czy dumę, ale gdy odpowiedział, ewidentnie zrobił to całkowicie szczerze. I spojrzał przy tym na Jane.

– Żeby znaleźć miłość.

## Rozdział 29

Po obiedzie Jane pojechała z Chipem do niego, a on ją odwiózł do Tudor przed szóstą rano, w drodze do pracy. Liz słyszała, że Jane stara się robić jak najmniej hałasu, kiedy wchodziła do łazienki na drugim piętrze. Ucieszyła się, że będzie miała okazję porozmawiać z siostrą. Uzgodniły, że z samego rana pójdą na jogging – do południa temperatura miała wzrosnąć do trzydziestu pięciu stopni – i przeszły teraz przez cichy, pogrążony w półmroku dom, gdy reszta rodziny smacznie spała. Na podjeździe zaczęły się rozciągać.

– Nie wydaje ci się, że mama mnie swata z kuzynem Williem? – spytała Liz, opierając ciężar ciała na lewej nodze. – Chociaż jest w mojej sprawie bardzo zdesperowana, mam nadzieję, że nie dopuszcza myśli o kazirodztwie.

– To twój niespokrewniony kuzyn, więc, technicznie rzecz biorąc, nie ma mowy o kazirodztwie.

– Rzeczywiście – przyznała Liz. – Ale i tak, nawet technicznie rzecz biorąc, to ohydne. – Wskazała ulicę. – Gotowa?

Biegły podjazdem, gdy Jane się odezwała:

– Jeśli nie chcesz, by ludzie traktowali cię jak singielkę, mama czy ktokolwiek inny, możesz im powiedzieć, żeby tego nie robili. – To nie był nowy temat rozmowy; Jane uważała, że przynajmniej rodzice powinni wiedzieć o Jasperze, zwłaszcza że pani Bennet mogłaby się wykazać zrozumieniem dla delikatnej sytuacji związanej z bogatą babcią żony Jaspera.

– Chodzi ci o to, że mam być tak otwarta jak ty ze swoim in vitro? – Zerknęła na siostrę i dostrzegła grymas na jej twarzy. – No żartuję przecież – dodała. – Myślałam, że ostatnia noc z Chipem przebiegła doskonale.

Zamilkły, bo przejeżdżały trzy SUV-y w różnych odcieniach srebra, a potem Jane powiedziała:

– Może Chip jest właściwym facetem w niewłaściwej chwili. Chciałabyś mieszkać w Cincinnati? W sensie, że na stałe?



Liz zachichotała.

– Zaraz, zaraz, zamierzasz z nim zerwać albo zostać tu na zawsze jako jego żona?

– Są inne powody prócz Chipa, by mieszkać w Cincinnati.

– Podaj jeden. I nie mów, że życie w Cincinnati jest tańsze, bo wszędzie życie jest tańsze niż w Nowym Jorku.

Jane się uśmiechnęła.

– A jednak się wkurzyłaś, że Darcy’emu się tu nie podoba. – Zbliżyły się już do Country Clubu. – W Nowym Jorku o wszystko trzeba walczyć. I chociaż kiedyś miałam wrażenie, że nie mogłabym mieszkać w Cincinnati, bo nie miałabym tu własnej tożsamości... zawsze byłabym córką Freda i Sally albo jedną z Bennetówien... może się myliłam. Gdy rozmawiałam w szpitalu z pielęgniarkami opiekującymi się tatą albo jak któregoś wieczoru poszłam na wykład do świątyni hinduistycznej, zrozumiałam, że Cincinnati nie jest jedno, lecz ma wiele twarzy. Wiem, to brzmi debilnie, bo to truizm, ale większość miasta nie ma nic wspólnego z Seven Hills albo z Hyde Parkiem, albo – wskazała na prawo – z Country Clubem.

– Więc gdzie byś mieszkała? W Over-the-Rhine?

Jane się zmieszała.

– Och, zdecydowanie chcę mieszkać w Hyde Parku. Nie przez płot z rodzicami, ale może gdzieś koło Erie Avenue.

Czy Jane przeszukiwała strony agencji nieruchomości? Czy to byłaby zdrada, gdyby Liz sprawdziła historię na własnym laptopie, z którego Jane czasami korzystała?

– Jeślibym tu wróciła – oznajmiła Liz – na pewno znalazłabym jakieś fajne miejsce dla siebie. Nie musiałabym robić rezerwacji na rower stacjonarny ani czekać w kolejce do spożywczego. Ale myślę, że pewnego dnia bym stanęła i puknęła się w głowę: „Co ja, kurwa, najlepszego zrobiłam?”.

– Ciągłe mówisz jak Darcy. A skoro o nim mowa, Chip zamierza wydać kolację i chce, żebyś przyszła. Ale ostrzegam, że będzie Darcy... i oczywiście też Caroline.

– Z rozkoszą wezmę udział w tej kolacji. Chętnie przymknę oko na straszliwy gust Chipa do przyjaciół i sióstr ze względu na jego mądrość, że się w tobie zakochał.

– Caroline jest w sumie miła, jak ją widuję u nich w domu.

- Jasne, jasne.
- W tym tygodniu Darcy ma wolny wieczór wyłącznie w niedzielę. Mogę przekazać Chipowi, że przyjdiesz?
- Nie tylko przyjdę, ale będę uosobieniem czarującej kobiety o olśniewających manierach.

## Rozdział 30

– Chodź tu – wyszeptała Kitty. Kiwała palcem, stojąc w otwartych drzwiach sypialni dla gości na piętrze.

– Po co? – spytała Liz normalnym głosem.

– Ćśśś! – uciszyła ją Kitty.

Zbliżywszy się do siostry, Liz usłyszała rytmiczny terkot, jakby wiatraka. Stanęła na progu sypialni i ujrzała kuzyna Williego leżącego na plecach ze zrzuconą kołdrą. Miał na sobie jedynie białe slipy. Jego usta były szeroko otwarte i chrapał niewiarygodnie głośno. Kitty stojąca obok Liz skręcała się ze śmiechu.

I wtedy za nimi pojawiła się Lydia, która najwyraźniej poszła po smartfona. Wysunęła rękę i wycelowała aparat w Williego. Liz wyrwała jej telefon i wsadziła go sobie pod pachę.

– Nie – powiedziała, znowu normalnym głosem.

– Oddawaj – syknęła Lydia, rzucając się na Liz.

– Pod warunkiem, że dasz mu spokój. – Na obecnym etapie dorosłości Liz wolała unikać bitek z siostrami, ale im dłużej była w Cincinnati, tym bardziej wątpiła, że uda jej się wytrwać w tym postanowieniu.

– Oddawaj – powtórzyła Lydia.

– On nawet się nie dowie – zapewniła Kitty.

– Właśnie – odparła Liz. – Jeśli przyłapię którąś z was, jak go fotografuje, powrzucam wasze telefony do sedesu.

– Pierdol się – warknęła Lydia. Gdy ponownie sięgnęła po smartfona, Liz go puściła. Młodsze siostry odeszły dumnym krokiem, a ona zajrzała do sypialni. Spodziewała się, że całe to zamieszanie obudzi Williego, ale on nadal niewzruszenie chrapał. Liz delikatnie zamknęła drzwi.

## Rozdział 31

Jej artykuł o problemach towarzyszących staraniom o podwyżkę miał być gotowy na koniec tygodnia, a Liz ciągle nie zdołała się umówić na wywiad z Kathy de Bourgh, słynną feministką. Do jej rzeczniczki słała mejle, których kolejne iteracje były lekkie i niezobowiązujące, poważne, służalcze i rozpaczliwe. Przeczytała ponownie *Rewolucje i rebelie*, klasyczną pracę Kathy de Bourgh stanowiącą opis czasów spędzonych w ruchu kobiecym od początku lat sześćdziesiątych do dziś: marsze i strajki okupacyjne, aresztowania, zeznania Kathy de Bourgh przed Senacką Komisją Sądownictwa w sprawie Poprawki o równych prawach, co miało miejsce (ten szczegół rozpalił wyobraźnię Liz, kiedy po raz pierwszy czytała książkę na początku college'u) tego samego dnia, gdy odwołała swój ślub z uwodzicielsko przystojnym prokuratorem generalnym z Nowego Jorku. Choć i tym razem w pełni oddała się lekturze, wiedziała, że jej redaktor naczelna nie ucieszyłaby się, gdyby wykorzystwała cytaty z kilkudziesięcioletniej książki zamiast świeżych wypowiedzi z wywiadu.

*Mam pełną świadomość, że terminarz pani de Bourgh jest wypełniony po brzegi – napisała Liz w ostatnim mejlu do rzeczniczki – ale gdybym mogła z nią porozmawiać przez telefon choćby przez pięć minut, nasi czytelnicy na pewno z rozkoszą zapoznaliby się z jej punktem widzenia. I przypomnę jeszcze, że my w „Mascarze” nadal z dumą uważamy panią de Bourgh za rodzinę.* Zanim Kathy de Bourgh została zawodową aktywistką, sama była reporterką i przez dwa lata pisała dla „Mascary”. To pracodawca Liz opublikował w 1961 roku legendarny materiał o tym, jak to Kathy de Bourgh była zatrudniona jako tancerka w nocnym klubie przy Times Square.

Właśnie kliknęła „wyślij”, gdy do pokoju weszła jej matka. Rozejrzała się, jakby szpiegując.

– Czy Lydia spotyka się z kulturystą? – wyszeptwała.

– Masz na myśli tego Hama? – spytała Liz niepewnie.

Pani Bennet sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

– W siłowniach bywa bardzo brudno. Na sprzącie jest mnóstwo zarazków.

– Ja mam wrażenie, że Kitty i Lydia są całkiem zdrowe.

Pani Bennet zrobiła krok do przodu.

– Możesz wyszukać tego kulturystę w komputerze?

Liz zerknęła na zegarek.

– Za minutę wychodzę z Williem na miasto.

– Tak na szybko, to nie potrwa długo.

Liz westchnęła i wyświetliła tę samą stronę z Hamem, którą już wcześniej wyszukała. Matka nachyliła się do monitora.

– O, bardzo przystojny. – W jej głosie było słycać zdumienie i zadowolenie. – Zobacz, chodził do college'u!

A więc to było źródło troski.

– Skąd ty w ogóle o nim wiesz? – spytała Liz.

– Słyszałam rozmowę. O mój Boże! – Pani Bennet wyczytała kolejne informacje. – Czy ROTC oznacza, że jego rodzina nie mogła sobie pozwolić na chesne?

– Tak czy owak, crossfit jest bardzo popularny – powiedziała Liz. – Założę się, że sytuacja finansowa Hama jest stabilna.

– Mam nadzieję, że nie przyjmuje sterydów. Wiesz, że od nich maleją jądra?

Usiłując zignorować nieprzyjemny odgłos, który towarzyszył artykulacji słowa „jądra”, Liz powiedziała:

– Wydaje mi się, że sterydy nie idą w parze z crossfitem.

– Twój kolega Jasper... – zmieniła temat pani Bennet. – Jest może żonaty?

Liz zamarła. Czy tą rozmową o zarazkach w siłowniach i jądrach Hama matka zwabiła ją w pułapkę?

– Jest żonaty – potwierdziła, patrząc prosto przed siebie, nie na matkę.

– Nie mogłam sobie przypomnieć – dodała pani Bennet, a Liz pomyślała: „Jasne, jasne”.

Uśpiła komputer i zatrzasnęła klapę.

– Chcesz się wybrać na wycieczkę z Williem i ze mną?

– Och, byłabym piątym kołem u wozu – odrzekła pani Bennet z głębokim przekonaniem. – Na pewno macie mnóstwo tematów do nadrobienia.

## Rozdział 32

Kuzyn Willie kazał na siebie czekać. Najwyraźniej nadal funkcjonował według czasu pacyficznego. Zasnął i w południe, czyli o godzinie, którą ustalili na wyjście, dopiero brał prysznic.

Pomimo upału Liz czekała na niego na zewnątrz, usiadła na schodach wejściowych Tudor i wyjęła smartfona; sprawdzenie go nie poprawiło jej nastroju, gdyż znalazła wiadomość od rzeczniczki Kathy de Bourgh informujący, że pani de Bourgh będzie dostępna przez najbliższe dziesięć minut. Mogłaby jeszcze z tej możliwości skorzystać, owszem, chociaż żałowała, że nie przeczytała mejla po czasie, gdy nie miałyby już na to szans. Bo chociaż była w stanie pognać schodami na górę, włączyć dyktafon i zadać poważne pytania, mając nadzieję, że Kathy de Bourgh nie usłyszy jej dyszenia, to jednak brakowało jej chęci. W tym momencie daleko jej było do dorosłej, profesjonalnej dziennikarki; siedząc w upale w T-shircie, niezbyt stylowych szortach i klapkach, czekając na głupkowatego kuzyna, czuła się raczej jak spocona, naburmuszona nastolatka. *Bardzo mi przykro, ale właśnie rozpoczynam spotkanie – napisała z telefonu do rzeczniczki. – Jestem ogromnie rozczarowana i bardzo wdzięczna, że pani de Bourgh znalazła czas na rozmowę ze mną. Może da się ją przełożyć na wieczór?*

Choć w gburowatym nastroju, Liz uświadomiła sobie, że to nie wina kuzyna Williego, i gdy już usiadł na fotelu pasażera w cadillacu jej ojca, wysiliła się na radosny ton.

– Myślałam, żeby zacząć od nabrzeża. Fajnie się spaceruje po Bicentennial Commons, chociaż teraz jest parno. Później możemy pójść do Freedom Center, a potem zjeść lunch w Skyline Chili.

– Świetnie – odrzekł Willie. – Zawsze lubiłem spędzać z tobą czas, Lizzy.

– Przypomnij mi, nad czym teraz pracujesz – poprosiła i w zasadzie już nic więcej nie musiała robić, bo przeszedł do wygłoszenia monologu, który

trwał całą drogę. Mówił o równoważeniu obciążenia, strategii skalowalności, użyciu procesora, certyfikatach SSL i oknach czasowych przerw technicznych albo braku tychże. Wreszcie, gdy zjeżdżali z Pete Rose Way na parking, Liz mu przerwała:

– A opowiedz mi o najbardziej cool kobiecie w Dolinie Krzemowej. Takiej, o której jeszcze nie słyszałam.

Willie się zmieszał.

– Cool pod jakim względem?

– Pociągającej za sznurki, dobrze rokującej. Takiej, której nazwisko będzie na ustach wszystkich za dwa lata.

– Jeśli chcesz napisać afirmatywny artykuł o kreatywnej bizneswoman, to większe masz szanse znaleźć czterolistną koniczynę.

Trochę ją zaskoczył.

– No a kto będzie następną Nancy Nelson? – Nelson była prezesem zarządu jednej z największych na świecie firm software’owych.

– Właśnie o to mi chodzi. Przyjęto ją do tej pracy dwa lata po pierwszej ofercie publicznej. To biały kołnierzyk, a nie wizjoner.

– Wiem, że nie jest programistką, ale przecież ma na koncie imponujące osiągnięcia. – I nagle zmieniła temat: – Chodzisz do stylisty?

W jej zamierzeniu miało to być bardzo rzeczowe pytanie, tymczasem Willie wyraźnie się ucieszył.

– Pomaga mi pewna kobieta w Nordstromie, Yvette. Dziękuję, to wiele dla mnie znaczy, że zauważyłaś, Lizzy, biorąc pod uwagę, gdzie pracujesz.

– No, nie pracuję w dziale mody. Ale proszę bardzo.

Po chwili ciszy Willie powiedział:

– Nie masz chłopaka, prawda? Zakładam, że gdybyś miała, coś bym o tym słyszał.

Liz się zawahała.

– Nie do końca – odparła.

– Chcesz mieć dzieci? – Takie bezpośrednie pytanie było osobliwe, ale nie obraźliwe, na pewno mniej obraźliwe niż jego uwaga o kreatywnej bizneswoman. W jej rodzinie takich pytań raczej unikano, nikt nie omawiał otwarcie tej kwestii. Panieński stan wszystkich pięciu sióstr czynił je anomalią, zabawną lub bulwersującą, zależnie od punktu widzenia, aczkolwiek i w jednym, i w drugim wypadku rzadko dostrzegano indywidualność poszczególnych Bennetówien.

Liz wiedziała jednak, że lepiej nie odpowiadać szczerze.

– Nie jestem pewna. A ty?

– Oczywiście. Liz, będziesz świetną mamą. W odniesieniu do kogoś takiego jak ty, z twoimi genami, nie mieć dzieci to prawdziwe marnotrawstwo. – Najwyraźniej uważał, że ją komplementuje.

– A ty się z kimś spotykasz?

– Prawdę mówiąc, mnóstwo kobiet, które poznaję, to naciągaczki. Ostatnio myślałem, że zabieram damę na kolację, a okazało się, że to kobieta lekkich obyczajów.

Willie nie wygłosił tego żartobliwym tonem, więc Liz starała się nie rozeźmiać.

– Jak się zorientowałaś? – spytała.

– W końcu wspomniała o należności.

Liz przycisnęła grzbiet dłoni do ust, ale nie zdołała całkowicie stłumić parsknięcia.

– Przepraszam – wydusiła. – Nie chciałam... musiałeś być przerażony. Ale jak to... powiedziała: „A teraz musisz mi zapłacić”?

– Poszliśmy na kolację, ja odnosiłem wrażenie, że dobrze się bawimy. Spytałem, czy napiłaby się u mnie wina, a ona na to: „Jasne, za tysiąc dolców”.

– Jezu. Chyba wybrałam niewłaściwy zawód.

Liz zaparkowała, wysiedli i ruszyli dróżką nad rzekę.

– Nie doszło do penetracji – dodał Willie. – Tylko obciążanie. Ale nie myślisz o mnie źle, prawda?

Szli obok siebie, więc Liz miała nadzieję, że kuzyn nie widzi obrzydzenia, które przemknęło przez jej twarz. Nie przyszło jej do głowy, że jednak zaakceptował warunki prostytutki. Lecz nie mogła zaprzeczyć, że sama trochę poprowadziła konwersację w tym kierunku.

– Jestem pewna, że mnóstwo kobiet chciałoby się z tobą umówić za darmo.

– Liz... – Willie dotknął jej łokcia. – Nigdy nie robiłem czegoś takiego jak płacenie za seks. Po prostu... nie mam wielkiego doświadczenia. Nie jestem już prawiczkim, ale przestałem nim być dopiero w wieku dwudziestu trzech lat.

– Nie musisz mi się tłumaczyć, naprawdę.

– Nie mów o tym Margo, proszę.



– Oczywiście, że nie powiem! Najlepiej już nigdy o tym nie mówmy.

## Rozdział 33

Skyline Chili w Oakley wcale nie było najbliższą knajpą w drodze z Freedom Center, ale Liz najbardziej ją lubiła. Bennetowie często tu przychodzili, gdy była mała, na długo, zanim zrozumiała, że słynne połączenie spaghetti i mielonej wołowiny doprawionej cynamonem i kakao, tartym cheddarem i krakersami cebulowymi to w zasadzie fast food. O czternastej, kiedy Liz i Willie weszli do restauracji, była ona prawie pusta. Liz zauważyła go natychmiast: przy barze, samotnie, zdaje się, siedział Fitzwilliam Darcy. Miał na sobie granatowe polo i najwyraźniej jadł „trójkę”, jak mówiono na makaron, chili i ser. „Czwórka” była wzbogacona o fasolkę albo surową cebulę, a „piątka” o jedno i drugie.

Udawała, że go nie widzi. Willie zamówił podwójnego *cheese coney* – hot doga z musztardą, chili, cebulą i tartym serem, a Liz „czwórkę” z fasolką. Gdy kuzyn rozpoczął przydługą analizę bitcoinów, z ulgą przypomniała sobie, że do niewątpliwych atutów tej sieciówki należy sprawność obsługi; nie minęło pięć minut, a kelnerka przyniosła im sownicie wypełnione owalne talerze.

– Prawdę mówiąc, interfejs nie wychodzi naprzeciw potrzebom użytkownika – ciągnął Willie, kiedy Liz rozkruszyła krakersy ostrygowe i posypała nimi swoje danie. – Ale nie jest tak źle. Dlaczego to robisz?

– Też to zrób. Tak się robi w Skyline.

– To obowiązkowe?

– Tak, a jeśli się nie zastosujesz, zostaniesz aresztowany przez chili-policję. – Willie patrzył zmieszany, więc Liz dodała: – Żartuję. Rób, co ci się podoba.

Wziął jednego krakersika i skubnął go kciukiem i palcem wskazującym.

– Spróbuj tak. – Liz nabrała całą garść, zmiażdżyła krakersy w dłoni i okruchy wrzuciła na jego danie. – Nie myśl za dużo.

– Nie miałem pojęcia, że udzielasz prywatnych lekcji – odezwał się

męski głos. Liz nie musiała podnosić wzroku, by przekonać się, że to Darcy. Aczkolwiek podniosła.

Wskazała miejsce naprzeciwko.

– Mój kuzyn Willie jest przyjezdny – powiedziała.

– Fitzwilliam Darcy. – Darcy wyciągnął rękę.

Willie wstał, wymienili uścisk dłoni.

– Will Collins.

– Przychodzisz tu regularnie? – spytała Liz Darcy’ego półkpiąco.

– Staram się nie częściej niż raz w tygodniu. – Poklepał się po brzuchu, zdecydowanie płaskim. – Wszystko z umiarem.

– Nie przyszłoby mi do głowy, że jesteś wielbicielem Skyline. Staramy się, żeby goście choć spróbowali tego jedzenia, ale zwykle ludzie, którzy wychowali się poza Cincinnati, go nie lubią.

Darcy przybrał wyniosłą minę.

– Chyba już ustaliliśmy, że niewiele wiesz na mój temat. – Skinął głową Williemu. – Miłego dnia – rzucił i odszedł.

## Rozdział 34

Wieczorem po kolacji pani Bennet i jej córki zbierały się w salonie na piętrze, by pooglądać telewizję. Tego konkretnego wieczoru do matrony rodu dołączyły Liz i Mary, a także ciotka Margo; Jane udała się do Chipa, a Kitty i Lydia bawiły się na urodzinach kogoś z ich siłowni. (Tort – Liz po prostu musiała spytać – przygotowano z mąki migdałowej i ozdobiono polewą na bazie oleju kokosowego).

Tak jak niektórzy ludzie lubią przed telewizorem robić na drutach, tak pani Bennet przeglądała katalogi artykułów wyposażenia wnętrz; odgłos przewracania stron, to szybkie szurnięcie, kiedy żaden produkt nie przyciągnął jej uwagi, i przerwy, gdy jakiś wpadł jej w oko, od czasu do czasu liźnięcie palca wskazującego – wszystko to należało do fundamentalnych wręcz dźwięków dzieciństwa Liz. Dzięki temu zwyczajowi pani Bennet najwyraźniej mogła zachować wiarę, że w zasadzie nie ogląda show wszelkiej maści, chociaż przebywała w pomieszczeniu w trakcie całych odcinków, a w niektórych przypadkach – nawet całych sezonów.

Właśnie dotarli do połowy programu, w którym gotowano na ekranie, kiedy do pokoju zajrzał Willie.

– Liz – rzekł – może chciałabyś pójść na spacer?

– Ja?

– Mamy chyba ładny wieczór.

Liz siedziała przygarbiona na podłodze, opierając się plecami o kanapę. Obejrzała się przez ramię, najpierw na matkę, później na ciotkę Margo. Jakże irytujące, że zamiast tylko wypełnić obowiązek wobec Williego, oprowadzając go po mieście, dopuściła do tego, by ujrzał w niej świetnego kumpla.

– Liz i Jane rano biegają – odezwała się pani Bennet. – Powinieneś się z nimi wybrać, Willie.

– Bieganie w trójkę jest niewygodne – zastrzegła Liz. Niestety poczuła,

że jej odpowiedź była niegrzeczna. – Ale możemy pójść na szybki spacer. Chcesz, Mary?

Mary bez skrępowania pokręciła głową.

Liz obawiała się, że Willie będzie chciał kontynuować tamtą rozmowę o prostytutce – może potrzebował silniejszego zapewnienia, że ona nikomu tego nie powtórzy – ale gdy wyszli, wyglądało na to, że nie ma żadnych konkretnych planów.

– Mam nadzieję, że się tutaj nie nudzisz – zagała, kiedy skręcili na Grandin Road. – Obawiam się, że w Cincinnati lepiej mieszkać, niż je zwiedzać.

– Tak to widzę – odrzekł, a ponieważ po prostu się z nią zgadzał, Liz kolejny raz starała się nie poczuć urażona. – Jutro mam trochę pracy i zastanawiam się, czy poleciałabyś mi jakąś kawiarnię? Przepustowość u twoich rodziców to jakiś żart.

– Na Hyde Park Square jest knajpka Awakenings. – Upał trochę zelżał i na dworze było w tej chwili wręcz miło. Wokół nich dzwoniły cykady. – Po ukończeniu college'u – podjęła Liz – przyjechałam tu latem na kilka miesięcy, zanim przeprowadziłam się z Jane do Nowego Jorku. Grałyśmy kiedyś z Mary w dwadzieścia pytań, czekając na zamówienie w chińskiej knajpie. Wtedy jeszcze nie miałyśmy komórek. No, w każdym razie ja zgadywałam i chodziło o osobę z Cincinnati. Dotarłam do dwudziestego pytania i ciągle nie wiedziałam, kogo Mary ma na myśli. A jestem dobra w dwadzieścia pytań. – Liz się roześmiała. Że też pokusiło ją przechwalać się czymś tak mało imponującym! – Mary powiedziała, że chodzi o mnie. To o mnie myślała, a ja siebie nie zgadłam. I byłam święcie oburzona, że przecież nie mieszkam w Cincinnati! Mieszkam w Nowym Jorku. No, szkoda gadać.

Mijali właśnie niewielkie chateau, które nawet w swojej zmodyfikowanej wersji miało jakieś siedemset metrów kwadratowych.

– Chyba jestem oportunistką, jeśli chodzi o Cincinnati – ciągnęła Liz. – W Nowym Jorku gram kartą krzepkiej mieszkanki Środkowego Zachodu, ale gdy tu wracam, uważam się za przyjezdną elegantkę.

Jeszcze zanim Willie się odezwał, Liz poczuła osamotnienie i rozczarowanie, że zwierzyła się osobie, której zupełnie ten temat nie obchodzi. Niemniej jednak słowa kuzyna okazały się bardziej rozczarowujące, niż mogła się tego spodziewać.

– To chili – rzekł mianowicie – było okej, ale ciągle bekam i czuję jego smak.

– Wszyscy tak mają. Po prostu odbija ci się nim.

## Rozdział 35

Liz i Jane nie zabierały ze sobą telefonów na poranny jogging, więc esemes od Jaspera Liz odebrała dopiero, gdy zjadła śniadanie i poszła na górę wziąć prysznic. *Mam świetny pomysł, zadzwoń do mnie* – przeczytała. I następny: *Nie chcesz wiedzieć, dlaczego jestem geniuszem?* Weszła do łazienki i usiadła na skraju wanny, nadal w szortach i topie do biegania.

Jasper odebrał po drugim sygnale.

– Cincinnati jest tak jakby światową stolicą squasha, prawda? – spytał, nie witając się.

– Tak, rzeczywiście.

– Co roku dostarcza uczelniom Ivy League obłędną liczbę zawodników. Ale dlaczego Cincinnati?

– Dobre pytanie – przyznała Liz.

– Nie sądzisz, że to się aż prosi o artykuł?

W niespełna dwie sekundy Liz pomyślała: „Ale ja muszę napisać następne *Siłaczki*, jak już skończę ten o podwyżkach”, a następnie: „Fajny pomysł, żeby skorzystać z okazji i zrobić relację z Cincinnati”, i jeszcze: „A ponieważ w zasadzie nie pisuję o sporcie, byłoby to ciekawe wyzwanie”. Sama w dzieciństwie nie grała w squasha, ale znała dzieciaki w Seven Hills, które namiętnie to robiły.

– Przede wszystkim jednak – mówił dalej Jasper – zdobędę wymówkę, żeby przyjechać i wyobrazić cię w pokoju hotelowym, za który dostanę zwrot kosztów. Same plusy, co?

– Rzeczywiście – odparła Liz, trochę zażenowana, że wcześniej wyobraziła sobie, że Jasper chce jej przydzielić ten artykuł.

– Poza tym – ciągnął – mógłbym wpaść na jeden ze słynnych Bennetowskich obiadów. I zobaczyć twoje gniazdo rodzinne.

Przed laty Jasper poznał państwa Bennetów i nastoletnie Kitty oraz Lydię, gdy ci wybrali się do Nowego Jorku podziwiać uruchomienie

świetnych dekoracji na choince w Rockefeller Center. Ku żywotnemu zaniepokojeniu Liz czternastoletnia Kitty bardziej się chciała dowiedzieć od starszych sióstr, jak się zdobywa receptę na pigułki antykoncepcyjne, niż oglądać The Rockettes. Lydia, wówczas jeszcze stosunkowo niewinna, skupiła się na nabyciu bielizny w Bloomingdale z napisem BLOOMIE na tyłku. Jak niemal zawsze w wypadku Jaspera, przedstawianie mu rodziny na brunchu było kuszące, a jednocześnie niesatysfakcjonujące: „To facet, który jest prawie moim chłopakiem”. Oczywiście nic takiego nie powiedziała, a ciekawskie pytania matki zbywała wyjaśnieniem, że Jasper jest tylko kolegą.

– Mogłeś wpaść na rodzinny obiad – rzuciła – zanim mi przysłałeś dziwkarską bieliznę.

– Musisz się z tym pogodzić, Nin. Słyszałaś o takim dzieciaku, który się nazywa Cheng Zhou?

– Nie.

– To podobno geniusz. Jedenastoletnie dziecko chińskich imigrantów zgarniające jakąś chorą liczbę tytułów w squashu.

– Interesujące. Ja ten sport kojarzę głównie z bogatymi białymi.

– Widzisz! – rzekł Jasper. – Już wiem więcej od ciebie na temat twojego rodzinnego miasta.



## Rozdział 36

Liz weszła do gabinetu ojca.

- Myślisz, że mama jest uzależniona od zakupów?
- Bez wątpienia – odparł spokojnie pan Bennet z za biurka.
- Nie żartuję.
- Ja też nie.
- Sądzisz, że należałoby coś z tym zrobić?
- Na przykład?
- Nie wiem. Na przykład mogłaby się spotkać z terapeutą.
- Wyobrażasz sobie, że twoja matka zgodziłaby się na coś takiego?

Liz westchnęła i skrzyżowała ramiona na piersi. Czy to możliwe, że zanim Jane zajęła się jogą, ich ojciec po cichu osiągnął jakiś stan zen, który chronił go przed perturbacjami życia codziennego? Czy chodziło tylko o to, że nie dało się go zaangażować w żaden temat, tak był znudzony niedostatkami członków rodziny?

Z piętra dobiegł głos ciotki Margo:

– Fred, co się stało z lustrem mamusi? Tym, które wisiało kiedyś w jadalni?

– Wyjdź i zamknij za sobą drzwi – syknął pan Bennet. – Szybko. I powiedz jej, że nie wiesz, gdzie jestem.

## Rozdział 37

W ostatniej chwili Jane spytała Chipa, czy w kolacji może wziąć udział kuzyn Willie. Ten wraz z ciotką Margo następnego ranka wracał do Kalifornii i Liz podejrzewała, że jej siostra ma wyrzuty sumienia, bo prawie nie spędzała z nimi czasu.

Chip mieszkał na siódmym piętrze nowego budynku w Oakley, niedaleko Skyline Chili. Liz od progu stwierdziła, że wnętrza tak bardzo przypominają te w ekskluzywnym hotelu przy lotnisku – dywan w geometryczne wzory, na ścianach neutralne grafiki, eleganckie i niezbyt wygodne z wyglądu kanapy i krzesła – że zastanowiła się, czy aby Chip nie wynajął lokalu już urządzonego.

– Wejdźcie, proszę – powiedział gospodarz, przywitawszy się z Liz całusem w policzek, i było w tym coś ewidentnie szwagrowskiego, następnie serdecznie uścisnął dłoń Williego, a Liz w tym momencie polubiła go z całej duszy – Napijcie się czegoś? Caroline przygotowała swoją popisową sangrię i niech was nie zwiedzie jej słodycz. Jest zabójcza.

– Niektórzy mówią to samo o Caroline – szepnęła Liz do Jane. A dostrzegłszy zaniepokojenie na jej twarzy, rzuciła: – Przepraszam.

W jadalni nakryto dla dziewięciu osób – dwa krzesła stały u jednego szczytu stołu, prawdopodobnie tu znalazło się dodatkowe miejsce dla Williego – a przy barku, zorganizowanym na blacie kredensu, Caroline podawała drinka Charlotte Lucas oraz Keithowi, lekarzowi SOR-u, którego Liz poznała na barbecue u Lucasów, i atrakcyjnej kobiecie, również czarnej, w której domyśliła się mieszkającej w San Diego narzeczonej Keitha. To założenie zostało potwierdzone przy prezentacji, w trakcie której – przez przeszkłone przesuwne drzwi prowadzące na niewielki betonowy balkon – Liz nawiązała nieoczekiwany i silny kontakt wzrokowy z Fitzwilliamem Darcym.

Stał plecami do ulicy w dole, łokciami wspierał się na balustradzie,

a w prawej dłoni trzymał szklankę sangrii. Wyglądał, zdaniem Liz, jak model w folderze reklamowym domu towarowego: przystojny, owszem, ale kapryśny w dość niedorzeczny i niepotrzebny sposób. Nie wymienili uśmiechów, nie odwrócili też natychmiast wzroku. Uświadomiła sobie, że Darcy jest na balkonie sam. Co za dziwny człowiek...

Coś pchnęło ją ku niemu, chociaż nie umiałyby powiedzieć, czy to współczujący odruch, by ruszyć z odsieczą osobie ewidentnie samotnej na przyjęciu, czy odczucia o wręcz przeciwnym zabarwieniu. Odsunęła drzwi i wyszła. Na balkonie stały jedynie dwa wąskie krzesła z kutego żelaza.

– Rozkoszujesz się orzeźwiający letnim wieczorem? – spytała. Chociaż wybiła dziewiętnasta, powietrze wciąż było lepkie i gęste. Darcy zrobił wielkie oczy, a ona dodała: – Możesz mi nie wierzyć, ale to jedno zawsze lubiałam w lecie na Środkowym Zachodzie. Lubię nawet dzwonięcie cykad.

Darcy napił się sangrii.

– Nie wątpię.

– Mam dla ciebie cenną informację o Cincinnati. Rodzi się u nas dziwnie nieproporcjonalna liczba mistrzów squasha. Wiedziałaś o tym?

– Tak – odrzekł Darcy. – Wiedziałem.

– Naprawdę? – Popatrzyła z powątpiewaniem.

– Grałem w squasha w szkole z internatem.

Liz nie mogła się powstrzymać od kpiącego uśmiešku.

– Ach, no przecież. Do której szkoły z internatem chodziłeś?

– Exeter.

– Słyszałam o niej. – Liz uśmiechnęła się z wyższością. – A gdzie w takim razie studiowałeś?

Odpowiedział dopiero po chwili.

– Do college’u poszedłem w Bay Area.

– Berkeley? Stanford?

– Stanford.

– Nigdy nie pojmowałam, dlaczego ludzie to robią. Na przykład mówią: „Poszedłem do college’u w New Haven” albo „Poszedłem do college’u w Bostonie”. Myślisz, że gdybyś mi zdradził swoje elitarnie wykształcenie, zemdlałabym z onieśmienia?

Darcy wzruszył ramionami.

– Wydaje się to mniej pretensjonalne.

– To jest właśnie bardziej pretensjonalne! Wiesz co? Poradzę sobie

z twoim Stanford. Sama chodziłam do Barnard. I wiesz co jeszcze? Od dwudziestu lat mieszkam w Nowym Jorku. Jane też.

– Tak, wspominałaś o tym u Charlotte – odrzekł Darcy spokojnie. – W trakcie tej samej rozmowy, gdy mówiłaś, że „Mascara” wysłała cię do Arabii Saudyjskiej, gdzie nosiłaś abaję i chustę na głowie.

Coś ją zaniepokoiło w jego słowach.

– Och – odparła Liz. – No, może o tym rozmawialiśmy.

– Może nie zdawałaś sobie sprawy, że ja naprawdę słucham.

– Wiesz... w którym roku robiłaś dyplom? Założę się, że jesteśmy prawie w tym samym wieku.

– W dziewięćdziesiątym siódmym.

– W takim razie byłeś na tym samym roku co mój przyjaciel. Znałeś Jaspera Wicka?

– Tak. – Ten zbieg okoliczności najwyraźniej nie zrobił na Darcym wrażenia.

– Nie sądzisz, że to godne uwagi?

– Niespecjalnie.

– Naprawdę? Że rozmawiamy tu, w Cincinnati, w dwa tysiące trzynastym roku, a ty chodziłaś do college’u w Kalifornii w połowie lat dziewięćdziesiątych z moim najbliższym przyjacielem?

– Tak działa stratyfikacja społeczna. Jestem pewien, że mamy więcej wspólnych znajomych, choć osobiście uważam grę w nazwiska za nużącą.

– Aha. No to przepraszam, że cię nudzę.

Darcy nie zaprzeczył. Nic nie powiedział.

– Jasper niedługo przyjeżdża do Cincinnati – dodała Liz. – Będzie pisał artykuł o graczach w squasha. Może powinniście się spotkać.

– Myślę, że obowiązki mi na to nie pozwolą.

– Nie lubisz go czy coś?

– Nie przyjaźniliśmy się. – Niewiarygodnie irytowała ją niechęć Darcy’ego do wdawania się w szczegóły, jego oczywiste przekonanie, że nie musi niczego wyjaśniać. To wyrzekanie się konwenansu mniej by drażniło, gdyby zasady etykiety w ogóle były mu obce, a przecież oczywiście nie były.

– Kochaliście się w tej samej dziewczynie? – spytała Liz.

– Caroline wspomniała, że masz skłonność do wypytywania.

– Niektórzy ludzie uważają zadawanie pytań za przyjazne i grzeczne. Poza tym jestem dziennikarką.

– Może zostałam dziennikarką właśnie po to, by mieć zawodowe usprawiedliwienie dla wścibstwa. – Darcy znowu napił się sangrii i na krótką chwilę ślad purpurowego płynu przylgnął do jego warg. Natychmiast się oblizał. – Przepraszam – powiedział nagle. Skłonił głowę i wszedł do środka, zostawiając Liz samą na balkonie.

## Rozdział 38

Na kolację zaplanowano pizzę – każdy gość miał skomponować swoją, wedle uznania dobierając przygotowane dodatki: suszone pomidory, świeżą bazylię, oryginalne salami. Liz spodobał się sam pomysł niezobowiązującego menu, ale szybko się okazało, że do chwili przybycia gości Chip nie wyrobił ciasta, ewidentnie nie mając pojęcia, że po zagnieceniu trzeba je odstawić na co najmniej godzinę. W dodatku jego piekarnik mieścił jedynie cztery pizze naraz. W ten sposób biesiadnicy zasiedli do stołu o dwudziestej drugiej, gdy na połowie talerzy wszystko już wystygło.

Liz znalazła się między Williem a Jane. O dziwo, po drugiej stronie Jane usiadł Darcy, a nie Chip. Nie umiała określić, czy wcześniejsza wymiana zdań z Darcym wprowadziła ją w zakłopotanie czy też nie. Postanowiła więc powstrzymać się od inicjowania dalszej konwersacji z nim.

– Ślicznie dzisiaj wyglądasz – powiedział Willie do Liz w pewnym momencie, ona zaś była na tyle podchmielona (sangria rzeczywiście okazała się mocna), że uznała tę uwagę za ujmującą, a nie dziwaczną.

– Dziękuję, kuzynie – odrzekła. – Ty natomiast wyglądasz bardzo przystojnie.

Po głównym posiłku Jane, Liz i Charlotte posprzątały talerze, a gdy Charlotte i Liz stały przy zlewie, ta pierwsza spytała:

– Czy wyście z Darcym flirtowali na balkonie?

– A broń Boże! Wręcz przeciwnie. No i on przecież chodzi z Caroline.

– Doprawdy? Nie miałam pojęcia.

Przy stole Caroline zajmowała miejsce z drugiej strony Darcy’ego i przez większość posiłku chyliła się ku niemu w rozmowie niczym trujące ziele. Gdy podano na deser brownie i lody, Jane szepnęła do siostry:

– Chip kupił mi rower górski. – Nie sprawiała wrażenia uradowanej.

– To miło z jego strony – zauważyła Liz. Podczas obiadu u Bennetów Chip wspominał, że już sprawdził kilka tras rowerowych w okolicy.

Jane pokręciła głową.

– Myślę, że był drogi.

– Jestem pewna, że nie kupiłby go, gdyby nie było go na niego stać.  
Wybacz, Jane, ale on za tobą szaleje.

– Może w tym właśnie problem. Może jego oczekiwania są wygórowane.  
Liz się roześmiała.

– Myślisz, że skoro on dał ci drogi rower, to ty musisz mu dawać? O ile nie jestem w błędzie, i tak robicie to od tygodni.

– Moim zdaniem jest po prostu za wcześnie na tak kosztowny prezent.

– A może wyluzujesz i zaczniesz się cieszyć, że ktoś się o ciebie stara?  
To nie jest pierścienek z brylantem.

– No, pierścienka z brylantem na pewno bym nie przyjęła! – Po chwili (po drugiej stronie stołu Keith, jego narzeczona i Chip omawiali przypadek wyjątkowego wyrostka, z którym Keith miał do czynienia poprzedniego dnia) Jane dodała: – Myślisz, że powinnam ten rower zatrzymać?

– Tak – odrzekła Liz. – Jedźcie gdzieś razem. Będzie fajnie.

W tym momencie dołączył do nich Willie, który właśnie wrócił z łazienki. Wskazał lody na stole.

– Słynne jeżyny z kawałkami czekolady, jak rozumiem?

Liz podała mu półlitrowy pojemnik.

– Obowiązkowy punkt programu.

Choć postanowiła, że nie będzie inicjować już rozmowy z Darcym – na pewno nie dzisiaj, a najlepiej nigdy w ogóle – gdy Chip i ósemka jego gości na koniec wyszli na balkon, ona trafiła ledwie parę centymetrów od osoby, której pragnęła uniknąć. Zawsze należała do tych, którzy pierwsi przerywają milczenie i uśmiechają się do nieznajomych. Tak oto zagaiła Darcy'ego:

– Jak tam twoja pizza?

– To dzwonięcie cykad, które tak ci się podoba – powiedział – to samce przęcające swoje mięśnie odwłokowe.

W tym momencie dźwięk był aż nadto wyraźny pomimo rozmów toczonych na balkonie.

– Uczyłeś się tego na studiach medycznych?

Darcy uraczył ją jednym ze swoich nieczęstych uśmiechów.

– Znalazłem w Wikipedii. To zawołanie godowe.

– Bardzo romantyczne – zauważyła Liz.

– O ile to ma jakieś znaczenie, nie życzę źle Jasperowi Wickowi – dodał

Darcy. – Każdy powinien mieć prawo odciąć się od swojej przeszłości.

Liz spojrzała na niego bacznie.

– A co to niby ma znaczyć?

– Zakładam, że wiesz, że wyrzucono go ze Stanford.

Co takiego?! Liz milczała, a Darcy, najwyraźniej szczerze zdumiony, dodał:

– Nie wiedziałaś o tym?

– No, rzeczywiście nie rozmawialiśmy na ten temat.

Patrzyli na siebie w mroku letniego wieczoru.

– Mówiłaś chyba, że to twój najbliższy przyjaciel.

– Dlaczego go wyrzucono?

– Tego powinnaś się dowiedzieć od niego. Choć co prawda to nie była tajemnica. Cały kampus aż huczał.

– Narkotyki? – spytała Liz. – Czy oszukiwanie na egzaminach?

Na twarzy Darcy'ego widać było coraz większą niecierpliwość. Jeśli na chwilę w ich relacji pojawiło się niewypowiedziane *détente*, nie został po nim ślad.

– Te pytania powinnaś zadać Jasperowi – rzekł.



## Rozdział 39

– Lizzy, przyszedłem się pożegnać – oznajmił kuzyn Willie. – Bardzo się cieszę, że spędziliśmy razem trochę czasu.

Siedziała przy biurku i pisała mejl do rzeczniczki Kathy de Bourgh. Rzeczniczka ignorowała usilne prośby i błagania Liz od czasu, gdy ta nie wykorzystwała dziesięciominutowej dostępności pani de Bourgh kilka dni temu.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedziała. Cudownym zrządzeniem losu Mary zgodziła się odwieźć ciotkę Margo i Williego na lotnisko, a ich rychły wyjazd uczynił Liz wielkoduszną w stosunku do kuzyna.

Stanął z metr od jej krzesła, minę miał poważną i wydawał się osobliwie podekscytowany.

– Coś się stało? – spytała Liz.

Zamiast się odezwać, schylił się szybko i przycisnął usta do jej warg. Zaskoczenie Liz wzrosło, gdy stało się oczywiste, że kuzyn nie zamierza obejść się przelotnym pocałunkiem. Kiedy jego język wdarł się do jej jamy ustnej, Liz cofnęła się przerażona.

– Och, Willie...

Cała ta sytuacja przyprawiła ją o wstrząs. Ale choć zbulwersowana, Liz z lekka się też ubawiła. Już czuła się bezlitosna i zdystansowana, jakby miała do czynienia nie z bieżącym doświadczeniem, a z wydarzeniem, które ze śmiechem relacjonuje Jane albo Jasperowi. Musiała jednak się teraz skupić, by z godnością i wdziękiem wyplątać się z tych tarapatów.

– Rozumiem, że nie jestem księciem z bajki – podjął kuzyn. – Ale dogadujemy się. Dobrze się znamy. A ty dobiegasz czterdziestki.

– Jane dobiega czterdziestki! Ja mam trzydzieści osiem. Ale, mój Boże, Willie, my jesteśmy kuzynostwem.

– Przecież nie jesteśmy spokrewnieni. Naszym dzieciom nie groziłoby

żadne piętno. – Te hipotetyczne dzieci, których nie chciała z żadnym mężczyzną, a już na pewno nie z Williem... Jak on śmiał przywołać ten temat? – Słuchaj... Oboje podchodzimy do życia praktycznie. Nie widzę większego sensu w różach i czekoladkach i podejrzewam, że ty też nie. Ale będę ci wierny. Będę szanował twoją pracę i wiem, że ty będziesz szanować moją. Nie chcę kobiety, która będzie mi suszyć głowę, że pracuję do późna. Myślę, że musimy dać szansę temu związkowi, jesteśmy to sobie winni.

– Tak z czystej ciekawości... Przyjechałeś do Cincinnati, żeby mnie poderwać?

– Zawsze nadawaliśmy na tych samych falach. Margo i twoja mama uważają, że tworzymy wspaniałą parę. – Willie położył dłoń na jej ramieniu. Zdjęła ją natychmiast, wstała i skrzyżowała ręce na piersi.

– My nie jesteśmy żadną parą – zaproponowała. – I jeśli odniosłeś wrażenie, że ja chcę, byśmy parą byli, to się pomyliłeś. – Łagodząc ton, dodała: – Kiedy za rok czy dwa poznasz jakąś wyjątkową kobietę, będziesz się bardzo cieszył, że nie związałeś się ze mną.

– Skąd masz pewność, że kogoś poznam, skoro ty nikogo nie poznałaś?

Ignorując ewidentny przytyk, Liz odparła:

– Wielu rzeczy nie wiesz o moim życiu.

Willie westchnął. Był raczej zirytowany niż zraniony.

– Tak bardzo ci przeszkadza to nasze kuzynostwo? Dorastając, prawie w ogóle nie spędzaliśmy ze sobą czasu.

– Owszem, przeszkadza mi.

– Jestem gotów dać ci kilka dni na przemyślenie sprawy. Zadzwońię z Kalifornii.

– Nie, Willie. I mogę ci powiedzieć już teraz, że jeśli chcesz uderzyć do którejś z moich sióstr, szkoda twojego czasu.

Willie podparł się rękami pod boki.

– Wiesz, ile jestem wart?

– Powinieneś już iść. – Nie chciała go uściskać na pożegnanie. Jego upór stał się obrzydliwy.

Spojrzał na nią z zaciekawioną. Liz pomyślała, że może po raz pierwszy kuzyn uświadamia sobie, że ona ma jakąś tożsamość, inną niż ta, którą jej przypisał. W końcu się odezwał:

– Zabawne, że twoim zdaniem to taka wielka różnica mieć trzydzieści osiem lat i czterdzieści.

## Rozdział 40

Jane, z którą w pierwszej kolejności Liz chciała omówić to, co się właśnie wydarzyło, nie wróciła jeszcze z zajęć jogi. Jasper był drugi z kolei, tylko że Liz wciąż niepokoiła informacja, którą poznała poprzedniego wieczoru: o jego rzekomym wydaleniu ze Stanford. Tak oto, zabarykadowawszy się w łazience na drugim piętrze – ponieważ Willie przynajmniej jeszcze przez kilka minut miał przebywać na terenie Tudor – siedząc na zimnej podłodze, Liz wysłała w końcu esemes do Charlotte Lucas:

*Kuzyn Willie właśnie mnie pocałował, fuj!!!*

Już po chwili nadeszła odpowiedź od Charlotte: *Ale pocałował tak na serio?*

*Tak! Co mu dolega?! Albo mnie?*

*To jest bardzo dziwne. Willie jest uroczy jak każdy świr, ale no wiesz... jesteście kuzynami!* I zaraz dotarł kolejny esemes: *Idę na spotkanie. Umawiamy się dzisiaj na drinka?*

*Tak!!!* – odpisała Liz. – *Zula? Czy gdzie indziej? Ty podaj godzinę.*

Potem zadzwoniła do Jaspera.

– Mam się zatrzymać w Cincinnatian czy w Dwadzieścia Jeden C? – spytał. – Fiona właśnie mi bukuje bilet do Cincinnati.

– Wiesz, że przyjechał do nas z wizytą mój kuzyn Willie, cudowne dziecko Doliny Krzemowej? Właśnie się do mnie przystawiał!

Jasper się roześmiał.

– Nie ma to jak kazirodztwo, co? Bylibyście jak egipscy faraonowie.

– Nie żartuję. Wsadził mi język do ust.

– Podobało ci się?

– Nie wyrzucono cię ze Stanford, prawda? – Liz nie planowała wytaczania najcięższych dział, tak po prostu wyszło.

Na długą chwilę zapadła cisza, nieskończona cierpka cisza, aż wreszcie Jasper powiedział:

– Co jest, kurwa? Co to, kurwa, ma być?

– Przepraszam. – Do tej pory Liz w zasadzie nie wierzyła w te sensacje. Wyobrażała sobie, że Darcy pomylił z kimś Jaspera. – Nie powinnam... jest tu taki facet, Fitzwilliam Darcy, i jak się domyślam...

– Darcy mieszka w Cincinnati?! – przerwał jej Jasper. – Co on tam robi, do cholery?

– Mamy tu świetne centrum udarowe, a on jest neurochirurgiem.

– No oczywiście – zaśmiał się Jasper. – Ten koleś ma kompleks Boga, odkąd skończył dwadzieścia lat. Co za fiut! – Rzadko słyszała Jaspera tak szczerze rozżalonego; chociaż często narzekał, jego skargi zwykle zawierały pewną dozę beztroski, nawet uroku. – Na pewno nigdy ci nie mówiłem, że ten cały rozpiździel w Stanford to w dużej mierze wina Darcy’ego.

Rzeczywiście – nigdy jej nie mówił, przede wszystkim dlatego, że nigdy w ogóle nie rozmawiali o żadnym „rozpiździelu w Stanford”. Tego Liz była pewna. Oczywiście zawsze odnosiła wrażenie, że uczelnia i okres studiów Jaspera dają mu powód do wielkiej dumy. Oprócz złotego uczelnianego sygnetu czasami w jesienne weekendy nosił spłowiałą czerwoną bluzę Stanford; w salonie miał na ścianie fotografię, na której widniał on i kilku kolegów z bractwa: przystojni, wysportowani młodzianie w krawatach i granatowych swetrach. Po raz pierwszy uderzyło Liz, że nigdy nie poznała ani jednej osoby ze zdjęcia. W Nowym Jorku roiło się od jej koleżanek z Barnard, a nigdy jej nie zastanowiło, że wszyscy koledzy Jaspera z college’u mieszkają na Zachodnim Wybrzeżu.

– Opowiem ci to wszystko w Cincinnati, całą historię – ciągnął Jasper. – Na samą myśl o tym mam, kurwa, zjebany nastrój.

– Zatrzymaj się w Dwadzieścia Jeden C – powiedziała Liz. – Sama tam nigdy nie byłam, ale to bardzo modne miejsce.

– Mam nadzieję, że nie przyjaźnisz się z Darcym. Ten koleś nie jest godzien butów mi czyścić.

Z ulgą przyjęła zjednoczenie z Jasperem zamiast rozbratu.

– Nic się nie bój – odparła. – Też tak uważam.

## Rozdział 41

Rozmowa z Jasperem potoczyła się w niemiłym kierunku, ale przynajmniej oderwała myśli Liz od zajścia z Williem. Rozłączywszy się, poczuła się jednak całkowicie skołowana – od tego zajścia i od potwierdzenia, że Jaspera wyrzucono ze Stanford. Nie prosząc o pozwolenie i nawet bez jakiegoś szczególnego planu, opuściła dom samochodem matki. Kilka minut później wjeżdżała na parking Rookwood Pavilion, zamierzając udać się na manikiur i pedikiur. Wyszła z salonu po ponad godzinie – skróciła włosy o dziesięć centymetrów i dała je sobie wycieniować tak, że na pewno by zrobiły wrażenie na koleżankach z „Mascary”.

Lydia i Kitty siedziały w kuchni przy stole, w strojach treningowych, zajadając orzeszki nerkowca i organiczną suszoną wołowinę.

– Zgłosiłaś się do programu ochrony świadków, żeby uciec przed pożądaniem kuzyna Williego? – spytała Lydia, gdy Liz weszła do domu kuchennymi drzwiami.

– Ładną masz fryzurę – rzuciła Kitty. – Parę lat temu nie osiągnęłabyś tego rezultatu, ale im jesteś starsza, tym wydatniejsze masz kości policzkowe.

Liz spojrzała na Lydię.

– Kto ci powiedział o Williem?

– Mama szaleje z wściekłości. Tak dla twojej informacji.

W tym momencie zza zamkniętych drzwi wahadłowych oddzielających kuchnię od jadalni dobiegł głos pani Bennet:

– Czy to Lizzy? Lizzy wróciła?

Drzwi wychyliły się na stronę kuchni i stanęła w nich pani Bennet, zarumieniona i zaaferowana.

– Lizzy! Co ty sobie myślisz, na miłość boską?! No przecież musiałaś go strasznie zranić!

– Mamo, błagam, nie mów, że twoim zdaniem powinnam się umawiać z kuzynem Williem.

– Jest mądry, zaradny, no i nie masz już czasu na wybrzydzenie.

– To mój...

– To twój kuzyn, owszem, ale nie próbuj mi wmawiać, że jesteście spokrewnieni, bo nie jesteście.

– W Ohio ślub z kuzynem jest niezgodny z prawem – odparła Liz. W czasie pedikiuru sprawdziła to w necie, w nadziei, że podeprze swoje przerażenie faktami. Nie wspomniała, że w Kalifornii takie małżeństwa, i owszem, są legalne. – Powiedzmy, że się w sobie szaleńczo zakochaliśmy, o czym nie ma mowy. Gdybyśmy chcieli zawrzeć oficjalny związek, musielibyśmy pójść do sądu.

– To by dopiero był odjazd, gdybyś poszła do więzienia za małżeństwo z Williem – podsumowała Lydia. – Umarłabym ze śmiechu.

– Czy ktoś jeszcze się za tobą ugania? – spytała pani Bennet, a jej oskarżycielski ton od razu przypomniał Liz o czerwonym body. – Bo jeśli tak, to bardzo bym chciała wiedzieć, kto to taki.

## Rozdział 42

– Tylko mnie nie zabij, błagam – powiedziała w Zuli Charlotte do Liz – ale tak sobie o tym wszystkim myślałam i mnie się wydaje, że Willie może być dobrą partią.

– Czy ty z nim kiedykolwiek rozmawiałaś?

– Rozmawiałam z nim chwilę na imprezie u Chipa. Był miły.

– Pomijając kwestię kuzynostwa, bo z tym nic nie mogę zrobić, on jest niewiarygodnie nadęty. I chociaż jest bystry, nie jest zbyt interesujący, bo jego nie obchodzą inni ludzie. Jak się teraz nad tym zastanawiam, to uświadamiam sobie, że jeśli już zadawał jakieś pytania, to wyłącznie po to, by ocenić, czy się nadaje na jego dziewczynę.

Charlotte przyjrzała się uważnie przyjaciółce.

– Jesteś pewna, że między tobą a Darcym nie ma NS?

– Jestem pewna na sto procent. – Skrót „NS” używały od liceum, a oznaczał napięcie seksualne. Liz wychyliła się do przodu. – Chociaż okazuje się, że Jasper i Darcy chodzili razem do college’u i się nie lubią. – Kusilo ją, by powiedzieć o relegowaniu Jaspiera ze Stanford, ale ponieważ nie знаła jeszcze okoliczności sprawy, zawahała się. – Jasper przyjeżdża do Cincinnati napisać artykuł o squashu. Chcesz się z nim spotkać przy okazji?

– Oczywiście. Zaraz, zaraz... Mówisz, że przyjeżdża napisać artykuł? – Charlotte wywróciła oczami. – No litości.

Liz się roześmiała.

– I ponieważ nie można mi się oprzeć, a on nie potrafi już dłużej beze mnie wytrzymać. Tak, z tego powodu również.

– Naprawdę pisze artykuł czy taką wymówkę podaje ludziom?

Liz napiła się wina.

– Jedno i drugie.

## Rozdział 43

Liz wróciła do Tudor o dwudziestej drugiej. Na podjeździe ujrzała nieznany granatowy SUV, a zatem, wiedząc, że nie jest ostatnim domownikiem na nogach, zostawiła światło w kuchni. Szła przez jadalnię do frontowego holu, kiedy usłyszała z saloniku przyciszone, ale niechybnie flirtujące głosy, które natychmiast umilkły. W drzwiach stanęła Lydia.

– Masz zespół stresu pourazowego po pocałunku Williego? – spytała.

– Chyba tak.

– Chodź tu. – Lydia mówiła niecodziennie ciepłym głosem. – Przedstawię ci Hama.

Tak jak Liz widziała na zdjęciach w internecie, Ham był wysportowany i przystojny w dość konwencjonalny sposób, chociaż gdy wstał, kiedy ona weszła do bawialni, zauważyła, że jest niższy, niż sobie wyobrażała.

– Hamilton Ryan. – Wyciągnął rękę na powitanie. – Albo Ham, jeśli wolisz.

– Liz Bennet.

– Jedna z sióstr nowojorskich, jeśli się nie mylę.

– Nieźle – pochwaliła go. – Jest nas trochę do ogarnięcia. – Wskazała telewizor, który był zastopowany na czołówce popularnego serialu kablówki o agentach FBI, i spytała: – Który sezon?

– Pierwszy, i pierwszy odcinek – odrzekł Ham.

– No to dużo jeszcze przed wami. A przynajmniej do trzeciego sezonu, gdy coś się zaczyna wyjaśniać. Masz swoją siłownię, prawda?

– Tak.

– Liz uważa, że crossfit to kwestia „kultu”. – Lydia narysowała w powietrzu cudzysłów.

– Bo jest – odparł Ham życzliwie.

– Nigdy tak nie powiedziałam – zaproponowała Liz. – Po prostu to nie dla mnie.



– Bo próbowała raz sześć lat temu, gdy pisała o tym artykuł – wyjaśniła młodsza siostra.

– Próbowałam więcej niż raz – skorygowała Liz.

– Właśnie, słyszałem, że pracujesz w czasopiśmie – podjął Ham. – To musi być fajna robota.

– Różnie bywa.

– Liz, Ham jest równie stary jak ty – powiedziała Lydia. – Urodził się w latach siedemdziesiątych.

Wymienili spojrzenia i wybuchnęli śmiechem.

– Tak mi się wydawało, że jesteś w podeszłym wieku – podbiła Liz. – Który rocznik?

– Siedemdziesiąty dziewiąty.

– Och, to młodzik z ciebie. Ja jestem siedemdziesiąty piąty. Pochodzisz z Seattle, prawda? – Ham skinął głową, a Liz uświadomiła sobie, że tę informację ma przecież ze swojego śledztwa internetowego, a nie od Lydii. – A co cię sprowadziło do Cincinnati?

– W skróconej wersji: przyjechałem tu za byłą dziewczyną.

– No, dość tego śledztwa – orzekła Lydia. – Możesz sobie iść. – Siadali już z Hamem na kanapie, wtulając się w siebie.

– Jezu, Lydio – powiedział Ham. – Żadnych uszczypliwości? – Ale mówiąc to, obejmował ją ramieniem i Liz skonsternowana pomyślała, że może jej najmłodsza siostra poznała miłego, normalnego faceta. Co ją łączyło z takim gościem, trudno było pojąć.

– Lydia słynie w rodzinie ze swojej subtelności – rzuciła, a siostra pokazała jej na to środkowy palec. – Miło było cię poznać, Ham.

## Rozdział 44

Znowu wypadła kolej Liz zawieźć ojca do fizjoterapeuty.

– Twoja matka – powiedział pan Bennet, gdy wyjechali samochodem na ulicę – chce, żebyś dała szansę kuzynowi Williemu z jednego powodu. Myśli, że jego pieniądze nas uratują. Nie słuchaj jej.

– W jakim sensie uratują?

– Okazuje się, że mój pobyt w szpitalu był przerażająco kosztowny.

– Ile?

– To raczej nie twoje zmartwienie, ale skoro pytasz... Operacja sto dwadzieścia dwa tysiące dolarów, nie licząc znieczulenia. Trzy tysiące dziennie za pobyt w eleganckim pięciogwiazdkowym hotelu o nazwie Christ Hospital. Następnie pewien szczegół o nazwie honorarium lekarza, i to jest kolejne siedem tysięcy. Mam kontynuować?

– A czy większości tej sumy nie pokrywa ubezpieczenie zdrowotne?

– Twoja matka i ja nie mamy ubezpieczenia zdrowotnego. Do tej pory żadne z nas nie cierpiało na jakąkolwiek poważną dolegliwość.

– O mój Boże! Nie macie ubezpieczenia zdrowotnego? – Liz, wstrząśnięta, nawet chciała się zatrzymać, ale co dalej? Nic by się nie zmieniło, za to spóźniliby się na fizjoterapię.

– Pozwolę sobie na szczerość – podjął pan Bennet. – Nawet gdyby Willie zaproponował uregulowanie od ręki wszystkich naszych rachunków, nie byłby to wystarczający powód, byś musiała znosić jego towarzystwo. – Pan Bennet mówił tonem nonszalanckim, podczas gdy jego córkę ogarniała coraz większa panika.

– Lydia, Kitty i Mary też pewnie nie mają ubezpieczenia, prawda? Zawsze zakładałam, że obejmuje je wasze ubezpieczenie. – Chociaż... gdy się nad tym zastanowiła, Mary i Kitty były już chyba za stare na to rozwiązanie. Wyjechała z Dana Avenue na Interstate 71. – Może powinniście wziąć hipotekę na dom?

- Już mamy hipotekę, moja droga.
- Myślałam, że dziadkowie sprzedali ci dom za dolara.
- To było trzydzieści lat temu, a nasza rodzina liczy siedem osób.  
O wiele za długo spełniałem zachcianki twojej matki i sióstr.
- Kiedy zaciągnąłeś kredyt?
- Osiem lat temu? Dziesięć? – Pan Bennet przywoływał te liczby obojętnie, jakby próbował sobie przypomnieć, ile czasu upłynęło, odkąd po raz ostatni był w Europie.
- Macie doradcę inwestycyjnego?
- Ja jestem naszym doradcą inwestycyjnym.
- A co robi pan Meyer?
- Zajmuje się naszymi podatkami, a i to niezbyt biegle, ale znosimy jego brak kompetencji od tak dawna, że zatrudnienie kogoś innego zakrawałoby na nielojalność.
- W takim razie chociaż płacicie podatki?
- I to straszne.
- Ile płacicie miesięcznie raty kredytu i ile macie oszczędności?
- Nie musisz się tym martwić, Lizzy.
- A jednak mama uważa, że powinnam wyciągnąć rodzinę z kłopotów, oddając się Williemu? Tak czysto teoretycznie: gdybym do niego zadzwoniła i powiedziała, że zmieniłam zdanie, to co? Miałabym napomknąć: „Ach, skoro już rozmawiamy, mógłbyś przelać sto tysięcy dolarów albo czterysta tysięcy, albo ileś tam, na konto moich rodziców”?
- Nie sądzę, by twoja matka przemyślała to aż tak szczegółowo. Przemawia do niej ogólnie dostępność majątku Williego.
- Ten plan mama uknuła z ciotką Margo?
- Margo nic nie wie o naszej trudnej sytuacji finansowej ani też żadna z twoich sióstr i nie możesz im nic powiedzieć. Nie mam nastroju na przedstawienia. Ale owszem, twojej ciotce podobał się ten pomysł, żebyś zeszła się z Williem. Moje protesty trafiały w próżnię.
- Więc co zrobicie z tymi rachunkami?
- Gdy będziesz w moim wieku, przekonasz się, że sytuacje same się jakoś rozwiązują.
- Czekaj, od kiedy obejmuje cię ubezpieczenie zdrowotne w ramach emerytury?
- Od dnia sześćdziesiątych piątych urodzin. Szkoda, że nie przełożyłem

zawału mięśnia sercowego o pół roku, prawda?

Liz westchnęła.

– Wolałabym nawet tego nie sugerować, ale moglibyście wziąć drugi kredyt.

– Mamy już drugi kredyt. – I tę informację ojciec rzucił rzeczowym tonem. Gdy obejrzała się na niego, wbrew jej oczekiwaniom nie wydawał się choćby zmieszany.

– Jezu drogi...

– Chętnie zamówiłbym płatnego zabójcę, który pomógłby mi się przenieść na tamten świat, ale nasze polisy na życie wygasły, więc jako trup byłbym równie nieużyteczny jak w tej chwili.

– Na pewno można negocjować z kimś w szpitalu – nie ustępowała Liz. – Przecież nie jesteś pierwszą osobą, którą leczono tam bez ubezpieczenia. – Ojciec milczał, więc dodała: – Bo popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy wy aby nie jesteście na prostej drodze do zlicytowania domu?

– Nie kuśmy losu.

– Zaraz dojdę do wniosku, że umówienie się z Williem jest wręcz moim obowiązkiem.

– Nie – rzekł pan Bennet stanowczo. – Choćbyśmy mieli zebrać na ulicy.

## Rozdział 45

Jak to ujęła Jane, Caroline Bingley w końcu znalazła w Cincinnati restaurację sushi spełniającą jej wygórowane wymagania i zaprosiła Jane na lunch. *Tylko my dwie, żadna z twoich sióstr* – podkreśliła w porannym esemesie. Liz go przeczytała, ponieważ w tym czasie Jane była pod prysznicem, i starała się zwalczyć podwójnie obraźliwie dotkliwy ból – że oto została wykluczona przez osobę, której opinią się w ogóle nie przejmowała.

– Ciekawe, czy usiłuje cię oszacować jako bratową – powiedziała, podając siostrze kluczyki do samochodu ojca. Gdyby tak było, pomyślała bez przekonania, może Chip zdołałby wybawić rodzinę Bennetów z ruiny finansowej. Chociaż Liz wciąż nie mogła się pozbierać po rozmowie z ojcem, i patrząc realistycznie, nie wyobrażała sobie, że uszanuje jego życzenie, by treść tej rozmowy zachować w tajemnicy nawet przed Jane, uznała, że akurat ten moment nie wydaje się odpowiedni, by siostrę wprowadzać w temat.

– Jestem pewna, że Caroline chce po prostu zjeść ze mną lunch – odparła Jane. Siostry spojrzały sobie w oczy i starsza wyszeptała: – Lizzy, on mi wczoraj powiedział, że mnie kocha.

– O mój Boże! Wiedziałam! A ty co na to? Że też go kochasz?

Jane sprawiała wrażenie spłoszonej, ale bardzo zadowolonej. Kiwnęła głową. I ciągle szeptem dodała:

– To wariactwo, prawda? My się znamy dopiero od kilku tygodni.

Oprócz radości ze szczęścia siostry Liz poczuła ukłucie zazdrości. Ona i Jasper nigdy tego sobie nie wyznali przez całe szesnaście lat. Raz, ponad dziesięć lat temu, w czasie pełnej napięcia rozmowy po kilku miesiącach bez kontaktu Jasper powiedział: „Moje życie bez ciebie byłoby beznadziejne”. A ona odrzekła: „Moje też”. To był przełomowy i przejmujący moment, ale nigdy się nie powtórzył.

– Takie rzeczy się wie – zapewniła siostrę, siląc się na swobodny ton.

## Rozdział 46

Talia Goldfarb, redaktor naczelna „Mascary”, przysłała Liz mejl: *Siłaczki?* Link prowadził do materiału Liz o pierwszej chińskiej astronautce – znanej jako taikonautka – a pod nim Talia napisała: *A jak wywiad z K. de Bourgh?*

Wysławszy kolejny mejl do rzeczniczki Kathy de Bourgh, Liz posprawdzała koszty różnych zabiegów medycznych i oszacowała, że rachunek ojca za szpital w przybliżeniu opiewa na dwieście czterdzieści tysięcy dolarów. Uznała, że w dalszej kolejności musi ustalić obciążenie hipoteki oraz sumę oszczędności rodziców. Następnie umówi się na spotkanie z kimś z działu rachunkowości Christ Hospital. Właśnie schodziła ze swojej sypialni na piętro w nadziei, że nadarzy się okazja, by pomyszkować w ojcowskim gabinecie, gdy zadzwoniła jej komórka. Pognała z powrotem na górę, bo tam, na biurku, zostawiła telefon, zobaczyła, że dzwoni Jane, i odebrała.

– Jak tam lunch? – zapytała.

– Och, Lizzy – powiedziała starsza siostra drżącym głosem. – Zemdlałam w restauracji i przywieźli mnie na ostry dyżur.

– Co ci jest? Co się stało?

Zapadło bardzo długie milczenie, po czym głosem tak cichym, że niemal niesłyszalnym, Jane odrzekła:

– Jestem w ciąży.

## Rozdział 47

Po raz pierwszy Liz poznała wyjątkową dobroć swojej siostry w 1982 roku, gdy ta była w drugiej klasie, a ona sama w pierwszej. Majowy festyn, doroczne święto uczennic szkoły podstawowej w Seven Hills, wypadł w piątek po południu na początku miesiąca – Liz nie mogła się go doczekać, czuła podekscytowanie na myśl o cakewalku, przebijaniu balonów i rzutach do celu.

Dokładnie tydzień przed festynem Jane zachorowała na ospę wietrzną. Uwzględniając czas niezbędny do wystąpienia objawów, nie wchodziło w grę, by zaraziła młodszą siostrę, ale ktoś to zrobił, i dzień festynu Liz przywitała gorączką i potwornym swędzeniem. Do tego czasu większość zmian skórnych u Jane już się zaleczyła, ona sama wróciła nawet do szkoły, mogła więc bez przeszkód wziąć udział w imprezie. Swoją decyzję podjęła całkowicie dobrowolnie, w akcie solidarności, który wtedy Liz postrzegала ze zdumieniem. Sama w analogicznej sytuacji bez wahania poszłaby na festyn. Ale Jane ze spokojem i stanowczo wyjaśniła zdezorientowanej matce: „Skoro Liz zostaje w domu, to ja też”. I dodała: „Za rok pójdziemy razem”.

Tamtego wieczoru siostry zjadły po kubku lodów miętowych, siedząc razem w łóżku Liz, która miała na rękach białe bawełniane rękawiczki, by trudniej jej się było drapać. Potem Jane czytała na głos *Frog and Toad Together* i poszły spać o dwudziestej. Jeszcze przez kilka lat majowy festyn wprawiał Liz w szalone podniecenie, ale gdy wspominała go jako dorosła, bardziej niż wszelkie dmuchane zamki, w których przyszło jej skakać, bardziej niż zdobyczne błyskotki, pamiętała dobroć swojej siostry.

## Rozdział 48

Jane przekazała swoje szokujące rewelacje w sposób, który wykluczał dalsze pytania. Wyjaśniła tylko siostrze, że zemdląca na parę minut, i chociaż była pewna, że nic jej nie jest, lekarze chcieli zrobić kilka badań, zanim ją wypuszczą. Powiedziała, że jest w Christ Hospital i widziała przez chwilę Chipa, zanim go wezwano do innego pacjenta, ale to nie on się nią zajmował. Ciągle towarzyszyła jej Caroline. Poprosiła, by Liz nie mówiła nic nikomu innemu z rodziny.

– Przyjadę jak najszybciej – zapewniła Liz.

Dopiero gdy się rozłączyła, uświadomiła sobie, że po pierwsze, jest sama w domu, a po drugie, nie dysponuje żadnym samochodem: Jane na spotkanie z Caroline zabrała cadillaca ojca, rodzice jedli obiad w Country Clubie, a młodsze siostry były Bóg wie gdzie. Zastanawiała się chwilę, czy wysłać do którejś esemesa, ale odrzuciła ten pomysł z powodu niesolidności i niedyskrecji młodszego rodzeństwa. Rozważyła autobus – zupełnie jednak nie miała pojęcia, jaka linia gdzie jeździ – i wreszcie wzięła pod uwagę taksówkę, z której nigdy nie korzystała w Cincinnati, a więc nie była pewna, czy to rozwiązanie okaże się zadowalająco sprawne. W końcu podjęła decyzję i szybko przebrała się w szorty i top sportowy oraz krótką koszulkę. Zasznurowała turkusowo-pomarańczowe tenisówki, znalazła okulary przeciwsłoneczne, z pokoju Kitty pożyczyła bejsbolówkę, nad zlewem łyknęła szklankę wody i wypadła na zewnątrz. Właśnie minęła trzynasta, temperatura przekroczyła trzydzieści pięć stopni. Zgodnie z danymi z telefonu do Christ Hospital miała siedem kilometrów, obliczyła więc, że powinna tam dotrzeć w jakieś trzydzieści pięć minut.

Gdy biegła z Jane, telefon zostawiała w domu, teraz jednak wzięła go ze sobą. Najpierw wsunęła go między bieliznę a biodro, ale wypadł jej, kiedy tylko dotarła do ulicy. Ostatecznie, ściskając go w dłoni, ruszyła Grandin Road na zachód, czyli tą samą trasą, którą każdego ranka pokonywała



z siostrą. Minęła nawet Cincinnati Country Club, gdzie jej rodzice zapewne właśnie spożywali swoją pseudozdrową sałatkę Cezar. Liz po raz pierwszy przyszło do głowy pytanie, ile wynosiła roczna opłata członkowska w Country Clubie.

Na Madison Road nie skręciła w prawo, tylko w lewo w stronę O'Bryonville, mijając sklepy z antykami i butiki z ciuchami. Powietrze było ciężkie, słońce wydawało się jej agresywne i... chyba nieżyczliwe.

A więc Jane jest w ciąży. Jane jest w ciąży. Jako pierwsze nasuwało się oczywiste pytanie, czy sprawcą tego stanu jest nasienie dawcy czy też Chip. Jeśli nasienie dawcy, to do poczęcia musiałyby dojść osiem tygodni temu, a czy w takim wypadku Jane nie zorientowałyby się wcześniej? Liz przypomniała sobie wahanie siostry co do Chipa pomimo widocznego pociągu i fascynacji – wiedziała? A jej uwagi na temat przeprowadzki do Cincinnati? Czy to też były wskazówki? W równej mierze wskazywałyby jednak na to, że Jane chce tu mieszkać, by wychować dziecko z Chipem, jak i na to, że gdyby została samotną matką, chce uniknąć drożyzny i chaosu Nowego Jorku. Tak czy owak, Liz nie mogła się zdecydować, które wyjście jest lepsze: to z Chipem czy z anonimowym dawcą. Oba bowiem rodziły komplikacje.

Minęła gotycki kościół Franciszka Salezego, skręciła na południe w Woodburn Avenue, pocąc się jak nigdy w życiu. Nie dostrzegła ironii w fakcie, że mogłaby zemdleć w drodze do Jane, która wcześniej zemdląca. A jednak, pomimo upału i zmęczenia mięśni po porannym joggingu, adrenalina cały czas pomagała jej w skupieniu. Dziecko! Po tylu latach Jane w końcu będzie mamą!

Nawierzchnia East McMillan, najszerszej i najruchliwszej arterii na dotychczasowej trasie – niewielu przechodniów, a mnóstwo samochodów – migotała w słońcu. Bejsbolówka Kitty była jaskrawoniebieska, z logo uniwersytetu w Kentucky, chociaż nikt z rodziny tam nie studiował, i Liz zastanowiła się, czy przez czapkę nie jest jej goręcej. Zdjęcie jej niczego chyba jednak nie zmieniło, więc biegnąc nad Reading Road, włożyła ją z powrotem. Rozważyła, czy nie zwolnić do marszu, ale do Auburn Avenue miała niedaleko, tam zaś będzie już prawie na miejscu.

Zanim zobaczyła ceglany gmach Christ Hospital, miała wrażenie, że czas stanął, ona biegnie od kilku lat, a jej serce w ogóle już nie pracuje. Niewiele widziała, bo za ciemnymi okularami pot zalewał jej oczy. Zerkając na mapę

w telefonie, podążyła Auburn Avenue do Mason Street i skręciła na Eleanor Place, pod wejście prowadzące na SOR. Przed drzwiami automatycznymi, pod dachem podjazdu dla karettek, zatrzymała się i zgięła w pół, opierając dłonie na kolanach, żeby złapać oddech.

– Liz? – usłyszała męski głos. Wyprostowała się. Pot spływał jej strumieniami z oczywistych miejsc – po plecach, spod pach – ale też z wielu miejsc mniej typowo powiązanych z termoregulacją, na przykład z kolan. Zdjęła okulary, żeby przetrzeć oczy nadgarstkiem, a kropla jej potu poszybowała w powietrzu i wylądowała na przedramieniu białego fartucha Fitzwilliana Darcy’ego. Dostrzegła to i on niewątpliwie też. Tonem lekko zmieszonym, a jednocześnie trącącym nutą dezaprobaty spytał: – Co ty tu robisz?

Dopiero w tym momencie przyszło jej do głowy, że postanawiając pobiec do szpitala, dokonała wyboru tyleż niewygodnego, co dziwnego. Chyba nie miała szans uniknąć prawdy, a jednocześnie: na pewno nie cała prawda była konieczna. Wciąż walcząc o oddech, wyjaśniła:

– Jane zemdląca i przywieźli ją na SOR. Ale myślę, że nic jej nie jest. A co ty tu robisz?

– Odwiedzam pacjenta. Czy Jane zdarzały się już omdlenia?

– Tak.

– Dzisiaj jest bardzo gorąco. I większość ludzi o tej porze nie biega.

– Tylko wściekłe psy i Anglicy, jak mówią. Ale w domu nie było żadnego samochodu. Mogę tam wejść? – wskazała drzwi automatyczne.

– Pójdę z tobą – rzekł Darcy, a gdy wchodzili do środka, spytał jeszcze: – Jane ma trzydzieści dziewięć lat?

– Tak. – Choć w tej chwili frapowały ją raczej inne tematy, Liz mimowolnie zauważyła, że wiek jej siostry musiał być tematem rozmów pomiędzy Chipem a Darcym.

– Jeśli generalnie cieszy się dobrym zdrowiem, podejrzewam udar. – Zatrzymali się przy recepcji, gdzie jej towarzysz rzekł: – Jestem doktor Fitzwilliam Darcy, szukam pacjentki Jane Bennet.

Recepcjonistka przebiegła palcami po klawiaturze.

– Sala sto osiem – oznajmiła.

Ruszyli dalej, nie odzywając się słowem. Przy dwuskrzydłowych drzwiach Darcy przytknął identyfikator do czujnika i drzwi się otworzyły. Znaleźli się w szerokim korytarzu i dopiero za rogiem ujrzeli Caroline

Bingley, która miała tak szczególny wyraz twarzy – jakby połączenie rozbawienia i wściekłości, ale czy to w ogóle możliwe? – że Liz w napadzie hysterii pomyślała, że może Jane umarła.

– Nic jej nie jest? – spytała zaniepokojona.

Caroline zmrużyła oczy i spojrzała na nią piorunującym wzrokiem.

– Gratulacje, ciociu Liz.

## Rozdział 49

Gdy Liz odsunęła zasłonę w wejściu do maleńkiego boksu, ujrzała swoją siostrę w łóżku. Jane miała na sobie szpitalną koszulę (Liz nie spodziewała się zmiany ubrania, ale to w jakimś stopniu nadawało Jane status oficjalnego pacjenta) i była podłączona do kroplówki wkłutej w żyłę w zgięciu jej lewego łokcia. Płakała cicho, niemal bezgłośnie. Siostry spojrzały sobie w oczy.

– Och, Lizzy, co ja narobiłam? – powiedziała Jane, podnosząc chusteczkę do nosa.

Młodsza siostra usiadła na łóżku obok starszej i objęła ją ramieniem.

– Ostrzegam cię, że cuchnę – rzuciła.

Jane na chwilę jakby zapomniała o swojej zgryzocie.

– Zdecydowałam się na crossfit?

– Przybiegłam tu. W domu nie było żadnego samochodu. Nic ci nie jest?

Dolna warga Jane zadrżała.

– Nie chcę cię stawiać w niezręcznej sytuacji, ale to dziecko Chipa czy dawcy?

Minęło kilka sekund, potem Jane pokręciła głową, niezdolna wydusić słowa. Po kolejnej pauzie, po której nastąpiło potężne siąknięcie nosem, oznajmiła:

– Po operacji taty zapanował taki chaos. Ciągle chciałam kupić test, żeby sprawdzić, czy ostatnia próba się powiodła. Później poznałam Chipa i tak nam było dobrze, aż myślałam sobie, że może lepiej by było, gdybym nie zaszła w ciążę.

– A więc to nie jest dziecko Chipa.

– Zrobią mi USG, żeby sprawdzić, który to tydzień. Pewnie wszystko jest możliwe, ale używaliśmy prezerwatyw.

– On wie, że jesteś w ciąży?

Jane westchnęła.

– W restauracji ratownik medyczny zapytał, czy jest taka możliwość, a ja

odparłam, że tak, ale nie wspomniałam o sztucznym zapłodnieniu. Oczywiście Caroline to usłyszała i powiedziała Chipowi, zanim ja zdążyłam to zrobić. Myślę, że zadzwoniła do niego z samochodu, gdy jechałam karetką. A on mnie tu znalazł i był bardzo słodki i zmartwiony. Nie byłam wtedy nawet pewna, czy rzeczywiście jestem w ciąży, bo nie zrobili badań z krwi. Ale uznałam, że powinnam mu wyjaśnić wszystko... no wiesz, to że sztucznym zapłodnieniem... a on był trochę wstrząśnięty, ale zanim skończyliśmy rozmowę, zawołano go do pacjenta z raną od noża. I to było godzinę temu.

– Jezu.

Jane wytarła nos wierzchem dłoni, a Liz wstała, by wyciągnąć chusteczkę z pudełka na pobliskim blacie.

– Przynajmniej ja nie mam rany od noża – powiedziała Jane. – Mogło być gorzej.

– Zgadza się. Ale i tak masz prawo się denerwować.

– To było takie dziwne w tej restauracji, Lizzy. Myślałam... nigdy tak nie myślę, ale pomyślałam: „Może zamiast sushi wezmę teriyaki”. Surowa ryba wydawała mi się obrzydliwa. Ale Caroline zaproponowała, żebyśmy wzięły na spólkę kilka rolek, a ja się zgodziłam. Gdy podali nam zamówienie, spojrzałam na nie i poczułam zapach... byłam pewna, że wymiotuję. A potem ocknęłam się na podłodze i wpatrywała się we mnie gromada kelnerów.

Podawszy Jane chusteczkę, Liz usiadła w nogach łóżka.

– No i... – zawahała się. – Chcesz być w ciąży?

– Chciałam. – Głos Jane drżał. – Zanim poznałam Chipa, bardzo chciałam.

## Rozdział 50

Biorąc pod uwagę czas ostatniej miesiączki Jane, technik, który robił USG, oszacował zaawansowanie ciąży na dziewiąty lub dziesiąty tydzień. Ponieważ Jane знаła dokładną datę inseminacji, której się poddała przed wyjazdem z Nowego Jorku, mogła potwierdzić trafność tych wyliczeń.

– A więc termin porodu wypadnie pod koniec lutego – powiedziała Liz. – Śniegowe dziecko.

Nie wspomniała ani słowem o Chipie, siostra też nie. Zwłaszcza że Chip nie wrócił do pokoju Jane podczas wizyty Liz, nie pojawili się też Caroline ani Darcy. Liz nie pamiętała, by żegnała się w holu z którymkolwiek z nich.

Minęły dwie godziny, odkąd dotarła do szpitala. Lekarz dyżurny zajrzał do Jane na ostatnią konsultację; zapytał, czy była badana przez ginekologa, i polecił, by zaczęła przyjmować witaminy dla ciężarnych. Jane odrzekła, że przyjmuje je od dziesięciu miesięcy. Gdy już została wypisana, uświadomiła sobie, w tej samej chwili co siostra, że nie mają samochodu.

– Zacznijmy od Mary – zaproponowała Liz. – Ona prędzej niż Lydia czy Kitty nie puści pary z ust.

– Do żadnej z nich nie zadzwonimy – odparła Jane tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jeszcze nie chcę im mówić. Muszę się na to przygotować.

Po kilku sekundach wahania Liz podjęła:

– A Chip może nas podwieźć?

– On kończy dopiero o dziewiętnastej. I potem musi wypełnić papiery. – Przebierając się w swoje ciuchy, Jane dodała: – Weźmiemy taksówkę do tej knajpy sushi i odbierzemy samochód taty. I nie mów nikomu ani słowa. Poważnie, Lizzy. Nawet tacie, w którejś z tych waszych rozmów od serca. Przysięgasz?

– Masz ubezpieczenie zdrowotne?

– Oczywiście. – Jane skinęła głową. – Przysięgasz?

Z jednej strony Liz czuła ogromną ulgę. Z drugiej musiała teraz się

zmagać z dwiema tajemnicami: bankructwa i ciąży. Jakim cudem członkowie jej rodziny wpakowali się w takie tarapaty?

– Będę milczeć jak grób – przyrzekła.

## Rozdział 51

– Rodzice Chipa mają domek letni w Maine – powiedziała pani Bennet, gdy Liz siekała kalafiora na desce przy zlewie. – W Boothbay Harbor, co oznacza, że musi być oszałamiający. Jeżdżą tam siostra i szwagier Suzy Hickman i Suzy mówi, że tamtejsze widoki są boskie.

– Jeśli chcesz pomóc, możesz umyć kolendrę – zaproponowała Liz, a pani Bennet nie ruszyła się z miejsca.

– Oczywiście ślub z zasady odbywa się w parafii panny młodej – podjęła – ale jeśli Maine jest szczególnie ważne dla Chipa, na pewno któraś z pozostałych dziewcząt weźmie ślub w Knox Church.

– Czy coś konkretnego podsunęło ci pomysł, że Chip i Jane planują ślub? – spytała Liz. – Bo ja nie odniosłam takiego wrażenia.

Pani Bennet najwyraźniej poczuła się urażona.

– No, są w sobie zakochani po uszy.

– Myślę, że się lubią – odrzekła Liz – ale jest jeszcze za wcześnie.

– Wolę, gdy ceremonię prowadzi mężczyzna – nie poddawała się pani Bennet. – To bardziej naturalne. Na ślubie Allie Carnes mszę odprawiała kobieta i miała dziwny piskliwy głos.

Liz skończyła siekać. Podniosła deskę i wrzuciła jej zawartość na patelnię.

– W dawnym pokoju Jane stoją jakieś kartony, w ogóle nieotwarte – powiedziała. – Co w nich jest?

– To prezenty na Gwiazdkę.

Kusiło ją, choć byłoby to na pewno nierozsądne, by spytać, który z przyszłych obdarowanych niebieskimi rącznikami kąpielowymi z monogramem ma te same inicjały co pani Bennet.

– Zaczęłam się zastanawiać, co się stanie, gdy sprzedacie z tatą dom – podjęła. – Może bym ci pomogła w odgracaniu?

– W ogóle nie mamy takiego pomysłu, żeby sprzedawać dom –



roześmiała się pani Bennet. – Wyniosą nas stąd nogami do przodu.

Liz otworzyła lodówkę, wyjęła paczkę kolendry i odkręciła kran. Unikając kontaktu wzrokowego z matką, podjęła:

– Masz świadomość, że od robienia zakupów można się uzależnić tak samo jak od alkoholu, prawda? Nie wiem, czy rozważałaś kiedykolwiek, żeby z kimś o tym porozmawiać.

– Cóż za niedorzeczności ty wygadujesz! Ja tylko korzystam z okazji.

– A może bym przetransportowała niektóre rzeczy do Resale? – zaproponowała Liz. – Choćby naczynia, których nigdy nie używamy, albo meble po babci z piwnicy. Nie musisz w tym brać udziału.

– Meble babci są bardzo cenne. Wiesz, co powinnaś zrobić, zamiast się wtrącać?

– Niech no zgadnę... umówić się na randkę z własnym kuzynem?

– Chciałabym zobaczyć, jak się dorabiasz kogoś lepszego niż Willie.

Odkąd Liz miała lat kilkanaście, gdy oglądała reklamy w telewizji, które głosiły rzekomo bezwarunkową miłość matek do dzieci, albo w sklepie widziała gadzety sławiące tę wyjątkową więź wierszami lub górnolotnymi deklaracjami – ramki na zdjęcia, magnesy, rękawice kuchenne – czuła się jak student z zagranicy oglądający zwyczaje obcego kraju. Choć jednak nie była z matką blisko, nie dręczyły jej uraza ani żal, co obserwowała u niektórych przyjaciół. Jej matka była akuratna – często irytująca, ale na pewno nie nad wyraz grubiańska.

Liz zakręciła kurek i otrząsnęła kolendrę z wody.

– Przypomnę tylko – powiedziała, okazując jak najmniej emocji – że nie wszyscy wychodzą za mąż i wałkowanie tego bez końca na pewno nie podniesie szans żadnej z nas. Ja zdecydowanie nie jestem zainteresowana Williem.

Na co jej matka odrzekła głosem raczej pełnym troski niż świadomego okrucieństwa:

– Nie masz pojęcia, ile masz szczęścia, że ktoś taki jak on chciał się zadowolić tobą.

## Rozdział 52

Zwykle po obiedzie Jane wychodziła do Chipa, ale tego dnia dołączyła do Liz, Kitty i matki, by pooglądać telewizję w saloniku. Kiedy weszła do pokoju, pani Bennet podniosła wzrok znad wertowanego właśnie katalogu i spytała:

– Chip ma dzisiaj dyżur, kochanie?

Jane kiwnęła głową. Nawet gdyby Liz nie wiedziała, że Chip kończy pracę o dziewiętnastej, zorientowałyby się, że starsza siostra kłamie.

Kilka minut później, gdy Kitty i pani Bennet rozprawiwały, czy to były mąż, czy też klient poderzwał gardło prostytutce w serialu kryminalnym, Liz szepnęła do Jane:

– Odezwał się?

– Właśnie dzwonił – odrzekła tamta ponuro i równie cicho.

– I?

– Jesteśmy umówieni pojutrze na obiad.

To nie zabrzmiało obiecująco – ta oficjalność, odroczenie.

– Powiedziałaś mu, w którym jesteś tygodniu?

Jane skinęła głową.

A więc wiedział, że to nie jego dziecko. I nie zamierzał rozmawiać o tym z Jane przed upływem czterdziestu ośmiu godzin.

Najstarsza z sióstr została w saloniku najwyżej dwadzieścia minut i oddaliła się do swojego pokoju, zanim program się skończył; najwyraźniej brakowało jej motywacji, by dowiedzieć się, że zbrodnię popełnił, zgodnie z podejrzeniami pani Bennet, były mąż prostytutki.

## Rozdział 53

Rano, gdy zadzwonił budzik Liz, Jane z udawaną – zdaniem siostry – sennością zakomunikowała:

– Dzisiaj nie biegnę.

Wedle wiedzy Liz siostra walczyła z porannymi mdłościami; co więcej, Liz nie miała pojęcia, do którego etapu ciąży zalecane są intensywne ćwiczenia fizyczne.

Poszła do łazienki, przebrała się, stanęła w drzwiach pokoju i spojrzała na Jane. Zastłony wciąż były zaciągnięte, ale słońce już wstało i w pomieszczeniu było dość jasno. Chciała spytać siostrę, czy może czegoś potrzebuje, ale ta oddychała tak głęboko i miarowo, że najwyraźniej naprawdę zapadła w sen.

## Rozdział 54

Liz znalazła ojca w gabinecie. Ekran jego monitora jak zwykle był dla niej niewidoczny i przyszło jej do głowy, że zawsze, nie wiedzieć czemu, zakładała, że ojciec podczas pobytu w gabinecie jest pogrążony w sprawach, które są uciążliwe, ale konieczne; jego dbałość o dobrobyt rodziny wydawała się niezłomna i jakaś taka męska.

Zamknęła za sobą drzwi.

– Musicie sprzedać dom – oznajmiła. – Sprawdziłam w internecie, że Ellebrechtowie swój sprzedali w marcu za milion osiemset tysięcy dolarów. Wiesz może, czy odnawiali kuchnię?

Pan Bennet spojrział na nią rozbawiony.

– Nie zasypiasz gruszek w popiele.

– Powiedzmy, że za ten dom dostaniecie milion dwieście tysięcy, co jest oczywiście szacunkiem bardzo nieprecyzyjnym. Zapłacisz rachunek ze szpitala, kupicie mieszkanie w apartamentowcu za jakieś trzysta tysięcy, myślę, że w Hyde Parku dostaniecie za tę sumę dwa albo trzy pokoje. Przygotujesz budżet wydatków na życie i będziecie się go trzymać. No i cokolwiek myśleć o Obamie i jego opiece zdrowotnej, musicie z mamą przystąpić do powszechnego ubezpieczenia, które zacznie obowiązywać od pierwszego października.

– Twoja matka nie poprze sprzedaży domu.

– Nie widzę, żebyście mieli jakiś wybór. Samochody należą do was czy macie je w leasingu?

– A co się stanie z twoimi utracjuszowskimi siostrami?

– To ty ciągle powtarzasz, że powinny opuścić gniazdo, i masz rację. Nie ma powodu, żeby nie pracowały. Ile płacicie w Country Clubie?

– Twoja matka prędzej wypije strychninę, niż zrezygnuje z członkostwa w Cincinnati Country Club. – Na twarzy pana Benneta rysowała się coraz bardziej złośliwa mina. – Mamy coś dla niej?

– Są jeszcze jakieś większe wydatki, które nie przyszły mi do głowy? – spytała Liz. – Mamy biżuteria pewnie jest coś warta? I ten portret w holu, kogokolwiek przedstawia...

– Moja droga – przerwał jej pan Bennet, najwyraźniej będąc pod wrażeniem. – Jesteś konstruktywnie bezwzględna.

– Założę się, że poczujecie ulgę, kiedy zamieszkacie w czymś mniejszym, bez tych wszystkich rzeczy. Wolisz agenta, którego już znasz czy jakiegoś spoza waszych kręgów towarzyskich?

– Gdybyśmy mieli z matką zamieszkać w mniejszym lokalu, musielibyśmy się widywać, jak sądzę.

– Rachunki ze szpitala. Zrobiłeś coś w tej sprawie? Dzwoniłeś do kogoś? Przez kilka sekund patrzyli na siebie w milczeniu.

– Daj mi je, a ja umówię spotkanie, na które pójdziemy razem. Ignorowanie ich ani trochę nie poprawi sytuacji.

## Rozdział 55

Rozmowa Jane z Chipem nie potoczyła się najlepiej. Choć on nie zarzucił jej wprost nieuczciwości, to zakwestionował jej twierdzenie, że zaszła w ciążę dzięki sztucznemu zapłodnieniu, a nie na skutek nowojorskiej przygody bardziej tradycyjnego rodzaju, co było niemal tym samym. Nie w tym rzecz, powiedziała Jane do Liz, że okazał skrywane dotąd okrucieństwo. Nadal był taki sam, tylko już nie był nią zauroczony.

– Nie jestem idiotą – powiedział. – Nie zakładałem, że jesteś dziewicą.

Gdy Jane się upierała, że nie ma absolutnie możliwości, by do jej ciąży przyczyniły się jakiegokolwiek inne okoliczności niż sztuczne zapłodnienie, odrzekł:

– W takim razie nie rozumiem, dlaczego mi nie powiedziałaś, że starasz się o dziecko. Jak mogłaś zachować przede mną tak ważną tajemnicę? – I to pytanie, musiała przyznać Jane, było zrozumiałe.

Rozmowa odbyła się w restauracji w śródmieściu, przy czym Jane udała się tam sama. Zdaniem Liz już ta osobność zdradzała, jak się sprawy potoczą: zamiast po nią przyjechać, Chip wybrał miejsce publiczne, żeby z nią zerwać.

– I zerwał? – spytała Liz.

– Nie wyraził tego dosłownie. Twierdził jednak, że to nie jest właściwy wieczór, żeby przychodziła, bo on musi z Caroline omówić jakieś sprawy biznesowe. A gdy się zegnaliśmy, pocałował mnie w czoło. – Liz widziała, że jej siostra powstrzymuje się od płaczu. – Powiedział, że musi to wszystko przetrwać i potrzebuje paru dni. Ale, Lizzy, ja jestem pewna, że to koniec, i nie mogę mieć do niego pretensji.

Gdy Jane to opowiadała, było parę minut po dwudziestej pierwszej, a siostry stały w piwnicy Tudor. Zamiast oglądać telewizję w saloniku, Liz postanowiła zbadać zagracone obszary piwniczne, w które zwykle się nie zapuszczała, chyba że z praniem albo po jedzeniu z dodatkowej lodówki. Pomieszczenie, z którego zwykle korzystała, było stosunkowo porządne, ale

trzy kolejne przerodziły się w niemal nieprzebyty magazyn na wszelkiego rodzaju pozostałości. Właśnie w największym z nich znalazła ją Jane.

– Powinnam mu powiedzieć na samym początku. Ale pewnie czekałam, aż nic z tego nie wyjdzie albo aż on tak zupełnie straci dla mnie głowę, że nie będzie miało dla niego znaczenia, że jestem w ciąży.

– To dobry chłopak – odrzekła Liz. – Na pewno uświadomi sobie, że to nie jest przeszkoda nie do pokonania.

– Może. – Jane wskazała kapelusz czarownicy ozdobiony zakurzoną, pomarańczową aksamitną wstążką. – Czy to nie jest mój kostium na halloween z czwartej klasy?

– A zobacz to. – Liz podniosła kapelusz i odsłoniła wysoki, wąski marmurowy stolik z rzeźbionymi nogami i kopytami jelenia. Kiedyś stał w salonie ich babci. – Pamiętasz, jak nim straszyliśmy Mary?

– Co tu robisz? – spytała Jane.

– Ach, wiesz... wzięło mnie na wspomnienia.

## Rozdział 56

Liz wyszła z piwnicy grubo po północy, chociaż gdy w pewnym momencie zmęczona rozejrzała się dokoła, stwierdziła z rozgoryczeniem, że dzięki jej wysiłkom wszystko wygląda jeszcze gorzej. Próbowwała uporządkować przedmioty według kategorii – naczynia, sprzęt sportowy, dekoracje na święta – i częściowo odniosła sukces, choć jednocześnie wyeliminowała już i tak skąpą wolną powierzchnię na podłodze. Poza tym natknęła się na kilkanaście pajaków, z czego nie wszystkie były martwe. Uznała, że upora się z tym bałaganem później, zgasła światło i weszła schodami do kuchni. Nie przewidziała, skoro było tak późno, że Lydia i Ham całują się namiętnie przy kuchence. Zauważyła ich w tym samym momencie, gdy oni ją. Odskoczyli od siebie jak oparzeni.

– Co jest, do cholery?! – krzyknęła Lydia oskarżycielskim tonem.

– Przepraszam – powiedziała jej starsza siostra. – Byłam w piwnicy.

– Cześć, Liz – odezwał się Ham.

Lydia patrzyła gniewnie.

– I co tam robiłaś?

Ach, mieć dwadzieścia trzy lata, pomyślała Liz, i obściskiwać się tak, że masz spuchnięte wargi i skórę całą w plamach. Nie żeby Lydia w jakikolwiek sposób była niewinna, ale... to całowanie się z chłopakiem w kuchni rodziców, podczas gdy wszyscy inni w domu śpią, sprawiło, że Liz ogarnęła nostalgia.

– Próbowалам uporządkować trochę gratów, a teraz idę do łóżka – odparła. – Cześć, Ham.

– Czytałem kilka twoich artykułów online – powiedział. – Ten o Arabii Saudyjskiej był fascynujący.

– Nie musisz jej kadzić – odezwała się Lydia.

Ham się roześmiał.

– Myślisz, że skoro ciebie nie obchodzi, co się dzieje na Bliskim



Wschodzie, to innym też powinno to wisieć? – I znowu spojrzał na Liz. – Jak długo tam byłaś?

– Dziesięć dni. I dziękuję.

– Tylko się do niej nie przystawiaj – wtrąciła Lydia. – Ona ma jakiegoś żonatego kolesia i myśli, że nikt o nim nie wie.

Ham uśmiechnął się do Liz – wobec jego dobrego nastroju zatrwazające słowa młodszej siostry zabrzmiały zgoła nieszkodliwie – a potem się nachylił i pocałował Lydię w nos.

– Wiem, ryzykuję, że się rozkręcisz, ale twoja zazdrość jest urocza.

## Rozdział 57

Szukając w internecie lokalnych agencji nieruchomości, Liz odkryła, że jej kolega z Seven Hills, Shane Williams, najwyraźniej z powodzeniem handluje domami mieszkańców Cincinnati, a wśród klientów ma kilku zawodowych sportowców (gracze Bengalsów i Redsów zostawili na jego stronie pisemne rekomendacje). Co prawda główny rejon aktywności Shane'a nie obejmował chyba Hyde Parku, ale sprzedał parę nieruchomości nieopodal Tudor. Liz wspominała go z czułością. Był ciepły i serdeczny nie tylko w liceum, ale też te trzy, cztery razy, gdy się spotkali parę lat później, w okresie, kiedy wraz z kolegami i koleżankami ze szkoły zbierali się w barach w wigilię Święta Dziękczynienia.

Pomimo rekomendacji i osobistego uroku Shane'a Liz nie była jednak pewna, czy powinna się z nim kontaktować. Z jednego powodu: Shane był Afroamerykaninem, a jej matka była rasistką. Podobnie jak w wypadku antysemityzmu ten rasizm był raczej konwersacyjny, insynuujący. Pani Bennet w życiu nie wykazałaby się taką ignorancją, żeby oświadczyć, że czarni są mniej inteligentni od białych albo niemoralni w porównaniu z nimi, ale bez skrupułów mówiła córce, żeby nie kupowała u Krogera w Walnut Hills, bo nie jest tam czysto, i kiedyś w czasie świąt, gdy Liz zasugerowała, by dać Mervetcie kaszmirowy sweter, odrzekła: „Na miłość boską, Lizzy, Mervetta nie ma pojęcia, co to kaszmir, nie doceni takiego podarunku”.

Liz była niemal pewna, że żaden dorosły Afroamerykanin nie odwiedził nigdy domu jej rodziców w celach towarzyskich. Całymi latami naprawiali zmywarę Bennetów i przeciążone pompy klimatyzacji, wywozili śmieci i układali nowy bruk na podjeździe. Przez ponad dekadę Mervetta przychodziła do Tudor w każdy piątek o ósmej rano, by odkurzać dywany i szorować sedesy. Jedyne czarne dziewczęta, które były zapraszane do Tudor na urodziny czy pizama party, by się po prostu bawić, to koleżanki Bennetówien z Seven Hills. I czy się Liz skontaktuje z Shane'em czy nie, nie

zmieni to faktu, że on też zostałby wynajęty do pracy.

Niemniej jednak zatrudnienie białej agentki nieruchomości w średnim wieku, na którą rodzice mogliby się natknąć w Country Clubie, nie było dobrym pomysłem. Niemal na pewno rozeszłyby się pogłoski na temat fatalnej sytuacji finansowej Bennetów. Co prawda białe agentki nieruchomości w średnim wieku występowały w takiej obfitości, że Liz bez problemu znalazłaby przynajmniej jedną, która nie należy do Country Clubu i której rodzice nie znają, ale spodobała jej się idea współpracy z kimś znajomym.

Czy naiwnością było mieć nadzieję, że ewentualny dyskomfort matki wywołany kolorem skóry Shane'a przygaśnie wobec o wiele większego dyskomfortu spowodowanego koniecznością wyprowadzki? „Jeśli chcesz zmian, zacznij od siebie” – pomyślała i wysłała mejl do szkolnego kolegi.

## Rozdział 58

Jeszcze przez kilka dni Jane nie biegła rano z Liz, a czwartego dnia, gdy młodsza z sióstr wróciła na górę po śniadaniu, starsza ciągle leżała w łóżku. Liz przeszła do łazienki, żeby wziąć prysznic, po czym ubrała się po cichu. Kiedy jednak Jane się odezwała, można się było zorientować, że nie śpi już od pewnego czasu.

– Bardzo mnie znienawidzisz, jeśli wcześniej wrócę do Nowego Jorku?

Liz się odwróciła.

– Oczywiście, że nie. Powinnaś pójść do swojego położnika, prawda?

– Przed końcem pierwszego trymestru nie badają za dużo, chociaż może by chcieli w moim wypadku, ze względu na wiek.

– Nie myślisz chyba... – Liz przerwała i przeformułowała pytanie. – Nie rozważasz chyba... aborcji?

– Ciągle czekam na esemes od Chipa – odrzekła Jane. – Wyobrażam sobie, że poprosi, żebym przyjechała.

– Jestem pewna, że się doczekasz – zapewniła Liz, chociaż z upływem kolejnych dni gasł jej optymizm i nie miała pojęcia, co Chip miałby przekazać jej siostrze.

– Naprawdę bardzo, bardzo chciałam mieć dziecko. Pragnęłam tego najmocniej na świecie. A teraz... – Nie dokończyła.

– Chipa znasz, a dziecka jeszcze nie – rzekła Liz. – Na pewno będzie cudowne, trudno jednak abstrakcyjnej idei konkurować z kimś, z kim spędzałaś tyle czasu. – Podnosząc koralikową bransoletkę z blatu biurka, dodała: – Ciągle zapominam ci powiedzieć, że znalazłam stronę takiej organizacji o nazwie „Same, ale razem”. To dla kobiet, które zdecydowały się na samotne macierzyństwo.

Jane uśmiechnęła się smutno.

– Od dwóch lat jestem ich członkiem i płacę składki. Nie powiedziałaś nic mamie, prawda?

– Broń Boże! – Liz nie musiała raczej siostrze przypominać, że nie zdoła ukrywać swojej tajemnicy bez końca. Chęć wyjazdu z Cincinnati była całkowicie zrozumiała, chociaż na samą myśl, że zostanie tu bez Jane, Liz czuła potworne przygnębienie. Wsuwając bransoletkę na lewą rękę, przypomniała sobie, jak Jane dla niej nie poszła na majowy festyn. – Cokolwiek zdecydujesz, będę stała za tobą murem – oznajmiła ze śmiertelną powagą.

## Rozdział 59

I znowu zapach lakieru zaprowadził Liz do Kitty. Tym razem młodsza siostra tworzyła na paznokciach misterny wzorek tygrysi – z czarnych prążków na czerwopomarańczowym tle.

– Lydia i Ham to chyba ze sobą tak na poważnie – zagaiła Liz. – Prawda? Kitty zanurzyła pędzelek w buteleczce.

– Ją spytaj – odparła.

– Zasugerujesz, żeby zaprosiła Hama na rodzinny obiad? Wydaje mi się, że Jane i Chip to już przeszłość, a poznanie Hama mogłoby mamie złagodzić cios.

– Jeśli chcesz uszczęśliwić mamę – odrzekła Kitty, wciąż skupiona na swoich paznokciach – wyjdź za Williego.

– Ham sprawia wrażenie fajnego faceta, ale jeśli ja powiem Lydii, żeby go zaprosiła, nie zrobi tego choćby na przekór mnie.

Kitty podniosła wzrok.

– Znasz Hama?

– Rozmawiałam z nim kilka razy. Dlaczego pytasz?

– Parę rzeczy na jego temat bardzo by cię zaskoczyło. – Ten pełen zadowolenia z siebie wyraz twarzy Kitty... Liz machnęła na to ręką.

– Na przykład? – spytała jednak.

– No, parę rzeczy. – Kitty wzruszyła ramionami.

– Czyli w rzeczywistości jest dupkiem?

– Nie. – Kitty wydawała się irytująco zadowolona z siebie. Częściowo by zmienić temat, a częściowo szczerze Liz powiedziała, wskazując na paznokcie siostry: – Myślałaś kiedyś, żeby się tym zająć zawodowo? Jesteś w tym naprawdę dobra.

Kitty się skrzywiła.

– Jesteś taka protekcyjna.

– Kitty, pracuję w branży, gdzie najlepsi specjaliści od makijażu i styliści

są traktowani jak gwiazdy rocka. Nie mówię, że taka kariera to norma, ale założę się, że przeciętna osoba uzyskuje porządną pensję. – A w każdym razie przeciętna osoba może uzyskać pensję, która wypada lepiej w porównaniu z żadną, pomyślała Liz.

Kitty patrzyła na nią z powątpiewaniem.

– Dlaczego Chip i Jane zerwali?

– Nie jestem pewna, czy mieli zbieżne oczekiwania.

– On ją rzucił?

– Ciągle nie jest to oficjalnie zakończone, ale moim zdaniem rozstali się za obopólną zgodą. – Przez chwilę Liz kusilo, by spytać Kitty, czy prawdą jest to, co Lydia powiedziała kilka wieczorów wcześniej: że wszyscy w rodzinie wiedzą o Jasperze. Miał przyjechać do Cincinnati w następnym tygodniu i im bliżej było tej daty, tym Liz bardziej uświadamiała sobie, jak dziwne jest ukrywanie tej wizyty przed rodziną. A jednak gdyby Jasper pojawił się w Tudor, czego ona nie planowała, byłoby to jeszcze dziwniejsze. Przynajmniej spotka się z Charlotte. Na drugi z dwóch jego wieczorów w Cincinnati Liz zarezerwowała stolik w Boca, i wówczas dołączy do nich Jane, jeśli jeszcze będzie w mieście.

W każdym razie zapytanie Kitty o Jaspiera rozwiałoby wszystkie wątpliwości, a czy to z powodu różnicy wieku, geografii czy temperamentu, Liz nigdy dotąd nie rozmawiała otwarcie z młodszym rodzeństwem. Pod pewnymi względami dobrze się nawzajem znały – znały swoje zwyczaje i preferencje – a jednak całymi latami nie zdarzyło im się porozmawiać na żaden poważny temat.

– Chip przyjmował kiedyś pacjenta, który miał limonkę w odbycie – oznajmiła Kitty. – Wiedziałaś o tym?

– Mogę sobie tylko wyobrazić, jakie pytania zadałaś, by uzyskać tę informację.

– Może Chip jest dumny, że ją wydobył – odparła Kitty z szerokim uśmiechem.

## Rozdział 60

Gdy Liz wyjeżdżała z ojcem z centrum rehabilitacyjnego po zakończonej fizjoterapii, jej telefon wibracją oznajmił nadejście dezorientującego esemesa, niepokojącego i bez kropki: *Chip wyjechał*

Nie mogła zadzwonić do Jane w obecności ojca. Kiedy zdążali na południe drogą numer 71, pan Bennet powiedział:

– Zajedź na targ rybny, proszę. Chciałbym kupić ostrygi.

Wiedziała, że chodzi mu o wędzone ostrygi, i próbowała sobie przypomnieć, czy są wskazane w jego stanie.

– Mój kolega z Seven Hills – zagaiła – jest teraz agentem nieruchomości. Może podjechać i dyskretnie obejrzeć dom. Co ty na to?

– Zakładając, że się zgadzam... w takim wypadku, o której ten kolega by się pojawił?

Gdyby sytuacja nie była tak dramatyczna, Liz może poczułaby się zmieszana.

– Ma wolne jutro o tej samej godzinie, gdy mama jest na spotkaniu Ligi Kobiet.

– No oczywiście.

Na parkingu przed targiem rybnym spytała:

– Możesz pójść sam?

– Na miłość boską – odrzekł pan Bennet – nie jestem małym dzieckiem!

– Pomyślałam, że może potrzebujesz pomocy przy noszeniu.

Patrząc, jak ojciec wchodzi do sklepu tylnym wejściem, zadzwoniła do Jane.

– Dokąd wyjechał?

– Do Los Angeles. – Jane sprawiała wrażenie raczej zdeorientowanej niż wściekłej. – Pamiętasz, jak ci mówiłam, że robią *Dobrą partię po latach*? Postanowił jednak wziąć w tym udział.

– W szpitalu dali mu tyle wolnego? – spytała Liz.



– Nie wiem. Przysłał mi tylko esemes.

W głowie Liz coraz wyraźniej rozbrzmiewała niemiła myśl, że największe lęki Jane na temat Chipa były w pełni uzasadnione.

– Co za tchórz – rzuciła. – Przepraszam, ale kto rezygnuje z pracy... i to na SOR-ze... po trzech miesiącach? Prześlesz mi ten esemes?

– Zaczekaj.

Kilka sekund później na wyświetlaczu telefonu Liz pojawił się szary dymek. *Cześć. Jadę dzisiaj do L.A. na Dobrą partię po latach z udziałem ulubieńców fanów. Zastanawiałem się, czy się nadaję. Cieszę się, że Cię poznałem, jesteś wyjątkowa.*

Liz podniosła telefon do ucha.

– To taki żart? – spytała.

– Musiał się spieszyć.

– Nie obchodzi mnie, czy mu się paliło pod tyłkiem. To okropne.

– Staram się go zrozumieć – mówiła Jane głosem już silniejszym. – Nie lubię być zła.

– Jane, nawet joginka może się wkurzyć, jeśli jej chłopak wykazuje się brakiem podstawowych umiejętności komunikacyjnych. – Liz zobaczyła, że ojciec wyłania się ze sklepu, niosąc plastikową torbę.

– Wiem, że mogę. Tylko nie chcę.

– Cóż, na pewno lepiej, że masz go z głowy. – Jakże szybko weryfikowała się niegdyś pozytywna ocena wystawiona Chipowi przez Liz, ileż niepochlebnych szczegółów, wcześniej ignorowanych, teraz stanowiło dowód dla opinii wręcz przeciwnej: Chip Bingley był miły, owszem, ale najwyraźniej narcystyczny i niedojrzały. Nigdy nie traktował poważnie ani medycyny, ani Jane. – Za pięć minut będziemy z tatą w domu – powiedziała. – Chcesz jechać do Graeter's i utopić smutki w lodach kawowych z wiórkami czekoladowymi?

W momencie gdy pan Bennet otworzył drzwi od strony pasażera, Jane odrzekła:

– Mam nadzieję, Liz, że wiesz, jak ważne jest dla mnie twoje wsparcie. Ale teraz już naprawdę najwyższy czas, bym wyjechała z Cincinnati.

## Rozdział 61

Liz umówiła się z Shane'em Williamsem, że ten przyjedzie do Tudor o trzynastej. Tymczasem ojciec, aczkolwiek bez entuzjazmu, zgodził się poprosić Mary, by zawiozła go do biblioteki Mercantile; a Liz pod pozorem siostrzanej troskliwości umówiła masaż ciążowy dla Jane. Szanse na to, że Lydia i Kitty, chociaż całkowicie nieprzewidywalne, będą obecne w domu w środku dnia, oszacowała jako niewielkie.

Shane zupełnie się nie zmienił: szczupły, elegancki, gadatliwy. Gdy otworzyła mu drzwi, a on się nachylił, by ją uściskać, zerknęła na palec serdeczny i stwierdziła brak obrączki. W kontekście jego zawodu istniała spora szansa, że jest gejem. Owszem, w 1993 roku towarzyszył jej koleżance Rachel na balu maturalnym, ale wtedy nawet w postępowej Seven Hills uczniowie niezbyt tłumnie i ochoczo robili coming out.

– Jeśli ktoś wróci do domu, będziemy udawać, że się umówiliśmy na spotkanie po latach – ostrzegła Liz. – Wiem, że już wspomniałam o tym przez telefon, ale tata nie powiedział mamie, że muszą się wyprowadzić. – Taka szczerłość na temat kłopotów finansowych jej rodziny wyjątkowo zdenerwowałaby panią Bennet, lecz Liz nie widziała szans na luksus dyskrecji.

– Piękny dom – orzekł Shane.

Wprowadziła go do salonu.

– Jak ci minęło ostatnie dwadzieścia lat? – spytała.

Roześmiał się.

– Nie mogę narzekać. – Wskazał wielki zaciek na suficie. – Co z tym?

– Wygląda strasznie, prawda? Ciągle chcę zadzwonić po jakąś ekipę, żeby naprawili, co trzeba.

– O ile jesteś w to zaangażowana, mogłabyś rozważyć przemalowanie tego pokoju. Jeśli wybierzesz kolor jaśniejszy o kilka tonów, zrobiłoby się tu mniej ponuro. Może bladoszary albo écru...

Gdy to mówił, Liz zauważyła – jakim cudem nie przyszło jej to nigdy do głowy? – że ściany mają odpychającą musztardową barwę.

– Jeśli zamiast obrazu powiesicie nad kominkiem lustro, też się rozjaśni – kontynuował.

Liz wyjęła z kieszeni telefon i wpisywała sugestie Shane’a, a tymczasem z salonu wrócili do holu i przeszli do pokoju telewizyjnego, a potem do jadalni.

– Niestety, ponieważ zależy nam na szybkiej sprzedaży – powiedziała, gdy znaleźli się w kuchni – nie wyobrażam sobie, że zrobimy pełny remont.

– Przynajmniej jest tu naprawdę przestrzennie – odrzekł. – Nabywcom się to spodoba.

Na górze wygłosił podobne sugestie: malowanie ścian, usunięcie gratów, naprawienie wszelkich usterek budzących podejrzenia (tak jak drzwi przesuwne do maleńkiej łazienki u Mary, od co najmniej dekady otwierające się najwyżej do połowy). W pokoju Kitty Liz wyjaśniła:

– Na wypadek gdyby to nie było oczywiste, oświetć cię: moje trzy młodsze siostry nadal tu mieszkają. Nie wiem, czy to kwestia pokolenia bumerangów, czy tylko ich osobistej niedojrzałości, ale zasadniczo...

Zanim dokończyła myśl, z kłębow pościeli na dwuosobowym łóżku wyłoniła się jakaś postać, którą okazała się Kitty. Choć miała zamglony wzrok i potargane włosy, i tak emanowała niekwestionowanym naturalnym pięknem. Spojrzała spode łba na Liz i jej gościa.

– Co robisz w moim pokoju? – Wskazała Shane’a. – Kto to?

– To mój kolega – odrzekła Liz niespokojnie. – Nie wiedziałam, że tu jesteś.

– Shane Williams. – Kolega przedstawił się ciepło i kiwnął ręką. – Bardzo mi miło.

Kitty wstała, najwyraźniej nieskrępowana, że oprócz T-shirtu i majtek w różowe paski nie ma na sobie nic. Spojrzała groźnie na starszą siostrę.

– Nie jestem niedojrzała.

– Nie chodziło mi o ciebie – odparła Liz. – Wiesz co? Nie będziemy ci przeszkadzać.

Pospiesznie zaprowadziła Shane’a na drugie piętro, a potem do piwnicy.

– Szykuj się na najgorsze – ostrzegła, gdy schodzili w podziemia Tudor.

– Nie uwierzyłabyś, co już w życiu widziałem – odrzekł Shane.

Kiedy wrócili do holu, spytała:

– Tak szczerze: ile twoim zdaniem rodzice mogą za niego dostać?

– Hyde Park jest zawsze na topie, a to jest jedna z najlepszych ulic. Ale nie będę cię okłamywał: dostaną lepsze oferty, jeśli wprowadzą parę zmian.

– Ale i tak jest wart co najmniej milion, prawda? Nawet w obecnym stanie?

– Założmy, że naprawdę tu posprzątaacie... – podjął Shane. – Bo w przeciwnym wypadku strzelacie sobie w stopę. Ale jeśli tylko posprzątaacie i nie zrobicie nic więcej, to tak, powiedziałbym, że milion jest rozsądną ceną. Albo może wystawimy go za milion sto, zakładając, że opuścimy do równego miliona.

– Ty chcesz sprzedać nasz dom?! – spytała Kitty. Liz podniosła wzrok i ujrzała swoją siostrę na schodach. Choć od spotkania w sypialni minął kwadrans, Kitty wciąż miała na sobie tylko T-shirt i majtki. – A mama i tata o tym wiedzą?

Liz wymieniła spojrzenia z Shane’em.

– Rodzice się starzeją, Kitty. Nie mogą tu mieszkać wiecznie.

– Nic nie zrobimy bez zgody waszych rodziców – włączył się Shane. Wszedł kilka stopni wyżej i podał Kitty swoją wizytówkę. – Jeśli mogę odpowiedzieć na jakieś twoje pytania, a naprawdę możesz mnie pytać o wszystko, dzwoń do mnie o każdej porze dnia i nocy.

Kitty zerknęła na wizytówkę, a potem spoglądała to na Shane’a, to na Liz.

– Chodziliśmy razem do Seven Hills – wyjaśniła Liz. – Nie poznałam go przed godziną.

– Zaraz pokazuję klientom nieruchomość w Sycamore – powiedział Shane – ale, Kitty, naprawdę, dzwoń bez oporów. – Liz się zastanowiła, czy kolega podrywa jej siostrę. – My się skontaktujemy dzisiaj albo jutro – dodał, zwracając się do starszej z sióstr.

– Błagam, Kitty, nie mów nikomu – poprosiła Liz po jego wyjściu. – Robię tylko to, co konieczne.

– Ale nam jest tu dobrze – odparła Kitty z nadąsaną miną. – To nie w porządku, że nas stąd wyrzucasz, a potem sobie wrócisz do Nowego Jorku.

## Rozdział 62

*Muszę z Tobą pogadać* – napisała Charlotte w esemesie. *Masz chwilę?*

– Co się dzieje? – Liz natychmiast do niej zadzwoniła.

– Obiecaj, że nie będziesz świrować. – Liz usłyszała w głosie przyjaciółki radość i niekłamane zdenerwowanie. – Sama jestem nieźle zaskoczona. Już ci mówię: po tym, jak poszliśmy na drinka w zeszłym tygodniu, wysłałam mejl do Williego. „Cześć, słyszałam, że podróż do Cincinnati skończyła się dziwnie. Mam nadzieję, że sobie radzisz”. On od razu odpisał, spytał, czy może do mnie zadzwonić, a ja na to, że pewnie. No i w rezultacie rozmawialiśmy do czwartej nad ranem. I nazajutrz to samo. W skrócie: zaprosił mnie do siebie na ten weekend.

– Mówimy o kuzynie Williem, tak? – upewniła się Liz. – Moim kuzynie Williem?

– Tak. O twoim kuzynie Williem.

– Nie powinnaś go żałować. To duży chłopiec.

– Wcale go nie żałuję – odparła Charlotte z dystansem.

Jakby tego nie zauważając i jakby cała ta rozmowa nie stała się mocno dziwna, Liz spytała:

– Skąd miałaś jego adres mejlowy?

– Na przyjęciu u Chipa wymieniliśmy się wizytówkami.

Już samo to w świetle późniejszych wydarzeń wydało się Liz podejrzane. Ta niespodziewana relacja Charlotte i Williego osobliwie ją drażniła, a świadomość, że tak ją to irytuje, potęgowała irytację. Jeśli Charlotte była szczęśliwa, a rzeczywiście takie sprawiała wrażenie, czy Liz nie powinna cieszyć się jej szczęściem?

– Oczywiście możesz robić, co chcesz – powiedziała. – Ale nie sądzisz, że on jest... no wiesz... świrem?

– Nie, nie sądzę – odrzekła Charlotte chłodno.

– Nie w tym sensie, że jest idiotą. Jest bardzo inteligentny. Tylko że... no

nie wiem... jest taki trudny. – Czują, że pogarsza sprawę, no ale Charlotte i Willie? Naprawdę?

– Muszę się przygotować do wyjazdu – ucięła przyjaciółka. – Będę wdzięczna, jeśli nie wspomnisz o nas swojej rodzinie.

Dlaczego Liz była strażnikiem tajemnic wszystkich ludzi dokoła? Chciała powiedzieć coś pochlebnego o kuzynie, lecz ciężko było coś wykombinować. Gdy już rozmowa dobiegła końca, Liz skrzywiła się, zacisnęła dłoń w pięść i ugryzła się w kłykieć.

## Rozdział 63

W sypialni na drugim piętrze Jane stała w pozycji wojownika, z lewą nogą z tyłu i rozłożonymi ramionami. Gdy weszła Liz, z ulgą opuściła ramiona.

– Amanda i Prisha chcą mnie wynająć jako osobistą instruktorkę jogi – zakomunikowała siostrze – i powiedziały, że mogę z nimi mieszkać, jak długo chcę, nawet po narodzinach dziecka.

Chociaż Liz czuła rozczarowanie, musiała przyznać, że taki plan ma sens: Amanda była koleżanką Jane z college’u, absolwentką Barnard, która dorobiła się fortuny na funduszach hedgingowych, po czym zamieniła korpożycie na Manhattanie na rekreacyjne pszczelarstwo i lukratywne zdalne doradztwo świadczone w niepełnym wymiarze z Hudson Valley. Żona Amandy, Prisha, uczyła angielskiego w liceum, a mieszkały ze swoim ośmioletnim synem Gideonem na idyllicznym dwuhektarowym ranczu dwie godziny drogi od miasta.

– Przed wyjazdem powiesz mamie i tacie, że jesteś w ciąży?

Jane pokręciła głową.

– Chcę to jeszcze sama przetrwać.

Liz westchnęła.

– Hm, muszę ci coś powiedzieć... Okazuje się, że nasi rodzice są pogrążeni w długach. – Siostra patrzyła przerażona, a Liz kontynuowała: – Wiem. Ale jest, jak jest, i jedyne wyjście to sprzedaż domu. Nie powinnaś się martwić, lecz jeśli zamierzasz w najbliższym czasie pożyczyć od nich pieniądze, pożycz je raczej ode mnie. Skup się na tym, żeby o siebie zadbać. Mówię ci to dlatego, że być może jesteś w tym domu po raz ostatni.

– To straszne. Nie miałam pojęcia.

– No bo skąd byś miała mieć? Żadna z nas nie miała pojęcia. Kupiłaś już bilet do Nowego Jorku?

– Za tydzień. Czy to oznacza, że nie poznam Jaspera?

– Przykro mi, ale tyle szczęścia nie masz. On przyjeżdża w środę. – Liz

oparła się o biurko i skrzyżowała ramiona na piersi. – No i pewnie w to nie uwierzysz, ale Charlotte i kuzyn Willie rozmawiali przez telefon i teraz uważają, że są w sobie zakochani, i ona do niego jedzie.

Liz spodziewała się, że Jane zareaguje obrzydzeniem albo śmiechem, ale jej siostra zareagowała pozytywnie.

– Ja ich sobie wyobrażam jako parę – oświadczyła.



## Rozdział 64

Liz zaparkowała na parkingu P3 przy Christ Hospital i wraz z ojcem przeszła kładką na Poziom A, po czym pan Bennet spytał w informacji młodą kobietę, gdzie znajduje się dział administracji.

– Księgowość jest tam – wskazała Liz.

– Idziemy do Dicka Lucasa.

– Ale mamy spotkanie z doradcą finansowym Chadem Thompsonem.

Pan Bennet się zamyślił.

– Mężczyźni o imieniu Chad budzą mój niepokój.

– Czy doktor Lucas nas oczekuje? – Liz wiedziała, że ojciec Charlotte piastuje jakąś kierowniczą funkcję w szpitalu, chociaż nie była pewna, na czym ona polega. Zastanawiała się też, czy wie o wyprawie córki do Palo Alto, do kuzyna Williego.

– Zapewniam cię, że Dick nas nie odprawi – powiedział ojciec.

Okazało się, że ma słuszość. W dziale administracji pan Bennet podał swoje nazwisko kobiecie w recepcji i niespełna minutę później w poczekalni zjawiał się doktor Lucas w szarym garniturze, żółtym krawacie w maleńkie niebieskie kolibry i białym fartuchu.

– Fred i Liz! – powitał ich głosem, który sugerował, że nie wyobraża sobie większej przyjemności. – Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Czy możemy zamienić słowo na osobności? – Pan Bennet wskazał recepcjonistkę.

W gabinecie doktora Lucasa Liz i jej ojciec usiedli na krzesłach przed wielkim biurkiem z drzewa wiśniowego, na którym stała złota tabliczka z napisem „Richard G. Lucas. Wiceprezes i dyrektor do spraw leczenia”.

– Napytaliśmy sobie z Sally trochę biedy – zaczął pan Bennet. – Najwyraźniej mój pobyt w waszej placówce daleki był od all-inclusive.

– Wielka szkoda – odparł ciepło doktor Lucas.

– Mamy problem z płynnością finansową, a Liz jest przekonana, że jeśli

nie zapłacimy w terminie, znajdzie nas jakiś podejrzany gość i pogruchoce nam kości.

Doktor Lucas zachichotał.

– Tego nam robić nie wolno, prawda?

Liz odchrząknęła.

– Mój tata nie ma ubezpieczenia zdrowotnego – powiedziała.

Doktor Lucas się skrzywił, ale nadal poniekąd przyjaźnie.

– Ojoj, Fred. Też nie jestem wielbicielem obecnego prezydenta, ale na twoim miejscu jak najszybciej wykupiłbym polisę, gdy tylko ruszy ustawa.

– Mam wrażenie – ciągnęła Liz – że czasami szpitale wykazują się pewną elastycznością, jeśli chodzi o terminy płatności. – Jej plan zakładał, że użyje niepewnej, zebranej w internecie wiedzy, by targować się z Chadem Thompsonem, kimś zupełnie dla niej obcym. Niezręcznie jej było przedstawiać swoje racje przed człowiekiem, który robił jej w dzieciństwie placki, kiedy nocowała u Charlotte. Siliła się jednak na dojrzały i profesjonalny ton. – Wiem, że koszty procedur medycznych są różne w różnych szpitalach oraz że mnóstwo rachunków za leczenie zawiera błędy. Zastanawiam się...

– Nie zagalopowuj się, Liz – przerwał jej pan Bennet.

– Nie, Liz ma rację – powiedział doktor Lucas. – Błędy się zdarzają i nie ma nic złego w dokładnym sprawdzeniu liczb. Oto co bym wam zalecił. Mamy tu w księgowości pierwszorzędną zespół i jest tam niejaki Chad Thompson. Zadzwoń, powiem, że idzie do niego mój przyjaciel, i jestem pewien, że możemy opracować plan spłaty, który będzie korzystny i dla rodziny Bennetów, i dla szpitala. Co wy na to?

Chociaż nazwisko Chada Thompsona dodawało wiarygodności słowom doktora Lucasa, sam mglisty plan nie do końca uspokoił Liz.

– Moi rodzice sprzedają dom – wyrzuciła – więc to powinno pomóc w odzyskaniu płynności finansowej.

Pan Bennet wychylił się do przodu.

– *Entre nous* – rzekł do przyjaciela.

– Absolutnie, Fred, absolutnie. Życie się niekiedy komplikuje. Cieszę się, że siedzisz tu przede mną i wyglądasz zdrowo i krzepko. – Spojrzał na Liz. – Twój tato napędził nam stracha, co?

– Bardzo panu dziękuję, wszystkim zresztą dziękuję za to, co zrobiliście, by się nim zająć. Mam nadzieję, że nie pomyślał pan sobie, że nie jestem

wdzięczna.

– Liz okazuje wdzięczność, oskarżając o występki ludzi, którzy ocalili mi życie – powiedział pan Bennet do doktora Lucasa. – Jak sobie zapewne wyobrażasz, razem z małżonką wprost nie posiadamy się z dumy.

## Rozdział 65

Liz szacowała, że w dawnej sypialni Jane znajduje się jakieś dwadzieścia kartonów. Gdy je policzyła, okazało się, że jest ich sześćdziesiąt jeden. Spojrzała na daty nadania paczek już otwartych i na przykład poduszka z ananaseм została zakupiona w 2008 roku.

Znalazła w internecie tak zwaną pośredniczkę e-Bayową, która mieszkała kilkanaście kilometrów od Terrace Park. Miała odsprzedać te przedmioty i zwrócić Liz siedemdziesiąt procent ceny sprzedaży. Według Kathy de Bourgh lepiej prosić o wybaczenie niż o pozwolenie – w *Rewolucjach i rebeliach* opisywała, jak się tego nauczyła w czasie strajku kobiet o równość w 1970 roku – i to właśnie zgodnie z jej przesłaniem Liz po inwentaryzacji zawartości wszystkich kartonów załadowała cadillaca ojca i dwukrotnie wyprawiła się do domu pośredniczki. Zrządzeniem losu, gdy zносиła pudła na podjazd, na nikogo się nie natknęła. Jedną z zalet Tudor była prywatność, którą zapewniał dzięki swoim przestronnym rozmiarom. Liz podejrzewała, że ten fakt źle o niej świadczy, ale czasami w zupełności zadowalała się wyczuwaną w pobliżu obecnością członków rodziny, z którymi jednak nie wchodziła w interakcję.

Na koniec drugiej wyprawy do Terrace Park zadzwoniła do firmy remontowej, której sekretarka umówiła ocenę zacieku na suficie za dwa dni. Po tej rozmowie Liz poczuła, że ma na koncie jakieś – choć na razie dość skromne – osiągnięcia. Spotkania z doktorem Lucasem i Chadem Thompsonem, wyprawy do pośredniczki i umówienie majstra były krokami we właściwym kierunku. Głupotą byłoby jednak postrzegać je jako prawdziwe rozwiązanie problemów.

## Rozdział 66

– Przyjaciółki mieszkające pod Nowym Jorkiem zaproponowały mi posadę osobistej instruktorki jogi – oznajmiła Jane przy obiedzie. – Cudownie się tu czuję, ale wprowadzam się do nich w przyszłym tygodniu.

– Brawo – skwitował pan Bennet.

– A co z moim lunchem? – zdenerwowała się pani Bennet. – I na miłość boską, Jane, co z Chipem? On będzie zdruzgotany.

– Prawdę mówiąc, Chip jest w Los Angeles i kręci *Dobrą partię po latach*.

Zapadła cisza, a następnie kilkoro członków rodziny odezwało się jednocześnie.

– Kiedy to się stało? – spytała pani Bennet.

– Przesiaduje w saunie z innymi dziewczynami? – To pytanie padło z ust Kitty.

– Dlaczego on się znowu do tego zgłosił? – chciała wiedzieć Mary.

– Hm... Może właśnie po to – powiedziała Lydia – by siedzieć w saunie z innymi dziewczynami.

– Jak długo go nie będzie? – To znowu pani Bennet. – Musisz tu wrócić przed nim.

Jane i Liz spojrzały sobie w oczy – tę ostatnią kusiło, by samej obwieścić, że Jane i Chip zerwali ze sobą. Co da to odkładanie?

– Nie wiem, czy Chip w ogóle wróci – odparła Jane.

– Ale przecież w szpitalu na niego liczą – zaproponowała pani Bennet.

– Najwyraźniej zawsze był rozdarty pomiędzy Hollywood a medycyną – podsunęła Liz.

Pani Bennet spojrzała podejrzliwie na najstarszą córkę.

– Czy przyjaciółki, u których będziesz mieszkać, to te panie? – „Tymi paniami” pani Bennet zawsze nazywała Amandę i Prishę, odkąd przed rokiem dowiedziała się o ich ślubie. A ponieważ poznała Amandę w czasach

studenckich Jane, skwitowała tę wiadomość słowami: „Zawsze uważałam, że ma bardzo męską sylwetkę”.

– Tak – odrzekła Jane. – I naprawdę nie mogę się już tego doczekać.

– Jeśli Chip chce, żebyś przeprowadziła się do Kalifornii, to głupio robisz, odmawiając mu – powiedziała pani Bennet. – Od mężczyzny z takiej rodziny i o takim wykształceniu nie można wymagać, że będzie czekał, aż ty sobie pomarudzisz.

– Mary, może ty powinnaś się wprowadzić do tych pań? – spytała Lydia. – Moim zdaniem macie ze sobą wiele wspólnego.

– Lydio, kiedy rodzice poznają Hama? – rzuciła Liz.

– Kiedy będę miała nastrój.

– Kim jest Ham, bądźcie łaskawe mi wyjaśnić – wtrącił pan Bennet.

– Studiował na Uniwersytecie Waszyngtońskim w Seattle – odrzekła jego małżonka.

Lydia spojrzała na nią groźnie.

– Stalkujesz go?

– Lizzy mi powiedziała – odparła pani Bennet z urazą, po czym zwróciła się do Jane: – Widziałam w katalogu Gumpa bardzo eleganckie zastawy. Powinnaś już myśleć, co sobie zamówić, żebyś była gotowa we właściwym momencie.

## Rozdział 67

Ostateczny termin na artykuł o problemach towarzyszących staraniom o podwyżkę minął, a Liz nadal nie doczekała się odpowiedzi od rzeczniczki Kathy de Bourgh. Z poczuciem klęski, czyli zupełnie nie w stylu słynnej feministki, wysłała artykuł do swojej redaktor naczelnej.

*Tak mi przykro, że ten wywiad nie doszedł do skutku – napisała w mejlu do Talii. – Dobre wieści: mam kilka mocnych cytatów od wysoko postawionej kobiety z IBM. Może jeszcze kiedyś mi się uda z Kathy de Bourgh?*

## Rozdział 68

W wieczór przed przyjazdem Jaspera do Cincinnati, oglądając telewizję z Jane, Kitty i matką, Liz spytała w czasie reklam:

– Kitty, zrobisz mi pedikiur?

Siostra spojrzała na nią nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Dlaczego?

– Bo jesteś w tym dobra, a ja potrzebuję. – Liz wyciągnęła nogi przed siebie i pomachała palcami.

– Dobra, ale nie tknę twoich odcisków.

– Umowa stoi – odrzekła Liz.

– Masz odciski, bo za dużo biegasz – powiedziała pani Bennet znad katalogu. – I to całe podrygiwanie jest niedobre dla twoich jajników.

Przeniosły się do łazienki Kitty. Młodsza siostra zachowywała się całkowicie profesjonalnie, gdy nakładała warstwy lakieru, koncentrując się w sposób, jakiego Liz nigdy u niej nie widziała. Chyba najbardziej imponujące było to, że Kitty miała jednorazowe blad różowe separatory, które wsunęła między palce Liz i kazała je nosić przez czterdzieści pięć minut, bo tyle będzie sechł lakier.

– Nigdy w życiu tyle nie czekałam – powiedziała Liz.

– Nakładam cztery warstwy – odparła Kitty. – Zaufaj mi.

Z separatorami Liz przeszła na piętach do pokoju Mary i zapukała. Średnia siostra po minucie uchyliła drzwi, jakby się obawiała intruzów.

– Jak idzie? – spytała Liz.

– Czego chcesz?

– Tak zaszłam, żeby się przywitać. – Minęła dwudziesta trzecia i w czasie pedikiuru Liz słyszała, jak Mary wchodzi po schodach, wracając ze swojej tajemniczej wyprawy. – Miałaś miły wieczór?

– Zachowujesz się dziwnie.

Siląc się na swobodny ton, Liz spytała:



– Dokąd chodzisz we wtorki? – No naprawdę, ta omerta okalająca nocne życie Mary nie miała sensu.

– Nigdzie.

– No ale przecież gdzieś najwyraźniej chodzisz – kontynuowała Liz ciepłym głosem.

– Nie jestem lesbijką, jeśli o to pytasz.

Liz miała nadzieję, że całe to wypytywanie przebiegnie sprawniej.

– Nie o to chodzi – odrzekła, choć może nie do końca zgodnie z prawdą. – Chciałam spytać, czy przyszło ci kiedyś do głowy dowiedzieć się, co się dzieje z Allenem Bauschem.

Mary się skrzywiła.

– Moim partnerem ze studniówki? Ten facet był totalnym frajerem.

Liz zmieniła kurs.

– Jak sądzisz, z tych wszystkich dyplomów, które masz, którym jesteś zainteresowana najbardziej w kontekście kariery zawodowej?

– Ten uzyskam dopiero w grudniu.

– To dyplom z psychologii, prawda? – spytała, a Mary kiwnęła głową. – Chciałabyś być terapeutą? – Taki pomysł wydawał się w najlepszym razie nierozważny, a w najgorszym szkodliwy dla innych. Ku jej uldze Mary pokręciła głową.

– Studiuję psychologię stosowaną, nie kliniczną.

– Przypomnij mi, co się robi po psychologii stosowanej.

Mary wzruszyła ramionami.

– Szkolenie pracowników, testowanie produktów.

– Powinnaś pracować w Procter & Gamble! – krzyknęła Liz. Widząc, że jej entuzjazm budzi u siostry odrazę, dodała już spokojniej: – Charlotte na pewno chętnie z tobą porozmawia. – Jednocześnie pomyślała, że po jej niezręcznej rozmowie z przyjaciółką prośba Mary nie będzie chyba mile widziana. I od razu się zastanowiła, jak przebiegła wizyta Charlotte u kuzyna Williego.

– Pytasz mnie o to wszystko na potrzeby swojego artykułu? – zaciekała się Mary.

– Nie mogę po prostu interesować się twoim życiem?

– Tak, jasne. – Ruchem brody Mary wskazała stopy Liz: jej paznokcie miały pięć różnych pastelowych kolorów. – To wygląda idiotycznie – powiedziała.

## Rozdział 69

Lotnisko Cincinnati, choć w rzeczy samej było lotniskiem, to jednak nie znajdowało się w Cincinnati, a po drugiej stronie rzeki w Hebron w stanie Kentucky, i tam właśnie Liz odebrała Jaspера tuż przed dwunastą w południe. Wysłał jej esemes zaraz po wylądowaniu, gdy ona zjeżdżała z autostrady, i zanim wyszedł z terminala, Liz już czekała przy krawężniku. Wsiadła z samochodu, żeby mu pomachać, a Jasper odpowiedział uśmiechem i wyglądał przy tym wyjątkowo przystojnie.

Kręcone blond włosy, choć nie tak bujne jak kiedyś, były wciąż na tyle bujne, że mógł je potargać wiatr, brązowe oczy patrzyły z rozbawieniem. Pocałował ją w usta – w Nowym Jorku nie okazywali sobie uczuć tak śmiało, ale nawet tu, w Cincinnati, nie czuli się do końca wolni od ryzyka.

– Witaj w Nati – powiedziała Liz.

– Nie mówiłaś, że to lotnisko wygląda jak widmo. Brakuje tylko kilku przerdzewiałych wraków.

– Kiedyś działał tu hub linii Delta, ale to już przeszłość. – Jasper włożył swoją walizkę do bagażnika, a Liz go zamknęła. Gdy wsiedli do cadillaca, spytała: – Jedziemy coś zjeść czy prosto do twojego hotelu? – Na wypadek gdyby jej intencje nie były jasne, zatrzepotała rzęsami.

– W zasadzie chciałbym, żebyś mnie podrzuciła do Avisa. Wiesz, gdzie to jest?

Liz spojrzała na niego zaskoczona.

– Po co cię odbierałam, skoro wynajmujesz samochód?

– Bałem się, że będę musiał zasuwać sto kilometrów od terminala. Poza tym – uśmiechnął się do niej – chciałem cię zobaczyć.

– Jasper! Mogłam w tym czasie pracować.

– Sądziłem, że mamy skoczyć na szybki numer. Nie wściekaj się, Nin. Wynająłem samochód dopiero wczoraj, bo nie miałem pojęcia, jak daleko jest mój hotel od ośrodka sportowego.

Wzdychając, uruchomiła silnik i podążyła za drogowskazami do Avisa, który znajdował się w odległości niecałego kilometra od terminala. Wsiadając z auta, Jasper powiedział:

– Wyślę ci esemesem numer mojego pokoju, jak się zamelduję.

Pokręciła głową.

– Jedźmy na lunch. Spotkamy się w Skyline Chili na Madison Road w Oakley.

Jasper się roześmiał.

– Teraz muszę mieć karę, co? Dobra, niech będzie.

## Rozdział 70

– Mam rewelacyjne wieści – oznajmił Jasper, gdy kelnerka w Skyline postawiła przed nimi krakersy ostrygowe. – Byłem wczoraj na drinku z Brettem Yankowitzem. – Liz wiedziała, że to wpływowy agent literacki, choć go nigdy nie poznała. – Spodobał mu się mój pomysł książki o tej rodzinie z Idaho zajmującej się wędkarstwem muchowym. Jeśli to sprzeda, na wiosnę wezmę wolne.

– Puszczą cię ze „Sporty”? – Wbrew plotkom, którymi Jasper wcześniej podzielił się z Liz, nikt nie zwalniał naczelnego „Dude”.

– Jeśli chcą mnie zatrzymać, to mnie zatrzymają. Jak myślisz, ile mi zajmie napisanie książki? Trzy miesiące? Cztery?

– A nie musisz przypadkiem oddać Yankowitzowi pierwszych pięćdziesięciu stron, żeby to sprzedać?

– Pewnie tak.

– Więc pilnuj się, żeby systematycznie pracować. Założę się... – W tym momencie Liz zerknęła na osobę mijającą ich stolik i zdumiona spojrzała w oczy Fitzwilliamowi Darcy’emu. Nadchodził z głębi restauracji, dzielił go od nich dosłownie metr; ośmieszyla by się, udając, że go nie zauważyła. – Naprawdę jesteś tu stałym gościem – powiedziała.

– Nie rzucam słów na wiatr – odrzekł.

– Chwileczkę... Wy się przecież znacie.

Nawet gdyby nie wiedziała o wzajemnej niechęci tych dwóch mężczyzn, od razu by ją wyczuła. Jasper nie wstał, żeby się przywitać z dawnym kolegą.

– Fitzwilliam Darcy... – rzekł chłodnym głosem. – Sporo czasu minęło.

– Owszem – odparł Darcy równie chłodno.

Liz się zastanowiła, czy Darcy znowu jadł sam.

– Nie spodziewałbym się, że wylądujesz w Cincinnati – powiedział Jasper i zaraz dodał, zwracając się do Liz: – Bez urazy.

– Pracuję w tutejszym centrum udarowym – odrzekł Darcy.

– Ja przyjechałem z Nowego Jorku pisać o squashu dla magazynu „Sporty”, gdzie jestem starszym redaktorem. I planuję podpisać umowę na książkę o mistrzach amerykańskiego wędkarstwa muchowego.

– Gratuluję. – Nikt nigdy na pewno nie wypowiedział tego słowa z entuzjazmem mniejszym niż Darcy w tej chwili. Spoglądał to na Liz, to na Jaspera. – Nie będę zabierał wam czasu. Liz... – Skinął głową.

Gdy odszedł, Liz spytała Jaspera:

– Pamiętasz Chipa, tego koleś z *Dobrej partii*, tego, z którym spotykała się Jane? Darcy jest jego przyjacielem. O mój Boże, nie mówiłam ci, Jane jest w ciąży.

– Nie gadaj. Z tej spermy ze sprzedaży wysyłkowej czy bardziej tradycyjną metodą?

– Z tej spermy, i chyba dlatego Chip uciekł. Nie wiedział, że ona poddała się sztuczemu zapłodnieniu, więc to chyba był szok, niemniej jednak uciekł aż do L.A., żeby wystąpić w *Dobrej partii po latach*. Nie wspominaj o tym, jak będziemy jedli obiad z Jane.

Jasper wbił w nią uważne spojrzenie.

– Pukasz się z Darcym?

– Żartujesz sobie?!

– Przysięgłbym, że on wysyłał sygnały terytorialne.

Liz zrobiła zdegustowaną minę.

– Wymyślasz sobie. Poza tym on chodzi z siostrą Chipa.

– *Dobra partia* to ten program, w którym koleś całuje laskę w policzek, jeśli chce ją wywalić?

– Nie musisz udawać, że nie znasz tego programu, Jasper. Oglądaliśmy razem cały sezon.

Uśmiechnął się, a Liz, pomimo ewidentnych przeciwwskazań, nigdy nie umiała się oprzeć temu uśmiechowi.

– Oglądaliśmy, naprawdę? – spytał. – No dobra, przyłapałaś mnie. Ale od tego czasu go nie widziałem.

Liz też się uśmiechnęła.

– Sruty-pierduty.

## Rozdział 71

Liz jeszcze nie wyjechała z parkingu Skyline, gdy odezwał się jej telefon. Shane Williams.

– Mój kolega ma klientów, którzy są bardzo zainteresowani domem twoich rodziców – powiedział. – Kiedy będziecie gotowi go pokazać?

– Na ile trzeba go ogarnąć? Pracuję nad piwnicą, ale rozumiesz: to przedsięwzięcie na dużą skalę.

– A może przez weekend załatwiłabyś najważniejsze rzeczy i oni by przyjechali w poniedziałek?

Co oznaczało pięć dni – z czego dwa z Jasperem – nie tylko na doprowadzenie domu do jako takiego stanu, ale też na przekazanie wiadomości siostrze i matce. Liz się skrzywiła.

– Dałoby się zrobić – odparła.

– Czasami najprościej wynająć magazyn, tam wszystko wrzucić i później uporządkować. Ja bym potraktował priorytetowo tę plamę w salonie.

– Działam w temacie. Jak się ustala cenę, jeśli dom jeszcze nie jest w oficjalnej sprzedaży?

– Mamy wtedy do czynienia z umową na wyłączność, w niektórych wypadkach może ona przynieść więcej propozycji ze strony klientów. Wy ciągle się domagacie tej samej kwoty, ale oferta nie trafia do ogólnodostępnej bazy MLS. Intuicja podpowiada mi milion sto tysięcy, jeśli rodzice się na to zgodzą.

– Brzmi nieźle. – Liz się zastanawiała, gdzie w Cincinnati są magazyny samoobsługowe i ile to kosztuje. Wydawało jej się, że mijają jakieś w drodze na fizjoterapię ojca, ale może teraz to sobie wymyśliła? – Ci ludzie zainteresowani domem mają dzieci?

– Dowiem się – odrzekł Shane pogodnym tonem. – Ale pewnie tak, bo to dom idealny dla rodziny.

## Rozdział 72

Charlotte Lucas przysłała po południu esemes, pytając Liz, czy znajdzie wieczorem czas na drinka. Ponieważ Liz zaplanowała już spotkanie z Jasperem w barze jego hotelu o dwudziestej pierwszej, po tym jak on skończy pracę, zasugerowała przyjaciółce spotkanie o dziewiętnastej w tym samym barze. Przed wyjściem znalazła w necie magazyn o powierzchni trzynastu metrów kwadratowych przy East Kemper Road i zamówiła ciężarówkę na weekend.

Dopiero gdy obie usiadły przy swoim stoliku, nad kieliszkami wina, i Charlotte powiedziała coś całkowicie sprzecznego z oczekiwaniem Liz, ta zdała sobie sprawę, jak bardzo była pewna, że wyprawa do Kalifornii zakończyła się jednak porażką.

– Willie i ja zamieszkamy razem – oznajmiła Charlotte. – Chciałam, żebyś usłyszała to ode mnie.

– Ty się wprowadzasz do kuzyna Williego?! – Liz nie zdołała ukryć zaskoczenia.

– To nie jest mój kuzyn. – Charlotte mówiła bardzo rzeczowo; może nie tryskała entuzjazmem, ale też nie sprawiała wrażenia przybitej.

– Ale wy się prawie nie znacie.

Przyjaciółka wzruszyła ramionami.

– Szybko to nadrobimy, jak już zamieszkamy razem.

– Czy ja ci kiedykolwiek mówiłam, jak bardzo cię podziwiam, że zostałam w Cincinnati, taka niezależna? Jesteś inteligentną, atrakcyjną kobietą, masz odpowiedzialną pracę i nie musiałas nawet stąd wyjeżdżać, by zacząć życie na własny rachunek.

– Nie jestem pewna, do czego zmierzasz.

Liz ściszyła głos.

– Spałaś z nim?

– Jeśli naprawdę chcesz znać odpowiedź, postaraj się zapanować nad

obrzydzeniem. Owszem, wiem wszystko o prostytutce, która mu obciągnęła, jeśli to zamierzałaś mi powiedzieć.

Liz nie przyszłoby do głowy wyjawiać akurat tej informacji. Usiłowała usunąć z twarzy wyraz zdegustowania.

– Więc wyjeżdżasz do Kalifornii? Nie wyobrażam sobie, że on będzie mieszkał w Cincinnati ze swoim...

– Ja przeprowadzam się tam – przerwała jej Charlotte. – Dolina Krzemowa daje wielkie możliwości ludziom z takim CV jak moje. I pomimo swojego fantastycznego, podobno, życia w Cincinnati jestem gotowa na nowe wyzwania. Posłuchaj, Liz, nie proszę cię o pozwolenie. Wyświadczam ci grzeczność, że sama ci o tym mówię. – Charlotte skinęła na przechodzącego kelnera. Chociaż to nie był ten sam, który przyniósł im drinki, poprosiła o rachunek.



## Rozdział 73

Charlotte wyszła z baru przed dziewiętnastą trzydzieści – spędziły ze sobą niecałe piętnaście minut – więc Liz napisała esemes do Jaspera z pytaniem, czy wróci ze swojego wywiadu przed dwudziestą pierwszą. Skoro nie odpowiedział, wysłała mu kolejny esemes, że już jest w hotelu i prosi, by zadzwonił do recepcji i potwierdził, żeby dali jej klucz do jego pokoju. Minęło kolejne dwadzieścia minut bez odpowiedzi, a wówczas Liz dopiła drugi kieliszek wina, po czym zirytowana przeszła na Siódmą Ulicę, gdzie zaparkowała samochód ojca.

Na Grandin Road zajęchała pod Tudor, zobaczyła przez wielkie kuchenne okna, że jej siostry i rodzice jedzą razem kolację: sałatkę krewetkową, którą sama przygotowała. Zamiast do nich dołączyć, niezrażona alkoholem, którym się niedawno uraczyła, weszła frontowymi drzwiami do holu, wbiegła na drugie piętro, przebrała się w strój do biegania i wypadła z domu.

Ruszyła sprintem i zwolniła dopiero przed Madison Road. Więc Jane była w ciąży, a Chip już nie był nią zainteresowany. Charlotte Lucas i kuzyn Willie stali się parą. Państwo Bennetowie byli zrujnowani, a zatem wszystkie siostry Liz również. Musiała się z tego wycofać. Musiała wrócić do Nowego Jorku. Przeszło jej przez głowę, by zrobić rezerwację na lot powrotny Jaspera, ale wraz z wyjazdem Jane na miejscu, zdaniem Liz, nie zostałby już nikt, kto by sobie poradził z całą tą sytuacją.

Pogrążona w rozmyślaniach minęła aptekę i klinikę weterynaryjną. Nagle usłyszała czyjś głos.

– Dwukrotnie w ciągu jednego dnia. Jesteś wszędzie. – Zamrugwała oczami i półtora metra przed sobą ujrzała zbliżającą się postać: wysokiego ciemnowłosego mężczyznę, który też wybrał się na jogging. Miał na sobie granatowe szorty i szarą koszulkę, a w uszach słuchawki, które właśnie wyciągał. – Ciekawe, czy to ja śledzę ciebie czy ty mnie.

Liz tak się zatraciła w swoich myślach, że chociaż rozpoznała Darcy'ego, nie była w stanie sformułować składnej odpowiedzi.

– Ja cię nie śledzę. Zwykle biegam rano – wydukała płaczliwym tonem. W tej chwili oboje dreptali w miejscu. – A poza tym Charlotte Lucas przeprowadza się do Palo Alto i będzie mieszkała z moim kuzynem Williem.

Pomimo rozdygotania uświadomiła sobie, że Darcy może uznać tę informację za zwykłą plotkę, na którą spojrzy niechętnie, a jednak wzajemna animozja dawała im jakieś dziwne nieskrępowanie. Nie groziło im, że się nawzajem poobrażają, gdyż uraza stanowiła już podstawę ich relacji. Tak czy owak, gdy Darcy odpowiedział, w jego głosie pobrzmiwało raczej zamyślenie niż osąd.

– Nie wiedziałem, że oni są parą.

– Nie są. W każdym razie nie byli. Niecałe trzy tygodnie temu Willie próbował pocałować mnie! Po jego wyjeździe z Cincinnati odbyli z Charlotte mnóstwo rozmów telefonicznych, potem ona pojechała do Palo Alto na weekend i teraz chyba są w sobie zakochani. To wariactwo, prawda?

Darcy zastanawiał się przez chwilę.

– Zawrócę i pobiegnę z tobą – odrzekł. – Mieszkam niedaleko Rookwood Commons, więc to nie jest mi nie po drodze.

– Ja nigdy nie chodziłam z Williem – podjęła Liz. – To mój kuzyn, chociaż niespokrewniony, ale i tak to było takie pokręcone, kiedy mnie pocałował. Nie jestem zazdrosna o Charlotte. Martwię się tylko, jaka będzie biedna jako jego dziewczyna.

– Zazdrość byłaby zrozumiała – odparł Darcy spokojnym tonem. – Nie o samego Williego, ale o to, że Charlotte znalazła sobie partnera, z którym chce być.

– Czy ma takie parcie na dzieci? Oni się przecież w ogóle nie znają.

– Poznali się podczas jego pobytu w Cincinnati, tak? – Darcy obejrzał się na Liz, a ona skinęła głową.

– Tak, a później pojechała do niego, i to wszystkie ich interakcje. Zawsze postrzegałam Charlotte jako osobę twardo stąpającą po ziemi. To jest naprawdę popieprzone.

– Zakładam, że nie wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

– A ktoś wierzy, o ile skończył już trzynaście lat? Ty wierzysz?

– Ja nie, nie – zapewnił Darcy. – Ale nie wykluczam, że innym zdarza się to, czego ja sam jeszcze nie doświadczyłem.

– Och, litości. Nie udawaj, że jesteś taki otwarty. Jeśli oni rzeczywiście są tacy pewni, że ich przeznaczeniem jest wspólne życie, to dlaczego przez kilka miesięcy nie pochodzą ze sobą na odległość? Albo dobra, Charlotte może się tam przeprowadzić i znaleźć sobie własne mieszkanie. – Odwróciła się do Darcy’ego. – A swoją drogą wiesz, co się wyrabia w mojej rodzinie? Nie, nie masz pojęcia. Ojciec, jak się okazuje, przehulał cały odziedziczony majątek, ma do spłacenia ogromne rachunki za pobyt w szpitalu i nikt w rodzinie oprócz mnie i Jane nie ma ubezpieczenia ani pracy. Mama miała nadzieję, że Willie zostanie moim chłopakiem i wybawi nas z długów. Aha, wydaje mi się też, że jest uzależniona od zakupów.

– Bardzo mi przykro to słyszeć – powiedział Darcy poważnym tonem.

– Chip naprawdę wymigał się od niezłego bajzlu, co? – Dotarli do skrzyżowania Madison Road i Observatory Avenue i bez dyskusji skręcili w Observatory. Liz, nie kryjąc urazy, spytała: – Dobrze się bawi w L.A.?

– Nie rozmawiałem z nim od jego wyjazdu. Mam wrażenie, że uczestnikom tego programu nie wolno się kontaktować ze światem zewnętrznym. – Darcy mówił tak, jakby przedstawiał temat równie błahy jak prognoza pogody.

– A w Christ nie są wściekli na Chipa? Muszą być wściekli.

– Powiedziałbym raczej, że nie są zadowoleni.

– Ty byś tak rzucił swoją pracę?

– Nie wiem, czy medycyna kiedykolwiek była odpowiednia dla Chipa. Czasem porządni ludzie obierają tę drogę z niewłaściwych powodów.

Liz parsknęła.

– A Chip niby jest takim porządnym człowiekiem? Fajnie musi być tak pomiatać ludźmi, a potem się zwinąć, bo jesteś taki wrażliwy i nie wiesz, co robić.

Darcy wydawał się niewzruszony.

– A skoro już mowa o wzorze cnót, jak tam Jasper? – spytał.

– Nie jest chyba takim wielbicielem Skyline jak ty.

– Oświecił cię, jak rozumiem, w sprawie swoich studenckich grzeszków?

Liz nie chciała przyznać, że jeszcze nie rozmawiała z Jasperem o tym, co się wydarzyło w Stanford.

– Za bardzo się skupiasz na czymś, co zdarzyło się wiele lat temu – rzuciła tylko.

– Jako zawodowy gawędziarz musisz przyznać, że to szalenie barwna

historia.

„Barwna?” – pomyślała Liz niespokojnie. Byli już prawie przy Edwards Road, gdy spytała:

– Mówiłeś, że mieszkasz przy Rookwood, prawda? Ja idę tędy. – Ruchem ręki wskazała na prawo i w tym samym momencie uświadomiła sobie z wyjątkową jasnością, że właśnie zwierzyła się Darcy’emu (Darcy’emu!), a on słuchał, i to z szacunkiem. Nie do końca jej się to spodobało, i może po części dlatego zanim się oddaliła, powiedziała: – Miłej nocy na naszym zadupiu!

## Rozdział 74

Na podjeździe Tudor Ham i Lydia szli właśnie w kierunku stojącego tam granatowego SUV-a Hama.

– Od kiedy to biegasz dwa razy dziennie? – spytała Lydia. – Jesteś anorektyczką?

– A wyglądam na anorektyczkę? – Oburącz chwyciła fałdkę na brzuchu; choć może nie miała tam nadmiaru ciała, na pewno nie miała też braku.

– Ja lubię biegać wieczorami – odezwał się Ham. – Rozmyślać o życiu, gdy słońce zachodzi.

– Mówisz jak starzec – orzekła Lydia.

– W porównaniu z tobą to ja jestem starcem – odparł miło Ham.

Lydia zachichotała.

– Dla twojej informacji, w takim razie Liz jest staruszką. Ale ty i tak mnie nigdy nie słuchasz.

– Wychowałeś się w Seattle, prawda? – spytała Liz Hama. – Gdzie chodziłeś do liceum?

– Poważnie? – rzuciła Lydia.

Podobnie jak w innych miastach Środkowego Zachodu, takie pytanie było traktowane jako pretensjonalne, poza tym w ten sposób miejscowi niezbyt dyskretnie upewniali się co do statusu społecznego rozmówców.

– Nie jest stąd, no i przecież nie miałam na myśli nic złego – zapewniła Liz. – Tak się zastanawiałam, bo moja szefowa w „Mascarze” też pochodzi z Seattle.

Ham i Lydia szybko – tak szybko, że Liz ledwie to zauważyła – wymienili spojrzenia.

– Wychowałem się na nieciekawych przedmieściach – odrzekł Ham, a Lydia pociągnęła go za ramię.

– Musimy iść – powiedziała.

– Teraz to rzeczywiście niewłaściwy moment – wyjaśnił Ham Liz – ale

któregoś dnia wprowadzę cię w swoje skomplikowane i udręczone lata młodości. O ile twoja siostra nie będzie mnie od ciebie odciągać.

– Jedliście kolację z rodzicami? – spytała.

Ham pokręcił głową.

– Co prawda ich poznałem. I Jane, i Mary. Poczułem się zaakceptowany.

– Następnym razem powinieneś przyjść wcześniej i zjeść z nami.

– Liz – odezwała się Lydia – przepraszam, ale muszę złamać ci serce. Właśnie dzwoniła ciocia Margo i poinformowała mamę, że Charlotte Lucas przeprowadza się do Kalifornii i będzie mieszkać z kuzynem Williem.

Liz nie spodziewała się wprawdzie, że te sensacje długo pozostaną tajemnicą, no ale jednak... Charlotte natychmiast po wyjściu z baru musiała dać znać Williemu, że już może wszystkim mówić.

Ham zdalnie zwolnił zamki w SUV-ie i otworzył drzwi pasażera. Ach, jaka galanteria, pomyślała Liz.

– Jeśli Willie lubi pulchne dziewczyny – rzuciła Lydia, wsiadając do środka – to zdecydowanie nie jesteś anorektyczką.

## Rozdział 75

Liz zamierzała przemknąć na górę pod prysznic, ale w holu przechwyciła ją matka z miną wyrażającą gniewną satysfakcję.

– Założę się, że teraz żałujesz swojej decyzji względem Williego – powiedziała.

– A jednak nie – odparła Liz.

– Charlotte już do końca życia nie będzie musiała pracować.

– Charlotte lubi swoją pracę.

Pani Bennet ściągnęła usta.

– Cóż, na pewno nie musiała się długo zastanawiać, zanim złożyła wypowiedzenie w Procter & Gamble.

## Rozdział 76

– Musisz mi zdradzić, co się wydarzyło w Stanford – powiedziała Liz do Jaspera. – Rozumiem, że nie lubisz do tego wracać, ale chyba wyjdę z siebie, jeśli się nie dowiem.

Znowu siedziała w barze jego hotelu, czekali na sałatkę dla niej i frytki na spólkę. Liz ciągle nie zdołała zjeść posiłku, chociaż była dwudziesta pierwsza trzydzieści, a Jasper ostatecznie poszedł na obiad do trenera squasha.

– Powiem ci, ale twój kumpel Darcy nie wypada w tej historii dobrze.

– Tym lepiej.

Jasper westchnął głęboko.

– Jest wiosna ostatniego roku studiów. To powinno być zwieńczenie college’u, okres wyluzowania z kumplami, zanim się zmierzymy z rzeczywistością. Chodzę na zajęcia kreatywnego pisania do pewnej asystentki. Więc po pierwsze, to nie jest żaden profesor, a po drugie, to nie jest nawet żadna pisarka. To czarna poetka Tricia Randolph. Swoją drogą nie sądzę, by kiedykolwiek wydała jakąś książkę, ani przed tymi wydarzeniami, ani później, więc nie wiadomo, dlaczego wykładała w Stanford. Jako zadanie semestralne piszę opowiadanie o chłopakach na imprezie bractwa. To satyra, więc studenci mieli wyjść na narcystycznych dupków, ale Tricia Randolph wzywa mnie do swojego gabinetu i pyta: „Jasper, jak sądzisz, jak się poczują twoje koleżanki wobec takiego uprzedmiotowienia kobiet?”.

Liz poczuła ukłucie zwątpienia.

– Dlaczego cię o to spytała?

– Główny bohater i jego kumple mówią, które dziewczyny zerzną, no ale to miała być satyra. Poza tym, owszem, tak właśnie rozmawiają faceci w college’u. Nie zabijaj posłańca. – Twarz Jaspera wykrzywiła się z goryczy. – Tricia Randolph mówi, że dopóki tego nie napiszę od nowa, nie będziemy tej pracy omawiać na zajęciach. No to ja, że świetnie, nie



omawiajmy. Tylko że to opowiadanie już się rozeszło, każdy z grupy ma egzemplarz i przygotowują kolejne dla swoich znajomych. Robi się z tego literatura drugiego obiegu.

Liz widziała, że Jasper wrócił do przeszłości. Że był daleko od niej, od Cincinnati i swojej dorosłości.

– Skoro opowiadanie schodzi do podziemia, Tricia Randolph czuje się upokorzona – mówił dalej. – Postanawia szukać zemsty. I ani się obejrzę, a siedzę przed komisją dyscyplinarną. I kogóż widzę wśród raptem trzech studentów ostatniego roku? Oto stary druh Fitzwilliam Darcy. Komisja go ściągnęła jako przedstawiciela studentów. Słowo daję, moim zdaniem to jeden z tych koleś, którzy przez całe swoje życie są uważani za kumatych i moralnych wyłącznie dlatego, że są wysocy. No, w każdym razie jest rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy i wszystkie uczelnie mają szmergla na punkcie tej zaszrannej poprawności politycznej, a Tricia Randolph uznaje, że ja ją swoim opowiadaniem obraziłem nie tylko jako kobietę, ale też jako czarną kobietę, i nagle okazuje się, że wpadłem po uszy w spór na tle rasowym. A przysięgam ci, że to wszystko nie miało absolutnie nic wspólnego z kolorem skóry. Ale Darcy, który mógł tu być głosem rozsądku... w tej całej komisji znałem tylko jego... wbił mi nóż w plecy. Dalej pamiętam już tylko, że zostałem relegowany.

Jasper patrzył z kwaśną miną, a równocześnie z wyczekiwaniem. Jakby miał nadzieję, z jednej strony, że Liz podważy jego wersję, a z drugiej – jakby jej zdanie mało go obchodziło.

– Ale jakie zarzuty ci postawiono? – spytała.

– Jakieś mało konkretne złamanie regulaminu i etyki szkoły. Oczywiście uniwersytet bał się, że Tricia Randolph złoży pozew.

– Wygląda na to, że powinna była co najwyżej postawić ci jedynekę.

– Gdy zaproponowała, że pozwoli mi napisać to od nowa, a ja odmówiłem, miałem przejebane. Osądzono mnie dwukrotnie za to samo przewinienie.

Liz była niemal pewna, że Jasper mija się z prawdą – dwukrotne osądzenie za to samo nie wchodziło w grę – lecz to raczej nie był dobry moment, by o tym wspominać.

– Byłeś na rozdaniu dyplomów? – spytała.

Pokręcił głową.

– Dostałem dyplom, ale pod warunkiem, że natychmiast opuszczę

kampus.

Jakim cudem Liz nigdy nie dowiedziała się o tej historii? Poznała Jaspere parę miesięcy później. Znowu sobie przypomniała, że nigdy nie przedstawił jej żadnego kolegi czy koleżanki ze studiów.

Gdy podano im jedzenie, rozmawiali zdawkowo, co było dla nich dość niezwykle; ona była zmęczona, on pewnie też. Wywiady z ludźmi, skupianie się na tym, co mówią – to zawsze ją męczyło.

– Spotykasz się z trenerem na śniadaniu? – spytała, kiedy jechali windą na górę.

– Tak, umówiliśmy się na dziewiątą trzydzieści na placki w knajpie koło jego domu.

W pokoju hotelowym wzięła prysznic i myjąc zęby, pożałowała, że zjadła aż tyle frytek. Lecz gdy wyszła z łazienki, stwierdziła, że Jasper zasnął w ubraniu; telewizor był włączony, niektóre światła też. Nie obudziła go. Wyłączyła światła i odbiornik, po czym wsunęła się pod kołdrę, nasłuchując miarowego oddechu Jaspere. Nie zaproponował, żeby przeczytała jego pracę semestralną z college'u, ale jeśli by to nawet zrobił, odmówiłaby. Kiedy położyła się na boku i zamknęła oczy, miała wręcz nadzieję, że nie istnieje już żaden egzemplarz tego opowiadania.

## Rozdział 77

– Ej! – krzyknęła pani Bennet, pędząc od frontowych drzwi Tudor w stronę cadillaca, który prowadziła Liz. – Masz tupet, moja panno! Mówisz swoim siostram, że my z ojcem sprzedajemy ten dom, bo ty uznałaś, że tak trzeba?

Było parę minut po ósmej. Nastawiwszy budzik w telefonie na szóstą, Liz wyłączyła go i spała kolejną godzinę i czterdzieści pięć minut, aż promienie słońca zalały pokój Jaspera. Gdy jechała Columbia Parkway, wymyślała prawdopodobne wymówki co do swojego miejsca pobytu; tocząc się po prawej ospała rzeka Ohio jakby drwiła z jej emocji.

W chwili gdy wjechała na podjazd, jej lęki się potwierdziły. Zobaczyła matkę w kremowym satynowym szlafroku i kapciach, za matką Jane (po raz pierwszy Liz zauważyła, że siostra się zaokrągliła), a dalej – kolejno – Mary, Kitty i Lydię.

Wcisnęła hamulec i wyłączyła silnik. Rozjeżdżając matkę, na pewno pogorszyłaby sytuację. Gdy otworzyła drzwi od strony kierowcy, pani Bennet krzyknęła:

– Nie masz prawa o tym decydować! Słyszysz, Elizabeth? Jeśli taka chwila nadejdzie, to twój ojciec i ja sami podejmiemy decyzję, czy sprzedać dom.

Liz odwróciła się do Kitty.

– Dlaczego jej powiedziałaś?

– Ja jej nic nie powiedziałam – odparowała Kitty.

– To nie ona – odezwała się Jane. – Myślałam, że mama wie.

– Nie możesz tak po prostu przyjeżdżać i mówić nam, co mamy robić.

– A gdzie ja mam mieszkać? – spytała Mary.

– Będziesz mieszkać tutaj! – odpowiedziała pani Bennet. – Tu, gdzie mieszkałaś zawsze.

– Wejdz do internetu i znajdź sobie mieszkanie, Mary – poradziła Liz. – Mamy rok dwa tysiące trzynasty. Ludzie tak robią.

– Wiem, że myślicie z Jane, że tak strasznie pomagacie z tymi waszymi organicznymi warzywami i opiniami, jak mamy siebie ulepszać – ciągnęła pani Bennet. – Ale, jak wam się zdaje, kto robił obiady przez ostatnie dwadzieścia lat, gdy wy się bawiłyście w Nowym Jorku? Wyobrażacie sobie, że pozwalałam waszemu ojcu i siostrze głodować?

– Staraliśmy się pomóc – broniła się Liz.

– Nie miałyśmy zamiaru przeszkadzać – weszła siostrze w słowo Jane. – Chciałyśmy zapewnić ci czas, żebyś się skupiła na lunchu Ligi Kobiet.

– Wszyscy wolą jedzenie mamy od waszego – rzuciła Kitty do starszych siostr.

– Wiesz, jak możesz ułatwić mi życie? – Pani Bennet, dziesięć centymetrów niższa od Liz, prężyła się, patrząc gniewnie. – Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy.

W tym momencie odchrząknął pan Bennet, którego pojawienie się przed domem przeszło niezauważone.

– Lizzy nie myli się w sprawie domu i wiesz o tym, Sally. Musimy go sprzedać. Dziewczęta, posprzątajcie swoje pokoje i zacznijcie sobie czegoś szukać.

– Ty chyba nie mówisz poważnie? – rzuciła pani Bennet w osłupieniu.

– Nie mamy wyboru – odrzekł jej mąż. – *Tempora mutantur*, moja droga. Wyglądało na to, że pani Bennet nie może zaczerpnąć powietrza.

– Myślałam, że w tym domu kiedyś będzie mieszkać któraś z dziewcząt z rodziną – powiedziała w końcu.

– Ja – zgłosiła się Lydia. – Ja tu zamieszkam.

– W takim razie – zwrócił się do niej ojciec – radziłbym, żebyś znalazła księcia z bajki, który ten projekt sfinansuje.

Jane powiodła wzrokiem po siostrach.

– Czy któraś z was myślała kiedyś o jakiejś pracy?

– Co cię to obchodzi? – odparowała Lydia. – Ty się zwijasz z miasta. A ty – spojrzała na Liz – też tu właściwie nie mieszkasz. Obie jesteście obce.

Kolejne pytanie zadała pani Bennet, dla odmiany tonem pełnym nadziei:

– Jane, może wy z Chipem kupicie dom?

Jane się zmieszala, a potem wyprostowała ramiona.

– Chip i ja zerwaliśmy – oznajmiła.

– Naprawdę? – spytała Mary. – Czyli nie chodzisz już z facetem, który teraz kręci show randkowy w Kalifornii? Szok i niedowierzenie!

– Och, Jane. – W głosie pani Bennet było niemal słyhać, jak żegna się z ostatnią nadzieją. – Teraz to już nigdy nie będziesz miała dzieci.

## Rozdział 78

Mając na uwadze radę Shane'a, by darować sobie długie analizy, a skupić się na skuteczności, Liz w piwnicy wepchnęła świąteczne lampki do szafki gabinetowej, a zestaw do badmintonu do starej walizki z zepsutym zamkiem. Przysięgła sobie, że kiedy tylko wróci do Nowego Jorku, natychmiast wyrzuci magazyny, które bezwiednie gromadziła latami, jak również uporządkuje szafę i zawiezie do Goodwilla wszystko, czego nie nosiła od roku.

Była w piwnicy od mniej więcej dwóch godzin i napotkała całą liczną rodzinę pajaków – energicznych młodziaków, znużonych rodziców, zmarłe cioteczne babki – gdy usłyszała, że ktoś schodzi po schodach. Ujrzała Lydię z butelką wody kokosowej w ręku. Sądziła, że to dla niej, dopóki młodsza siostra sama się nie napiła.

– Nie mogę uwierzyć, że namówiłaś na to tatę – powiedziała. – Czasami jesteś naprawdę strasznie samolubna.

– To nie moja decyzja. Masz cień pojęcia, ile kosztuje utrzymanie tak wielkiego domu?

– Przecież nie mamy kredytu.

Zamiast wyprowadzić siostrę z błędu, zadała kolejne pytanie:

– Jak sądzisz, ile wynosi podatek od nieruchomości?

Lydia wzruszyła ramionami.

– Ponad dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie. Powiedzmy, że zepsuje się bojler. Na ile byś oszacowała koszt nabycia nowego?

Lydia zamknęła oczy i udała, że chrapie.

– Wiem, że w to nie wierzysz, ale zdobycie pracy i własnego mieszkania będzie najlepszą rzeczą, jaka ci się przydarzy – mówiła Liz. – Poczujesz się dorosła i niezależna.

– Mam wrażenie, że słucham reklamy tamponów. Tak czy owak, wprowadzam się do Hama.

- I nie płacicie czynszu na spółkę?
- On jest właścicielem mieszkania.
- Naprawdę chcesz się zdać na mężczyznę? Zgodzisz się, żeby cię utrzymywał?
- Oszczędź mi swojej feministycznej propagandy. Powinnaś poprosić Hama, żeby ci pomógł tu w piwnicy. To najbardziej zorganizowana osoba, jaką w życiu widziałam. Używa tylko jednego modelu wieszaka i wszystko musi wisieć tak samo.
- Świetnie – odparła Liz – przyślij go do mnie.
- Lydia wzięła jeszcze jeden łyk wody kokosowej.
- Kitty i Mary rozmawiają o tym, żeby zamieszkać razem. To komiczne, nie sądzisz?
- Moim zdaniem to niezły pomysł.
- W życiu bym nie zamieszkała z Mary. Ona jest taka denerwująca.
- Przecież mieszkasz z Mary.
- Lydia się roześmiała. Jakaś uprzedzająca aura zdradzała, że już, już wraca na górę. Liz zastanowiła się, jak to jest patrzeć na cudze wysiłki przy zadaniu, które jest w równej mierze twoje, i nie czuć grama zobowiązania do pomocy?
- Masz chociaż CV? – spytała.
- Siostra uśmiechnęła się szeroko.
- Niektórym wystarcza uroda.

## Rozdział 79

*O której dzisiaj kończysz? – napisała Liz do Jaspera z piwnicy. Przenoszę tony gratów z domu rodziców do magazynu. Nie mogę się Ciebie doczekać.*

*Będę w centrum sportowym do siódmej – odpisał Jasper. Nadal mamy w planach kolację z Jane i Twoją przyjaciółką?*

Formalnie nie odwołała spotkania z Charlotte, chociaż teraz nie wydawało się to konieczne.

*Już tylko my i Jane – odpisała. Spotkajmy się w holu Twojego hotelu o 19.45.*

Niespełna pół godziny później usłyszała, że ktoś ją woła z kuchni, i przez kilka sekund myślała, że to Jasper zignorował zakaz odwiedzin w Tudor i przybył jej na ratunek. I wzruszyło ją to.

– Jestem na dole! – zawołała, chociaż już wiedziała, że to nie on.

– Wieść gminna niesie, że potrzebujesz pomocy – powiedział Ham, wchodząc do piwnicy.

– Naprawdę? O rany, dzięki!

Wzruszył ramionami.

– W pracy dzisiaj nudy. Jaki mamy plan?

Co prawda Mary podwiozła starszą siostrę po ciężarówkę, którą ta wynajęła na weekend, ale Liz i tak czuła się jak czerwona kurka z bajki, która siała i zbierała zboże, podczas gdy inne zwierzęta dokoła się bawiły. Teraz w końcu miała sprzymierzeńca i gdyby nie była tak spocona, uściskałaby go.

– Magazyn jest dziesięć minut stąd – powiedziała. – Jeśli rzeczywiście jesteście gotów, możemy zrobić pierwszą rundę.

I tak właśnie zrobili. W górę po niewykończonych schodach piwnicznych, przez kuchnię i na podjazd nosili walizki, stoliki i pudła pełne dokumentów sprzed dziesięciu lat.

– Nie chcesz tego po prostu wyrzucić? – spytał Ham, mając na myśli stos wyblakłych koszyków wielkanocnych ze sztuczną trawką. Właśnie wrócili



z magazynu i po raz drugi ładowali ciężarówkę.

– Wiem, że to się wydaje głupie, ale gdy moja mama spyta, czy cokolwiek wyrzuciłam, chcę z czystym sumieniem powiedzieć, że nie. To znaczy... odkąd przyjechałam do domu, wyrzuciłam mnóstwo rzeczy, ale od dzisiaj nic.

– Jesteś pewna, że nie masz wykształcenia prawniczego? – rzucił Ham. Wsiedli do pojazdu, by przewieźć ostatni ładunek.

Gdy wrócili do Tudor, wysiadając z ciężarówki, Ham powiedział:

– Pytanie z innej branży. Myślisz, że twoi rodzice są republikanami?

– Tata tak, może z nieco liberalnym odchyleniem. Mama ma poglądy republikańskie, ale nie sądzę, by chodziła na wybory. Dlaczego pytasz?

– Takie właśnie wrażenie odniosłem na podstawie słów Lydii, ale się zastanawiałem. Myślisz, że twoi rodzice mają homoseksualnych znajomych?

– Jak może Lydia wspomniała, spekuluje się, że mają homoseksualną córkę.

– Lydia podzieliła się ze mną tą teorią.

– A twoja rodzina jest konserwatywna? – spytała Liz.

– Bardzo. Mama po śmierci ojca przeprowadziła się na Florydę, do społeczności emeryckiej, a moim zdaniem to obóz szkoleniowy Partii Herbacianej. Niestety, nie jesteśmy ze sobą blisko.

– Ty nie jesteś konserwatystą?

– Nazwałbym się centrystą.

– Moim zdaniem crossfit jest dość konserwatywny. Nie mam racji?

– Rzeczywiście, to prawda. Chociaż ja bym powiedział, że w moim boxie jest trochę inaczej.

– A byłeś w wojsku?

– Tak. Przez jakiś czas służyłem w Korei i byłem na jednej misji w Afganistanie.

– O rany – odezwała się Mary. – Widać podłogę.

Liz nie zdawała sobie sprawy, że siostra jest w pobliżu. Miała nadzieję, że nie słyszała uwag dotyczących jej orientacji seksualnej.

– Chcesz nam pomóc? – Wskazała brązowy sztruksowy worek sako, z którego przez rozpruty szew wysypywały się kuleczki styropianu.

– Przepraszam – wtrącił się Ham – ale to zdecydowanie jest śmieć. Poważnie, Liz.

– No pewnie, że to śmieć – poparła go Mary. – A Liz mówi, że nie?

- Nie chcę, żeby mama się na mnie złościła, że coś wyrzucam.
- No więc ja to zrobię. Gdzie jest stos śmieci?
- To twój wielki dzień – odrzekła Liz. – Masz zaszczyt go zainaugurować.

## Rozdział 80

W Boce Jasper zamówił butelkę wina za siedemdziesiąt pięć dolarów – ponieważ Jane nie piła, Liz miała nadzieję, że on weźmie rachunek na „Sporty” – a gdy sommelier ją podawał, powiedział:

– Skoro wy w tym sezonie robicie za kuchty w swoim domu, to kto dzisiaj pichci obiad?

Liz nie przypominała sobie, by w rozmowie z Jasperem użyła słowa „kuchta”.

– Jane przygotowała kurczaka i zupę na zimno.

Jasper uśmiechnął się szeroko.

– Boże uchowaj, żeby sobie sami poradzili, prawda? A, Jane, Liz mówiła mi o dziecku. *Mazeł tow.*

– Dziękuję – odrzekła Jane ponuro.

– Jak się czujesz?

– Ujdzie.

– To super. Bo Susan rzygała nieprzerwanie od poczęcia do porodu.

Liz czuła, że Jane na nią zerka, i by nadrobić miną, podniosła kieliszek.

– Smacznego – powiedziała. – Śmiało, Jasper, nie krępuj się.

Tak naprawdę Jasper aż się palił, by rozmawiać o swoich wywiadach z zawodnikami squasha i trenerem, i realizował to pragnienie przy przekąskach (dla niego ostrygi, dla nich sałatka z buraka), daniu głównym (makaron dla Jane, przegrzebki dla Liz, filet dla Jaspera) i przy deserze (crème brûlée dla Jaspera i Liz, Jane podziękowała). I znowu Liz martwiła się mniej tym, że on jest nużący, a bardziej tym, że Jane to widzi. Podejrzewała, że ten wieczór podsyci przekonanie siostry, że Jasper jest egotystą. Właśnie opisywał zasadniczego ojca jedenastoletniego Chenga Zhou, gdy Liz weszła mu w słowo:

– Mówiłam ci może, że Jane będzie osobistą instruktorką jogi pewnej rodziny w Rhinebeck?

- Doprawdy? – Jasper przełknął łyżeczkę crème brûlée. – U kogo?
- To moja koleżanka z college’u – wyjaśniła Jane.
- A to prawdziwa praca czy raczej taka z litości?
- Jezu, Jasper!
- No wiesz – odparł wesoło – przecież Jane jest w ciąży i na dodatek samotna.
- Tak, z wyboru – odrzekła Liz. – I może wrócić do poprzedniej pracy w mieście, jeśli zechce. To po prostu zmiana otoczenia.
- Myślałem, że wy dwie macie układ „na zawsze razem”.
- Liz spojrzała na niego wściekła.
- Sporo się zmienia. I wiesz co? Jestem dużą dziewczynką. Poradzę sobie w Cincinnati bez Jane.
- Mam nadzieję, że moje przyjaciółki nie zatrudniają mnie z litości – powiedziała spokojnie Jane – ale nigdy nie wiadomo. – I zwracając się do Liz, dodała: – I oczywiście bardzo doceniam, że Lizzy tu zostanie do uroczystego lunchu naszej mamy.
- A właśnie – rzekł Jasper. – Jak rozumiem, Sally Bennet i jej koleżaneczki wciąż odbywają te swoje zakrapiane lunche? – Udał, że wlewa do ust płyn. Liz wyczuła, że Jane też się jeży.
- Jasper, opowiedz nam jeszcze o graczach w squasha – poprosiła.

## Rozdział 81

Jasper zamówił do pokoju kolejną butelkę wina, a gdy ją dostarczono wraz z dwoma kieliszkami oraz talerzem owoców i serów, wzniósł toast:

– Za Cincinnati. Które nie jest do dupy ani trochę tak bardzo, jak mnie straszylaś.

Leżeli obok siebie na zasłanym łóżku, w ubraniach, pomiędzy nimi stał talerz. Stuknęli się kieliszkami.

– Jezu – powiedziała Liz – żeby mi się w głowie nie poprzewracało. – Ale już była w lepszym nastroju. Czowała ulgę, że kolacja dobiegła końca i że naprawdę Jasper za nią zapłacił.

– Co dzisiaj wozilaś do magazynu? – spytał.

– Sprzątałam piwnicę, żeby dom nie wyglądał jak przeznaczony do rozbiórki, gdy pośrednik będzie go pokazywał ludziom.

– Twoja rodzina sprzedaje dom? – Jasper sięgnął po plaster goudy. – Kiedy moim rodzicom się pogorszyło, w kółko myślałem tylko o tym, czy już za chwilę będę ich karmił kaszką kukurydzianą i zmieniał im pieluchy.

Liz spojrzała na niego podejrzliwie. Czy aby nie omawiali problemów finansowych jej rodziny? I nagle oświeciło ją, że rozmowę o sprzedaży domu odbyła nie z Jasperem, lecz z Darcym.

– Moi rodzice nie sprzedają domu z wyboru. Są pogrążeni w długach.

– Koszmarna sprawa. – Jasper wrzucił do buzi truskawkę i gryząc ją, mówił: – Bo wolałbym cię jako bogatą dziedziczkę.

– Od tego jest chyba Susan.

– Słusznie. A, dostałem mejl od Bretta Yankowitza, że jeśli przedstawię mu pisemnie moją propozycję o wędkarstwie muchowym, to on z największą radością rzuci na nią okiem. Fantastycznie, ale może powinienem napisać książkę o talentach squasha. Lotnisko Cincinnati jest głęboko zacofane, ale i tak łatwiej dostać się tu niż do Idaho.

– Łowienie na muchę jest o wiele romantyczniejsze niż squash – odparła

Liz. – Nie wolałbyś pracować, stojąc w pięknym strumieniu zamiast pod świetlówkami?

– Masz słuszność.

– A skoro mówimy o romantyzmie... – Mrugnęła okiem teatralnie, bo nie umiała zachować powagi, gdy inicjowała seks.

– No chodź – powiedział i wyciągnął ręce, by pomóc jej przedostać się ponad półmiskiem serów.

Całowanie było fajne; Jasper tryskał wręcz optymizmem. Tym większe było zaskoczenie, że gdy już leżeli nadzy, pojawiły się trudności techniczne. Najważniejszy element anatomii Jaspiera może nie był do końca zwiotczały, ale zbyt daleko mu było do satysfakcjonującej sztywności, by przejść do kolejnego etapu, a im bardziej Liz próbowała poprawić sytuację, tym mniej obiecujący rezultat osiągała. Leżeli twarzami do siebie i w końcu Jasper sięgnął po jej rękę.

– Nie wiem, co się dzieje – oznajmił sfrustrowany.

– Nic takiego – odparła, starając się przegnać myśl, że ten cały artykuł o squashu był przecież pretekstem, by przylecieć do Cincinnati i się pokochać. – Spróbujemy później.

– Pewnie nie chcesz, żebym się tobą zajął? – spytał Jasper. To pytanie zabrzmiało o wiele mniej dwornie niż „Zająć się tobą?”.

– Spróbujemy za chwilę – powtórzyła Liz po kilku sekundach.

Wróciła na swoją część łóżka i sięgnęła po pilota leżącego na nocnym stoliku.

Wybrali polityczny talk-show, a im dłużej go oglądali, tym bardziej rosło niedowierzanie Liz. Nie widzieli się przez dwa miesiące, więc jak to się mogło stać? Z czysto fizjologicznego punktu widzenia – czy jego problemem nie powinien być zbyt szybki finisz, a nie rozpoczęcie?

– Czy wy z Susan uprawiacie seks? – spytała. Wcale nie zamierzała tego powiedzieć. Po prostu wyartykułowała to pytanie w tym samym momencie, gdy zrodziło się w jej głowie.

– Żartujesz? Susan mnie nienawidzi.

– Ma jeszcze tego chłopaka?

– Co to za pytania? Tak, jest ciągle z Bobem.

– Nie daje mi spokoju to, co się właśnie stało – wyjaśniła Liz.

Jasper odpowiedział po chwili.

– Przepraszam, że nie jestem w stanie zaspokoić twojego nienasyconego

apetytu seksualnego.

– Nie chodzi o to, że jestem nienasycona. – Liz usiadła i skrzyżowała ramiona na nagiej piersi. – Sypiasz z kimś jeszcze?

– Kochanka mnie pyta, czy mam kochanki! Błagam, powiedz, że widzisz tę ironię.

– Sypiasz?

– Liz, do cholery, o co, kurwa, chodzi?

– To nie jest odpowiedź.

Jasper patrzył w sufit, nie na nią, a gdy się odezwał, w tonie jego głosu już dało się słyszeć szczerłość i chęć pojednania.

– Jesteś dla mnie bardzo ważna. Nasze rozmowy... to, jak sobie gadamy... z nikim innym tego nie mam.

Była taką głupią, taką nedorzecznie niewyobrażalną idiotką; jak mogła być taką kretynką?!

– Z kim jeszcze sypiasz? – spytała.

– Naprawdę chcesz, żebym ci powiedział? – Na jego twarzy odmalowało się współczucie.

– Tak.

– Z Fioną.

– Z sekretarką?

Kiwnął głową. Liz nie wiedziała, ile lat ma Fiona, ale na pewno poniżej dwudziestu pięciu. Poza tym miała rude włosy i była olśniewająca. Przez cały ten czas Liz uważała, że ich związek bardzo przypomina niesmaczny banan; nie dostrzegła, że naprawdę jest niesmacznym bananem.

– Z kimś jeszcze? – spytała. Gdy spojrzeli sobie z Jasperem w oczy, on nie zareagował w żaden sposób – nie skinął głową, nie pokręcił nią, nic nie powiedział. Potem przyciągnął Liz do siebie, a ona nie protestowała; leżała z twarzą przytuloną do ciepłej skóry jego ramienia.

– To ty mnie uczysz życia – powiedział cicho i w jego mniemaniu był to z pewnością komplement najwyższej klasy.

Tyle lat – całe jej dorosłe życie! – zmarnowanych na tego człowieka. A wina leżała raczej po jej stronie niż po jego. Czy trudno jej będzie się z tego wydostać?

Jeszcze sądziła, że będą się kochać, albo późną nocą, albo rankiem, zanim on odleci do Nowego Jorku. Ale się nie kochali. Jasper musiał wyjść wcześniej, żeby zwrócić samochód do wypożyczalni.

## Rozdział 82

*W czwartek 29 sierpnia KDB wygłasza wykład w Houston dla Stowarzyszenia Kobiety w Biznesie – przeczytała Liz w nieoczekiwanym mejlu od rzeczniczki Kathy de Bourgh. Po wykładzie dysponuje czasem 20 minut na ewentualną rozmowę, pod warunkiem że wspomni Pani w artykule wykład lub organizację.*

Teoretycznie „Mascara” niechętnie zgadzała się na tego typu ingerencje w materiał, ale w praktyce ciągle to robiła. Poza tym dwadzieścia minut z Kathy de Bourgh, choć osobie spoza branży wydałoby się skromne, jej wystarczało, bo dzięki temu zdobędzie materiał na pełną sylwetkę, a nie kilka uwag do artykułu na inny temat. Tak więc, nie czekając na potwierdzenie swojej redaktor naczelnej ani nie szukając dodatkowych informacji o tym wydarzeniu, Liz odpisała: *Na pewno będę.*



## Rozdział 83

– Wiem, że to nie twoja bajka, więc tym bardziej dziękuję – powiedziała Jane. Stała z Liz na podwórku, pod platanem zajęтым grzybem.

– Właśnie, nie chcę, byś pomyślała, że nie okazuję szacunku, ale powinniśmy wyruszyć na lotnisko za osiem minut – odparła Liz.

Jane zaprosiła siostrę, by dołączyła do niej, gdy będzie ceremonialnie żegnać Tudor. Liz zabobonnie pomyślała – ale nie podzieliła się tym z siostrą – że w ten sposób zwiększały prawdopodobieństwo, że ewentualnym chętnym dom się jednak nie spodoba.

Jane zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech, wypuściła powietrze i zanuciła:

– Omm.

Liz nie zamknęła oczu i zastanawiała się, czy rodzice i siostry obserwują je przez okno.

– Dziękuję, że chroniłeś naszą rodzinę przez tyle lat – mówiła Jane. – Że zapewniałeś nam ciepło zimą i chłód latem. – Zdaniem Liz jedno i drugie dowodziło wspaniałomyślności, biorąc pod uwagę przeciagi, na które mieszkańcy Tudor byli narażeni już od listopada, i wątpliwe działanie klimatyzacji na drugim piętrze. – I dziękujemy, że to tu obchodziliśmy święta, graliśmy w gry i spożywaliśmy wyborne posiłki. Nawet trudności, których tu doświadczyliśmy, dodały naszemu życiu barw, dzięki nim pogłębiła się nasza zdolność do odczuwania. Nasza rodzina miała wielkie szczęście, że mieszkała w tak pięknym miejscu.

Na wzmiankę o grach Liz przypomniała sobie pewną partyjkę remika gin, którą rozegrała z Mary w latach osiemdziesiątych – dostała na rękę idealne karty i wyłożyła się, kończąc grę, zanim wzięła pierwszą kartę z kupki. Mimowolnie poczuła prawdziwy smutek. Nieuczciwe byłoby jednak przypisywanie tego smutku wyłącznie nieuchronnej sprzedaży Tudor; wiązał się on też z jej rozczarowaniem Jasperem, rozczarowaniem, które gwałtownie

i z mocą wsteczną zaważyło na przeszłości: przez wszystkie te lata, gdy tu dorastała, nieświadomie zdążała ku samolubnemu, nieuczciwemu mężczyźnie.

– Omm – powiedziała raz jeszcze Jane i otworzyła oczy. – Chcesz coś dodać?

Liz pokręciła głową.

– Nie. Wrzucę twoją walizkę do samochodu, a ty idź się żegnać z rodziną.

## Rozdział 84

Pan Bennet pożegnał najstarszą córkę w środku, ale reszta rodziny uczyniła to na podjeździe, gdzie pani Bennet niestrudzenie podsuwała Jane rozmaite porady, jakby ta wyjeżdżała do college'u.

– Kup sobie taki mały ekspres do kawy, żebyś rano była niezależna od tych pań – wołała do córki przez otwarte okno, gdy ta zajęła już miejsce w aucie. – One kosztują tylko trzydzieści dolarów.

– Mamo, ja nie piję kawy – odparła Jane.

– Musimy jechać, bo ona się spóźni na samolot – dodała Liz z fotela kierowcy.

– Kocham was – rzuciła Jane. – I pamiętajcie, że możemy do siebie dzwonić.

– Miłym prezentem dla gospodyni jest deska do serów – ciągnęła pani Bennet – ale jeśli kupisz bambusową, powiedz tym paniom, żeby nie wkładały jej do zmywarki.

– Jane nie będzie ich gościem – przypomniała Lydia. – Będzie należeć do służby.

– Cześć! – krzyknęła Liz, ale nie zdążyła dodać gazu, zanim pani Bennet głośno powiedziała do Kitty:

– Szkoda, że Chip wrócił do Kalifornii.

Wyjeżdżając na ulicę, Liz spytała siostrę:

– Zdecydowałam już, co zrobisz ze swoim mieszkaniem we wrześniu?

– Jeśli tam nie wrócę, pewnie powinnam rozwiązać umowę, ale na samą myśl o przeprowadzce... cóż... Nie powinnam narzekać po tym, jak wyście z Hamem posprzątali wczoraj całą piwnicę. Jesteś wielka, Lizzy.

– Nie mówiłabyś tak, gdybyś zobaczyła ten magazyn. Wprawdzie Ham starał się, jak mógł, ale i tak wygląda to jak wysypisko śmieci.

– Fantazjowałam sobie, że pozbywam się wszystkiego, co do mnie należy, i kupuję minimalistyczną wyprawkę dla dziecka. Fotelik do

samochoду, kilka pajacyków i kilka pieluch tetrowych.

– A w ogóle istnieje coś takiego jak minimalistyczna wyprawka dla dziecka? – spytała Liz, skręcając w Torrence Parkway. – A z innej bajki: chyba zerwałam z Jasperem.

– Co się stało?

– W końcu zobaczyłam to, co cały czas miałam przed nosem? – Próbowała się uśmiechnąć i zupełnie niespodziewanie oczy wypełniły się jej łzami.

– Och, Lizzy – powiedziała Jane. – Bardzo mi przykro.

– Przy obiedzie był straszny, nie?

Ze współczuciem, delikatnie, Jane odrzekła:

– Był po prostu sobą.

## Rozdział 85

Grasmoor przy Madison Road – Liz mijiała go w czasie porannego joggingu – składał się z dwóch pięknych, dwupiętrowych ceglanych budynków w kolorze kremowym, z zielonymi markizami. Razem z rodzicami obejrzała tam mieszkanie za dwieście trzydzieści dziewięć tysięcy dolarów, z trzema sypialniami, dwiema łazienkami i jedną toaletą, dwoma tarasami i widokiem na fontannę na podwórku. W trakcie oprowadzania, pod kierunkiem Shane’a, pani Bennet płakała, który to fakt wprawiał w większą konsternację Shane’a niż Liz czy jej ojca.

– Poważnie, tyle miejsca za tyle pieniędzy to moim zdaniem niewiarygodne – powiedziała Liz na koniec.

– Moja droga – rzekł pan Bennet – muszę cię ostrzec, że twoja uporczywa afektacja wkrótce stanie się nużąca.

– Dla porównania chętnie pokażę państwu mieszkanie kawałek dalej – zaproponował Shane.

– Nie mam siły – jęknęła pani Bennet.

– Mamo, wytrzymaj jeszcze trochę – poprosiła Liz.

– Ty w ogóle nie masz pojęcia, co ja przeżywam – odrzekła pani Bennet.

– Strata domu bywa równie bolesna jak strata członka rodziny – wtrącił Shane. – Mam rację, proszę pani?

Spojrzała na niego niechętnie – Liz postanowiła, że nie uprzedzi matki o kolorze skóry pośrednika, powiedziała jej tylko, że to kolega z Seven Hills – a następnie, jakby Shane się w ogóle nie odezwał, zwróciła się do córki:

– Teraz tego nie rozumiesz, ale pewnego dnia się dowiesz, jak to jest, gdy własne dzieci traktują cię tak bezdusznie.

## Rozdział 86

Pod wieczór Liz poszła pobiegać. Dzień był parny, deszcz jak najbardziej wchodził w rachubę, i chociaż na pewno nie dostosowała pory joggingu tak, by mieć nadzieję na spotkanie Fitzwilliama Darcy'ego – ich poprzednie spotkanie zdarzyło się odrobinę później – jakoś się nie zdziwiła, gdy dotarłszy do Easthill Avenue, ujrzała wysokiego mężczyznę w granatowych spodenkach i czerwonym T-shircie.

– Mówiłaś chyba, że biegasz rankiem – powiedział tytułem powitania i już bez żadnej dyskusji zawrócił i pobiegł u jej boku.

– Bo biegam – odrzekła. – Albo raczej biegałam z Jane, ale teraz gdy... Odwiozłam ją dzisiaj na lotnisko. Zamieszka z przyjaciółkami w Hudson Valley.

– To bardzo przyjemny sposób na przetrwanie sierpnia.

– Och, doprawdy? Uważasz, że to malownicze miejsce, w którym można uleczyć złamane serce?

Po chwili Darcy rzekł:

– Odnoszę wrażenie, że uważasz Chipa za łajdaka, bo wyjechał, ale to oczywiste, że on jest na zupełnie innym etapie życia niż ona.

– A ty jesteś ekspertem?

– Nie powiesz przecież, że korzystanie z nasienia dawcy to zachowanie typowe dla kobiety, która ma nadzieję wejść w związek.

– Zakładam, że jesteś świadom, że Jane zaszła w ciążę, zanim poznała Chipa. Życie nie zawsze przebiega w idealnym porządku, ale dowodem na to, że ona chciała być w związku, jest to, że w nim była.

– Sprawiała wrażenie, jakby miała poważne zastrzeżenia.

– Ty prawie w ogóle nie znasz mojej siostry! – Gdy Darcy nie odparł tego zarzutu, Liz dodała: – A Caroline Bingley wciąż tu jest czy też wróciła do L.A.?

– Wróciła do L.A.

- Jesteś zrozpaczony?
- A dlaczego miałbym być? – Darcy patrzył przed siebie.
- Nie jesteście parą?
- Skąd taki pomysł?
- Oprócz moich mocy postrzegania?
- Twoja wiara w owe moce jest nieuzasadniona. Spotykaliśmy się przez krótki czas, gdy studiowaliśmy z Chipem, ale to było lata temu.
- Co prawda to w ogóle nie moja sprawa, ale ona najwyraźniej wciąż coś do ciebie ma.
- Ciekawe, czy wie o tym facet, z którym spotyka się w L.A.
- Tak ci tylko powiedziała, żeby wzbudzić w tobie zazdrość. I wygląda na to, że dajesz się nabrać.
- Darcy wydawał się ubawiony.
- I ty zarzucasz mi, że przypisuję sobie wiedzę większą, niż mam.
- Skręcili w Observatory Avenue.
- A więc kto jest twoim obiektem westchnień? – spytała Liz. – Musi być ktoś taki.
- Może o tym nie wiesz, ale chirurdzy wyjątkowo dużo pracują.
- I lubią się tym przechwalać, owszem, słyszałam. No dobra, zgodnę: eteryczna, nieludzko piękna arystokratka, finansistka, pracownica socjalna i balerina, która mieszka... powiedzmy, że w Bostonie. Albo w Londynie. Nie w Cincinnati oczywiście, bo wszystkim nam jest znana marna jakość kobiet z Cincinnati.
- U Lucasów powiedziałem, a wiesz, mam nadzieję, że jesteś wyjątkowo bezwstydną podsłuchiowniczką, że nie chcę, by mnie umawiano na randki w ciemno na życzenie małżonek moich przełożonych. Ciężko to uznać za moratorium dotyczące wszystkich mieszkanek Cincinnati. – Gdy minęli Menlo Avenue, Darcy dodał: – Rzadko się umawiam z eterycznymi, tak swoją drogą. Albo z balerunami, aczkolwiek kategoria eterycznych chyba obejmuje kategorię balerin. Nie mam nic przeciwko arystokratkom, finansistkom czy pracownicom socjalnym.
- Dlaczego zerwaliście ze sobą, ty i Caroline?
- A dlaczego pary ze sobą zrywają? Bo są niedobre.
- Byłeś żonaty?
- Nie. A ty byłaś mężatką?
- Nie, ale rzecz w tym... Jesteś... wybacznym truizmem, idealnym kawalerem

do wzięcia. Nie musisz udawać skromności, bo jestem pewna, że zdajesz sobie z tego sprawę. Ja osobiście bym się z tobą nie umówiła, ale jesteś wysoki, chodziłeś do wypasionych szkół i w dodatku jesteś lekarzem. Ogół społeczeństwa, nie mając pojęcia, jakim jesteś protekcyjnym elitarystą, uważa cię za dobrą partię. Mógłbyś się ożenić, gdybyś chciał, albo przynajmniej mieć dziewczynę. I nie rzucaj mi tu wymówek o napiętym grafiku, bo ludzie znajdują czas na to, na co chcą go znaleźć.

– Jesteś w tej chwili wolna?

To było dziwne pytanie. Jeszcze kilka dni temu powiedziałyby, że nie.

– Tak – odrzekła. – Ale to świeża sprawa. W każdym razie wszyscy wiedzą, że w wypadku kobiet to wygląda zupełnie inaczej. Mógłbyś stanąć na rogu ulicy, obwieścić, że szukasz żony, i po kwadransie byłbyś zaręczony. Ja muszę przekonać ludzi, żeby przymknęli oko na moją szybko nadciągającą datę przydatności do spożycia. – Ale w tym momencie Liz nie czuła się wcale jak przykurzona puszka zupy na półce magazynu sklepu spożywczego. Czuła się wręcz radosna. Silna, zdrowa, nie była w ciąży, pocila się beztrudnie w krótkiej koszulce i szortach, biegnąc w turkusowo-pomarańczowych butach; szare chmury rozpiezchły się bez deszczu, a obok niej biegł mężczyzna, który choć może był okropny, to ani trochę jej nie nudził. – Jak dotrzemy do Edwards, chcesz się pościgać pod górkę?

– Kojarzysz takie małe pieski, które stają przed owczarkami niemieckimi i szczekają na nie? – spytał Darcy. – Ty mi je przypominasz.

– Boisz się, że przegrasz?

– Najwyraźniej dorastanie w dobie równouprawnienia dało ci wygórowane poczucie własnej wartości.

– No dobra. Start. – Chociaż do Edwards Road mieli jeszcze pięćdziesiąt metrów, puściła się sprintem. Mknęła chodnikiem, domy, drzewa, samochody na Observatory zlewały się w jedną plamę widzianą kątem oka. Dogonił ją już po kilku sekundach, ale biegli za szybko, by rozmawiać. Czuła się wolna, szalona, brakowało jej tchu, a jednocześnie miała ochotę się roześmiać. Przez kilka kolejnych sekund biegli łeb w łeb, aż Darcy wysunął się na prowadzenie. Liz cisnęła ze wszystkich sił, a gdy skręcili w Edwards, był niecałe dwa metry przed nią, potem zwiększył dystans, aż dzieliło ich pół przecznicy. Niemniej jednak ona ciągle przyspieszała. Nawet jeśli miała przegrać z Darcym, to będzie walczyć do ostatka.

Czekał na nią na szczycie wzniesienia, z radością zauważyła, że on ciągle



dyszy. Zwolniła, zatoczyła się lekko, nie była w stanie mówić. Położyła ręce na głowie, potem je opuściła i zgięła się w pół.

– To było niezłe. – Usłyszała głos Darcy’ego.

Uniosła się trochę i pokręciła głową.

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie.

Ręce i nogi jej płonęły, serce łomotało; była wyczerpana, mdliło ją, ale też czuła upojenie. Gdy stanęli naprzeciwko siebie, aż kipiało między nimi od witalności; tak bardzo, że ciężko było zdecydować, co z tym zrobić. Patrzyli sobie w oczy, odwracali wzrok i znowu patrzyli sobie w oczy. W końcu – on na pewno myślał coś podobnego, tyle że ona wyraziła to na głos – powiedziała:

– Chcesz, żebyśmy poszli do ciebie i uprawiali seks na wroga?

Darcy zmrużył oczy.

– Jest coś takiego?

Zuchwałość wypełniająca Liz mogła się w każdej chwili ulotnić. Ale skoro jeszcze się nie ulotniła...

– Oczywiście, że jest – odparła wyniośle.

– To coś jak sekskumple?

– Nie jesteśmy na wykładzie z socjologii. Wystarczy proste „tak” lub „nie”. – I dodała: – To podobne, ale bez tych kumpli.

– Rozumiem, że masz na myśli już w tej chwili? – Nie był zmieszany ani nawet zaskoczony.

– Tak. Już w tej chwili. – Miał ostatnią szansę na przyjęcie oferty, lecz nie zamierzała mu tego mówić. Sam chyba jednak wyczuł, że czas mu się kończy.

– Pewnie – powiedział.

## Rozdział 87

To w Cincinnati Liz zapoznała się z seksem – dość stereotypowo i radośnie straciła dziewictwo ze swoim partnerem ze studniówki, Phillipem Haleym. Później, w okresie college'u, przyjeżdżała do domu najpierw z jednym chłopakiem, potem z drugim, a w trakcie tych wizyt zdarzały się dyskretne igraszki w zakamarkach Tudor – to wszystko odbyło się już jednak sporo czasu temu. A wizyta Jaspera, oczywiście, wbrew oczekiwaniom okazała się bezowocna.

Gdy podążała za Darcym przez główne wejście nijakiego dwupiętrowego budynku i dalej na piętro, tamte młodzieńcze randki wróciły w filuternym wspomnieniu. Za drzwiami Darcy za pomocą czubka jednego buta do biegania zsunął drugiego, po czym palcami w skarpetce zrobił to samo z pierwszym, a Liz poszła w jego ślady. Na ścianach mieszkania nic nie wisiało, drewnianej podłogi nie przykrywał żaden chodnik ani dywan. W salonie jedyne wyposażenie stanowiły kanapa, płaski telewizor i niski stolik, na którym leżał zamknięty laptop. Darcy zaprowadził ją do kuchni, małej i bez okien, ale chyba niedawno malowanej. Ścianę pomiędzy górnymi szafkami a blatem pokrywały czarno-biało-zielone kafelki. Wodą z kranu napełnił dwie szklanki, jedną podał Liz. Pili w milczeniu, w końcu on się odezwał.

– Albo oboje weźmiemy prysznic, albo nie weźmie go żadne z nas.

Trochę lekceważąc jego chęć objęcia roli gospodarza, Liz pokręciła głową.

– Muszę wrócić do domu przed obiadem. Ale się wysikam. Masz prezerwatywę?

Kiwnął głową.

W nowoczesnej czystej łazience Liz się wysikała, umyła ręce i spryskała wodą twarz, raczej by się schłodzić niż ze względów higienicznych. W sypialni, gdzie stało wielkie łóżko zakryte szarą bawełnianą narzutą,

a także stolik i lampa, Darcy siedział na podłodze, ciągle w koszulce i szortach, z jedną nogą wyciągniętą przed siebie i w skłonie. Podeszła i podała mu rękę, a on ją chwycił i wstał. Tu pojawiła się niepewność i gdyby Liz miała osiemnaście lat albo i nawet dwadzieścia osiem, bez wątpienia oczekiwałaby od niego, by sobie z tą konsternacją poradził. Ale ona miała lat trzydzieści osiem i to spotkanie było jej inicjatywą.

– Pewnie sprawniej nam pójdzie, gdy każde rozbierze się samo – powiedziała. – Będzie ci przeszkadzać, jeśli zapocimy pościel?

To pytanie najwyraźniej uznał za zabawne.

– Można ją uprać.

Rozebrali się więc, stojąc kilkadziesiąt centymetrów od siebie. Ona starała się na niego nie patrzeć, jeśli nie liczyć kilku ukradkowych zerknięć. Był bardziej owłosiony, niż się spodziewała, ale nie jakoś brzydko, i co prawda wiedziała przecież, że dba o kondycję, lecz okazało się, że ma sylwetkę wręcz posągową; gdyby wcześniej sobie to uświadomiła, może zabrakłoby jej śmiałości do wykonania pierwszego kroku.

Nagle ich ciała przyłgnęły do siebie i już się całowali – ponieważ nigdy przedtem nie uprawiała seksu na wroga, z radością stwierdziła, że całowanie się do niego zalicza – i to całowanie nago na stojąco trwało jakiś czas, towarzyszyło mu błędzenie dłoni, aż w pewnym momencie z głośnym warkotem włączyła się klimatyzacja i po kolejnych paru chwilach przez zamknięte okna mieszkania dotarła do nich kakofonia klaksonów płynąca ze słonecznego wieczoru pełnego ludzi, z których większość nie całowała się nago na stojąco. Potem albo on pchnął ją w kierunku łóżka, albo ona pociągnęła jego, i niedługo później on wyjął prezerwatywę z szuflady nocnej szafki. Ogólnie rzecz biorąc, to doświadczenie okazało się bardzo satysfakcjonujące, na pewno dla niej, a sądząc po objawach zewnętrznych, uzasadniony wydawał się wniosek, że i dla niego; bez wątpienia było to o wiele przyjemniejsze niż debiut z Phillipem Haleyem na balu maturalnym czy większość innych zbliżeń, w których wzięła udział w ciągu następnych dwudziestu lat. Ten stosunek dał jej wręcz tyle przyjemności, że tylko mgliście zdawała sobie sprawę z tożsamości osoby, z którą dzieliła doznania. Paradoksalna bliskość Darcy’ego – Fitzwilliana Darcy’ego! – rozpraszała ją na początku i potem na koniec, gdy wynurzyła się z zamroczenia, w które obopólnie zapadli. I gdy doszła do siebie, w głowie zaświtała jej wątpliwość, czy to, co właśnie robią, nie jest aby przytulaniem. Bo nawet jeśli w seksie na

wroga dopuszczalne było całowanie, to już przytulanie na pewno oznaczało pogwałcenie zasad. Odsunęła się i usiadła, sięgając po swoje rzeczy leżące na podłodze.

Czuła jego wzrok, ale spojrzała na niego, dopiero gdy się do końca ubrała w wilgotne i cuchnące ciuchy.

– Sama wyjdę – zaproponowała, wreszcie nawiązawszy kontakt wzrokowy.

Tak się złożyło, że ostatecznie w ogóle nie ściągnęli narzuty, tylko całą operację przeprowadzili na niej. W tej chwili Darcy leżał, z rękami pod głową, a jego długie, włochate, muskularne ciało prezentowało się w całej okazałości. Na twarzy miał wyraz trudny do zidentyfikowania, a Liz nie zamierzała się rumienić, choćby nie wiadomo co.

– Do zobaczenia – powiedziała.

Był rozbawiony? Zaniepokojony? Zdumiony? Nie dało się odgadnąć.

– Oczywiście – odrzekł.

## Rozdział 88

Liz właśnie wypisywała czek dla ekipy remontowej, gdy przyszedł esemes od Jaspera. Z zacieku w salonie zdarto pełną pęczery warstwę łuszczącej się farby, a następnie pokryto ścianę podkładem i musztardową farbą z puszki, którą Liz ku swemu zdumieniu i radości wydobyła w czasie wykopalisk piwnicznych. Powodem zacieku, poinformował ją fachowiec z taką powściągliwością, jakby bał się wytknąć jej głupotę, były wypełnione liśćmi rynny na dachu przelewające się w czasie ulewnych deszczy. „Czyszczenie rynien to naprawdę dobry zwyczaj” – dodał delikatnie.

W esemesie od Jaspera znajdowało się słowo: *Fantastyczny!* i link do artykułu o człowieku z Nebraski, który bez powodzenia usiłował ukraść węża ze sklepu zoologicznego. Liz wiedziała, że Jasper sonduje. Chciał wy badać, jak wygląda sytuacja między nimi. Nie odpisała.

## Rozdział 89

Klienci Shane'a mieli oglądać Tudor między czternastą a piętnastą w poniedziałek, więc mieszkańcy musieli w tym czasie znajdować się gdzie indziej. Liz uzgodniła, że Mary zabierze ojca do biblioteki Mercantile („Już tydzień temu to zrobiłam” – zaproponowała średnia siostra, na co Liz odparła: „No właśnie, to się nazywa wykonywanie obowiązków”), i zażądała, by Lydia, Kitty oraz pani Bennet towarzyszyły jej do centrum handlowego Kenwood, gdzie pomogą w wybraniu kreacji na wywiad z Kathy de Bourgh. Ten pretekst wydawał jej się tak naciągany, że zareagowała zdziwieniem na ich ochoczą zgodę.

Właśnie stała w przebieralni w niebieskiej kopertowej sukience, gdy o czternastej dwadzieścia pięć, czyli wcześniej, niż oczekiwała, odebrała telefon od Shane'a.

– Bardzo im się podoba – powiedział. – Dzisiaj złożą ofertę i czekamy na wynik inspekcji technicznej.

Patrząc na swoje odbicie w lustrze – ciemne włosy, droga sukienka, która do niej nie należała, gołe nogi i bose stopy – Liz się po prostu uśmiechnęła.

– Dziękuję, Shane – odparła. – To wspaniała wiadomość.

## Rozdział 90

Liz wcale nie zmieniła zdania na temat usposobienia Darcy'ego, które nadal uważała przede wszystkim za nieprzyjemne; raczej uznała, że dwa, trzy numerki w jego łóżku nie uczynią go ani mniej przykrym, ani bardziej, zwłaszcza że z nikim tego nie omawiała, nawet z Jane.

Dwadzieścia cztery godziny po ich pierwszym obcowaniu ruszyła na kolejny jogging nastawiona, że się na Darcy'ego natknie; była tego tak pewna, że zdziwiła się, nie ujrawszy jego imponującej sylwetki na Easthill Avenue, potem na Observatory Avenue, na Menlo Avenue, na Stettinius Avenue, a na Edwards musiała przyznać, że szanse na spotkanie są wręcz znikome. I nie miała pojęcia, czy na drodze stanął jej grafik szpitalnych dyżurów czy też nawyki treningowe Darcy'ego.

Teraz więc pojawiło się pytanie, na ile wziąć sprawy w swoje ręce – czy zrezygnować całkowicie z pozorów przypadkowości, znaleźć jego adres mejlowy albo numer telefonu i umówić kolejne spotkanie z tą samą rzeczowością, z którą umawiała wizytę u dentysty. Taki plan pociągał za sobą poświęcenie dumy, ale przy ich wzajemnej antypatii niosło to inne konsekwencje – i większe, i mniejsze – niż gdyby żywili do siebie czułość i szacunek.

Wróciła do Tudor, ani nie ujrawszy Darcy'ego, ani nie podjąwszy decyzji, co powinna teraz uczynić, a zatem głęboko sfrustrowana, i to z niejednej przyczyny.

## Rozdział 91

Potencjalnymi nabywcami byli Jacqueline i Adam Whitmanowie. Zaproponowali za Tudor dziewięćset piętnaście tysięcy dolarów, co uraziło panią Bennet tak dotkliwie, że położyła się do łóżka, gdy tylko usłyszała tę liczbę. Shane przesłał mejlem skan oferty do Liz, kiedy obiad dobiegał końca, a wysokość zaproponowanej kwoty sprawiła, że pani Bennet nie była w stanie oglądać telewizji w saloniku. Musiała skończyć cierpienie w pozycji na brzuchu.

– Pewnie coś jeszcze utargujecie – powiedziała Liz od progu matczynej sypialni. – To nie jest ostatnie słowo.

– Zostaw mnie w spokoju – odrzekła pani Bennet. – Dość szkód wyrządziłaś.



## Rozdział 92

Gdy pan Bennet udał się na umówioną wizytę u ortopedy, doktor Facciano rzekł:

- Chyba odzyskał pan pełną sprawność. Czuje pan jakiś ból?
- Tylko emocjonalny, wywołany przez moje dzieci – odrzekł pan Bennet.
- Czy to znaczy, że ojciec może już prowadzić samochód? – spytała Liz.
- Nie widzę przeciwwskazań – zapewnił doktor Facciano.
- Rany! Nie cieszysz się, tato?
- Owszem. Bo oto straciłaś ostatnią wymówkę, by nie wracać do

Nowego Jorku.

- Zostanę do lunchu mamy – zadeklarowała się Liz.
- W takim razie – powiedział, wznosząc oczy do nieba – możesz mieć pretensje tylko do siebie.

## Rozdział 93

Ujrzała go w czasie wieczornego joggingu, który skutecznie zastąpił joggingi poranne, tuż zanim skręciła z Grandin Road w Madison Road – innymi słowy, dopiero gdy zaczęła się zastanawiać, czy zobaczy Darcy’ego, ale zanim oczekiwanie, że do tego dojdzie, nabrało uzasadnienia. Wysoki, spokojny i z lekka tylko spocony, głowę miał zapewne wypełnioną swoimi wyniosłymi myślami, lecz wyglądał przy tym tak niesprawiedliwie przystojnie, że wszystkie jej organy wewnętrzne poruszyły się gwałtownie. Darcy we własnej osobie, jego prawdziwe ciało, w przeciwieństwie do kuszącej, a jednak irytującej fantazji, trochę ją zaskoczył.

– Jak tam dzisiaj ludzkie mózgi? – zagaiła tonem jak najswobodniejszym.

– Jeśli ich doglądam, to nieźle. – Biegł w miejscu, czekając, aż Liz do niego dotrze, a gdy to zrobiła, ruszył koło niej.

– Wiem, zajmujesz się nie tylko mózgami – podjęła – tak jednak ludzie myślą o neurochirurgach. A często prowadzisz operacje mózgu? – Widząc wyraz jego twarzy, spytała zachęcona: – Czy jestem milionową osobą, która cię o to pyta?

– No, nie jesteś pierwsza. – Kiedy dalej zdążali Madison Road na północ, dodał: – Chciałem ci powiedzieć, że moja siostra jest twoją wielbicielek. Okazuje się, że od lat prenumeruje „Mascarę”, a gdy jej powiedziałem, że poznałem kogoś, kto tam pracuje, od razu wiedziała, kim jesteś.

– Musi mieć doskonały gust.

– Georgie jest rzeczywiście bardzo inteligentna. Robi doktorat z historii.

– Odważysz się zdradzić mi, gdzie studiuje, czy zemdleję?

– Wiedziałem, że coś takiego powiesz. Stanford.

Liz przytknęła do czoła grzbiet dłoni.

– Gdzie moje sole?! Mdleję! – Obejrzała się na niego, ale wydawał się jedynie średnio rozbawiony, o ile w ogóle. – A na poważnie, podziękuj jej w moim imieniu. My w „Mascarze” uwielbiamy naszych inteligentnych

czytelników. Twoja siostra zamierza wyklądać?

– Jeśli znajdzie pracę. Jest raczej domatorką.

– Młodsza od ciebie?

– O wiele. Ma dopiero dwadzieścia sześć lat.

– I mieszka z rodzicami? Pamiętaj, że tym razem nie mogę wydać wyroku, biorąc pod uwagę własne siostry.

– Moi rodzice nie żyją. Georgie mieszka...

– Przepraszam cię – przerwała mu.

– Nie szkodzi – odrzekł dość sztywno. Na skrzyżowaniu z Bedford Avenue dodał: – Ojciec był starszy od matki i zmarł, gdy chodziłem do liceum, a Georgie miała trzy latka. Mama odeszła pięć lat temu. Siostra robiła w Stanford również studia licencjackie i mieszkała wtedy w kampusie, nadal zresztą mieszka. Ale nigdy nie chciała sprzedać domu rodziców. Raczej tam nie jeździ, kiedy mnie nie ma w mieście, ale jest do niego bardzo przywiązana.

– A ty chcesz go sprzedać?

– Stoi na pięciu hektarach ziemi. Ktoś mógłby przecież mieć z niego pożytek.

– Wychowałeś się w Bay Area, tak? – Liz starała się mówić lekkim tonem. Naprawdę powiedział „pięć hektarów”?

– W Atherton – odrzekł rzeczowo, a Liz nagle zrozumiała to, czego wcześniej zupełnie nie brała pod uwagę. Nie zdziwiło jej, że Darcy pochodzi z zamożnej rodziny – zdradzały to jego wykształcenie i sposób bycia – ale nie przyszło jej do głowy, że jest tak ekstremalnie bogaty. W ogóle nie wyobrażała sobie, ile w dzisiejszych czasach może być warta posiadłość z pięciohektarową działką w takim miejscu. Trzydzieści milionów dolarów? Czterdzieści? Abstrahując od charakteru, ten mężczyzna naprawdę był niemal absurdalnie dobrą partią.

– Są tam ciągle meble? – spytała.

Kiwnął głową.

– Na terenie posiadłości mieszkają w swoim domu nasz dozorca Roger i jego żona. Georgie i ja jeździmy tam kilka razy do roku. To dom idealny do przyjmowania gości, więc jeśli ich nie ma, sprawia przygnębiające wrażenie. Wolę spać na futonie w mieszkaniu Georgie.

Jakim cudem do tej pory go nie wygooglowała? Nic dziwnego, że Caroline Bingley zagięła na niego parol. Co prawda majątność nie uczyniła

go w oczach Liz mniej odpychającym – gdyby chodziło jej tylko o pieniądze, odwzajemniłaby zainteresowanie kuzyna Williego. Pomyślała o skromnym mieszkaniu Darcy’ego, o jego posiłkach za siedem dolarów w Skyline, i nagle przypomniała sobie, że wyjawiała mu problemy finansowe swojej rodziny. Gdyby więcej o nim wiedziała, może by tego nie uczyniła. Ale skoro było już po fakcie, nawiązała do tematu:

– Moi rodzice dostali wczoraj ofertę na dom, od pierwszych ludzi, którzy go obejrzeni.

– Gratuluję.

– Niestety, jest niska. Ale chciałam powiedzieć, że gdyby mieli wybór i mogli zatrzymać Tudor na zawsze, zrobiliby to, i moje siostry też.

– A ty nie?

– Nie. Ale jak mówi mój tata, ja jestem zimnokrwista.

– Coś mi to podejrzenie pobrzmiwa przechwałkami.

– Pracujesz dzisiaj wieczorem?

– Idę na dwudziestą.

– To mam teraz przyjść do ciebie czy jak?

Darcy aż się roześmiał, a ten dźwięk Liz słyszała tak rzadko, że zabrzmiał fałszywie.

– No pewnie, że przyjdź – powiedział.

## Rozdział 94

Na podjeździe Tudor stał SUV Hama z otwartym bagażnikiem – w środku leżały kartony, a na nich kilka sukienek jeszcze na wieszakach. W pobliżu nikogo nie było, ale gdy Liz się rozciągała po powrocie z mieszkania Darcy’ego, z domu wyszła Lydia, niosąc stos roczników z Seven Hills i stojak na kolczyki, za nią zaś Ham z koszem do prania pełnym złożonych ubrań.

– Wyprowadzasz się? – spytała Liz.

– Twoja zdolność dostrzegania najsubtelniejszych tropów jest imponująca – odrzekła Lydia. – Rozważałaś, czyby nie zostać detektywem?

– Jak się tak kłóćcie... – odezwał się Ham. – Nie wiem o tym zbyt wiele, bo nigdy nie miałem siostry, ale to musi być wyraz miłości. – I nie czekając, aż któraś z Bennetówien odpowie, dodał: – Liz, jak już Lydia się rozpakuje, chcielibyśmy zaprosić cię na obiad.

– Świetnie. I powodzenia z nową współlokatorką, Ham.

Uśmiechnął się.

– Ufam, że sprostam wyzwaniu.

## Rozdział 95

Z powodu spotkania Ligi Kobiet pani Bennet musiała opuścić łóżko po trzydziestu sześciu godzinach, a skoro już była na nogach, niechętnie zgodziła się obejrzeć kondominium w dwudziestopiętrowym budynku, o którym zaczęła się pogardliwie wyrażać, jeszcze zanim wysiadła z samochodu.

– W życiu nie mieszkałam tak blisko autostrady – powiedziała do męża, Liz i Shane’a. – Nie wiem, jak w ogóle można zmrużyć oko, gdy te samochody tak ciągle pędzą.

– Na plus możemy zapisać – odrzekł Shane – że każde miejsce, które państwo oglądacie, nawet jeśli się wam nie podoba, pomaga skonkretyzować wasze oczekiwania i zawęzić pole poszukiwań.

Kiedy oglądali mieszkanie, Liz, stojąc z matką w sypialni małżeńskiej, powiedziała:

– Teraz, gdy będziecie mieli pieniądze ze sprzedaży domu, to chyba doskonały moment, żeby opracować budżet. Możesz zdecydować: „Dobra, przeznaczam x dolarów miesięcznie na zamawianie rzeczy z katalogu, i jeśli przekroczę tę sumę przed końcem miesiąca, nic już więcej nie kupię”.

Pani Bennet zmiażdżyła córkę wzrokiem.

– Wiem doskonale, co to jest budżet, Elizabeth. – I patrząc na swoje odbicie w lustrze, dodała: – Mam nadzieję, że Lydia nie popełnia błędu, wprowadzając się do Hama. Wiesz, jak to mówią, kiedy mężczyzna dostaje mleko za darmo.

– Tyle że on ją utrzymuje. Ona nawet nie próbowała znaleźć pracy.

Ta uwaga najwyraźniej ucieszyła panią Bennet.

– Lydia jest taka śliczna – powiedziała z aprobatą.

## Rozdział 96

„Fitzwilliam Darcy Atherton, Kalifornia” – wpisała Liz do Google, po czym przejrzawszy wyniki, wybrała po kolei „Fitzwilliam Darcy Harvard Medical School”, „Fitzwilliam Darcy Publiczne Centrum Udarowe Uniwersytetu Cincinnati” i tylko dla draki „Fitzwilliam Darcy partnerka”. Stwierdziła, że Darcy nie korzysta ani z Facebooka, ani z Twittera, i chociaż, owszem, jakoś swoją obecność w internecie zaznaczył, to jedynie faktami: w Stanford zrobił licencjat z biochemii, a w Harvardzie doktorat z neurologii. (Kiedy on miał czas zrobić doktorat?). Zdobył wiele niezrozumiale nazywających się nagród (na 44. Dorocznym Spotkaniu Amerykańskiego Stowarzyszenia Chirurgów – Nagrodę im. Rothmana T. Barnetta dla Rezydentów) i był autorem lub współautorem kilku jeszcze bardziej niezrozumiale zatytułowanych artykułów w periodykach medycznych (*Modulacja stymulacji mózgu: o interakcji pomiędzy brzuszными i grzbietowymi sieciami jądro-korowymi, czołowo-skroniowymi i podstawnymi podczas oczekiwania i reorientacji*). Na zdjęciu na stronie miał na sobie krawat i biały fartuch.

Bardziej ekscytujące: posiadłość jego rodziny w Atherton nazywała się Pemberley – znajdowała się przy Pemberley Lane 1813, aczkolwiek Liz sądziła, że nazwa posiadłości jest starsza niż nazwa ulicy – a jej wartość szacowano a to na pięćdziesiąt pięć milionów dolarów, a to na sześćdziesiąt pięć, a to na siedemdziesiąt.

Wyszukiwanie „Fitzwilliam Darcy partnerka” nie dało żadnych wyników.

## Rozdział 97

Przystosowanie do życia w Rhinebeck, jak meldowała Jane przez telefon, przebiegało gładko: wbrew przewidywaniom Lydii Amanda i Prisha traktowały najstarszą Bennetównę bardziej jak przyjaciółkę niż pracownika, ich syn, Gideon, był uroczy, no i Jane znalazła cudowną wegańską piekarnię, do której, nienękana obawą o przytycie, zachodziła codziennie po południu po muffinki i kawałek placka. Przyznawała, że wciąż czuje smutek w związku z Chipem, ale taka melancholia męczyłaby ją wszędzie i jeśli już, to tylko przez zmianę otoczenia mogła nieco złagodnieć.

– A tymczasem tobie udało się sprzedać Tudor w mgnieniu oka – powiedziała. – Jesteś niesamowita.

– To Shane go sprzedał i do zamknięcia transakcji to niepotwierdzona informacja – odrzekła Liz.

– Nieważne. To cudowny dom. Kontaktowałaś się z Jasperem?

– Pisał do mnie kilka razy, ale nie odpowiedziałam.

– To super, Lizzy.

Przeszło jej przez myśl wspomnieć o grzeszeniu z Darcym, ale Jane była taka radosna i dopiero co odzyskała wiarę w siłę charakteru siostry... To wyznanie nie wydało się w tej chwili stosowne. Rzuciła więc tylko:

– Pozdrów ode mnie Amandę i Prishę.



## Rozdział 98

Kitty robiła pompki na podłodze w swoim pokoju, gdy Liz przystanęła w progu.

– Powinnyście z Mary już rozglądać się za mieszkaniem – powiedziała. – Jutro jest inspekcja techniczna domu.

Kiedy siostra w milczeniu kontynuowała pompki – a formę miała imponującą – uwagę Liz przyciągnęła fotografia stojąca na kominku. Podeszła, by przyjrzeć się jej uważniej i stwierdziła, że na niewielkim zdjęciu – sześć na dziewięć centymetrów – widnieją Mervetta i Kitty. Starsza kobieta siedziała w żółtej spódnicy i żółtym słomkowym kapeluszu, Kitty przykucnęła przy niej w sukience bez rękawów. Obie się uśmiechały.

– Kiedy to zdjęcie zostało zrobione? – spytała Liz.

– Na siedemdziesiątych urodzinach Mervetty – odparła Kitty z podłogi.

– A gdzie?

– W domu jej syna. W Bond Hill.

– Ktoś jeszcze z rodziny tam pojechał?

– Tata.

Jakże rzadko zdarzało się Liz, że członkowie rodziny zaskakiwali ją w pozytywny sposób.

– Byłaś z tatą na pogrzebie Mervetty? – spytała.

Kitty nawet nie podniosła wzroku.

– Oczywiście – odrzekła.

## Rozdział 99

– Uważam, że Helen Lucas mogłaby mi chociaż podziękować za zapoznanie waszego kuzyna Williego z jej córką – poskarżyła się pani Bennet, gdy Liz schodziła po schodach w ciuchach do biegania. – Coś ci powiem: to naprawdę nie lada wyczyn znaleźć mężczyznę, który by chciał się umówić z młodą damą tych rozmiarów.

Czy to możliwe, by w umyśle pani Bennet współistniały dwie wzajemnie wykluczające się narracje: przekonanie, że Liz popełniła straszliwy błąd, odtrącając Williego, oraz przeświadczenie, że należą się jej, pani Bennet, wyrazy uznania, gdyż skojarzyła młodego Collinsa i Charlotte? Na to wyglądało.

Liz dotarła do drzwi wejściowych.

– Idę pobiegać – powiedziała.

– Wysłałaś już wiadomość do Allena Bauscha? On tak chętnie by się spotkał z Mary.

– Wydaje mi się, że Mary nie chce mieć z nim nic wspólnego.

– Warto spróbować. Nigdy nie wiadomo.

– Nie – odrzekła Liz. – To nieprawda. Czasami wiadomo.

## Rozdział 100

– W ten wieczór, gdy się poznaliśmy – zaczął Darcy – na barbecue u Lucasów, kiedy cię poinformowałem, że miejsce obok mnie jest zajęte... Doktor Lucas prosił, żebym mu tego miejsca przypilnował. Ostatecznie w ogóle z niego nie skorzystał, ale nie mogłem zignorować prośby gospodarza, który akurat jest też jednym z dyrektorów zatrudniającego mnie szpitala. Nie byłem wobec ciebie niegrzeczny z niegrzeczności.

– Mam nadzieję, że to cię męczy całe lato. – Liz była naga, choć dopiero od niedawna, podobnie jak Darcy; on leżał na plecach, z głową na dwóch poduszkach, ona siedziała na nim okrakiem. Znowu spotkali się dzięki półprzypadkowi, nie zaś na skutek realizacji konkretnego planu; do tej pory nie wymienili się numerami komórek ani adresami mejlowymi. – Podśledzałam też, jak mieszasz z błotem mnie, moją rodzinę i Cincinnati... – podjęła. – To również z tego powodu, że nie chciałeś urazić doktora Lucasa? Pewnie w ten sposób prezentowałeś swoją kindersztubę, bo przecież wykluczone, żebyś po prostu zachowywał się jak dupek.

– Dokładnie tak! – odrzekł Darcy. Dłonie trzymał na jej biodrach i było coś absurdalnego – mile absurdalnego – i ekscytującego w tym, że toczą tę rozmowę nadzy, przed główną atrakcją.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś, żeby oczyścić atmosferę? – spytała.

Żartowała, ale on spoważniał.

– Chcesz mieć dzieci? – zapytał.

– Jeśli usiłujesz mnie przekonać, żebyśmy nie użyli gumki, to odpowiedź brzmi: wykluczone.

Pokręcił głową.

– Nie o to chodzi. Spytałem serio.

– Nie. Nie chcę mieć dzieci. – Ambiwalencja, którą zwykle udawała w czasie takich rozmów, w tym przypadku okazała się niepotrzebna; w końcu Liz nie próbowała zaskarbić sobie sympatii Darcy'ego. – Jeśli sobie

życzysz – kontynuowała – mogę ci podsunąć ewentualne reakcje, a ty sobie wybierzesz tę, która ci się najbardziej spodoba: A. Och, Liz, na pewno zmienisz zdanie, musisz tylko poznać odpowiednią osobę. – Podniosła brwi i przechyliła głowę w udawanej szczerości: – B. No ale kto się tobą zajmie, gdy będziesz stara? – Przystawiła się na karcący ton: – C. No jasne, że nie chcesz dzieci, ty narcystyczna egoistko ze Wschodniego Wybrzeża. – Udając zmartwioną, dodała: – D. Rany, ale musiałaś mieć koszmarne dzieciństwo. Albo... – I tu zmieniła ton na protekcyjalny: – E. Po prostu nie masz pojęcia, jakie wspaniałe i ubogacające może być rodzicielstwo. Twoje życie będzie puste, dopóki nie powalisz na ziemię w hipermarkecie wrzeszczącego czterolatka. No i pamiętaj, Fitzwilliamie Darcy, że możesz też wybrać wszystkie z wymienionych.

– Niezła lista – odrzekł. – Choć moim zdaniem jesteś raczej narcystyczną egoistką ze Środkowego Zachodu niż ze Wschodniego Wybrzeża.

– Możesz mi wierzyć, naprawdę rozumiem, dlaczego ludzie mają dzieci. Przez większość swojego życia zakładałam, że zostanę matką, i rodzicielstwo na pewno jest piękne i satysfakcjonujące, kiedy dzieci nie mają napadów hysterii. Ale im byłam starsza, tym bardziej sama siebie w tym nie widziałam. A kolejne inseminacje Jane ostatecznie przechyliły szalę. Lubię swoje obecne życie, chcę robić w przyszłości mnóstwo rzeczy, które się wykluczają z macierzyństwem, i to nie jest nawet żadna wielka decyzja okupiona udręką. To ulga.

– A co chcesz robić, co się wyklucza z macierzyństwem?

Liz wzruszyła ramionami.

– Podróżować. Napisać książkę. Pobiec w maratonie. Być superkochającą ciotką, nie użerając się na co dzień z takimi przedsięwzięciami jak nauka korzystania z nocnika.

– Ja też nie chcę mieć dzieci.

– Naprawdę? – Szczerze się zdziwiła.

Uśmiechnął się lekko.

– Jak sądzisz, który z powodów do mnie pasuje?

– Na pewno masz jakieś swoje.

– Kiedy się zająłem neurochirurgią, stanąłem przed wyborem: albo będę takim człowiekiem, który zrzuca na partnera dziewięćdziesiąt pięć procent rodzicielstwa, albo nie zostanę rodzicem. I tyle. Każdy, kto twierdzi, że chirurg przykłada się do życia rodzinnego, kłamie. Uniemożliwiają to

godziny pracy, i dla mnie to jest decydujące. I owszem, słyszałem argument, że kto nie chce mieć dzieci, jest samolubny, ale moim zdaniem to absurdalne. Jeśli naprawdę chcesz zrobić coś niesamolubnego, adoptuj siedmioletniego czarnego chłopca. Pewnie to wykpisz, ale uważam, że dzięki swoim zdolnościom mogę się przysłużyć społeczeństwu przede wszystkim jako naukowiec i lekarz. Każdy mężczyzna z żywotnymi plemnikami może zostać tatą, podczas gdy tylko niewielu umie przeprowadzić kraniektomię dekompresyjną.

– Dlaczego miałabym to wykpić? – Liz uśmiechnęła się szeroko. – Już przecież wiem, że jesteś egocentrykiem. – Prawda jednak wyglądała tak, że nie uważała go za egocentryka. Uważała, że jest pryncypialny i troskliwy, a wręcz czuła lekkie zakłopotanie, że ona pracuje dla magazynu, który zaleca kremy przeciwzmarszczkowe dwudziestoletnim kobietom, podczas gdy on pomaga ludziom z uszkodzonym mózgiem. To jednak nie była odpowiednia pora na uległość.

Jeśli nie liczyć rozbierania, nie zawracali sobie głowy żadną grą wstępną. Niemniej kilka minut wcześniej Liz się zastanawiała, czy Darcy ma erekcję, a teraz była pewna, że ma. Zakołysała biodrami.

– Myślę, że czas przejść do rzeczy – powiedziała i pochyliła się, by pocałować go w usta.

## Rozdział 101

Shane ostrzegł Liz, że inspekcja Tudor może potrwać nawet sześć godzin, a ona po uważnym zastanowieniu się i z wielkim lękiem w wyznaczony dzień zaproponowała rodzicom całodzienną wycieczkę do Berei w Kentucky. Czternastotysięczne miasto dwie godziny od Cincinnati słynęło z doskonale rozwijającej się społeczności artystycznej, która tworzyła i sprzedawała obrazy, rzeźby, biżuterię, ceramikę i wyroby tkackie. Z wielu powodów ta wizyta mogła okazać się fatalnym pomysłem – Liz obawiała się, że tamtejsze wyroby okażą się zbyt przaśne jak na gust jej matki albo że matka pochopnie zakupi na przykład wielkie i drogie poidelko dla ptaków – ale na czas inspekcji priorytetem było wywiezienie pani Bennet z Cincinnati i unieszkodliwienie jej tak, by nie zdołała samodzielnie wrócić do Tudor.

Gdy Liz poruszyła temat Berei z ojcem, ten rzekł:

– Trudno mi sobie wyobrazić mniej kuszące zaproszenie.

– Rzeczywiście. Ale twoja uciecha nie jest tym razem naszym głównym celem.

Pan Bennet zachichotał.

– O której mamy wyjechać?

Pani Bennet była tylko odrobinę bardziej skłonna do współpracy.

– U jednej pani w Berei Deb Larsen zamówiła gobelin z obrazkiem przedstawiającym jej dom w Michigan – powiedziała. – Podobieństwo było niesamowite. – Nagle jednak na jej twarzy pojawił się wyraz niezadowolenia. – Nie myśl sobie, że ja nie wiem, co wyczyniasz, Lizzy.

Przed wyjazdem Liz dobitnie przypomniała Kitty i Mary, że muszą trzymać się z dala od Tudor, aż je powiadomi, że już po inspekcji.

– Jeśli nadal chcecie razem coś wynająć, dzisiaj jest dobry dzień na poszukiwania – dodała.

– Może – odparła Kitty. – Ale ja idę do Hama na zajęcia wiosłowania na jedenastą.

Grupa wycieczkowa skorzystała z samochodu pani Bennet: córka prowadziła, ojciec jechał z przodu, a matka z tyłu. Liz z ulgą objęła rolę szofera zarówno z tego powodu, że oboje rodzice byli okropnymi kierowcami, jak i z tego, że zawsze czuła się ogromnie skępowana, spędzając z nimi czas. Od tylu lat tych dwoje poświęcało uwagę odmiennym sprawom, że w owych rzadkich momentach, gdy skupiali się na jednym, coś zawsze szło nie tak; za dużo było sposobności do wnikliwej obserwacji i nieprzerwanych rozmów. Aby uniknąć obu tych rzeczy, Liz wypożyczyła z biblioteki w Hyde Parku audiobooka, którym miała nadzieję zająć wąski obszar pokrywających się zainteresowań rodziców – dziewiętnastogodzinną biografię pewnego wyzyskiwacza, która ukazała się przed czterema laty i doczekała się wielu pochwał.

Minęło może sześć minut pierwszej płytki, gdy pani Bennet zaczęła czynić uwagi: od temperatury w samochodzie (z tyłu jest zdecydowanie lodowato) przez nieustanne upokorzenia towarzyszące sprzedaży Tudor (jaką mieli gwarancję, że Shane'owi można ufać? Owszem, może i chodził do Seven Hills, ale jest w nim coś takiego, co jej się nie podoba, chociaż nie umie wskazać dokładnie co), nudę audiobooka (na miłość boską, czy autor naprawdę zakładał, że ludzie będą nadążać za tymi wszystkimi nazwiskami, kto z kim i jak jest spokrewniony?) po rozważania, czy Ham oświadczy się Lydii przed Bożym Narodzeniem (pani Bennet wołałaby, aby mąż Lydii miał bardziej stabilne źródło dochodów, nigdy nie wiadomo, czy crossfit to nie jedna z tych fitnessowych mód, co to pojawiają się i znikają, ale rzeczywiście Ham sprawiał wrażenie na tyle rozumnego, że gdyby ten biznes nie wypalił, znajdzie zatrudnienie gdzie indziej).

Po godzinie i kwadransie pan Bennet rzucił do córki:

– Powiem ci, co zrobimy. Gdy dojedziemy do Lexington, wysadzisz mnie pod Muzeum Sztuki na Uniwersytecie Kentucky. Odbierzesz mnie trzy godziny później. A co wy z matką będziecie robić podczas bezkrólewia, to wasza sprawa.

W ten sposób Liz z matką ostatecznie zrezygnowały z Berei na rzecz niespiesznego lunchu w restauracji o nazwie Doodles, gdzie pani Bennet rozwinęła kilka tematów zasygnalizowanych w samochodzie, a zarazem nakreśliła, nad wyraz wyczerpująco, postępy w zabieganiu o przedmioty na aukcję Ligi Kobiet. Chociaż wyraziła rozczarowanie faktem, że nie dotarła do Berei, jej rozczarowanie sprawiało wrażenie raczej wyrażonego niż

rzeczywiście przeżytego.

Telefon Liz piknął, gdy stała przed Doodles i czekała, aż jej matka skorzysta z łazienki. Esemes od Shane'a: *Zadzwoń do mnie*.

Uczyła to od razu, a Shane nie owijał w bawełnę.

– Twój rodzice mają plagę pajaków – powiedział. – Musimy jak najszybciej przeprowadzić dezynsekcję.

Liz się skrzywiła.

– Plaga oznacza...? – Nie dokończyła. – Ile tego jest?

– To oszacuje ekipa dezynsekcyjna, ale nie wygląda to dobrze.

– A nabywcy nadal są zainteresowani?

– Nie – odrzekł Shane. – Ale to nie jest teraz największy problem.



## Rozdział 102

Zdarzało się, że na dwa, trzy dni przed wysłaniem numeru „Mascary” do drukarni Liz wyjątkowo często kontaktowała się z Talią, redaktorką naczelną: trzeba było na przykład dopisać zdanie, że aktorka, której sylwetkę Liz przygotowała, poszła na odwyk albo że członkini kadry narodowej piłki nożnej jest w ciąży; dodatkowe zdanie oznaczało, że w innym miejscu artykułu należało wyrzucić taką samą liczbę znaków. Albo osobiście w siedzibie „Mascary”, albo esemesem, mejlem lub telefonicznie Bennetówna i redaktorka naczelna komunikowały się nieustannie, coraz bardziej stenograficznymi i pokręconymi skrótami. I chociaż przed zamknięciem numeru Liz miała serdecznie dość tego wszystkiego – jej zdaniem niewielu czytelników doceniało ogrom pracy włożonej w coś, co dla nich było tylko zdawkową lekturą, której się oddawali, jadąc metrem czy biorąc kąpiel – później wręcz tęskniła za Talią i jej ponagłającymi, dziwacznymi uwagami.

Gdy po jakimś czasie wracała pamięcią do tego, co nazwała Tygodniem Dezynsekcji, czuła podobną i może jeszcze bardziej zaskakującą nostalgię za częstymi rozmowami z Kenem Weinrichem, właścicielem firmy Eksterminacja Szkodników Weinricha, człowiekiem, który cierpliwie oprowadził ją po nieprzyjemnym i zdumiewającym świecie plagi pajaków. Po raz pierwszy rozmawiali, gdy jeszcze stała przed Doodles w Lexington w Kentucky, a już następnego ranka on zaparkował swoją ciężarówkę na podjeździe Bennetów. Był białym mężczyzną w średnim wieku, mocnej budowy ciała, ubranym w jasnobrązową koszulę z krótkim rękawem, dzinsy i obuwie ochronne, który wszedł do Tudor z latarką i podkładką do pisania.

W ciągu kilku godzin ziścił się największy niewątpliwie koszmar senny w całym życiu Liz, wliczając w to piżamowe przyjęcia w podstawówce, romanse w college’u i zagraniczne podróże samolotem. Z powodów prawnych wiążących się z wycofaniem oferty byłych już chętnych na dom

Liz nie rozmawiała bezpośrednio z osobą, która przeprowadziła inspekcję techniczną. Niemniej jednak inspektor powiedział Shane'owi, a ten przekazał to Liz, że znalazł pająki na każdej kondygnacji, w tym wewnątrz kominków, punktów świetlnych, głowic pryszniców, a największe ich skupiska mieściły się w piwnicy i na strychu. Z tego powodu Liz spała, czy też usiłowała spać, w łóżku Lydii, ale co kilka minut budziła się przekonana, że czuje łaskotanie pajęczych odnóży sunących po jej skórze. Inspektor wyjaśnił też Shane'owi, że plamki w kształcie skrzypiec na grzbietach nieżywych osobników wskazywały, że pająki należą do gatunku pustelnik brunatny, a ich ukąszenie może powodować obrzęki, mdłości czy martwicę tkanek. Gdy Ken Weinrich potwierdził, że to ten gatunek, Liz przede wszystkim poczuła ulgę, że Jane już wyjechała.

Ken szacował, że w domu gnieźdzą się tysiące insektów, choć zgodnie ze swoją nazwą na ogół stroniły od ludzi. Bez przesady, pomyślała Liz, wspominając swoje rozmaite spotkania z nimi w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Jak się teraz nad tym zastanawiała, ich śladów było tyle, że firmę dezynsekcyjną powinna była wezwać zaraz po przyjeździe do domu.

Zakładając brak opadów deszczu, operacja miała potrwać dwa dni i wymagała nakrycia budynku od zewnątrz plandekami; po ich założeniu rozpyli się fluorek siarki, a specjalne wiatraki rozprowadzą go po pomieszczeniach. Bennetowie musieli opuścić dom na trzy dni. Ken Weinrich nieustannie zapewniał Liz, że fluorek siarki nie ma szkodliwego wpływu na nic poza insektami – nie tylko meble Bennetów, lecz nawet ich żywność są całkowicie bezpieczne. Koszt dezynsekcji wynosił dziesięć tysięcy dolarów.

Pan Bennet najwyraźniej skapitulował, podczas gdy pani Bennet doniesienia na temat plagi przyjęła z oburzeniem. Zupełnie jakby Liz powiadomiła ich o napotkaniu jednej myszy – żadne z rodziców nie sprawiało wrażenia zaniepokojonych. „Na pewno nie są ich tysiące” – zastrzegła pani Bennet. Na czas dezynsekcji mieli się zatrzymać w Country Clubie.

Siostry Liz dla odmiany były przerażone, choć w wypadku Lydii przerażenie zawierało nutę triumfu tylko częściowo zrekompensowaną przez natychmiastową ofertę Hama, że przenocuje wszystkich Bennetów w swoim domu w Mount Adams. Tego jednak dnia Mary i Kitty znalazły trzypokojowe mieszkanie – tak się złożyło, że raptem kilka przecnic od

Darcy'ego – a Liz miała zapłacić czynsz za pierwszy miesiąc wynajmu i być konsygnatariuszem umowy. Nie chcąc ryzykować przewiezienia pajaków do nowego mieszkania, Mary, Kitty i Liz pojechały do Ikei, pół godziny drogi na północ od Cincinnati, gdzie Liz kupiła siostrom po łóżku oraz kanapę, a także stół do kuchni i krzesła.

Miała pełną świadomość korzyści płynących z pokrycia kosztów zakupów Mary i Kitty: zobowiązane, musiały teraz podporządkować się zaleceniom Liz na czas po jej wyjeździe z Cincinnati, między innymi instrukcjom co do monitorowania diety ojca. Musiały pilnować, by Tudor w każdej chwili nadawał się do pokazania Shane'owi, innym agentom nieruchomości i ich klientom, a także miały być do dyspozycji matki w ciągu czterdziestu ośmiu godzin poprzedzających lunch Ligi Kobiet, na wypadek gdyby chciała im powierzyć jakieś zadania. Chociaż od samego lunchu dzieliło ich raptem dwa tygodnie, Liz uznała, że nie wytrzyma tu tak długo. Po prostu nie była już w stanie znieść Cincinnati. Nie chciała spędzić ani jednej nocy więcej w obecnie pełnym pajaków, a wkrótce pełnym chemii Tudor. Nie chciała spać przez dwa tygodnie na kanapie u Mary i Kitty. I nie chciała się wprowadzać do Hama i Lydii i patrzeć, jak się całują i miziąją, i piją jarmużowe koktajle, chociaż samą propozycję pomocy bardzo doceniała. Nagle poczuła, że już natychmiast chce być w domu, w swoim domu, czyli na Brooklynie. Chce zamówić panir ze szpinakiem i samosy z ulubionej hinduskiej knajpy i zjeść je sama na kanapie przy lekturze czasopisma, puściwszy na maksa klimatyzację i nie tłumacząc się z braku męża.

– Myślisz, że to będzie okropne, jeśli po wywiadzie z Kathy de Bourgh w Houston pojedę prosto do Nowego Jorku? – spytała starszą siostrę podczas rozmowy telefonicznej.

– Chyba nie bardzo mam prawo cię namawiać, żebyś tego nie robiła – odrzekła Jane.

Leżąc na nowej kanapie Mary i Kitty za pięćset dolarów, Liz nie mogła zdecydować, czy jej zachowanie jako córki i siostry jest przykładne czy niewybaczalne. Z jednej strony w ostatnich dniach w stopniu wręcz niesłychanym starała się dopilnować interesów wszystkich członków rodziny. Z drugiej nie zaczeka, aż zakończy się wietrzenie domu po odkażaniu. Będzie w Nowym Jorku na weekend Święta Pracy i tak z ręką na sercu – głównym bodźcem tej lawiny działań było pragnienie wyjazdu.

## *Rozdział 103*

Liz spakowała swoje walizki i torebkę tak, by z bagażnika cadillaca ojca przenieść je na mały trawnik przed nowym domem sióstr i opróżnić; w bagażniku było też pełno worków na śmieci zawierających jej ubrania, przybory toaletowe, dyktafony i laptop. Klęczała w trawie i sprawdzała każdą sztukę odzieży, każdą rzecz w kosmetyczce, by mieć pewność, że nie uchował się tam żaden pajak. Zastanawiała się, czy pozostali mieszkańcy budynku nie zaprotestują – pewnie wyglądało to tak, jakby urzędzała wyprzedaż garażową – ale jakoś nikt się nie zgłosił, a ona nie znalazła żadnych pajaków. Na koniec zniosła torby do mieszkania sióstr, czując ulgę, że w życiu nie będzie niczyją matką i dzięki temu nigdy nie będzie musiała we włosach dziecka szukać jajeczek wszy.

## Rozdział 104

Ponieważ nie widziała Darcy'ego od tygodnia, dała sobie spokój z udawaniem joggingu, tylko po prostu przeszła z budynku sióstr do jego i zapukała do drzwi. Nie otworzył, ale gdy wychodziła na zewnątrz, opryskliwa z niezaspokojenia, natknęła się na niego – właśnie wchodził, niosąc oburącz kilka plastikowych toreb ze spożywczego.

– Uznałam, że pracujesz – powiedziała, gdy przywitał ją skinieniem głowy.

– Idę na osiemnąstą. Coś się stało? – Właśnie decydowała, jak zareagować (czy on chciał zrobić z niej idiotkę?), gdy dodał z pewnym zakłopotaniem: – Czy po prostu przysłaś... ach, właśnie. Wejdz, proszę.

– Pomogę ci. – Wyciągnęła rękę po torby.

Szła za nim po schodach, z perwersyjną przyjemnością dzieląc się najnowszymi wiadomościami na temat swojej rodziny, ale on zamiast szyderczo obwieścić brak zaskoczenia, że Bennetowie dawali schronienie pladze insektów na miarę biblijną, zareagował niemal ze współczuciem:

– Stare domy kryją mnóstwo niespodzianek. Szkoda, że nabywcy wycofali ofertę.

– No, a Kitty i Mary są teraz twoimi sąsiadkami. Mieszkają na rogu Millsbrae i Atlantic, na wypadek gdybyś chciał pożyczyć cukier.

– Niesamowite, że właściciel zgodził się wynająć mieszkanie dwóm osobom bez pracy.

– Jest wynajęte na moje nazwisko.

Dotarli na pierwsze piętro. Otwierając drzwi do swojego mieszkania, Darcy spytał:

– Nie martwisz się, że cię zrujnują?

– Och, pewnie jeszcze będę się martwić. Ale nie widzę alternatywy.

W środku Darcy włożył część zakupów do lodówki, a Liz usiadła na stołku. Zaproponował jej piwo lub wodę, ale odmówiła jednego i drugiego.

W ciągu dziesięciu minut zajęli się prawdziwym powodem jej wizyty – nie tylko przeszli do realizacji, lecz także osiągnęli cel ku obopólnej satysfakcji.

– Ten tak zwany seks na wroga – rzekł wówczas Darcy – to u ciebie norma?

Do tego zbliżenia, podobnie jak do wcześniejszych, doszło na pościeli, więc teraz umościł się obok siebie, ale już bez dotykania. Aby zgodnie z regułami uniknąć przytulania, Liz odsunęła się od Darcy’ego i tak jak on położyła się na plecach.

Roześmiała się.

– Jeśli musisz pytać kobietę, czy jest puszczalska, to prawdopodobnie odpowiedź jest twierdząca.

– Nic takiego nie sugerowałem. Zastanawiam się tylko, czy jest to dla ciebie korzystniejsze. Choć jeśli dobrze pamiętam, mówiłaś, że niedawno zakończyłaś związek.

– Nie, taki seks nie jest dla mnie normą, ale nie jest nią też mieszkanie w Cincinnati. A skoro o tym mowa, wyjeżdżam. Jutro po południu jadę do Houston na wywiad z Kathy de Bourgh, a stamtąd lecę do Nowego Jorku.

– Jutro wyjeżdżasz z Cincinnati? – spytał zdumiony.

– Nie załamuj się tak bardzo. Korzystałaś kiedyś z portali randkowych? Jeśli nie, powinieneś spróbować.

– A czy ty korzystałaś kiedyś z portali randkowych?

– Jasne. I gdybym tu mieszkała, na pewno też bym to zrobiła.

Darcy milczał przez chwilę.

– Czy ta osoba, z którą zerwałaś, to Jasper Wick? – spytał wreszcie.

– To by dopiero było, nie? Przecież on jest żonaty, a także wyrzucono go ze Stanford. – Liz zerknęła na zegarek. – Trochę mnie kusi, żeby ci zaproponować pomoc przy pisaniu sylwetki do portalu randkowego, ale nie jestem pewna, czy zwalanie cię na głowę innej kobiecie byłoby etyczne. Kobięca solidarność, rozumiesz.

Żartowała, ale na jego twarzy odmalowało się szczere niezadowolenie.

– Nie potrzebuję twojej pomocy przy tworzeniu swojego profilu – powiedział.

– No pewnie. W końcu masz doktorat. – Liz przerzuciła nogi za skraj łóżka i sięgnęła po swoje ubrania rozrzucone na podłodze. Zapinała właśnie stanik, gdy usłyszała:

– Zawsze mnie zastanawiał ten tatuaż.

Między łopatkami miała wytatuowany wizerunek maszyny do pisania wielkości dwa na pięć centymetrów.

– Chcesz zgadnąć, ile miałam lat, gdy go zrobiłam? – spytała, nie odwracając się.

– Dwadzieścia?

– Gorzej. Dwadzieścia trzy. O ironio, uważałam, że to jest o wiele lepsze niż kwiatek albo jakiś chiński symbol. Obwieszczałam w ten sposób poważne ambicje pisarskie. Ale jakoś przez tyle lat nie trafił się właściwy moment, by pokazać to komukolwiek z ludzi, z którymi prowadziłam wywiady. – Obejrzała się przez ramię. – Może ty powinieneś sobie wydziarać na pośladku przysięgę Hipokratesa.

– Może – odrzekł, a Liz poczuła jakieś ukłucie. Nadal nie za bardzo go lubiła, lecz trudno było się nie zastanawiać, czy jeszcze się kiedyś spotkają. Postukał palcem w lewy biceps. – Albo tutaj logo Skyline Chili.

Wstała, włożyła bluzkę i majtki, odwracając się twarzą do niego przy wkładaniu dzinsów. Prawdopodobnie widzieli się po raz ostatni przed jej wyjazdem i ten nieoczekiwany przypływ emocji... raczej zyskiwał, niż tracił na sile. Poza tym, co dość dziwaczne, niewykluczone, że kilka minut wcześniej, w trakcie najpewniej szczytu rozkoszy, Darcy wyszeptał słowo „Kochana”. Jeśli rzeczywiście tak uczynił, zdaniem Liz ta wypowiedź na pewno była przypadkowa i żadne z nich nie potwierdzało jej zaistnienia. Tak czy owak – co miała teraz zrobić? Uściskać go na pożegnanie jak współpracownika? Nie, nie uściska go.

– Jeśli to był Jasper, zupełnie na ciebie nie zasługuje – powiedział Darcy.

Miała wrażenie, że jest dla niej kimś obcym, a jednocześnie kimś, kogo niewiarygodnie dobrze zna. Albo mieli strasznie dużo do powiedzenia, albo nic zupełnie.

– Nie byłabym taka pewna – odparła, siłąc się na lekki ton.

## Rozdział 105

– Niewykluczone, że jak już wyjadę, moi rodzice poinformują cię, że zmienili zdanie na temat sprzedaży domu – powiedziała Liz do Shane’a. Spotkała się z nim w Coffee Emporium na Erie Avenue. – Zwłaszcza mama, ale nie wierz jej. Jeśli coś takiego się wydarzy, natychmiast do mnie zadzwoń.

– Rozumiem drażliwość sytuacji – odrzekł Shane – ale w ten sposób szybko przekroczę zakres kompetencji agenta nieruchomości.

– Oni naprawdę chcą sprzedać dom. W każdym razie mój ojciec rozumie, że nie mają wyboru. Jeśli powiedzą coś innego, puść to mimo uszu. I gdy tylko się dowiesz, że jakiś inny agent chciałby go pokazać, zadzwoń do mnie, a ja zadzwonię do Mary albo do Kitty i jedna z nich dopilnuje, żeby w domu było okej i żeby zabrać gdzieś rodziców.

Shane zmrużył oczy w sposób, w którym Liz dopiero po chwili rozpoznała symulowanie swobody.

– A skoro mowa o Kitty... – rzekł – to ile ona ma lat?

– Dwadzieścia sześć. – Liz poczuła wyrachowaną i chyba nielojalną pokusę, by dodać: „Jeśli sprzedasz nasz dom, jest twoja”. Nie spytał, czy jest wolna. Ewidentnie się nad tym zastanawiał, ale nie spytał.



## Rozdział 106

– Już wiem, dokąd chodzi Mary – oznajmiła Kitty. – To przekomiczne.

Liz leżała na ikeowej kanapie w salonie swoich sióstr, czytając na laptopie długi artykuł z najnowszego wydania magazynu, w którym kiedyś pracowała z Jasperem przy weryfikacji faktów.

– Dokąd? – spytała.

Kitty podniosła kluczyki do auta.

– Chodź ze mną.

– To coś dobrego czy złego?

– Chodź po prostu – upierała się. – Naprawdę warto.

Pojechały przez Oakley – tą trasą Liz podążała do kampusu Seven Hills niezliczone poranki w swoim życiu – ale zamiast jechać dalej Oaklawn Drive i skręcić w lewo, Kitty skręciła w prawo na parking pod Madison Bowl.

– Gra w kręgle?

– Ona jest w lidze! – Głos Kitty rozsadało ubawienie. – I to nie jest jakaś hipsterska liga. To tłuści ludzie w średnim wieku.

– Prawo tego nie zakazuje.

– A powinno. Sama tak uznasz, jak ich zobaczysz.

Kitty wjechała na miejsce parkingowe i wyłączyła silnik.

– Ona tam teraz jest? – spytała Liz.

– Wyśledziłam ją tu kilka tygodni temu. Skoro miałyśmy razem zamieszkać, musiałam się upewnić, że nie jest jakimś wyznawcą Szatana.

– Powiedziałaś jej, że ją wyśledziłaś?

Kitty pokręciła głową.

– I jaki masz plan? Idziemy do środka i krzyczymy „Niespodzianka!”?

– Ostatnim razem przebrała się w samochodzie w czerwono-czarny strój – mówiła Kitty. – Nie sądzisz, że to chore utrzymywać w tajemnicy coś tak nudnego?

– Może wiedziała, że jeśli nam powie, zachowamy się tak, jak właśnie się

zachowujemy?

W ziemistym świetle latarni siostry patrzyły na siebie.

– Ciebie to nie bawi – rzuciła Kitty nadąsana.

– Wiesz co? Możesz być dobrym człowiekiem, to zależy od ciebie. Jeśli szczęście ci dopisze, czeka się długa dorosłość i możesz być szczęśliwsza, o ile będziesz miła, a nie wredna.

– Jestem dobrym człowiekiem – odrzekła Kitty z oczywistą urazą. Ale –  
ku uldze Liz – odpaliła silnik.

## Rozdział 107

Z ikeowej kanapy Liz zadzwoniła do starszej siostry.

– Przykro mi, że tak żegnasz Cincinnati – oznajmiła Jane, gdy Liz wyznała jej, gdzie się znajduje.

– Nieważne. Dzięki temu docenię luksusy swojego pokoju hotelowego w Houston.

– Zastanawiałam się nad tym, co powiedział ci ten człowiek od dezynsekcji – podjęła Jane – i na myśl o tym, że mama z tatą będą jedli żywność, która znajdowała się w domu podczas tej operacji, bardzo się denerwuję. Może byś przeniosła to wszystko do Kitty i Mary albo po prostu wyrzuciła? Niektóre przyprawy mamy i tak pochodzą z lat osiemdziesiątych.

Liz poczuła irytację – wiedziała, że nie może odmówić Jane słuszności, lecz podejrzewała, że opróżnienie licznych szafek kuchennych i lodówek na dwóch piętrach nie będzie zadaniem błahym. A ekipa Kena Weinricha ma się stawić w Tudor nazajutrz o dziesiątej.

Zerknęła na drzwi do sypialni Kitty; przez szparę padało światło i słyszała jakiś program telewizyjny, który siostra oglądała na smartfonie. Mary nie było, pewnie ciągle grała w kręgle. Liz pomyślała, że zwerbuje je obydwie.

– Chcesz, żebym ci wysłała zdjęcie domu w tych plandekach? – spytała starszą siostrę.

– Nie! – odparła Jane przerażona.

– No to nie wyślę. – Liz ściszyła głos. – Nie powiedziałam ci czegoś o Darcym. – Chciała się zwierzyć nie tyle z racji moralnego przebudzenia, co z powodu mętliku, który poczuła, gdy z takim niezadowoleniem opuszczała dzisiaj mieszkanie Darcy’ego. Musiała z kimś omówić tę dziwaczność.

– Wiesz – odezwała się Jane, zanim Liz podjęła opowieść, a jej ton był raczej spokojny niż rozgoryczony – gdyby nie Darcy, to pewnie bylibyśmy z Chipem ciągle razem.

– O czym ty mówisz?

– Tego wieczoru, kiedy Chip ze mną zerwał, wyznał między innymi, że Darcy nie widział w nas dobrej pary. I dodał, jakbym tego nie wiedziała, że bardzo szanuje Darcy’ego.

Liz poczuła niemiły niepokój.

– Dlaczego Darcy miałyby nie aprobować waszego związku?

– Kto to wie? Chociaż teraz już pewnie mogę się nad tym tylko zastanawiać. – Jane się zaśmiała, co siostra odebrała jako oznakę postępu. Wręcz wyglądało na to, że opowiada o wszystkim z większym spokojem, niż w tej chwili odczuwała Liz. – Tak czy owak, niepochlebna opinia Darcy’ego o naszej rodzinie nie jest tajemnicą. A czego mi o nim nie powiedziałaś?

Liz ze wstydem myślała, jak to doszła do wniosku – całkowicie egoistycznego wniosku, teraz sobie uświadomiła – że sypianie z Darcym nie było złe. Jakąż nielojalność wobec Jane okazała! Oczywiście wyjawienie siostrze w tym momencie prawdy o schadzkiach, zwłaszcza gdy te schadzki dobiegły końca, nie miałyby sensu.

– Tego dnia, gdy zemdlałaś – zaczęła niepewnym głosem – wpadłam na niego przed szpitalem. Pomógł mi do ciebie trafić.

Jane milczała, jakby czekała na więcej.

– Nie pamiętałam, czy ci o tym wspomniałam – dodała Liz słabo.

– Czuję, że teraz bardziej potrafię spojrzeć na wszystko z perspektywy Chipa – podjęła Jane. – A gdybym to nie ja powiedziała mu, że jestem w ciąży, tylko on by mi oznajmił, że inna kobieta oczekuje jego dziecka? Albo gdyby... no wiesz, tak jak Amanda i Prisha mają Gideona dzięki wykorzystaniu nasienia ich przyjaciela heteryka... Gdyby Chip dał swoje nasienie lesbijskiej parze, z którą by go łączyły bliskie relacje, bez względu na to, jak dokładnie próbowałyby mi to wyjaśnić, wydawałoby się to dziwne.

– Niezupełnie. Takie rzeczy się teraz zdarzają.

– Ale jeśli dopiero poznajesz tę drugą osobę?

– Jesteś dla niego zbyt pobłażliwa. – Liz jednak nie była pewna, czy naprawdę tak uważa, czy po prostu chce odwrócić uwagę od siebie i tego, co o mały włos ujawniła. Nagle powiedziała: – Kitty rozwiązała zagadkę wieczornych wyjść Mary. Mary nie wie, że my wiemy, ale najwyraźniej gra w lidze bowlingowej.

– Naprawdę? – spytała Jane ucieszona. – Ależ to słodkie.

## Rozdział 108

Dzwonek do drzwi, czyli dźwięk, którego Liz do tej pory w tym mieszkaniu jeszcze nie słyszała, obudził ją przed siódmą rano. Otworzyła w bokserkach i T-shircie do spania – wykopalisku z szafy w Tudor, z napisem „Dożynki 1991” na przodzie. Zakładając, że w ogóle przebudziła się na tyle, by mieć jakiegokolwiek oczekiwania, sądziła, że to dzwonił nadzorca budynku albo może sam właściciel. Tymczasem ku jej zdumieniu w progu stał Fitzwilliam Darcy. Odruchowo skrzyżowała ramiona na piersi.

– Co ty tu robisz? – spytała.

– Powiedziałaś, że twoje siostry mieszkają na rogu Millsbrae i Atlantic. – Darcy wyglądał ponuro: skórę miał niecodziennie bladą, a oczy wyraźnie podkrążone. Był ubrany w zielony strój lekarski, więc Liz podejrzewała, że przyjechał prosto z nocnego dyżuru. Patrzyli na siebie – miała go zaprosić do środka? – a gdzieś w pobliżu pogwizdywała wilga. – Zakładam, że nadal zamierzasz dzisiaj wyjechać?

– Tak, po tej szalonej dezynsekcji. Czy raczej po jej rozpoczęciu, bo wszystko będzie trwać trzy dni.

Zapadła cisza. Nagle głosem poważnym i bez żadnych wstępów Darcy oznajmił:

– Zakochałem się w tobie.

– Ha, ha – odpowiedziała.

– To pewnie iluzja wywołana uwolnieniem oksytocyny w czasie seksu – kontynuował – ale mam poczucie, że się w tobie zakochałem. Nie jesteś piękna i nie jesteś ani trochę tak zabawna, jak ci się wydaje. Jesteś nałogową plotkarą, która udaje, że jej wścibstwo to antropologiczne zainteresowanie gatunkiem ludzkim. Do tego twoja rodzina bez wątplenia jest kompromitująca. A jednak na przekór zdrowemu rozsądkowi ciągle o tobie myślę. Nadszedł czas, byśmy przestali jak idioci udawać ten seks na wroga i przyznali, że jesteśmy parą. – Darcy wygłosił ten monolog sztywno,

jednocześnie unikając kontaktu wzrokowego, lecz gdy skończył, spojrzał na Liz wyczekująco.

Chyba nigdy w życiu nie była tak zdumiona, a w każdym razie nie pamiętała, żeby już jej się to zdarzyło. I chociaż rozumiała, że jego uwagi zawierają jakieś pochlebne sedno, nigdy jeszcze nie poczuła się tak obrażona. Przez kilka sekund szukała właściwych słów.

– Więc to... ty nie żartujesz? Czy żartujesz? – wydusiła wreszcie.

– W ogóle nie żartuję.

– Darcy, jakim cudem mielibyśmy być parą?! My się w ogóle nie znamy.

– Tak było na początku.

– Może dla ciebie. No wiesz, wybacz, ale ja nadal uważam cię za dupka. Wyobrażasz sobie, że wyświadczasz mi jakąś wielką przysługę, przymykając oko na to, jaka jestem nieatrakcyjna i jak bardzo nie cierpisz mojej rodziny, i oznajmiając, że mimo wszystko mnie kochasz?

Zdumienie Darcy'ego było widoczne w jego szeroko otwartych oczach. Zdaniem Liz to zdumienie stanowiło kolejny dowód jego arogancji.

– Odnosiłem wrażenie, że cenisz sobie szczerłość – rzekł napiętym głosem. – Nie zamierzałem cię obrazić.

– Jak miałabym być z człowiekiem, który rozdzielił Chipa i Jane? Teraz już wiem, że powiedziałeś mu, żeby z nią zerwał. I wiem, że przyczyniłeś się do wyrzuceniu Jaspera ze Stanford. To przekonanie, że twoja opinia jest lepsza niż każdej innej osoby, że ty sam powinieneś decydować o losach innych ludzi... Rodzi się tylko jedno pytanie: czy to od bycia chirurgiem zrodził ci się kompleks Boga, czy to kompleks Boga sprawił, że zostałeś chirurgiem?

– Rozumiem – odparł Darcy. – I uważasz, że nie tylko mam ochotę, by kontrolować ludzkie zachowania, ale też mam taką władzę?

– Fakty mówią same za siebie.

– Pozwolę sobie zapewnić cię, że pomyśl, by Chip rzucił medycynę i wrócił do *Dobrej partii*, nie był mój.

– Może nie kupiłeś mu biletu do Los Angeles, ale na pewno na niego wpłynąłeś.

– A gdy sugerujesz, że to przeze mnie Jasper został relegowany ze Stanford – teraz Darcy mówił z wyniosłą miną – tak żebym do końca zrozumiał... to chodzi ci o to, że był niewinny, a ja podłożyłem dowody przeciwko niemu, czy też, że był winny, ale ja powinienem był jednostronnie

wydać decyzję uniewinniającą?

– Istnieją większe zbrodnie niż pisanie idiotycznych opowiadań.

Darcy długo przyglądał się jej twarzy.

– Tak, rzeczywiście – powiedział wreszcie.

– Nawet gdybyś nie schrzanił sprawy z Jasperem i Jane, i tak nigdy bym nie chciała z tobą chodzić – dodała Liz. – I nawet gdybyś nie wyraził się obraźliwie o moim wyglądzie, mojej osobowości, mojej rodzinie, nie zwał na hormony, że się mną zainteresowałeś, nawet gdybyś wyraził swój pociąg jak normalna ludzka istota, i tak bym nie chciała.

Doświadczała przyjemnej złości, satysfakcjonującego oburzenia, które na co dzień rzadko się jej zdarzało, i spodziewała się, że on też coś takiego czuje. Ale on, zamiast zgromić ją wzrokiem, sprawiał wrażenie zranionego, i w duszy Liz zakiełkowało maleńkie ziarenko zwątpienia.

– Przepraszam, że tak haniebnie pomyliłem się w ocenie sytuacji – rzekł. I nagle... cóż za dziwny, staromodny gest! Skłonił się przed nią. – Wybacz mi. – Odwrócił się i w ciągu kilku sekund, bez żadnych pożegnań, zniknął. Liz od razu zadała sobie pytanie, czy aby ta dziwaczna rozmowa nie była grą jej wyobraźni.

Nadal stojąc w progu, stwierdziła, że drży. Złość szybko ulatywała, a jej miejsce zajmował coraz silniejszy niepokój. Jak to możliwe, że Darcy – Darcy! – oznajmił, że się w niej kocha?! O ile na pewnym poziomie sprawiało jej to przyjemność, o tyle było też niewyobrażalne. Jakież mętlik w jej głowie to wywołało, jakże wytrąciło ją z równowagi, jak zdenerwowało!

Za zamkniętych drzwi sypialni Mary dobiegł głos:

– Lizzy? Czy ktoś dzwonił do drzwi?

## Rozdział 109

Przez resztę dnia – czyli gdy pomagała rodzicom przenieść się do Country Clubu, przetransportowała nieprzeterminowane wyroby w puszkach z Tudor do banku żywności i omawiała z Kenem Weinrichem ostateczne przygotowania do nadchodzącej dezynsekcji (tak, podlała ziemię poprzedniego dnia) – przez cały ten czas Liz nieustannie myślała o Darcym. Jedząc późny lunch na ganku w Country Clubie z Mary i rodzicami, ledwie nadążała za tym, co kto mówi, nawet gdy pani Bennet zmieniła temat z rozważań, dlaczego nie powiodło się Chipowi i Jane, na to, jaka jest Kathy de Bourgh.

– Zawsze wydawała mi się bardzo ostra – powiedziała, ściągając brwi.

Pan Bennet odwiózł Liz na lotnisko, na samolot do Houston, przy czym najpierw zajechali do mieszkania sióstr po jej bagaże. Przed drzwiami znalazła na podłodze opartą o ścianę kopertę ze swoim imieniem.

– Od kogo to? – spytała Mary.

– Od nikogo – odrzekła Liz, składając kopertę na pół i wpychając ją do kieszeni spodni.

Mary prychnęła drwiąco.

– Tak, widzę właśnie.

Koperta niemal wypalała jej dziurę w kieszeni, gdy Liz jechała na lotnisko na fotelu pasażera ojcowskiego samochodu.

– Pamiętasz, kiedy możecie z mamą wrócić do domu? – spytała, gdy ojciec włączył się do ruchu na 71 South. – W piątek o trzynastej. Musicie wyrzucić lód z kruszarki. Nie róbcie sobie z nim dzinu.

– Jakie to niebywałe – rzekł pan Bennet – że całe dziesięciolecie przeżyłem bez twoich codziennych instrukcji, nie sądzisz?

– Ekipa dezynsekcyjna otworzy wszystkie szafki i szuflady, żeby zapewnić dopływ powietrza – ciągnęła Liz. – Drzwi i okna też. Ale Mary przyjdzie wam pomóc wszystko pozamykać. A potem, błagam, postarajcie



się z mamą, oboje naprawdę się postarajcie utrzymać ten dom w przyzwoitym stanie, na wypadek gdyby jacyś agenci chcieli go pokazać klientom.

Nie zerkając w lusterko wsteczne, pan Bennet zmienił pas. Samochód za nim zatrąbił.

– Spokojnie, moja droga – rzekł. – Wszystko będzie dobrze.

– Masz świadomość, że właśnie niemal spowodowałeś wypadek?

Pan Bennet zdjął rękę z kierownicy i poklepał córkę po kolanie. Nietypowo poważnym tonem powiedział:

– Lizzy, byłaś głosem rozsądku pośród kakofonii głupoty. Bardzo się cieszę, że to lato spędziłaś w domu.

## Rozdział 110

Gdy tylko nadała bagaż, przeszła przez kontrolę bezpieczeństwa i znalazła swoją bramkę, otworzyła kopertę. List zajmował cztery strony z notatnika, pismo Darcy'ego, a widziała je pierwszy raz w życiu, było średniej wielkości i nieszczególnie piękne; nakreślone czarnym atramentem, wyglądało tak, jakby autor bardzo zadbał o czytelność.

*Droga Liz,*

*przede wszystkim nie martw się, że będę się starał teraz Cię przekonać do tego, co sugerowałem rano. Im szybciej zapomnimy o moim chybionym pomysłe, który oczywiście wzbudził w Tobie odrazę, tym dla nas lepiej. Zmuszony natomiast jestem wyjaśnić kilka kwestii odnośnie do Jane i Jaspiera Wicka. Mam świadomość, że niektóre z moich słów obrażą Cię jeszcze bardziej, choć nie jest to moją intencją, ale jeśli to nieuchronny skutek uboczny przekazania prawdy, to trudno.*

*Oczywiście miałem świadomość, że Chip zakochał się w Twojej siostrze. Wręcz uczucia do niej wydawały się głębsze niż do jakiegokolwiek dotąd kobiety w jego życiu. Niemniej jednak nie byłem przekonany, czy Jane, choć zawsze nienagannie uprzejma, odwzajemnia jego zaangażowanie. Na kolacji u Chipa usłyszałem, jak mówi Ci, że nie powinna zatrzymać roweru, który od niego dostała, ponieważ ma wątpliwości co do ich związku. Zgoda, już wtedy uważałem Waszą rodzinę za daleką od ideału, gdyby Chip miał się w nią wżenić. Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale abstrahując od tupetu i natręctwa Twojej matki na punkcie awansu społecznego, obojętność Lydii i Kitty wobec kwestii elementarnych manier uważam za niewiarygodną. A pamiętaj, że sam mam siostrę mniej więcej w ich wieku. Sądziłem, że tak płytkie, rozpuszczone egotystki istnieją*

wyłącznie w *reality show*... A tym samym dochodzę do kolejnej kwestii. Pomijając moje zastrzeżenia względem Jane (które to zastrzeżenia podzielała Caroline, tak swoją drogą), nie mógłbym przekonać Chipa do wyjazdu z Cincinnati i dołączenia do Dobrej partii po latach. Szczerze mówiąc, sądzę, że wykorzystał ciężę Jane jako wymówkę, by zrobić to, co już i tak chciał zrobić, a co oznaczało zerwanie z medycyną.

Znasz swoją siostrę lepiej niż ja i chętnie przyznam się do błędu w kwestii oceny jej uczuć do Chipa. Może straciła dla niego głowę, ale ja tego nie widziałem. Niemniej jednak szczerze lubię Jane i jeśli przyczyniłem się do jej cierpienia, przepraszam.

Jeśli chodzi o Twój zarzut, że niesprawiedliwie potraktowałem Jaspiera Wicka, to trudniejsze do udowodnienia, ponieważ nie wiem dokładnie, co Twoim zdaniem zrobiłem. Przedstawię Ci jednak fakty i jeśli zechcesz je potwierdzić, znajdziesz wiele artykułów w ówczesnych gazetach stanfordzkich.

Przez większość czasu spędzonego na studiach znałem Jaspiera Wicka jedynie z nazwiska i nie miałem na jego temat żadnego zdania. Gdy byliśmy na ostatnim roku, on chodził na zajęcia z kreatywnego pisania (znowu: to można znaleźć w archiwach) i przedstawił do zaliczenia opowiadanie napisane z perspektywy członka stowarzyszenia Sigma Alpha Epsilon. Przykro mi to mówić, ale z powodu zarzutów, które mu ostatecznie przedstawiono, i z racji tego, że zasiadałem w komisji dyscyplinarnej, spotkało mnie to niemiłe doświadczenie, że przeczytałem tę pracę, i jestem pewien, że to najgorsza wersja (jeśli w ogóle istnieje jakakolwiek inna niż zła) literatury gatunku bractwowego. Ale to nie zbrodnie Jaspiera przeciwko językowi angielskiemu były powodem, dla którego przysporzył sobie kłopotów. Sam nie uczęszczałem na te zajęcia (podejrzewam, że nie zaskoczę Cię ani nie zrobię na Tobie wrażenia, wyznając, że jedyne zajęcia z angielskiego, na które chodziłem w college'u, to te absolutnie niezbędne do zaliczenia studiów), lecz podobno dyskusja o opowiadaniu była bardzo zaciekle, przy czym prowadząca, a była to niejaka Tricia Randolph, stała po stronie studentów, którzy orzekli, że dla nich praca Jaspiera jest obraźliwa.

Pani Randolph, która przyjechała do Stanford na dwuletnie

stypendium pisarskie, mieszkała na parterze w kompleksie dla słuchaczy studiów magisterskich. Pewnego wieczoru wróciła do swojego mieszkania i stwierdziła, że ktoś usunął panel siatkowy z okna, a na jej biurku, dokumentach i klawiaturze laptopa znajdują się kałuże moczu. Widziano Jaspera, jak krążył pod budynkiem, najwyraźniej pijany, a w czasie przesłuchania przez straż kampusu przyznał się, że jest sprawcą występkę. Był to ewidentnie przypadek umyślnego zniszczenia mienia i pozostawała kwestia, czy skoro pani Randolph jest czarna, był to także występki na tle rasowym, chociaż ten zarzut ostatecznie oddalono. Zawsze miałem wrażenie, że Jasper uważał sikanie na biurko pani Randolph za niemądry figiel i postrzegał się jako ofiarę rosnącej fali poprawności politycznej, sam jednak w jego wykroczeniu widziałem oczywisty przejaw rasizmu; czy był tego świadom czy nie, wątpię, by tak rażąco okazał brak szacunku białemu wykładowcy. Znowu jednak – gdy komisja dyscyplinarna głosowała jednomyślnie za relegowaniem Jaspera, to ze względu na zniszczenie mienia. Doszło do tego kilka tygodni przed rozdaniem dyplomów – i to prawdopodobnie pogłębiło dotkliwy ból Jaspera związany z wydalaniem – tak więc nie otrzymał on stopnia naukowego, ale osobiście ująłbym to tak: jeśli chcesz mieć dyplom Stanford, nie sikaj ludziom na biurka. Najwyraźniej Ty i ja inaczej postrzegamy Jaspera i mam nadzieję, że moje wyjaśnienie pozwoli Ci zrozumieć, dlaczego nie zaliczam się do jego wielbicieli. Miła jest myśl, że ludzie zmieniają się na lepsze, ale chyba nie do końca w to wierzę. Tak czy owak, powtórzę to, co powiedziałem wczoraj: Jakikolwiek charakter ma Twój związek z Jasperem, on na Ciebie nie zasługuje. I proszę, nie sądz, że twierdząc tak, sugeruję siebie jako alternatywę. Swoje zdanie na mój temat wyraziłaś aż nazbyt jasno.

Kusiło mnie, by dzisiaj Ci o tym powiedzieć, ale z powodu poruszającej natury naszej rozmowy obawiałem się, że przekażę te informacje w niespójny sposób. Nie mam nawet pewności, że w ogóle przeczytasz ten list, ale Twoje błędne przeświadczenia na tyle mnie zaniepokoiły, że uznałem za stosowne podjąć próbę wyjaśnienia sytuacji.

Życzę Ci szczęśliwego powrotu do Nowego Jorku.

Fitzwilliam Darcy

## Rozdział 111

Wbrew przypuszczeniom Darcy'ego Liz nie tylko przeczytała list; przeczytała go wiele razy i za każdym razem doświadczała tej samej niepewności i rozpacz. Jego uwagi na temat Jane nie były jakoś szczególnie przekonujące. To, że wierzył we własną wersję wydarzeń, było prawdopodobne, ale Liz podejrzewała, że to antypatia wobec jej rodziny – a nie wątpliwości Darcy'ego co do entuzjazmu Jane dla Chipa – spowodowała go do działań, które w jakimś stopniu przyczyniły się do nieszczęsnego zerwania. Nie zaskoczyła jej informacja, że Caroline Bingley również nie aprobowała tego związku.

To fragmenty dotyczące Jaspera Wicka dały Liz do myślenia. Tak zatrwające i wiarygodne, pod wieloma względami zgadzały się z relacją Jaspera. Czy Liz rzeczywiście w ogóle nie znała się na ludziach? Czy Jasper był rasistą zdolnym do prawdziwej podłości? Tak jak ich związek w sposób zbyt oczywisty przypominał banał, by wierzyła, że jest banalny, tak Jasper zbyt często nawiązywał do bycia dupkiem, by jego aluzje interpretować inaczej niż żarty; przecież prawdziwy dupiek by się nie przyznawał, że jest dupkiem.

Kiedy czytała list po raz pierwszy, ścisnęło ją w żołądku, a gdy zajęła miejsce w samolocie, uświadomiła sobie, że to niecodzienne odczucie to wstyd. Oto miała niezbity dowód, że zarówno jej nieuprzejmości wobec Darcy'ego przy niemal każdej okazji, jak i jej wiara w Jaspera były chybione. Wstydowni towarzyszył – to już z powodu Jane – wielki żal, bo wyglądało na to, że za rozpad związku jej siostry z Chipem jest odpowiedzialne raczej nieporozumienie niż brak uczucia z którejkolwiek strony. A skoro Chip przebywał na planie w Los Angeles, Jane zaś, w coraz bardziej zaawansowanej ciąży, pod Nowym Jorkiem, wyjaśnienia, którymi mogliby się wymienić przy kawie w Cincinnati, wydawały się logistycznie niemożliwe.

Samej decyzji odprawienia Darcy'ego z jego wyznaniem miłości Liz nie żałowała, gdyż jego prośbom uległaby równie ochoczo jak zalotom kuzyna Williego. Ledwie się z Darcym znali; większość spotkań upłynęła im albo na sporach, albo na uprawianiu seksu, a w jednym wypadku – gdy któregoś wieczoru każde z nich chciało, by to drugie było na górze – na jednym i drugim. (On ustąpił). Nie zaprzeczy, że dobrze się z Darcym bawiła, w specyficzny, antagonistyczny i osobliwy sposób, ale przecież zabawa nie mogła być podstawą związku? Mogła?

Samolot rozpędził się na pasie i właśnie odrywali się od ziemi. Ze swojego miejsca przy oknie Liz patrzyła, jak budynki i wzgórza pod nią się zmniejszają, jak rzeka Ohio staje się nieruchoma, samochody na autostradzie zwalniają, aż znikają jej z oczu. Cincinnati przypominało w tej chwili miniaturową makietę, jaką mogłoby stworzyć biuro architektoniczne; miasto z tej perspektywy nie wydawało się na tyle duże, by pomieścić wszystkie wydarzenia ostatnich miesięcy. Zastanawiała się wcześniej, czy stąd ucieknie, czy też zostanie tu na zawsze – w pułapce zobowiązań i bezwładu; teraz, skoro właśnie wyjeżdżała, uświadomiła sobie, że ucieczka straciła na atrakcyjności. Choć może to tylko jej nadinterpretacja, pomyślała, gdy pilot skręcił na południe.

Patrzyła na cień samolotu padający na cętkowaną zielen Środkowego Zachodu. Jak zawsze po zakończeniu konkretnego okresu, bez względu na to, jak ciężki czy niemiły był to okres, odniosła wrażenie, że czas doprawdy płynie bardzo szybko.

# **Część II**

## Rozdział 112

Jadąc taksówką z Międzynarodowego Portu Lotniczego im. George'a Busha w Houston do hotelu w centrum, Liz zadzwoniła do Jane. Gdy siostra odebrała, wypaliła bez wstępów:

– Bzykałam się z Darcym cztery razy, a dzisiaj rano on przyszedł do mieszkania Kitty i Mary i powiedział, że się we mnie zakochał.

– Żartujesz?

– Byłam w piżamie i nawet nie miałam stanika.

– A co ty mu odpowiedziałaś?

– A jak sądzisz? On zwariował.

Jane odezwała się dopiero po chwili milczenia:

– Może on nie jest taki zły, jak sądziłyśmy, skoro zorientował się, jaka jesteś wyjątkowa.

– Tak dokładnie to powiedział, że nie jestem piękna, zabawna też nie, że plotkuję i że nie znosi mamy. I to wszystko w trakcie tego wyznania miłości. A moim zdaniem on sobie nie wyobrażał, że jakakolwiek kobieta, w tym ja, odrzuci szansę na związek z nim.

– Biedak.

– Mówimy o człowieku, który rozdzielił ciebie i Chipa.

– Ale pomyśl, jaką wzbudziłaś w nim namiętność, że przełknął swoją dumę, a wszyscy wiemy, że jest niemała.

– Pamiętasz tę naszą rozmowę na kolacji u Chipa, o rowerze, który Chip ci kupił, a ty nie wiedziałaś, czy powinnaś go przyjąć? No więc Darcy nas podsłuchał i uznał twoje wahanie co do roweru za niepewność co do Chipa w ogóle.

– Rozumiem.

– Zwariowałaś? Darcy suszy mi głowę, że podsłuchuję, ale ja przynajmniej robię to w sposób kompetentny!

– Lizzy, przecież ja rzeczywiście miałam wątpliwości co do Chipa.



Mówiłam ci o nich nieraz. Bardzo go lubiłam, ale... – urwała. – Przez ten cały czas, kiedy spotykałam się z Chipem, nie byłam pewna, czy jestem w ciąży, ale nie byłam też pewna, czy nie jestem.

– I jeszcze muszę ci powiedzieć coś dziwnego o Jasperze – dodała Liz.

– Kontaktowaliście się?

– Niezupełnie. – Wysłał jej dwa esemesy, na które nie odpisała. W pierwszym znajdował się kolejny link, tym razem do listy niezamierzenie zabawnych tytułów artykułów, a w drugim pytanie: *Ignorujesz mnie?* – Dowiedziałam się o tym dopiero niedawno – mówiła dalej – ale Jaspera relegowano ze Stanford kilka tygodni przed rozdaniem dyplomów. Jasper i Darcy studiowali na jednym roku. Jasper nigdy nie napomknął ani słowem o tym wyrzuceniu, ale gdy go o to zapytałam wprost, przyznał, że do niego doszło. Niestety, ta wersja, którą mi przedstawił, tylko miejscami pokrywa się z wersją Darcy’ego. Zasadniczo, według Darcy’ego, Jaspera wyrzucono za... – Liz się zawahała ze względu na taksówkarza, który jeśli słuchał, już i tak w ciągu paru minut zdobył niestosowną wiedzę na jej temat. Ale naprawdę tego wyczynu nie dało się opisać na wiele sposobów. – Za nasikanie na biurko profesorki od kreatywnego pisanie – dokończyła. – A ta profesorka była czarna.

– Nasikał? – spytała Jane. – Dosłownie?

– Tak właśnie.

– Na jej biurko?!

– Tak. Na biurko w jej mieszkaniu.

– W życiu nie słyszałam nic równie pokręconego – powiedziała Jane.

– Obrzydliwe, prawda? Mimo że miał wtedy dwadzieścia dwa lata i był pijany, to i tak jest to obrzydliwe i koniec, kropka. Darcy powiedział też, że Jasper nigdy nie dostał dyplomu. Czy to nie oznacza, że przez całe życie okłamuje wszystkich pracodawców? I co dziwniejsze, ciągle nosi sygnet Stanford.

– A nosi? Nie zauważyłam.

– Jest złoty. Zawsze uważałam, że wygląda z nim jak makler giełdowy z New Jersey w latach osiemdziesiątych.

– Czy Darcy zmyślił tę historię o Jasperze z zazdrości?

– Nie, wierzę Darcy’emu. – Dziwnie zabrzmiała ta deklaracja. – Ale jeśli Jasper nasikał profesorce na biurko, to czy zrobił to na stojąco? Czy nasikał

do słoika i potem rozlał płyn?

– Och, Lizzy...

– I czy to było spontaniczne, no wiesz, nagle zebrało mu się i pomyślał: „Załatwię się na jej biurko”? Czy zrobił to z premedytacją?

– Jasper zawsze sprawiał na mnie wrażenie osoby skomplikowanej.

– To wielkoduszne określenie. – Przez okno taksówki widziała, że inne pasy na autostradzie są zakorkowane, po prawej stronie zachodziło słońce i niebo zabarwiło się na różowo. – A swoją drogą jak się czujesz?

– Dobrze. Dzisiaj byłam u lekarki, bardzo miłej. Smutno ci było, jak wyjeżdżałaś z Cincinnati?

Liz pomyślała o ostatnim spojrzeniu na Tudor, już niemal w całości osłonięte plandekami. Ekipa Kena Weinricha użyła płacht w żółto-niebieskie pasy, kojarzących się z cyrkowym namiotem, i w ten sposób nadała swojej akcji charakter karnawałowy, ale też niestety błazeński. Nagle pomyślała o Darcym stojącym w stroju lekarskim na progu mieszkania jej sióstr.

– Może nie smutno – odparła – ale inaczej, niż się spodziewałam.

## Rozdział 113

Chociaż Liz zazwyczaj chętnie udawała, że prowadzenie wywiadów z gwiazdami jest efektowne i prestiżowe, tak naprawdę rzadko sprawiało jej to przyjemność. Umawianie wywiadów przez rzeczników prasowych i asystentów rzeczników prasowych zawsze przebiegało uciążliwie, a często towarzyszyło mu odwoływanie terminów albo ich przekładanie. W trakcie wywiadów gwiazdy niejednokrotnie odpowiadały na pytania, używając zdań, które już gdzieś kiedyś wygłosiły, co oznaczało, że Talia, redaktor naczelna „Mascary”, później je usuwała z tekstu; rzecznicy na ogół byli obecni przy rozmowie, jak jakieś przyzwoitki, odwołując podopiecznych od powiedzenia czegokolwiek pozornie niezwiązanego z tematem. Poza tym spotkaniom towarzyszyła atmosfera pośpiechu, jakby dana gwiazda była głową państwa stojącego w obliczu kryzysu atomowego, a nie – jak w większości wypadków – piękną osobą, która pojawia się na ekranie w fikcyjnych opowieściach. Dodatkowo Liz zawsze się martwiła, że zawiodą jej dyktafony – w spotkaniach z gwiazdami niezmiennie używała dwóch. Wywiady były więc przede wszystkim stresujące, a ciekawe już niekoniecznie.

Jednocześnie – i Liz już wiedziała, że to drażni wiele osób, które nie są sławne, takich jak jej młodsze siostry – większość gwiazd była charyzmatyczna, inteligentna i miła w obyciu. Lydia, Kitty i Mary, podobnie jak znacząca część populacji ludzkiej, najwyraźniej chciałyby usłyszeć, że gwiazdy na żywo są niegrzeczne albo durne, albo wcale nie takie atrakcyjne, lecz tego Liz doświadczała rzadko. Rzecznicy byli często niegrzeczni, a gwiazdy niemal nigdy. Poza tym były na żywo zwykle piękniejsze i promieniały swoistym blaskiem, tym samym, który zapewniał im sławę.

Ten blask u Kathy de Bourgh, chociaż osiemdziesięcioletniej i żadnej tam hollywoodzkiej aktoreczki, Liz widziała nawet z połowy wielkiej sali balowej, na której ikona feminizmu wygłaszała swoją prelekcję na spotkaniu

Stowarzyszenia Kobiety w Biznesie. Zaczęła ją o trzynastej piętnaście, przed dwutysięcznym gremium; Liz doliczyła się wśród słuchaczy najwyżej kilkunastu mężczyzn. Dwa wielkie telebimy po obu stronach sceny przekazywały wizerunek Kathy de Bourgh w najdalsze zakątki sali i w ciągu kilku pierwszych sekund po wstępnej prezentacji sławy Liz zauważyła, że ta miała robiony botoks, a także wypełniacze. Następnie skupiła się na klasie prelegentki i treści jej wystąpienia. Ponieważ Liz czytała *Rewolucje i rebelie*, jak również późniejszy zbiór esejów de Bourgh i jej pamiętnik, większość porad, których udzielała, i część osobistych anegdot, którymi raczyła słuchaczy, brzmiała znajomo, ale wygłaszała je z taką energią i bystrością, że i tak wypadały świeżo. Czy cytowała statystyki na temat braku kobiet na szczeblach dyrektorskich, czy zalecała kroki, które każda kobieta może podjąć, by stać się liderem, prezentowała pewność siebie i dobry humor. Rola ikony najwyraźniej do niej pasowała.

Po prelekcji Liz czekała na krzesło w sali balowej, tak jak w porannym esemesie zaleciła jej rzeczniczka prasowa, Valerie. Osiem minut później ta sama Valerie napisała, że de Bourgh rozmawia właśnie przez telefon, ale Liz zostanie wkrótce poproszona do jej garderoby.

I nagle, tak jak już się zdarzyło wiele razy w ciągu ostatniej półgodziny, Liz przypomniała sobie słowa Darcy'ego wygłoszone na progu mieszkania jej siostr: „Zakochałem się w tobie. Ciągle o tobie myślę”. Owszem, jego wyznanie zawierało liczne zniewagi, ale te słowa je oskrzydlały. Przywoływanie ich było cudownie natrętne, irytujące i urocze. „Zakochałem się w tobie. Ciągle o tobie myślę”. Od tych słów czuła się tak, jakby z jej serca wypływała lawa.

Zamierzała beztrąsko zostawić Darcy'ego za sobą, a teraz wyglądało na to, że sprawy między nimi są niezłatwione. To, co trzeba było uporządkować – co mogłaby mu przekazać – nieustannie jednak jej umykało. Na pewno było to powiązane z jej obojętnością wobec jego uczuć, z oporem wręcz, który zaprezentowała w czasie ich ostatniej rozmowy. Chociaż w pewnych tematach on okazał niewrażliwość, Liz doszła już do wniosku, że w jego niestosownym zachowaniu było mniej bezczelności niż w jej własnym. Poza tym, mimowolnie, ciągle się zastanawiała: Czy on nadal się w niej kocha? Czy jej wroga reakcja natychmiast zabiła jego pożądanie? No bo naprawdę trudno by się było dziwić.

– Liz? – Od drzwi w pobliżu sceny zdążyła ku niej młoda kobieta

w grafitowym garniturze. – Jestem Valerie Wright. Kathy de Bourgh czeka na panią.

## Rozdział 114

W garderobie Kathy de Bourgh jadła sałatkę z rukolą. Wstała, by wymienić z Liz mocny uścisk dłoni.

– Przepraszam, że kazałam pani czekać, ale mój pies ma zapalenie rogówki i właśnie rozmawiałam z weterynarzem.

– Bardzo mi przykro – odrzekła Liz. Wiedziała, że Kathy de Bourgh ma pekińczyka o imieniu Button, ale przemilczała swoją wiedzę, by niechcący nie przekroczyć cienkiej linii, za którą pieczołowita staranność zaczyna przyprawiać o gęsią skórkę.

Usiadły, a Kathy de Bourgh oznajmiła z uśmiechem:

– No, skoro już się tyle przeproszałyśmy w ciągu pierwszych trzydziestu sekund naszej rozmowy o kobietach i ich sile, może zaczniemy? – Gdy Liz ustawiała swoje dwa dyktafony na szklanym blacie stolika i włączała je, starsza kobieta dodała: – Może pani nie wie, ale sama kiedyś pisałam dla „Mascary”.

– Och, to jeden z naszych największych powodów do dumy – odrzekła Liz. Teraz już była pewna, że jej rozmówczyni wie, któremu pismu udziela wywiadu. Z zasady gwiazdy nie wiedziały.

– To było jakieś piętnaście tysięcy lat temu – podjęła Kathy de Bourgh. – Jeszcze w plejstocenie.

– Świadomość, że pani pracowała dla „Mascary”, była moim głównym powodem do radości, że dostałam tam pracę.

Kathy de Bourgh się roześmiała.

– Och, jakie miłe pochlebstwo.

Gdy Valerie Wright oraz dwie inne kobiety, których tożsamość do końca pozostała dla Liz tajemnicą, usiadły na krzesłach pod ścianą i pisały na smartfonach, Liz spytała Kathy de Bourgh o terażniejszość i przeszłość feminizmu, o to, czy jego obecna wysoka pozycja w popkulturze wydaje się jej przełomowa czy przelotna, o prawa reprodukcyjne i równość płac, o rasę

i płeć, mentoring, ambicję, i czy da się mieć wszystko, czy to raczej wyrażenie, które należałoby usunąć z języka. Zwykle w czasie wywiadów co kilka minut rozmówca rzucał coś na tyle wyrazistego czy błyskotliwego, że Liz wiedziała, że wykorzysta to w artykule, i czuła radość albo może ulgę; w wypadku Kathy de Bourgh przydatne było każde zdanie każdej wypowiedzi. I żadnego z tych zdań Liz jeszcze nie słyszała.

Gdy dobiegło końca wyznaczone dwadzieścia minut, a Liz miała wielkie nadzieje je przedłużyć, powiedziała:

– Wyszła pani za mąż w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat. Czy to ze względu na trudność znalezienia małżonka, który by panią traktował jak równorzędnego partnera?

Kathy de Bourgh znowu się uśmiechnęła.

– Jest pani mężatką? – spytała.

„I ty, Kathy de Bourgh, przeciwko mnie?” – pomyślała Liz, kręcąc głową. Wiedziała, że mąż jej rozmówczynie, znany architekt, zmarł na tętniaka trzy lata po ślubie.

– Wiele razy rozważałam zamążpójście – podjęła Kathy de Bourgh. – Na pewno miałam sporo zalotników. Ale... – urwała. – Jak mam to ująć? – Liz milczała; nieodzywanie się było najbardziej niezawodnym narzędziem podczas wywiadu. Kathy de Bourgh powiedziała po chwili: – W wypadku wszystkich mężczyzn, z którymi się spotykałam przed Benjaminem, w grę wchodził jakiś spektakl. Nawet jeśli pomiędzy nimi a mną istniała wielka chemia, a może zwłaszcza wtedy, trochę odgrywaliśmy tę chemię, i przed sobą, i przed światem. Kiedyś zaręczyłam się z bardzo przystojnym mężczyzną – a dokładnie z prokuratorem generalnym Nowego Jorku, uzupełniła w duchu Liz – ale ostatecznie zdałam sobie sprawę, że gdy z nim jestem, zawsze staram się pokazać najbardziej radosną, rozrywkową, najatrakcyjniejszą wersję siebie, zamiast być sobą. To był wielki wysiłek, zwłaszcza w dłuższej perspektywie. Z Benjaminem nigdy nie miałam poczucia, że ludzie nas postrzegają jako piękną parę, i sami tak siebie nie widzieliśmy. Zanim się ze sobą związaliśmy, znaliśmy się od dziesięciu lat. W tym czasie stopniowo zdawałam sobie sprawę, że dobrze mi przy nim i że dobrze mi się z nim rozmawia. Kiedyś pojechaliśmy do Chin jako część delegacji, było nas z dwadzieścia osób, i nawet gdy autobus się spóźnił, a nasze bagaże się zgubiły, Benjamin pozostawał niewzruszony, bardzo uprzejmy dla innych. Pewnie to nie brzmi romantycznie, prawda? Ale to było

autentyczne: każde z nas miało jasny obraz partnera. A gdy spotykałam się z innymi mężczyznami, czy to na protestach, czy na przyjęciach w Białym Domu, w tym, co robiliśmy razem, zawsze był jakiś element fantazji, który moim zdaniem nie przygotowywał na przyziemne zmagania, które czekają nas w życiu.

Gdy Kathy de Bourgh sięgnęła po wodę, Liz spytała:

– A więc jaka z tego płynie nauka?

Kobieta odstawiła szklanę.

– Benjamin był bardzo opiekuńczy, troskliwy, co nie znaczy, że opowiadał o swoich uczuciach. Nie opowiadał. Ale dbał o mnie nieprzerwanie, zawsze, i mam nadzieję, że ja mu się tym odwzajemniałam.

– Kathy, o piętnastej masz spotkanie z George'em Schiffem – zakomunikowała Valerie Wright, wstając. – Liz, musimy kończyć. Bardzo się cieszę, że udało nam się spotkać.

Ignorując swoją rzeczniczkę, Kathy de Bourgh podjęła:

– Słyszę nieraz, że dbanie o kogoś czy pozwalanie komuś, by zadbał o nas, jest z natury niefeministyczne. Ja się z tym nie zgadzam. To żaden wstyd poświęcić się drugiej osobie, o ile ta osoba z kolei też poświęca się nam.

Liz wiedziała, że za pół minuty znajdzie się za drzwiami garderoby. Sięgnęła po dyktafony, ale ich nie wyłączyła, na wypadek gdyby Kathy de Bourgh miała się jeszcze podzielić jakimiś perłami mądrości. Tymczasem ona ją przytuliła. Liz szukała w głowie, kto ze wszystkich znanych jej ludzi lubi ją na tyle, żeby dała mu później posłuchać ledwie słyszalnego szelestu towarzyszącego przytulaniu przez przywódczynię feminizmu drugiej fali. Jane by posłuchała, chcąc zadowolić siostrę, ale tak naprawdę by jej to nie interesowało.

– Wszystkiego dobrego – dodała na koniec Kathy de Bourgh.



## Rozdział 115

– Rany – powiedział Jasper, gdy Liz odebrała telefon. – Jakie miłe zaskoczenie.

Był wieczór, a Liz leżała na łóżku w pokoju hotelowym w Houston, oglądała przeciętny film, który widziała w kinie w liceum, i myślała „Zakochałem się w tobie. Ciągle o tobie myślę”.

– Nasikałeś na biurko swojej profesorki? – spytała.

Cisza, która zapadła... odruchowe niedowierzanie można wyrazić o wiele szybciej.

– Zakładam, że to Darcy znowu sączy truciznę w twoje uszy – odezwał się w końcu Jasper.

– Mam prawo wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło.

– Gdybym mógł cofnąć czas, czy postąpiłbym inaczej? Bez wątplenia.

– Jakim cudem uznałeś, że to jest okej?

– Czy dziesięć piw wystarczy za cud? – Chyba czekał, aż ona się roześmieje, a skoro się nie roześmiała, podjął: – To było głupie i szczeniackie. Nie da się zaprzeczyć. Ale przysięgam, że to nie miało nic wspólnego z rasizmem. Tricia Randolph mogłaby być niebieska, zielona czy w kropki, a tak samo bym jej nie lubił.

Jasper z kimś się jej skojarzył. Po chwili uświadomiła sobie, że z jej matką.

– Zniszczyłeś komputer profesorki? Na pewno. – Jasper milczał, a Liz dodała: – Nie mieści mi się w głowie, że nasikałeś na komputer pisarza.

– Nie mów mi, że nie zrobiłaś nic durnego, jak miałaś dwadzieścia dwa lata.

– Tak bardzo cię kochałam. – Liz nie podniosła głosu. Czowała raczej smutek niż oburzenie. – Odkąd się poznaliśmy, zrobiłabym dla ciebie wszystko. Myślałam, że jesteś taki inteligentny, uroczy i zabawny, i tak mi schlebiali, że mnie szanujesz i chcesz, żebyśmy się przyjaźnili. Ale jak

mogłeś mnie tak nabierać przez te wszystkie lata? Moim usprawiedliwieniem jest nietrafione uczucie, a twoim?

– Nin... – Zbolały ton przypominał, że jakkolwiek Jasper zgrzeszył, nie zrobił tego całkowicie bezdusznie. Nie udawał swojego afektu do Liz. Ten afekt był po prostu niepełny. A może był udawany, może teraz Jasper udawał emocje, a tymczasem miał zaburzenia osobowości. Ona wolała widzieć w nim niedoskonałość niż jednostkę chorobową. – Poprawię się – powiedział. – Od dzisiaj wezmę się w garść. Nie skreślaj mnie.

– Och, Jasper. Już cię skreśliłam.

## Rozdział 116

Spała niecałą godzinę, gdy telefon ponownie zadzwonił. Jego dźwięk w ciemnym pokoju hotelowym, późną nocą, był na tyle niepokojący, że odebrała, nawet nie sprawdzając, kto dzwoni, i czy to aby znowu nie Jasper.

– Obudziłam cię – powiedział kobiecy głos. – Przepraszam. Zadzwonię rano.

To nie była Jane, bo tego Liz była pewna w pierwszym momencie. Wystarczyło kilka sekund, by jej umysł rozpoznał, kto mówi.

– Charlotte... Cześć, w porządku, nie śpię.

Nagle przyjaciółka zaczęła płakać, a pomiędzy kolejnymi szlochami wyrzuciła z siebie:

– Ostrzegałaś mnie, mówiłaś, że tak będzie, a ja i tak tu przyjechałam, jak jakaś idiotka.

– Zaczekaj – przerwała Liz. – Powoli. Gdzie jesteś?

– W domu. W jego domu.

– Nie jesteś... on ci nie zrobił krzywdy?

Charlotte szczerze siąknęła nosem.

– Nie, nie zrobił mi krzywdy. Willie jest słodkim egocentrycznym idiotą.

– Czy on jest z tobą w tej chwili?

– Jest w pracy, jak zawsze. – Liz słyszała, jak Charlotte przełyka ślinę, a gdy znów się odezwała, mówiła już spokojniej: – Jestem taka tępa.

– Coś się stało?

– Przeprowadziłam się do stanu, gdzie nikogo nie znam. W tym własnego chłopaka. To się stało.

– Ale stało się coś konkretnego? Czy cały czas masz takie poczucie?

– Dostałam propozycję pracy.

– To cudownie!

– Tak można by sądzić. To nawet dobra praca, dla firmy zajmującej się analizą danych, która zamierza w ciągu roku trzykrotnie zwiększyć

zatrudnienie. Miałam mnóstwo rozmów kwalifikacyjnych, wszystkie bez rezultatu, dopóki dzisiaj po południu nie dostałam tej oferty. I nagle poczułam, że to się dzieje naprawdę. Traktowałam to lekko: chodzę na półtorej godziny na siłownię w środku dnia i gotuję jakieś wymyślne dania, które zjadamy o dwudziestej drugiej. Ale jeśli wezmę tę pracę, to będzie oznaczało, że nie bawię się już w dom, udając słodką gospodynię domową z lat pięćdziesiątych. Będę tu naprawdę mieszkać i żyć, z Williem, przez długi czas.

– A nie chcesz tego?

– Nie wiem, czego chcę! – jęknęła Charlotte. – Może zamiast podejmować pracę, powinnam teraz zająć się ciążą, bo dzięki temu, nawet jeśli zerwiemy z Williem, byłabym chociaż mamą.

– Rozumiem, że cię to przytłacza – powiedziała Liz – ale chyba łączysz zupełnie osobne sprawy.

– Czy mówiłam ci, że Willie chrapie jak nosorożec? A ja tam leżę i myślę, no dobra, gdybym się z nim spotykała przez dwa lata, zanim się tu przeprowadziłam, tak jak robią normalni ludzie, albo chociaż przez pół roku, przyzwyczaiłabym się do tego. Albo byłabym w nim bardzo zakochana i wdychałabym: „Och, te urocze dziwactwa mojego cudownego chłopaka”. Tymczasem ja się czuję jak żona na zamówienie, a on jest obcym człowiekiem, który mnie irytuje i ograbia ze snu.

– Nikt nie uważa, że chrapanie jest urocze – powiedziała Liz. – Czy on wie, że chrapie?

– Nie mam pojęcia!

– Spytaj go. Jeśli nie wie, powinien się udać do lekarza, na wypadek gdyby miał problemy z oddychaniem. I chyba można kupić takie specjalne poduszki? Ale ważniejsze pytanie to: czy ty chcesz, żeby to się udało? Jeśli wolałabyś wsiąść do samolotu i wrócić do Cincinnati, możesz to zrobić. Założę się, że Procter przyjmie cię z powrotem bez wahania.

– Jeśli ci zapłacę za bilet, przylecisz mi powiedzieć, co mam zrobić ze swoim życiem?

– Teraz?

– Masz plany na Święto Pracy? Bo jesteś jeszcze w Cincinnati, prawda?

– Jestem w Houston. Przeprowadzałam wywiad z Kathy de Bourgh, która wygłaszała tu dzisiaj prelekcję, i rano lecę do Nowego Jorku.

– Kathy de Bourgh... o mój Boże! Była obłądana?

– Tak. Naprawdę tak.

– Wiem, że proszę o wiele – podjęła Charlotte – ale potrzebne mi spojrzenie drugiej osoby, kogoś, kto dobrze mnie zna. Mamy pokój gościnny.

Myśl o nocowaniu w domu Williego po ich ostatniej interakcji nie wydała się Liz kusząca.

– Jak się rozłączymy, zerknę na loty – powiedziała jednak – ale obiecaj mi coś: pójdziesz natychmiast do drogerii i kupisz zatyczki do uszu. Albo będziesz dzisiaj spać w drugim pokoju.

– Zatyczki to niezły pomysł.

– Z braku snu inne problemy wydają się o wiele większe.

– Masz rację. Widzisz, jak mi odbiło? Nawet nie umiem zadbać o siebie.

– Jesteś dla siebie zbyt surowa. Kup zatyczki, wyluzuj, a ja jutro przyjadę.

– Dziękuję, Lizzy. Naprawdę doceniam to, co dla mnie robisz. A swoją drogą, jeśli się martwisz, że Wilie będzie czymkolwiek skrępowany, to pamiętaj, że on nie zna takiego pojęcia jak skrępowanie.

– Teraz to prawie ci zazdrozczę.

– Wiem. Bez beki.

## Rozdział 117

W kolejce do kontroli bezpieczeństwa na Międzynarodowym Lotnisku im. George'a Busha w Houston Liz oddawała się bezsensownym, a może nawet masochistycznym wyobrażeniom, jakby to było, gdyby Darcy był jej chłopakiem. Ze względu na jego pracę ona musiałaby się przeprowadzić do Cincinnati – ta ewentualność w teorii wydawała się zdecydowanie nieprzyjemna, jeśli wręcz nie zaporowa, ale w tym kontekście, o dziwo, okazała się do zaakceptowania. W bliskości rodziny, gdyby Liz prowadziła osobne życie, zamiast zajmować się dogadzaniem poszczególnym Bennetom, widziałaby nawet dobrodziejstwo. Pomogłaby rodzicom osiedlić się w nowym mieszkaniu, pilnowałaby ich finansów i ewentualnie zbudowałaby dorosłą relację z młodszymi siostrami (a może to było złudzenie bez względu na okoliczności). Przekonanie Talii, by pozwoliła jej na stałe pracować zdalnie z Cincinnati, nie byłoby łatwe, ale prawdopodobnie ciekawa sylwetka Kathy de Bourgh wprowadziłaby redaktor naczelną Liz w łaskawy nastrój.

Pozostawała też oczywiście kwestia samego Darcy'ego – dzielenia z nim łoża nie tylko okazjonalnie przez piętnaście spoconych minut, lecz przez całą noc, rozkoszowania się myślą, że on się cieszy z jej obecności, co było tak kuriozalnie zachwycającym wyobrażeniem, że jednocześnie wpadała w uniesienie i się załamywała. Pomysł, że właśnie z nim wykonuje codzienne, zwyczajne zajęcia – jedzą zupę i tosty z serem na lunch w zimową sobotę, wieczorami oglądają filmy albo polityczne talk-show, kładą sobie dłoń na czole albo przynoszą leki na przeziębienie, gdy jedno z nich podejrzewa, że jest chore – wydawał się niemal niewyobrażalnie dziwaczny. A jednak budził w niej jakąś czułą tęsknotę.

Gdyby zamieszkali razem, postanowiła, podając bilet pracownikowi przy bramce i wsiadając do samolotu nie do Nowego Jorku, lecz do San Francisco, musieliby się przeprowadzić do większego mieszkania, może nawet do domu, tak żeby ona miała swój gabinet. Chociaż wykazywała ograniczone

zainteresowanie urządzaniem wewnątrz, a na pewno mniejsze niż jej matka, uznała, że nie zaszkodziłoby powiesić ze dwa obrazy albo kupić roślinkę doniczkową.

Tyle że do tego wszystkiego nie dojdzie. Na pewno zniweczyła wszelkie takie ewentualności, traktując Darcy'ego z pochopnym i zatwardziałym grubiaństwem. On na pewno już jej nie pragnie.

Tak się złożyło, że nadal nie miała jego numeru telefonu ani adresu mejlowego, a nawet naziemnego. Za każdym razem, gdy odwiedzała jego mieszkanie, bardziej była zaabsorbowana nieuchronnie zbliżającymi się wydarzeniami niż liczbami, dzięki którym dałoby się teraz zlokalizować budynek. Niemniej jednak w dobie internetu z pewnością łatwo da się wytropić Darcy'ego elektronicznie. Spróbuje znaleźć jego adres mejlowy na stronie internetowej centrum udarowego. Pozostawało jeszcze pytanie, co ma mu napisać. „Przepraszam” wydawało się oczywiste, ale może „Cześć, co słychać?” byłoby początkiem bardziej na luzie.

Za oknem przesuwają się góry północno-zachodniego Utah z ośnieżonymi wierzchołkami i księżycowe, nawet w sierpniu. Zbyt zaprzątnięta myślami, by czytać, Liz przyglądała im się z daleka, ale nie dały jej żadnej mądrości. W końcu odchyliła głowę na oparcie i zamknęła oczy.

## Rozdział 118

W trakcie lądowania w San Francisco zadzwoniła do Kena Weinricha dowiedzieć się, czy dezynsekcja zakończyła się sukcesem, a on potwierdził, że poziom fluorku siarki w ich domu spadł poniżej piątej części miliona, że nie widział żadnych pajaków i że jego ludzie zdjęli już plandeki oraz zdemontowali wentylatory. Następnie Liz zadzwoniła do Mary, chociaż z trudem słyszała siostrę przez dobiegające z tła krzyki matki; zdaje się, że wróciły do Tudor i znajdowały się w kuchni.

– To jedzenie było dobre, bez żadnych zastrzeżeń! – twierdziła pani Bennet. – Matko Boska, nawet nie otworzyłam marmolady brzoskwiowej Bev Wattenberg!

– Powiedz jej, że Wattenbergowie na pewno dadzą nam więcej marmolady na Boże Narodzenie – podsunęła Liz.

– To nie ma sensu – odparła Mary.

– W domu nie pachnie dziwnie?

– Nijak nie pachnie.

– Moje puszki wędzonego pstrąga! – krzyczała pani Bennet. – Już widzę, jak się nimi delectuje jakiś kloszard w schronisku.

– Muszę kończyć – oznajmiła Mary.

– Trzymaj się – powiedziała Liz, na co siostra odrzekła gburowato:

– Dzięki za zdalne wsparcie.



## Rozdział 119

Czekająca przed terminalem linii Delta na lotnisku San Francisco Charlotte sprawiała wrażenie zadziwiająco spokojnej; jej spokój był pokrzepiający, a jednocześnie rzucał cień wątpliwości na potrzebę obecności Liz. Ale skoro teraz znowu były przyjaciółkami, czy miało to znaczenie?

– Zatyczki do uszu są najlepszym wynalazkiem wszech czasów – powiedziała Charlotte, wjeżdżając na lewy pas. – Przespałam jedenaście godzin.

– Gratuluję.

– Chcesz jechać ze mną do Nordstrom kupić nowe ciuchy do pracy?

– Czy to znaczy, że przyjęłaś ofertę?

– Zadzwoiłam do nich przed wyjściem z domu. Zaczynam po Święcie Pracy.

– To wspaniale, Charlotte. Będę zaszczycona, jeśli pozwolisz sobie towarzyszyć do Nordstrom.

W intensywnym o tej porze ruchu niemal godzinę zajęła im droga do Centrum Handlowego Stanford w Palo Alto; zanim jednak weszły do domu towarowego, zjadły lunch w restauracji.

– Wszyscy opowiadają, jaki tu panuje luz, ale to pod warunkiem, że masz dwadzieścia pięć lat – poskarżyła się Charlotte, przetrząsając wieszaki z bluzkami plus size.

Oglądając staniki na pobliskim stoisku z bielizną, Liz pomyślała: „Podobałby mu się czy uznałby go za tandetny?”. I nagle uświadomiła sobie zszokowana, że po raz pierwszy od bardzo długiego czasu bohaterem tej zagadki nie jest Jasper.

– Przymierzę te. – Charlotte podniosła trzy wieszaki, a potem ruchem brody wskazała stanik. – Sexy.

– Jest drogi.

Przyjaciółka spojrzała z powątpiewaniem.

– Dla nowojorczanki?

Liz podniosła zawieszkę z ceną, która wynosiła dwieście dolarów.

– Nie ma lepszej inwestycji niż dekolot. – Charlotte uśmiechnęła się znacząco. – Chyba uczą tego na studiach z ekonomii.

Siedemdziesiąt minut później znajdowały się na parkingu i wracały do samochodu. Liz raczej nie dałaby rady usprawiedliwić zakupu stanika, a znajdował się w jej torbie.

– Zerwałam z Jasperem – oznajmiła.

– Cierpisz czy czujesz ulgę?

– Coś pomiędzy. Tak w zasadzie to czuję się jak idiotka, skoro do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jaki jest okropny, podczas gdy inni cały czas to widzieli.

– Jak go poznałaś, byłaś bardzo młoda – zauważyła Charlotte. – To powinno cię trochę tłumaczyć. – Gdy wciskała guziczek na pilocie, by otworzyć samochód, dodała: – Dzisiaj rano Willie umówił się do laryngologa. Jak się okazuje, nie miał pojęcia, że chrapie. Nie miał w życiu dziewczyny, więc nie wiedział, bo skąd?

Czy to była do końca prawda czy nie, Liz poczuła się w obowiązku zadeklarować:

– Tak na marginesie, lubię Williego. Uważam, że to porządny facet.

Cierpko, choć bez złości, Charlotte spytała:

– I dlatego poczułaś obrzydzenie, gdy próbował cię pocałować? – Liz już miała powiedzieć: „To mój kuzyn”, gdy przyjaciółka rzuciła: – I nie mów, że to przez wasze kuzynostwo. Obie wiemy, że poczułabyś obrzydzenie bez względu na wszystko. Ale nie ma sprawy.

– Po prostu moim zdaniem nie ma między nami chemii – odrzekła Liz, a Charlotte się uśmiechnęła.

– Zaprosiłam twoją ciotkę Margo z mężem dzisiaj na kolację, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko?

– Doskonale. – Liz zamierzała zostać w Bay Area przez trzy dni, a potem nocnym lotem wybierała się do Nowego Jorku. – Jeśli chcesz się zdrzemnąć po południu – powiedziała – ja chętnie zrobię zakupy spożywcze. Czy może masz jakieś inne sprawy do załatwienia... Tego lata idę na rekord w załatwianiu wszystkiego.

Wstawiły torby do bagażnika i wsiadły do samochodu.

– Oczywiście mam problemy z dostosowaniem się do życia tutaj –

oznajmiła Charlotte – ale wczoraj zadzwoniłam do ciebie w dołku. Zabawmy się. Widziałaś kiedyś kampus w Stanford?

– Twoje życie gwałtownie się zmieniło. Zdziwiłoby mnie, gdybyś nie miała wątpliwości. Nie, nigdy nie widziałam Stanford, ale... – Czy oglądając uniwersytet, dałaby radę myśleć o czymkolwiek oprócz tego, co Jasper zrobił Tricii Randolph? – A wiesz, że w tej okolicy jest rezydencja Darcy’ego?

Charlotte się roześmiała.

– Rezydencja? A kim on jest? Królem Anglii?

– To gdzieś w Atherton – odrzekła Liz. – Dobra, nie osądzaj mnie, ale przespałam się z nim kilka razy.

Charlotte zapiała z radości.

– Wiedziałam! Wiedziałam, że flirtowaliście u Chipa.

– Zgadza się. Tak to nazwałaś, prawda?

– Kilka razy? Skoro wróciłaś po więcej, to rozumiem, że seks był w miarę przyzwoity.

– Owszem, można tak to ująć.

– Pewnie nie znasz adresu tej rezydencji?

Gdy Liz wyjmowała telefon, serce waliło jej jak młotem. Wpisała „Posiadłość Darcy’ego Atherton” i kilka klików później powiedziała:

– Pemberley Lane tysiąc osiemset trzystaście. Trzeba jechać Sand Hill Road do El Camino Real.

– Hm, wydaje mi się, że gdzieś tu wychował się Darcy... – powiedziała Charlotte sztucznie piskliwym głosem. – Że co? Mamy tam pojechać? Już teraz? Naprawdę? No do głowy by mi nie przyszło!

Dwanaście minut później Charlotte skręcała w prawo z El Camino Real w dzielnicę domów jednorodzinnych odciętą od ruchliwej drogi wysokim murem porośniętym bluszczem. Po drugiej stronie wjazdu wisiała tablica „Wstęp wzbroniony. Tylko dla mieszkańców”.

– Wolałabym, żeby mnie tu nikt nie aresztował – stwierdziła Liz. – Mam świadomość, że jesteśmy tu ze względu na mnie, ale dajmy spokój.

– Pojechałaś sama do Arabii Saudyjskiej, a teraz tchórzysz?

– Nie udaję, że mnie to nie interesuje – odparła Liz. – Po prostu... jasna dupa, czy to tu?! – Ogrodzenie z kutego żelaza, wysokie na metr osiemdziesiąt, okalało rozległy zielony trawnik, na którym stały gdzieś drzewa i rzeźby, nowoczesne, a także klasyczne. Kawalek dalej dotarły do bramy, która była zamknięta. Widoczny za nią długi

zwirowy podjazd prowadził do ceglanej rezydencji, która wspaniałością i symetrią przywołała na myśl plantacje Południa.

Charlotte wskazała przez bramę na brązowy posąg nagiego mężczyzny nadnaturalnej wielkości.

– Myślisz, że Darcy do tego pozował?

– Nikt w tym domu nie mieszka – powiedziała Liz. – Rodzice Darcy’ego nie żyją, a jego siostra studiuje w Stanford. Ale wyobrażasz sobie, jak... – Nie zverbalizowała tej myśli; właśnie w tym momencie z przeciwnej strony nadjechał czarny van z przyciemnionymi szybami i zatrzymał się obok nich. Szyba po stronie kierowcy już się opuszczała.

– Mogę paniom w czymś pomóc? – spytał mężczyzna w średnim wieku ostrzyżony po wojskowemu.

– Jesteśmy przyjaciółkami rodziny, do której należy ta posiadłość – wyjaśniła Charlotte. – Przyjaciółkami Fitzwilliama Darcy’ego.

Mężczyzna otaksował Charlotte, a potem Liz.

– Czy któraś z pań nazywa się Caroline Bingley?

Nie takiego pytania Liz się spodziewała i gdyby przemyślała sytuację, w życiu nie wypowiedziałyby słów, które padły po chwili z jej ust. Niemniej jednak podniosła rękę i oznajmiła:

– To ja.

Mężczyzna zrobił się odrobinę przyjaźniejszy.

– Chwileczkę – rzekł. Podniósł telefon do ucha, lecz zanim usłyszały, co mówi, jego szyba się podniosła.

– Ale rozrabiamy – wyszeptała Charlotte z ekscytacją.

– Co mi jest? – zganiła się Liz. – Dlaczego mu coś takiego powiedziałam?

Przyciemniona szyba znowu się opuściła.

– Fitzwilliam będzie nas oczekiwał przed głównym budynkiem. Proszę za mną. – Za sprawą jakiegoś niewidocznego mechanizmu ciężkie skrzydła bramy się rozchyliły i mężczyzna przejechał przez nią.

– Spadajmy stąd – odezwała się Liz.

– Sądziłam, że Darcy jest w Cincinnati – zdziwiła się Charlotte.

– Ja też. – W Liz szybko rosła panika. Gdy Charlotte skręciła w lewo w ślad za vanem, spytała: – Co ty robisz?

– Nie chcę, żeby ten facet mnie gonił. A jeśli on ma broń?

– Charlotte, nie możemy się spotkać z Darcym. Zatrzymaj się, wypuść

mnie.

– A czym się przejmujesz? Obcowaliście ze sobą, to chyba coś znaczy!

– On pomyśli, że go stalkuję. Charlotte, zanim wyjechałam z Cincinnati, Darcy powiedział mi, że się we mnie zakochał! Tylko że powiedział to w całkowicie popieprzony, nieprzyjazny sposób, a ja zareagowałam bardzo niegrzecznie, i to wszystko było strasznie dziwne.

Charlotte się roześmiała.

– Liz Bennet, ty uwodzicielko! Czy jest jakiś mężczyzna, który się w tobie tego lata nie zakochał? Poza tym rzeczywiście go stalkujemy. A w każdym razie jego posiadłość.

Przed domem, chociaż słowo „dom” nie wydawało się odpowiednie na określenie przeogromnej budowli, która się przed nimi wznosiła, stał człowiek, w którym nawet z daleka Liz rozpoznała Darcy’ego. Przypomniała sobie, jak kotłowali się w łóżku w jego mieszkaniu, i poczuła wieloaspektowe zmieszanie. W pobliżu Darcy’ego czarny van zawrócił i skierował się do bramy, tam skąd przybyli. Charlotte zatrzymała się przed schodami i zniecierpliwiona opuściła szybę po stronie Liz. Darcy ruszył ku nim i zanim się cofnął – ze zdumienia, miała nadzieję Liz, nie z odrazy – był naprawdę już przy nich.

– Liz? – Patrzył wstrząśnięty.

Charlotte wychyliła się i pomachała mu na powitanie.

– Cześć, Darcy.

– Charlotte?

Liz usłyszała słowa przyjaciółki:

– Przejeżdżaliśmy w pobliżu. – I nie sposób było nie uwierzyć, że Charlotte nie cieszy się z tego spotkania.

– Ten facet – odezwała się Liz – ten ochroniarz, czy kto to jest, wziął mnie za Caroline Bingley, ale ja nią nie jestem.

– Nie, nie jesteś – przyznał Darcy. Wbrew jej obawom nie sprawiał wrażenia rozgniewanego, tylko zdumionego. – Myślałem, że wróciłaś do Nowego Jorku.

– Wyjechałam odwiedzić Charlotte.

Darcy zerknął na Charlotte.

– Jak rozumiem, teraz jesteś Kalifornijką.

– Kto by pomyślał, nie? – odrzekła.

– A co ty tu robisz? – spytała Liz.

– Tu, we własnym domu? – Ale w jego głosie słychać było ciepło, a nie szyderstwo. Wręcz wydawał się jej cieplejszy niż kiedykolwiek w Cincinnati, chociaż może przyczyna różnicy leżała nie po stronie jego uczuć, lecz jej percepcji. – Georgie i ja co roku urządzamy spotkanie w Święto Pracy – wyjaśnił – a w każdym razie jeśli nie muszę pracować. Roger wziął cię za Caroline Bingley, bo ma tu przyjechać jutro.

Liz starała się dyskretnie przełknąć tę niepokojącą wiadomość i spytała sympatycznie i radośnie:

– Z Chipem?

Darcy pokręcił głową.

– Nie. On jest na planie, ale z San Francisco przyjeżdża paru naszych kolegów ze szkoły medycznej i paru przyjaciół Georgie. – Darcy spoglądał to na Liz, to na Charlotte. – Skoro już tu jesteście, może zechciałybyście obejrzeć dom?

– W zasadzie... – zaczęła Liz.

– Z rozkoszą – zapewniła Charlotte.

Gdy wyłączała silnik, Darcy mówił:

– Mam nadzieję, że Roger nie był niemiły. To nasz dozorca, nie ochroniarz, ale potrafi być nadgorliwy, bo zdarza się, że obcy weszą wokół posiadłości.

## Rozdział 120

Tym razem Liz o nic nie pytała, robiła to natomiast Charlotte, i to w sposób, jaki można by uznać za naturalny przy stawianiu pytań o wystawę w muzeum, a Darcy odpowiadał:

– Główny budynek w Pemberley miał tysiąc siedemset metrów kwadratowych, dwanaście sypialni i siedemnaście łazienek; poza tym był tu też dom dla gości, domek dozorczy i w tej chwili nieużywana stajnia.

Weszli przez hol, skręcili w prawo w korytarz z wysokim sklepionym sufitem, znowu w prawo, i znaleźli się w sali balowej, ogromnym pomieszczeniu z orzechową podłogą, w zasadzie pustym, jeśli nie liczyć dwóch kryształowych żyrandoli, marmurowych kominków na dwóch końcach i kilku fresków przedstawiających sceny, które Darcy określił jako pochodzące z Krainy Jezior w Anglii.

– Podejrzewam – wyjaśnił – że mój prapradziadek sądził, iż pozory brytyjskiej elegancji odwrócą uwagę od faktu, że jako trzynastolatek uciekł z domu na wirginijskiej wsi.

– Od zera do milionera – powiedziała Charlotte.

– Więc Pemberley jest w twojej rodzinie przez ten cały czas? – spytała Liz.

– I dlatego właśnie moja siostra boi się, że sprawiamy zawód wszystkim naszym przodkom, przekazując go National Trust for Historic Preservation, podczas gdy ja uważam wręcz przeciwnie. Ani Georgie, ani ja nigdy nie będziemy mieć rodziny na tyle dużej, by uzasadnić mieszkanie w takiej przestrzeni. Nikt nie ma tak dużej rodziny.

Przeszli z sali balowej do pokoju trofeów, potem do gabinetu wyłożonego dębową boazerią, z obrazem olejnym nad kominkiem przedstawiającym łysiejącego, ponurego mężczyznę w stroju wieczorowym – białej koszuli o podniesionym kołnierzyku, czarnej kamizelce, czarnym surducie i ze złotym zegarkiem kieszonkowym, którego łańcuszek był

widoczny.

– To pierwszy Fitzwilliam Darcy, mój prapradziadek – wyjaśnił gospodarz. – Zaczął budować Pemberley w tysiąc dziewięćset piętnastym roku, gdy zyskał pozycję magnata kolejowego i borakсового dzięki kopalni boraksu. Na pewno słyszałyście powiedzenie, że każda fortuna ma swój początek w wielkiej zbrodni.

Liz, która od wejścia do domu ledwie się odzywała, siłąc się na normalny ton, spytała:

– Powinnam udawać, że wiem, co to boraks?

– Charlotte, ty na pewno wiesz z Procter & Gamble. – A Liz wyjaśnił: – Boran sodu. Składnik występujący we wszystkim od detergentów po włókno szklane. – Znajdowali się teraz w bibliotece, gdzie na półkach stały rzędy oprawionych w skórę tomów, a na podłodze leżał ogromny perski dywan.

– Te książki to atrapy? – spytała Liz. – Bez urazy.

– Mają kartki z napisami, jeśli o to pytasz. Ale owszem, na pewno już w chwili zakupu były wyrazem pretensjonalności. Przeczytałem kiedyś *Wyspę skarbów*, którą tu znalazłem, ale my głównie mieszkaliśmy na górze. Cały parter, jak widzicie, ma charakter przestrzeni publicznej, i moja matka bardzo angażowała się w sprawy społeczne. Razem z ojcem wydawali mnóstwo przyjęć charytatywnych.

– Zupełnie jak w Białym Domu – zauważyła Charlotte.

– Na swój sposób pewnie tak – odrzekł Darcy.

Z biblioteki przeszli do pokoju gościnnego, który miał charakter małego salonu; pokoju dziennego, który również miał charakter małego salonu, przy czym ten najwyraźniej był przeznaczony dla kobiet, by się tu oddaliły, gdy mężczyźni raczą się swoimi cygarami i brandy po posiłku; potem do jadalni, pokoju kredensowego i do kuchni. W pokoju gościnnym Darcy wskazał wejście, które było obramowane kolumnami i spiczastym daszkiem.

– To wykończenie nazywa się edykuła – powiedział do Liz. – Dobre słowo dla pisarza, co?

Kim był ten mężczyzna, ten uprzejmy i sympatyczny gospodarz dzielący się swoim czasem, okazujący nienaganne maniery w sytuacji, gdy w pełni usprawiedliwiona byłaby inna jego postawa? I jakie to było dziwne, że dorastał w tym absurdalnym domu; no bo naprawdę bardziej to wyglądało na plan programu telewizyjnego o bogaczach niż na dom.

Czarne marmurowe schody, którymi dostali się na górę, znajdowały się



przy pokoju trofeów; z okna na podeście było widać sad. Na piętrze wszystkie sypialnie miały kominki, a większość telewizory sprzed epoki płaskich ekranów. W pokoju niegdyś należącym do Darcy'ego wciąż wisiał plakat Larry'ego Birda, a na małym biurku stał odtwarzacz CD z wejściem na kasety magnetofonowe. W tych przedmiotach było według Liz coś wzruszającego, podobnie jak w granatowej kołdrze na łóżku (ile lat upłynęło, odkąd w nim spał?) i w fotografii drużyny piłkarskiej małego Darcy'ego w czwartej, może piątej klasie. Zdjęły ją jednak wątpliwości i zastanawiała się, czy w tym nagłym przypiływie uczuć nie dochodzi do głosu jakaś jej wewnętrzna naciągaczka. Nie że pragnęłaby zostać panią w takim miejscu jak Pemberley, ale bogactwo, które posiadłość sugerowała, było rzeczywiście nadzwyczajne.

Darcy zaprowadził je na dół i dalej, na zewnątrz. Za domem, w ogrodzie warzywno-owocowym przy kuchni skosztowały po małym dojrzałym pomidorku, zanim przeszli do ogrodu otoczonego murem; potem do ogrodu obniżonego, potem do różanego i wreszcie do schodzących w dół tarasów. Na najniższym znajdował się zbiornik wodny połyskujący w popołudniowym słońcu. Nie był to basen, jak wyjaśnił Darcy, choć zaprowadził je do właściwego basenu. Dobudowano go w latach czterdziestych, a przylegał do niego budynek, w którym Darcy i jego goście sypiali w weekendy.

Wycieczka dobiegała końca i Liz chciała powiedzieć coś, co by oddawało jej uznanie dla jego uprzejmości, uprzejmości tym bardziej niezwykłej w świetle ich ostatniej rozmowy w Cincinnati. Gdy całą trójką wrócili do samochodu Charlotte, nie zachodząc już do głównego budynku, wydusiła:

– Dziękujemy za oprowadzenie.

Darcy spojrzał na nią, a ona na niego, zastanawiając się, jakie uczucia by może wyrazili, gdyby nie obecność Charlotte.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział. – Zabawne, że oboje tu spędzamy weekend. – Podszedł do Charlotte i pocałował ją w policzek. – Moja wiedza na temat okolicy jest nieaktualna, ale jeśli potrzebujesz wskazówek, dzwoń.

– Nie omieszkam – zapewniła Charlotte.

– Do widzenia, Liz. – Darcy nachylił się, by ją też pocałować w policzek, a ona powstrzymała odruch, by się do niego przytulić. I już było po wszystkim.

Mogła tylko wsiąść do samochodu, bo cóż jej pozostało? Uczyniła to, a gdy Charlotte uruchomiła silnik, ona poczuła, że zbiera jej się na płacz. Po drugiej stronie szyby Darcy stał z zamyślonym wyrazem twarzy. Gdy samochód ruszył, Liz pomachała mu ręką, krótko i żałośnie.

– Dobra, to było pojechane – powiedziała Charlotte – to było kompletnie, całkowicie...

– Zaczekaj, on coś mówi, stój! – W bocznym lusterku Liz widziała, że Darcy rusza za nimi biegiem.

Charlotte zahamowała, a Liz otworzyła okno.

– Nie wiem, dlaczego nie zrobiłem tego wcześniej – oznajmił Darcy i tylko leciutko się zadyszał. – Powinnyście przyjść dzisiaj na kolację. I Willie również, oczywiście. Moja siostra jest twoją wielbicieleką, Liz, więc będzie zachwycona.

– Och... – Liz odwróciła się do Charlotte, a następnie znowu do Darcy'ego. – Mamy dzisiaj kolację z moim wujostwem, rodzicami Williego. Dziękujemy, ale...

– Przeprowadźcie ich. Może osiemnasta trzydzieści?

– Osiemnasta trzydzieści jest super – odezwała się Charlotte.

– Macie jakieś wymagania żywieniowe? Georgie nie je mięsa, więc będą dania wegetariańskie.

– Ja nie mam żadnych – zapewniła Liz.

– Ja też nie – dodała Charlotte. – Co możemy przynieść?

– Wystarczy, jeśli przyjdziecie – odrzekł Darcy. – Ja ugrilluję coś prostego. Liz, gdybyś podała mi swój numer, wyślę ci teraz esemes, a jak przyjdziecie wieczorem, dasz mi znać i otworzę wam bramę.

Podała mu cyfry, a po paru sekundach jej telefon zawibrował w kieszeni. (Po takim czasie miała w końcu numer Darcy'ego! Ona miała jego, on miał jej, a od tego tak się jej zakręciło w głowie, jakby najmilszy chłopak w siódmej klasie wsunął jej liścik do szafki).

– Cieszę się, że się udało – powiedział Darcy.

– Cała przyjemność po naszej stronie – zapewniła Charlotte z pomrukiem, za który Liz miała szczerą ochotę ją walnąć.

## Rozdział 121

Liz była tak zdenerwowana, że kiedy zajęły po wino, które by mogły zabrać wieczorem do Pemberley, kupiła dodatkową butelkę merlota i otworzyła ją natychmiast po przekroczeniu progu kuchni Charlotte.

– W Cincinnati już jest po siedemnastej – powiedziała. – I w Nowym Jorku.

– Śmiało, śmiało – zachęciła ją przyjaciółka.

– Naprawdę sądzisz, że on chce robić kolację dla całej bandy ludzi, w tym dla mojej ciotki i wujka, których w życiu na oczy nie widział, w sytuacji gdy jutro przyjeżdża do niego tylu gości?

Charlotte uśmiechnęła się szeroko.

– Ten człowiek jest w tobie zakochany bez pamięci – odparła. – I na pewno jest zachwycony.

Liz piła wielki haust z kieliszka, który sobie wcześniej napełniła.

– Dołączysz do mnie?

– Jeśli ładnie poprosisz – odrzekła Charlotte, a Liz napełniła drugi kieliszek.

Kolacja w Pemberley miała jeden niezaprzeczalny plus: mieszane uczucia Liz względem spędzenia tego wieczoru z Darcym tak zepchnęły na dalszy plan jej skomplikowane uczucia na temat spotkania z Williem, że tym ostatnim całkowicie odebrały znaczenie. Odrzucenie awansów kuzyna już w ogóle jej nie zajmowało.

Przyjaciółki przeszły z kieliszkami na werandę skromnego trzysypialniowego parterowego domu, który w 2010 roku kosztował kuzyna Williego (Liz sprawdziła w internecie) ponad milion dolarów. Usadowały się na drewnianych fotelach. Na błękitnym popołudniowym niebie sunęły subtelne cumulusy. Palo Alto wydawało się w tym momencie nieosiągalnym, ale naprawdę rozkosznym miejscem do życia.

– Nie daje mi spokoju jeden problem z twoją teorią, że Darcy’emu ciągle

na mnie zależy – powiedziała Liz. – A mianowicie zaprosił na weekend Caroline. I nawet nie z bratem, tylko samą.

– Caroline jest ohydna. Nie ma szans w rywalizacji z tobą.

– No ale w przeszłości coś ich łączyło. I na pewno ze sobą spali.

– I to różni ją od ciebie? – Charlotte łypnęła okiem.

– Zauważyłaś może w Cincinnati, jak ona na niego leci? To oczywiste, że chce znowu z nim być. – Liz tak nosiło, że nie mogła usiedzieć. Więc wstała. – Myślisz, że mogę wziąć prysznic?

– Oczywiście. Ręczniki masz na łóżku.

Przed wejściem do domu Liz powiedziała jeszcze:

– Przepraszam, że ta sprawa z Darcym zdominowała mój pobyt. Jak już będzie po tej kolacji, przygotujemy plan na twoje życie w Kalifornii.

– Lizzy, nic mnie tak nie cieszy jak to, że w moim domu świrujesz na punkcie chłopaka.

## Rozdział 122

Wyprawili się do Pemberley całą ekipą: Willie i Charlotte w jego priusie, Liz jechała z ciotką Margo i wujem Frankiem. Kuzyn powitał Liz tonem oskarżycielskim:

– Najwyraźniej wiele się zmieniło, odkąd widziałem cię po raz ostatni.

– Bardzo się cieszę, że jesteś z Charlotte – odrzekła Liz tak szczerze, że samą ją to zaskoczyło.

Gdy jechali z Palo Alto do Atherton, przekazała ciotce aktualne wiadomości z Cincinnati: o zdrowiu pana Benneta, o zerwaniu Jane i Chipa (przy czym ciotce podała o wiele mniej szczegółów niż wcześniej przyjaciółce), o nowym kawalerze Lydii. Opisywanie Hama pomogło w znacznej mierze uniknąć dyskusji o sprzedaży domu, w którym Margo się wychowała. Nie minęło dużo czasu, a wuj Frank już skręcał na Pemberley Lane. Dotarłszy pod bramę posiadłości, gwizdnął z uznaniem.

– Ależ się dorobiłaś znajomości, Lizzy.

*Cześć, tu Liz* – napisała esemes. *Jesteśmy*. Brama otworzyła się po kilku sekundach.

Przed głównym budynkiem zauważyła Darcy'ego i smukłą młodą kobietę, która założyła proste jasnobrązowe włosy za uszy i lekko schyliła głowę, jakby oślepiało ją zachodzące słońce, chociaż dom wychodził na północ. Samochody zaparkowały, pasażerowie wysiedli i stali całą siódmką na żwirowym podjeździe, gdy trwały prezentacje i wymieniano uściski dłoni. Darcy miał na sobie wysokogatunkowe japonki, spodnie khaki i białą płócienną koszulę z rękawami zakasanyimi za łokcie i z monogramem na lewej kieszonce na piersi – FCD V. Z internetu Liz już wiedziała, że C oznacza Corneliusa.

Od razu się zorientowała, że Georgie jest anorektyczką. Po kilkunastu latach pracy dla magazynu kobiecego miała mnóstwo doświadczenia w rozpoznawaniu zaburzeń odżywiania i z jednej strony bardzo współczuła

zmagającym się z tym trudem osobom, z drugiej wiedziała, że nie należy skupiać na nich nadmiernej uwagi; wręcz nim minął pierwszy rok pracy dla „Mascary”, w duchu ślubowała sobie, że będzie ucinać wszelkie rozmowy ze współpracowniczkami na temat jedzenia albo ćwiczeń, aby nie popaść w taką obsesję, jaką one mają. Oczywiście wiele razy ten ślub złamała, ale nadal przypisywała mu pomoc w zachowaniu właściwej perspektywy.

Kilkanaście centymetrów niższa od Liz, Georgie ważyła najwyżej czterdzieści pięć kilogramów. I chociaż miała na sobie luźną płócienną koszulę, dżinsy i płaskie buty, linia jej szczęki i wydatne zęby wskazywały na skrajne wychudzenie. Sprawiała wrażenie zaskakująco kruchej. W porównaniu do niej Lydia i Kitty były zdecydowanie krzepkie.

– Zjemy w domu dla gości. – Darcy spojrział na wuja Franka, ciotkę Margo i Williego i dodał: – Liz i Charlotte już musiały odbyć wycieczkę po rezydencji, więc skłonny jestem wam tego oszczędzić.

Ciotka Margo przyjęła ten komunikat z wyraźnym rozczarowaniem, które szybko ukryła, a Williemu i wujkowi Frankowi z kolei było to obojętne. Gdy wszyscy obeszlili wschodnie skrzydło domu, Darcy rzekł:

– Jak zobaczycie, obok domu dla gości jest basen, ale niestety nie zachęcę was do pływania. Nie korzystaliśmy z niego od lat.

Wujek Frank strzelił palcami, jakby zawiedziony.

– A ja zawsze na wszelki wypadek wożę w schowku kąpielówki.

Wszyscy grzecznie się zaśmiali na ten nieapetyczny obrazek, a Liz niby przypadkiem zrównała się z Georgie.

– Mam nadzieję, że się nie przeraziłaś, jak brat powiedział, że na kolacji przyjmiecie pięcioro obcych ludzi?

– Och, wręcz przeciwnie. Fitzy tyle o tobie mówił i chyba ci powiedział, że jestem wielbicielką „Mascary”. – I Georgie szybko dodała: – Ryzykując, że wyjdę na jakąś postrzeloną fankę.

– Ależ ja uwielbiam postrzelone fanki – odrzekła Liz. – Darcy... choć chyba nazwałaś go Fitzym... wspomniał, że robisz doktorat?

Georgie skinęła głową.

– Jestem w połowie pisania dysertacji, którą w sumie przeczyta pewnie osiem osób, jeśli ją kiedykolwiek skończę. Muszę cię o to zapytać, chociaż na pewno wszyscy cię pytają: myślisz, że Hudson Blaise zdradzał Jillian Northcutt?

Liz zarzuciła zwykle okazywaną w tym temacie ostrożność:

– No pewnie, że zdradzał!

– Robiłaś z nim wywiad?

Liz pokręciła głową.

– Ale na mieście mówią, że nie za bardzo lubi się kąpać i pachnie dość intensywnie.

Georgie zachichotała.

– A Jillian była fajna?

– Tak, miła. Myślę, że to był trudny okres w jej życiu i oczywiście mówiła o zerwaniu nie dlatego, że chciała, tylko dlatego, że musiała promować film. W sumie bardzo jej współczułam. O czym jest twój doktorat?

– O francuskich sufrażystkach z początku dwudziestego wieku i o opodatkowaniu. Fascynujące, co?

– Georgie, widziałaś może korkociąg? – zawołał Darcy parę metrów przed nimi. Dotarli już do domu dla gości, a on stanął przed dwupoziomowym wózkiem zastawionym wszelkiego rodzaju butelkami, kieliszkami i serwetkami.

– Na dole – odparła siostra.

Basen przykrywała wielka zielona plandeka, która wcale nie zagrażała urokowi scenerii. Nad jego brzegiem stały cztery identyczne leżaki i wypełniona poduszkami kanapa, a w pobliżu wejścia do domu krzesła. Po obu stronach kanapy trzymały straż grzejniki żarowe. Dwa dodatkowe czekały przy stole z kutego żelaza nakrytym zieloną zastawą i również zielonymi płóciennymi serwetkami. Wszystko było tak pięknie przygotowane, że Liz miała przeczucie, że ktoś inny niż Darcy i Georgie – ktoś z profesjonalną wprawą – wziął w tym udział. Za basenem rozciągał się trawnik o najgłębszej zieleni i najdoskonalej wypielegnowanej trawie, jaką Liz w życiu widziała. Jego bezmiar aż prosił o wykorzystanie i żałowała, że nie wie, jak zrobić przewrót w tył albo chociaż porządną gwiazdę. Powietrze przesycił zapach, który uważała za wybitnie kalifornijski – może był to zapach eukaliptusa.

Kuzyn Willie podszedł do Liz i Georgie z dwoma kieliszkami czerwonego wina.

– Proszę, szanowne panie – powiedział.

Liz wzięła swój, ale Georgie pokręciła głową.

– Ja piję wodę – wyjaśniła.

Gdy już wszyscy dostali swoje napoje, Darcy wzniósł toast:

– Za rodzinę i przyjaciół.

Ich spojrzenia na chwilę się spotkały i stuknęły się kieliszkami, tak jak wszyscy. Trudno było się rozeznąć, jak powściągnąć emocje i jak się zachować w obecności Darcy’ego w tym nowym wydaniu. Liz zrozumiała teraz, z nagłą i niekoniecznie miłą wyrazistością, że w Cincinnati pielęgnowała głęboką urazę do niego; rzucała grubiańskie i prowokacyjne uwagi, doszukiwała się w jego reakcjach ataków i delektowała się zniewagami, które może wcale nie padły. A jednak pomimo szczytu złośliwości, którą go uraczyła po jego wyznaniu, on postanowił machnąć ręką na ich anse. Jego obecne zachowanie nie było sarkastyczną parodią dobrych manier, nie pozorował życzliwości, w której by brakowało prawdziwego ciepła. To była rzeczywiście życzliwość i uprzejmość. Traktował swoich gości, w tym ją, jakby naprawdę rozkoszował się spędzaniem z nimi wieczoru. A tym samym Liz coraz bardziej wstydziła się swojej dotychczasowej małostkowości.

W pewnym momencie podczas rozmowy w większej grupie, gdy żadne z nich nie było zajęte nikim innym, zwróciła się do Darcy’ego:

– Kiedy przyjeżdżają tamci twoi goście?

– Jutro po południu. Jeśli masz ochotę wpaść, zapraszam. Caroline na pewno chętnie się z tobą spotka.

Liz przyglądała się bacznie jego twarzy, nim spytała:

– Nie zauważyłeś, że my z Caroline się nie znosimy?

– Od kiedy to? – odrzekł ubawiony.

– Od pierwszej minuty naszej znajomości. Niewykluczone, że ja nie znacę dla niej aż tyle, by mnie nie lubiła, ale ja nie lubię jej.

– A mogę spytać dlaczego?

Liz pomyślała, że nie powinna krytykować Caroline, choć nie dlatego, że ta nie zasługiwała na krytykę. Po prostu krytykowanie jej postawiłoby Liz w złym świetle.

– Jeśli ci powiem – odparła – pomyślisz, że jestem osobą, która udaje, że plotkowanie wykazuje moje antropologiczne zainteresowanie rodzajem ludzkim. – Darcy się lekko skrzywił, więc spytała: – Za wcześnie?

– Na pewno na to zasłużyłem. A teraz wybacz mi, proszę, powinienem zabrać się za grillowanie. – Obrzyliła go? Wszedł do domu i wrócił po chwili z półmiskiem surowych steków oraz drugim zawierającym pieczarki



portobello i cukinię pokrojoną w długie plastry. Wuj Frank dołączył do niego przy grillu, a Liz usłyszała, jak zaczyna rozmowę o historii majątku.

– To nie tajemnica, że posiadłość w Atherton jest warta kawał grosza – zagaił.

– Rzeczywiście – odrzekł Darcy życzliwie. – Czasy się zmieniły, odkąd mój prapradziadek kupił tę ziemię po dwadzieścia dolarów za hektar.

Liz wstała, by poszukać łazienki. Po drugiej stronie przeszklonych drzwi domku znalazła się w środku wielkiego pomieszczenia z kuchennym wyposażeniem ze stali nierdzewnej. Minęła pierwszą łazienkę, poszła dalej korytarzem, zliczyła trzy sypialnie – w dwóch stały po dwa łóżka, w jednej niepościelone łóżko dwuosobowe, obok niego na podłodze leżała otwarta walizka, a w głębi znajdowała się przylegająca do pokoju łazienka. Gdy myła później ręce w umywalce zdobionej, tak jak i krany, szlaczkiem w niebieskie piwonie, patrząc na siebie w lustrze, zdziwiła się, podobnie jak czasami się jej zdarzało przy trzecim kieliszku wina, jak uroczo wygląda. Na trzeźwo, jak większość kobiet, miała tendencję do samokrytycyzmu. Ale podchmielona doceniała błyszczące dociekliwe oczy, lśniące włosy i ładny uśmiech, jak również korzystny krój dzinsów i korektę biustu zapewnioną przez potwornie drogi stanik, który dzisiaj kupiła. Nawet w obecności dziwnego kuzyna i banalnego wuja wieczór nabrał jakiejś czarownej jakości płynącej z powabu tego miejsca, z rześkiego powietrza i świec, które pozapalali, w miarę jak się ściemniało, i nade wszystko z troskliwości Darcy’ego, która w odczuciu Liz była skierowana przede wszystkim do niej. Uwagę, którą poświęcał pozostałym gościom, interpretowała wręcz jako hołd złożony sobie. Co do tego ostatniego nie miała jednak pewności. Tak naprawdę niczego nie była pewna.

Czy to przez własne starania, czy raczej przez obopólną strategię, podczas kolacji Liz znalazła się obok Darcy’ego. Po drugiej stronie miał jej ciotkę. Mięso i warzywa ugrillowane przez gospodarza dopełniały świeży chleb, sałata i wino, a wszystko wyborne, choć jakaż strawa i napój nie smakowałyby wybornie pod gwiazdzistym niebem u schyłku lata?

– Czy pańska matka podobnie jak ojciec była rodowitą Kalifornijką? – spytała Darcy’ego ciotka Margo.

Pokręcił głową.

– Była dumną Jankeską, która nigdy do końca nie uwierzyła, że osiedliła się tu na stałe. – Zerknął na siostrę. – Nieprawdaż, Georgie?

Gdy uwaga biesiadników skupiła się na młodej kobiecie, ta jakby się spieszyła, ale przemówiła głosem opanowanym:

– Nasza mama wychowała się w Bostonie i zdarła sobie gardło, wrzeszcząc przed telewizorem podczas rozgrywek Red Soxów.

– A jak wasi rodzice się poznali? – spytała Liz.

– Mama robiła licencjat w Radcliffe, tata studiował medycynę. Miała dziewiętnaście lat, gdy się jej oświadczył. Uznał, że ona rzuci studia i przeprowadzi się z nim tutaj. Odmówiła. Zaczął pracować w San Francisco, ale podobno co miesiąc się oświadczał, pisząc listy. Wreszcie ona go przyjęła, w dniu rozdania dyplomów.

– Pański ojciec też był lekarzem? – spytała ciotka Margo.

– Tak, lekarzem medycyny rodzinnej – odrzekł Darcy. – Myślę, że w innym życiu mama byłaby architektem krajobrazu. Gdy ją wspominam, zawsze widzę, jak coś robi w ogrodzie.

– Właśnie sobie uświadomiłam – wtrąciła Georgie – że powinniście wszyscy jutro przyjechać na turniej krykieta. – Zapadła cisza, a ona dodała: – Nie musicie się ubierać na biało ani nic takiego. To nieoficjalne rozgrywki.

– Państwo pewnie mają już plany – odezwał się Darcy. – Liz, do kiedy tu zostajesz?

– Wyjeżdżam w niedzielę wieczorem.

– Na pewno nam się uda – powiedziała Charlotte. – Nie sądzisz, Liz? O której się zaczyna turniej?

– Około piętnastej – odrzekła Georgie. – Ale jeśli wydaje się wam to nudne, nie czujcie się zobowiązani.

– My z Margo musimy odmówić – powiedział wuj Frank. – Organizujemy sobie wypad na łódce przyjaciela.

– A ja muszę iść do biura – dodał Willie. – Walczymy z kryzysem, i tak miałem szczęście, że się dzisiaj wyrwałem na kolację.

– W takim razie zdecydowanie możecie liczyć na Liz i na mnie – podsumowała Charlotte. – Darcy, pamiętasz chyba z kalamburów, że Liz jest zaciętym przeciwnikiem.

– Doskonale pamiętam – zapewnił gospodarz.

## Rozdział 123

Przed deserem pojawiła się sześćdziesięcioletnia kobieta o imieniu Alberta, by spytać, czy czegoś potrzebują, a Darcy pochwalił ją za wspaniałe jedzenie, potwierdzając tym samym wrażenie Liz, że niewiele się przyłożył do przygotowania poczęstunku. To jednak Darcy osobiście załadował zmywarkę, gdy Liz, Charlotte i Georgie znieśli naczynia do domu.

Georgie wyniosła na dwór tort z orzechów laskowych – Liz wątpiła, czy sama skosztuje choć trochę – a za nią ruszyła Charlotte z pojemnikiem lodów waniliowych, zostawiając Darcy'ego i Liz po raz pierwszy naprawdę samych tego wieczoru. Gdy on oczyszczał miskę po sałatce, ona, stojąc najwyżej półtora metra od niego, powiedziała:

– Dziękuję... – Zakręcił wodę. – Dziękuję ci za cały dzisiejszy wieczór... – zaczęła znowu, a on jej przerwał.

– Nie musisz jutro przychodzić, tylko żeby zadowolić Georgie. Gdy już znam twoje uczucia wobec Caroline Bingley...

– Nie, w porządku – Teraz ona mu przerwała. – To znaczy, nie chcę się narzucać, jeśli...

– Twoja obecność będzie dla nas naprawdę wielką przyjemnością.

I potem tylko tak stali, patrząc na siebie. Ona żałowała, że nie może go pocałować. Bo nie mogła? Czy mogła? Pewnie nie, skoro po drugiej stronie przeszklonych drzwi byli jego siostra, ciotka Margo i wuj, kuzyn i Charlotte. Potem przyszło jej do głowy, że może jednak się pocałują pomimo braku prywatności i pogmatwanych kolei losu, bo on postąpił ku niej, a ona ku niemu.

– Odkąd wyjechałaś z Cincinnati...

W tym momencie weszła Georgie.

– Czy Alberta zostawiła tu łopatkę do tortu? Och, przepraszam.

Czar prysł i nie patrzyli już sobie w oczy. A jednak przeprosiny Georgie były dla Liz dowodem, że czar zaistniał. Że sobie go nie wyobraziła.

– Ja mam talerzyki deserowe – powiedziała do Georgie. Ponieważ nie chciała pogłębiać skrępowania dziewczyny i ponieważ nie wiedziała, co robić, podążyła za nią na patio. Po chwili dołączył do nich Darcy. Ciotka Margo pokroiła tort.

Odkąd wyjechała z Cincinnati, to co? Chociaż przed odjazdem już nie znalazła się sam na sam z Darcym, jej serce wezbrało w czasie tête-à-tête w kuchni i wróciło do siebie dopiero kilka godzin po tym, jak się położyła w łóżku w pokoju gościnnym Williego i Charlotte.

## Rozdział 124

W samochodzie przyjaciółki, gdy następnego dnia znowu jechały El Camino Real do Pemberley, Liz opuściła osłonę przeciwsłoneczną i zerknęła do lusterka. Przeglądała się już dziś niezliczoną ilość razy jeszcze w domu Williego i Charlotte, gdzie starannie nałożyła podkład, tusz do rzęs i szminkę.

– To dziwne, że tam jedziemy? – spytała.

– Liz, NS między tobą a Darcym doszło do takiego stanu, że północnej Kalifornii grozi zagłada od ognistej kuli. Musicie nas ocalić, uprawiając seks. To wasz obowiązek.

– Cieszę się, że zapewniam ci tyle rozrywki. – Liz wyjęła z torebki szminkę, nałożyła świeżą warstwę; przez lata spędzone w „Mascarze” nauczyła się, że należy zacząć od środkowej części ust i przesuwając się ku kąciom. Na koniec potarła jedną wargę o drugą. – A tak na serio to mam nadzieję, że Caroline nie pomyśli, że psujemy imprezę.

– A kogo obchodzi, co myśli Caroline?

Liz zamknęła lusterko i podniosła osłonę.

– To prawda. Spałaś dzisiaj z zatyczkami?

– Zupełnie jakby anioł kołysał mnie do snu. Dziękuję, że mi to podsunęłaś. – Charlotte zjechała z El Camino Real i powiedziała już poważniej: – Wiem, że Willie nie jest taki obłądny jak Darcy. Ale myślę, że mnie kocha, i chcę, żeby nam się udało.

– Ja jestem pewna, że cię kocha.

– To zupełnie wariactwo – dodała Charlotte – bo gdyby twój ojciec nie miał ataku serca, tobyście z Jane nie przyjechały do Cincinnati na lato, a gdybyście nie przyjechały do Cincinnati, Willie nie odwiedziłby was z Margo, a ja bym go w ogóle nie poznała. Czasami mnie zadziwia, jak bardzo te decydujące momenty naszego życia zależą od zbiegu okoliczności.

– Wiem. Cały czas o tym myślę.

Zamilkły i wkrótce zobaczyły ogrodzenie Pemberley.

– Bierzesz tabletki? – spytała Charlotte. – Bo może zawrócimy po gumki?

– To nie będzie konieczne – odrzekła Liz.

## Rozdział 125

– Jakiż zbieg okoliczności, że znalazłaś się w San Francisco w ten sam weekend co Darcy – powiedziała Caroline do Liz tytułem powitania. Stały na trawniku obok zakrytego basenu, gdzie już wyłożono sprzęt do krykieta: bramki powtykano w trawę, kije i piłki czekały w zdyscyplinowanych rzędach. Wzdłuż jednego brzegu basenu ustawiono bufet, na którym pomimo zaawansowanego popołudnia wciąż kusił smakowicie wyglądający lunch: różnorodne kanapki i sałatki, masa ciasteczek, lemoniada, mrożona herbata, piwo i białe wino. Lustrując to wszystko, Liz z niepokojem pomyślała, że zaczyna rozumieć niepoehlebną opinię Darcy’ego o Cincinnati. Każdemu miejscu trudno byłoby konkurować z tymi bujnymi ogrodami, błękitnym niebem i wspaniałą obfitością jadła.

– Przyjechałam z wizytą do Charlotte – wyjaśniła Liz. – Może słyszałaś, że chodzi z moim kuzynem Williem.

– Każda potwora znajdzie swojego amatora – odrzekła Caroline.

Liz była niemal pewna, że Charlotte nie dosłyszała tej obelgi, bo właśnie przedstawiano ją kilku innym gościom, ale tak grubiańskiej uwagi nie mogła puścić mimo uszu.

– Sugerujesz, że brzydki jest mój kuzyn czy moja najbliższa przyjaciółka? – spytała.

Caroline wzruszyła ramionami.

– Sama zdecyduj. Gdy schodzi się dwoje takich ludzi, nigdy nie wiem, czy powinnam cieszyć się ich szczęściem, czy modlić się, żeby się nie rozmnożyli.

Jesteś okropna – pomyślała Liz. Jeszcze gorsza, niż zapamiętałam.

– À propos – podjęła Caroline – czy Jane osiągnęła już fazę obrzękniętych nóg i rozstępów?

Liz uśmiechnęła się ciepło, z wielkim wysiłkiem.

– Niektóre brzemiennie kobiety całą ciężę emanują blaskiem. Jane

właśnie do nich należy. – Zanim Caroline zdążyła odpowiedzieć, Liz szybko dodała: – Podobno Chip ciągle kręci *Dobłą partię po latach?* Holly, pogromczyni aligatorów, bierze w tym udział? A może Gabrielle z wydziaranym celtyckim krzyżem na języku? Zawsze odnosiłam wrażenie, że między nią a Chipem aż buzuje – uśmiechnęła się promiennie. – Każda z nich będzie cudowna jako twoja bratowa.



## Rozdział 126

Gdy Liz i Charlotte przybyły na miejsce, Darcy powitał je w sposób miły, ale swobodny (Liz była niemal rozczarowana tym, że aż tak swobodny) i przedstawił je innym gościom, przy czym ich nazwiska Liz szybko zapomniała: anestezjolog i jego żona prawniczka, wolny, zdaje się, radiolog, nefrolog z mężem architektem, a do tego dwóch doktorów historii ze Stanford, obaj młodzi i szczupli, i Liz podejrzewała, obserwując ich postawę i sposób zwracania się do siostry Darcy’ego Georgie, że się w niej obaj kochają.

Choć pierwsze interakcje Liz z Darcym były powściągliwe i rzeczowe, w miarę upływu czasu i gdy zaczął się krykiet – grali równolegle dwa osobne mecze, oba w tak zwanej wersji morderczej, w której każdy gra raczej na siebie niż grupowo – Liz odniosła wrażenie, że rośnie napięcie pomiędzy nią a gospodarzem. Całą sobą odczuwała jego nieobecność, gdy się oddalał – by na przykład przynieść kolejne butelki wina z domu dla gości albo by przywitać ostatniego przybyłego, dermatologa zresztą, przy głównej bramie – albo z kimś rozmawiał. Od czasu do czasu zamieniali parę niezobowiązujących słów. Nie grali w tym samym meczu, ale dwa boiska zostały wyznaczone na sąsiadujących częściach trawnika i zdarzało się, że znajdowali się obok siebie. Rzucali uwagi na temat czyjegoś strzału albo przyjemnej pogody, i to wszystko.

W pewnym momencie Liz wybiła piłkę za boisko, a Darcy pojawił się obok, gdy umieszczała ją w przepisanej odległości od linii końcowej.

– Całe życie mam takie fantazje, jak to odkrywam jakieś nowe umiejętności – powiedziała. – Ale najwyraźniej krykiet do nich nie należy.

Darcy zmrużył oczy.

– Czy ty jesteś umalowana?

Odruchowo położyła dłoń na policzku.

– Wyglądam dziwnie?

– Chyba po prostu nie jestem przyzwyczajony – odrzekł.

Liz odpowiedziała tonem zaskakująco dla niej samej niepewnym:

– Ale kobiety często mają na twarzach makijaż.

Darcy bez słowa poklepał ją po prawym ramieniu, jakby ją pocieszając; ten kontakt fizyczny, choć niesamowicie przyjemny, jeszcze bardziej wytrącił ją z równowagi.

W końcu Alberta podjechała wózkiem golfowym po talerze i inne naczynia. Do tego momentu Liz zdążyła wypić dwa i pół kieliszka wina, zjeść trzy kęsy kanapki z indykiem i pół ciastka. Za bardzo się denerwowała, by przełknąć coś więcej. Darcy wygrał pierwszy mecz, a Charlotte drugi.

– Zakładam, że sport nie należy do twoich pasji – powiedziała Caroline do Liz.

Choć Liz z Darcym sama natrzęsała się ze swoich umiejętności krykiecistki, od Caroline nie mogła przyjąć takiej zniewagi.

– No, co tydzień przebiegam czterdzieści kilometrów – odrzekła. – A w związku ze swoją pracą wypróbowałam niemal wszystkie modne odmiany fitnessu. Ale poza tym rzeczywiście chyba sport nie należy do moich pasji.

Patrzyły na siebie z ledwie skrywaną antypatią i wreszcie Caroline zapytała:

– Jutro wyjeżdżasz, prawda?

– Czy moja obecność udaremnia jakieś twoje plany?

Tamta przysunęła się o krok bliżej i ściszyła głos.

– Tak dla twojej informacji, rozgryzłam cię. Ta cała twoja niby wyluzowana poza... to wszystko guzik prawda.

– Z twoich ust to może być komplement.

Zanim Liz dopiła trzeci kieliszek wina, nagromadziły się w niej niecierpliwość, żal i lekki rausz. Och, żeby od nowa przeżyć ten zaskakujący poranek bez stanika w mieszkaniu jej sióstr! Jeszcze raz pobiec z Darcym Madison Road, tylko oni dwoje i nikt więcej, a potem uciec do jego mieszkania, tym razem ze świadomością, że on nie postrzega ich zbliżeń jako wymiany usług – wiedzieć, że mu się podoba! Ale czy tutaj, dzisiaj, nadal mu się podoba? Jak długo działają te hormony seksu, którym przypisał swoją miłość?

Chwilę później Liz ku swemu zaskoczeniu powiedziała do Georgie, w obecności jednego z jej zalotników:

– Twój brat wspominał, że chcecie sprzedać posiadłość albo ją ofiarować. Mam nadzieję, że to nie za wcześnie, ale powiem ci, co zrobiła moja starsza siostra. Moi rodzice sprzedają dom, w którym spędzili dużą część swojego życia, więc moja siostra, która jest instruktorką jogi, odbyła coś na kształt rytuału pożegnania. Wspominała różne rzeczy, które robiłyśmy w domu, mówiła, za czym będzie tęsknić. Ja podchodziłam do tego sceptycznie, ale myślę, że to mi pomogło. A trwało tylko kilka minut.

Georgie sprawiała wrażenie zainteresowanej i zmieszanej jednocześnie.

– Czy ten rytuał przeprowadził dla was ktoś z zewnątrz? Czy twoja siostra sama?

– Ona sama. Mogę spytać, czy korzystała z jakiegoś scenariusza, czy improwizowała.

– Jeśli chcesz się pouczyć o zabobonach przeprowadzkowych, powinnaś porozmawiać z moją chińską babcią – powiedział zalotnik Georgie. Jeszcze nie zamilkł, gdy nagle u boku Liz wyrósł Darcy. Dotknął jej ramienia tuż nad łokciem, a ona znowu poczuła się tak, jakby miała zemdleć.

– Hej – powiedziała jednak nieprawdopodobnie normalnym głosem.

Georgie i jej zalotnik wrócili do rozmowy, a Darcy rzekł do Liz:

– Zastanawiam się, czy masz jutro wolny poranek, żeby zjeść ze mną śniadanie.

– Och. Pewnie.

– Musiałoby to być wcześnie, bo planujemy wyprawę w teren. Oczywiście jesteście też z Charlotte zaproszone.

– Muszę poświęcić Charlotte trochę uwagi, bo to dla niej przyjechałam do Kalifornii – powiedziała Liz, świadoma, że jej przyjaciółka pewnie by zaprzeczyła tym słowom – ale śniadanie brzmi kusząco.

– A ósma rano brzmi nieludzko?

– Brzmi doskonale.

– Jeśli napiszesz mi w esemesie adres Charlotte, przyjadę po ciebie.

A więc on też to czuł. Albo przynajmniej czuł coś. Chciał być z nią sam na sam, nawet jeśli – sądząc z jego spokoju – nie pragnął tego tak bardzo jak ona. Pragnęła wtulić się w niego, wcisnąć twarz w jego koszulę, całować szyję, oczy, usta i zabrać go w miejsce, gdzie nie musiałyby się nim dzielić.

– Charlotte i Willie mieszkają w Palo Alto – powiedziała bezbarwnym głosem. – Całkiem niedaleko stąd.

## Rozdział 127

– Mój brat... – wyszeptała Georgie, chwytając Liz za nadgarstek. Zapadł już zmrok, Liz i Charlotte lada chwila odjeżdżały, chociaż ta ostatnia i nefrolog pograżyli się w gorącej dyskusji na temat trzęsień ziemi. – Myślę, że on cię lubi – podjęła, wciąż szepcząc. Liz przestało już szumieć w głowie, ale zastanawiała się, czy z kolei Georgie nie jest pijana. Byłoby to dość dziwne, biorąc pod uwagę kaloryczność alkoholu. – Poważnie. To świetnie, bo zawsze się bałam, że wyląduje u boku Caroline Bingley, a ona jest beznadziejna.

Tak, Georgie zdecydowanie była pijana, co nie znaczyło, że nie można jej ufać. Liz przyjrzała się jej w gasnącym świetle.

– Cokolwiek masz na myśli, zgadzam się z tobą – powiedziała. – Caroline jest beznadziejna.

– Lubisz Fitziego?

Liz zawahała się jedynie przez ułamek sekundy.

– Tak. Lubię.

– Ale tak wiesz... tak naprawdę?

Liz się uśmiechnęła.

– Zrozumiałam, co masz na myśli, i odpowiedź nadal jest twierdząca.

Georgie wyjęła z kieszeni telefon komórkowy.

– Daj mi swój numer, a jak będę następnym razem w Nowym Jorku, powinniśmy pójść na kawę. Ty, ja i Jillian Northcutt.

– Proszę bardzo. – Liz sięgnęła po jej komórkę i wpisała cyfry. Zastanawiała się, czy Georgie rano będzie pamiętała tę rozmowę, a jeśli tak, to czy powtórzy ją bratu. – Nie wiem jak Jillian Northcutt – rzuciła, oddając aparat – ale ja z radością się z tobą spotkam.

## Rozdział 128

Odebrał ją punktualnie szarym SUV-em na kalifornijskich numerach. Poranek znowu był słoneczny, ale chłodny, a Liz tej nocy spała jeszcze gorzej niż poprzedniej. Mniej więcej o czwartej nad ranem zdecydowała, że nie pozostaje jej nic innego, jak poprosić Darcy'ego o drugą szansę. Choć ich związek sprawiał wrażenie geograficznie kłopotliwego, a oni wydawali się niedopasowani, chciała spróbować. Chciała strasznie i musiała wiedzieć, czy on też chce.

Jadąc do lokalu, który wybrał – do Palo Alto Creamery – miała poczucie, że grają prawdziwą parę, co było jednocześnie bolesne i kuszące. Jego prawa dłoń spoczywała na dźwigni zmiany biegów w pobliżu jej lewego kolana, jego przedramię z brązowymi włosami, niemal nieuchwytny zapach męskiego szamponu czy mydła, czy wody po goleniu, której użył... znosiła to z wielkim trudem. Tak bliski, taki przystojny o tak wczesnej porze doprowadzał ją do rozpacz i irytacji. Powróciła do rozmowy o błahostkach. Pytała, czy wszyscy w domu spali, gdy wychodził, a Darcy potwierdził, że owszem. Pytała, czy bawili się do późna po tym, jak pojechały z Charlotte, a on znowu potwierdził. Zauważyła, że musi być wyczerpany, a on odrzekł, że niedobór snu nie jest dla niego pierwszozną.

Skręcając w Emerson Street, powiedział:

- Georgie uważa, że jesteś wspaniała.
- Och, nawzajem. Jest urocza.
- Szkoda, że nie poznałaś się z moją mamą. Ależbyście się sobie spodobały.

Liz ścisnęło się serce.

- Ja też żałuję. Mam wrażenie, że była bardzo fajna.

Darcy zerknął na nią.

- A jak już poznałaś Georgie... wygląda inaczej, niż sobie wyobrażałaś? Czy może w ogóle sobie jej nie wyobrażałaś?

Przestało jej szumieć w głowie, co akurat było pozytywnym objawem. Trudno wszak na dłuższą metę wytrzymać szum w głowie.

– Jest oczywiście chudziutka – odparła ostrożnie. – To masz na myśli?

– Leczyła się już w różnych ośrodkach, ale to nic nie dało, na ile ja umiem ocenić. – Darcy westchnął. – Ciągle się jednak zastanawiam, czy nie powinna tam wrócić. Odkąd ją ostatnio widziałem, znowu straciła na wadze.

– Moja koleżanka prowadzi w Karolinie Północnej program, który chyba naprawdę pomaga, bodajże w Duke. Czy Georgie tam próbowała?

– Duke nic mi nie mówi. Jeździła do ośrodków w południowej Kalifornii i w Arizonie. – Uśmiechnął się smutno. – Do jednego pod San Diego zgodziła się zgłosić tylko dlatego, że leczyli się tam celebryci, ale w trakcie jej pobytu nie było żadnych gwiazd. Musiało być po sezonie.

– Wiem, że zaburzenia odżywiania są naprawdę trudne – powiedziała Liz. – Przykro mi.

– Martwię się, że jej życie się zatrzymało. I martwię się o jej serce i nerki.

Wjeżdżał na miejsce do parkowania – jak nieunikniony wydawał się rozwój wydarzeń, jakże mocno Liz odczuwała w tej chwili bliskość Darcy’ego – gdy jej telefon wibracją oznajmił nadejście esemesa. Gdyby nie atak serca ojca, może w ogóle by na telefon nie spojrzała; może weszłaby do restauracji i zamówiła jajecznicę, której prawie by nie tknęła. Ale spojrzała. Zanim przeczytała wiadomość, zobaczyła, od kogo pochodzi.

– A skoro mowa o siostrach – rzuciła – to wiadomość od Mary. O Boże...

– Wszystko w porządku? – spytał Darcy, ale po raz pierwszy od dwóch dni to nie on zajął jej myśli; coś innego nagle odsunęło go na bok, a jego głos słyszała jakby tylko w tle.

*Lydia uciekła z Hamem do Chicago, żeby wziąć ślub – napisała Mary. Okazuje się, że Ham jest transem, urodził się jako kobieta!!! Mama i tata szaleją, możesz wrócić do domu?*

## Rozdział 129

– Wszystko w porządku? – spytał Darcy ponownie.

– Lydia, moja najmłodsza siostra... chyba właśnie uciekła ze swoim chłopakiem. A także... rany... – Liz pisała szybko: *Naprawdę? To nie żart?*, a gdy Mary nie odpisywała, wysłała ponagląjący esemes: ???.

Ham transseksualistą. To chyba niemożliwe. A Lydia wiedziała? Ale on przecież miał kozią bródkę!

Po kilku sekundach nadeszła odpowiedź od Mary: *To nie jest żart*. I po chwili kolejna wiadomość: *A Lydia zawsze mnie oskarżała, że jestem lesbijką!* I jeszcze: *Tata z Kitty jadą właśnie do Chicago, mama chodzi po ścianach. Kiedy przyjedziesz do Cincinnati?*

Liz spojrzała na Darcy'ego, który już zaparkował, wyłączył silnik i patrzył na nią z troską.

– Przepraszam – powiedziała. – Po prostu... nie przewidziałam tego. Powinnam porozmawiać z Mary. Może zajmiesz stolik, a ja do ciebie dołączę?

Darcy podał jej kluczyki, a gdy wysiadał z wozu, Liz już dzwoniła do siostry.

– Jesteś pewna, że Ham jest transseksualny? – spytała, gdy Mary odebrała. – I jesteś pewna, że chcą wziąć ślub? To nie jest jakiś kawał Lydii?

– Wczoraj wieczorem Ham powiedział wszystko mamie i tacie i nie wyszło to najlepiej. Dzisiaj rano na stole w kuchni leżała kartka od Lydii, że się pobierają.

– On ma sztuczny penisa? – Później Liz dziękowała Bogu, że tylko jednej osobie zadała to chore pytanie.

– Skąd mam wiedzieć? Ale mama wariuje. Nie radzę sobie z nią.

– A co tata i Kitty zamierzają zrobić w Chicago? Wydaje im się, że nie dopuszczą do tego ślubu?

– Lydia i Ham nie mogą tego zrobić dzisiaj, bo sądy w niedzielę są

nieczynne. A jutro jest Święto Pracy. Poza tym sprawdziłam w internecie, że będą musieli poczekać jeden dzień na uprawomocnienie zezwolenia na zawarcie małżeństwa, no chyba że już je mają, ale wątpię. Zasadniczo wydaje mi się, że najwcześniej mogą ten ślub wziąć w środę.

– Nie wróciłam do Nowego Jorku – powiedziała Liz. – Przyleciałam do Kalifornii. Jesteś u siebie czy w domu?

– W domu, mama właśnie łyknęła garść valium przeterminowanego od dziesięciu lat.

– Zaczekaj. – Liz opuściła telefon i zaczęła szukać lotów do Cincinnati. Najwcześniejsze sensowne połączenie, lot z San Francisco o 11.40, wiązałoby się z przesiadką w Atlancie i znalazłoby się w Cincinnati o 21.28. Koszt tej zdecydowanie niebezpośredniej podróży wyniósłby prawie pięćset dolarów, co na pewno wyczerpałoby reszki jej niegdyś znacznych oszczędności.

– Pojadę jak najszybciej na lotnisko i wyślę ci stamtąd esemes – powiedziała.

– To takie typowe dla Lydii, że każe nam się użerać ze swoim gównem.

– Ale ja lubię Hama. A ty nie?

– Nie obchodzi mnie Ham – odrzekła. – Na przyszły tydzień mam pracę pisemną.



## Rozdział 130

W lokalu Liz dojrzała Darcy'ego w boksie – przed nim leżało rozpostarte wielkie plastikowe menu – i znowu dopadło ją poczucie, że znajduje się w świecie równoległym, w którym mogliby funkcjonować jako zwyczajna para. Przez to tym trudniej, gdy podeszła do stolika, było jej powiedzieć:

– Bardzo cię przepraszam, ale nie zostanę. Mógłbyś... przepraszam, że o to proszę... mógłbyś mnie zawieźć do Charlotte po moje rzeczy, a potem podrzucić mnie na lotnisko?

– Co się stało?

– Ta osoba, z którą Lydia chce wziąć ślub... jej chłopak... jest transseksualistą. Moi rodzice są chyba bardzo zdenerwowani.

Darcy nie sprawiał wrażenia wstrząśniętego, a Liz przypomniała sobie o jego ogólnej dezaprobatie wobec jej rodziny. To, że Bennetom znowu się coś przydarzyło... pewnie mniej więcej się tego spodziewał.

– Mam cię teraz już zabrać na lotnisko? – spytał.

– Tak właśnie myślę... wygląda na to, że jestem potrzebna w domu.

– Dlaczego?

Na to pytanie zadziwiająco trudno było jej odpowiedzieć. Niepewnym głosem wyjaśniła:

– To trudna sytuacja dla moich rodziców, zwłaszcza dla mamy.

– A czy to nie jest ich problem? Nie wygląda na to, by Lydia czy jej chłopak zrobili coś złego. – Protekcyjnalny ton Darcy'ego przypomniał Liz ich pierwsze spotkania.

– Czy uważam, że moi rodzice poradzą sobie, jeśli mnie tam nie będzie? Oczywiście. – Słyszała, jak głos coraz bardziej jej drży. – Ale wiesz co? Od dwudziestu lat nie angażowałam się w sprawy mojej rodziny i przez ten czas dużo rzeczy się popsuło.

– Myślisz, że jeśli wsiądziesz do samolotu, to odkupisz swoje winy?

– Nie próbuję cię przekonać, że mam rację. Chcę tylko wiedzieć, czy

mnie zawieziesz na lotnisko, czy mam wziąć taksówkę.

Darcy zamknął menu.

– Świetnie. – Ale wraz z tym gestem, choć zgodził się jej pomóc, oficjalnie zniknęła jakaś życzliwość między nimi. Ich NS nie było już kulą ognia zagrażającą północnej Kalifornii.

– Nie będą państwo dzisiaj u nas jeść? – spytał kelner, gdy zmierzali do wyjścia.

– Nie – odrzekł Darcy opryskliwie.

– Innym razem – dodała Liz z udawaną swobodą.

W samochodzie Darcy milczał, ona też. Przyszło jej do głowy, by go poprosić, żeby ją zawiózł prosto na lotnisko, a Charlotte dosłałaby jej rzeczy, tylko że Liz nie chciała ryzykować rozstania z dyktafonami, z których korzystała w trakcie wywiadu z Kathy de Bourgh.

Weszła do domu i zastała zamknięte drzwi sypialni Charlotte i kuzyna Williego. Uświadomiła sobie, że przygotowała w głowie zwięzłe wyjaśnienie sytuacji, które miała im przedstawić. Wepchnęła swoje rzeczy i przybory toaletowe do walizki, a dyktafony i notes do torebki i zastanawiała się, czy powinna zostawić kartkę gospodarzom, gdy mijając ich zamknięte drzwi, usłyszała kobiece okrzyki ewidentnie seksualnej natury. Wyszła pośpiesznie.

Darcy w ogóle nie wyłączał silnika, a kiedy jej walizka znalazła się na tylnym siedzeniu, jeszcze zanim Liz zapięła pas, ruszył. Po dłuższej ciszy odezwała się:

– Gdybyś mi powiedział, że Lydia właśnie uciekła z kowbojem poznanym w barze albo z rozgrywającym Bengalsów, to spoko. Ale to.... Nie wiem. Jakoś nigdy u niej nie widziałam za dużo zrozumienia czy sympatii dla jakiegokolwiek mniejszości.

Darcy milczał.

– Ciekawe, czy moja mama w ogóle rozumie słowo „transpłciowy” – dodała. – Teraz pewnie tak.

Może dziesięć minut minęło w ciszy, nim Liz dodała:

– Ham jest niski jak na chłopaka, ale... w życiu bym się nie domyśliła. Ma bródkę i jest bardzo umięśniony.

– Na pewno przyjmuje testosteron – rzekł Darcy szorstko.

– Miałeś kiedyś transpłciowych pacjentów?

– Tak, ale nie z powodu transpłciowości. Z tym chodzą do endokrynologa.

Na szosie 101 ruch był niewielki – w końcu było dopiero w pół do dziewiątej w niedzielny poranek w długi weekend – Darcy jechał środkowym pasem. Choć Liz się niepokoiła i denerwowała, posmutniała na widok pierwszych drogowskazów z informacjami o lotnisku.

– Nie wiem, jak długo zostanę w Cincinnati – odezwała się niepewnym głosem – ale kiedy wracasz?

– We wtorek rano, z tym że idę prosto do pracy.

– Zależnie od tego, jak długo zostanę, może zdołam ci to wynagrodzić.

Znowu nic nie powiedział, a gdy zajechał pod terminal, Liz zaproponowała:

– Nie wysiadaj. Szybciej będzie, jeśli tylko wezmę rzeczy.

Zastosował się, a ona wzięła walizkę z tylnego siedzenia i pomachała mu.

– Dziękuję, Darcy.

Bała się, że i tak nie wysiądzie, że nie będzie chciał jej przytulić i pocałować, i dlatego poprosiła, żeby nie wysiadał – bo nie chciała, by jego nieutulenie było ostatnią rzeczą, jaka się zdarzy, zanim ona wsiądzie do samolotu, by przelecieć na drugi koniec kraju.

## Rozdział 131

Pan Bennet znalazł kartkę od Lydii, wszedłszy rankiem do kuchni Tudor: *Zanim to przeczytacie, wyjedziemy z Hamem do Chicago, żeby wziąć ślub. Nie próbujcie do nas dzwonić, bo nie bierzemy telefonów. Jeśli muszę wybierać pomiędzy Wami a Hamem, to wolę Hama! Lydia, panna młoda.*

Liz trafnie się domyśliła, że pojęcie transseksualności państwo Bennet poznali dopiero poprzedniego wieczoru, i gdy Lydia i Ham im je wspólnie przybliżyli, przy drinkach w salonie, nie zaprezentowali się od najlepszej strony. Wszak pani Bennet, jak dowiedziała się Liz od razu po przyjeździe, w życiu o czymś takim nie słyszała! Jakie to dziwne i obrzydliwe, że Ham jest tak naprawdę kobietą, i co sobie Lydia myślała, wiążąc się z kimś w tak oczywisty sposób niezrównoważonym?! Chociaż pan Bennet przyjął rewelacje z odrobiną większym spokojem, trudno go uznać za wzór szacunku, skoro radośnie rzekł do Hama: „Gdybyś się urodził sto lat temu, mógłbyś robić u Barnuma za kobietę z brodą”.

W czasie tamtej rozmowy Lydia i Ham nie prosili o zgodę na małżeństwo. Wręcz w ogóle o małżeństwie nie rozmawiano. Ich decyzja o wyjeździe i ślubie, jak wyjaśniła siostrze Mary, zrodziła się najpewniej wobec braku akceptacji czy taktu, z którymi Bennetowie przyjęli sekret Hama.

Przed powrotem Liz pani Bennet zdążyła zadzwonić do swojego wieloletniego przyjaciela i adwokata, Landon Reynoldsa, który wyjaśnił, że zgłaszanie sprawy na policję jest całkowicie bezcelowe. Wyjazd czy ślub pary nie był przestępstwem, a nic nie wskazywało na to, by Ham zabrał Lydię do Chicago wbrew jej woli. O ile nielegalność homoseksualnych związków małżeńskich zarówno w Ohio, jak i w Illinois mogła doprowadzić do unieważnienia małżeństwa Lydii i Hama, gdyby Hama uznano za kobietę, o tyle wystąpienie o unieważnienie w imieniu Lydii, biorąc pod uwagę fakt, że dawno przestała być nieletnia, byłoby skomplikowane i kosztowne. Tak

czy owak, wydawało się prawdopodobne, że na prawie jazdy, jeśli nie na akcie urodzenia, Ham miał wpisana płęć męską. Pan Reynolds ze szczerego serca radził pani Bennet, by kupiła szampana i czekała, aż nowożeńcy wrócą.

Pani Bennet tak jednak nalegała, że dwadzieścia minut później, popędzani przez nią, Kitty i pan Bennet wyruszyli w niemal pięciogodzinną podróż do Chicago, której celem w przekonaniu pani Bennet było albo niedopuszczenie do zawarcia związku małżeńskiego, albo – jeśli na to by było za późno – rozdzielenie młodych i przewiezienie samej Lydii do Cincinnati. Mary tymczasem otrzymała zadanie obdzwonienia hoteli w Chicago, by znaleźć rezerwację na nazwisko Bennet, tudzież Ryan. Te poszukiwania do niedzielnej nocy pozostały bezowocne.

Krótko po odjeździe męża i córki pani Bennet połknęła przeterminowane valium, udała się do łóżka i tam właśnie o wpół do jedenastej zastała ją Liz. Matka płakała z werwą, która wydawała się niemożliwa na dłuższą metę, ale obfitość chusteczek rozrzuconych po łóżku, stoliku i dywanie sugerowała, że jednak tak jest od pewnego czasu. Z czterech pudełek chusteczek dwa były puste, a jedno prawie puste. Panią Bennet otaczały rozmaite przedmioty, w tym telefon bezprzewodowy, dwa piloty (gdy Liz weszła do pokoju, w telewizji pokazywano film reklamowy o szpachlówce natryskowej), częściowo spożyta czekolada, ogromna paczka cheetosów zredukowana do pomarańczowych okruchów i obfitość poduszek ozdobnych. Na stoliku nocnym stała butelka dzinu i szklanka. Mary, która otworzyła siostrze drzwi Tudor i zaprowadziła ją do legowiska pani Bennet, teraz stała w progu z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Liz podeszła do łóżka i usiadła, kładąc dłoń na ramieniu matki.

– Cześć, mammo.

Pani Bennet potrząsnęła głową, policzki miała zaróżowione i mokre.

– Ona jest taka śliczna – odezwała się grobowym głosem. – Nie pojmuję, jak tak śliczna dziewczyna mogła zrobić coś tak straszego.

– Myślę, że Ham jest dobrym człowiekiem – powiedziała Liz. – Pamiętasz, jak mi pomógł w sprzątaniu piwnicy?

– Czy w Nowym Jorku żyją tacy ludzie?

– Wszędzie są osoby transseksualne. I były zawsze.

Na lotnisku w San Francisco i potem, czekając na przesiadkę w Atlancie, Liz dzięki smartfonowi dowiedziała się o południowoazjatyckich *kathoey* i o *salzikrum* ze starożytnego Bliskiego Wschodu. Poza tym teraz wiedziała

również, że należy mówić raczej o tożsamości płciowej niż o zmianie płci, a także o tym, że Ham wcale nie musiał mieć operacji „tam na dole” (na podstawie własnych obserwacji podejrzewała, że miał na górze), a w każdym razie była pewna, że strasznie jej głupio, że spytała Mary, czy Ham ma sztuczny penisa. Zdaje się, że spekulacje na temat genitaliów osoby transpłciowej były nie mniej grubiańskie niż w odniesieniu do osoby nietranspłciowej czy też cisseksualnej.

Na ile się orientowała, przed poznaniem Hama regularnie miała do czynienia z jedną osobą transpłciową, sześćdziesięcioletnią kobietą, adiustatorką w magazynie, w którym pracowali z Jasperem jako weryfikatorzy. Na pewno gdyby się dowiedziała, że ktokolwiek z jej znajomych bliższych lub dalszych w Nowym Jorku chce wziąć ślub z kimś transpłciowym, wspierałaby taką parę. Może nawet odczuwała to samozadowolenie, którego biali heteroseksualiści, jak wiadomo, doświadczają w kontakcie z różnorodnością. Dlaczego więc jej uczucia wobec Hama miałyby być inne? Zwłaszcza teraz, gdy wszystko zrozumiała i mogła machnąć ręką na fakt, że trochę pokrętnie odpowiadał na jej pytania o Seattle, albo na szyderczą sugestię Kitty, że Liz nie zna prawdziwego oblicza Hama. W co zresztą nie wierzyła. Wysoko w górze nad polami pszenicy Kansas Liz doszła do wniosku, że skoro mieszkanka Cincinnati może się przedzierzgnąć w nowojorkankę, skoro dziecko, które prowadzi pamiętnik i lubi czytać, może w końcu zdeklarować, że jest prawdziwym pisarzem, to dlaczego nie można by zmienić czy wybrać płci? Tak naprawdę nie dawała jej spokoju inna zagadka: jakim cudem Ham wytrzymuje towarzystwo Lydii i jak zamierza robić to przez resztę życia.

– Jest was pięć... – powiedziała pani Bennet, uwalniając nową falę łez. – Jak to możliwe, że jest was pięć, a żadna nie umie znaleźć miłego, normalnego, bogatego męża, z którym by się ustatkowała?

– Mamo, jesteśmy zdrowe – odrzekła Liz. – Nie jesteśmy narkomankami. Mogłoby być o wiele gorzej. A czy taty pobyt w szpitalu niczego ci nie uświadomił?

– Czy Ham wstaje rano i mówi: „Dzisiaj wkładam sukienkę. Nie, spodnie! Nie, sukienkę”?

– Jestem pewna, że on cały czas jest facetem, mamo. Myśl o nim tak samo jak wcześniej, zanim się dowiedziałaś, że kiedyś był kobietą.

„Kiedyś był kobietą” – Liz miała wrażenie, że takie wyrażenie nie

przystoi uświadomionej osobie takiej jak ona, ale zamierzała to sprawdzić w internecie.

– Mamo, powinnaś się przespać – rzuciła Mary.

– Czekam na wiadomość od waszego ojca.

– Oni z Kitty pewnie właśnie idą spać – odrzekła Mary.

Pani Bennet wodziła gniewnym wzrokiem po córkach.

– Jakież wy wszystkie jesteście samolubne. Robicie, co się wam podoba, i w ogóle was nie obchodzi, jak to się odbije na naszym nazwisku.

– Dobra, ja mam dość – stwierdziła Mary.

Liz wstała.

– Mary ma rację, mamo. Powinnaś się przespać.

## Rozdział 132

W korytarzu pod drzwiami matczynej sypialni Mary powiedziała:

– Myślę, że przez te wszystkie lata Lydia projektowała na mnie swoje ukryte upodobanie do własnej płci.

Liz spojrzała na nią.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Ona nie ma pojęcia, jak podli potrafią być ludzie, ponieważ sama zwykle jest podła. – Mary nawet nie skrywała satysfakcji w głosie. – Całe życie spędza jako ta chudziutka, wymuskana blondyneczka... no to teraz się dowie.

– Moim zdaniem większość ludzi, którzy się stykają z Hamem, nie ma pojęcia, że on jest transseksualistą. Choć też nie wydaje się, że którekolwiek z nich próbuje to ukrywać.

– Właśnie. Bo Lydia nie wie, co ją czeka. A wierz mi, takie rewelacje roznoszą się w mgnieniu oka.

– Lydia i Ham wiedzą swoje – odparła Liz. – Oby im się udało.



## Rozdział 133

Tak szybki powrót do pokoju z dzieciństwa był niemiły i konsternujący. Zwłaszcza po odkażeniu chemikaliami, co do których rzekomej nieszkodliwości Liz nie była całkiem przekonana. Chociaż wyjechała z Cincinnati raptem na cztery noce, osobliwie zazdrościła tamtej Liz, która kiedyś zajmowała ten pokój i – choć bezwiednie – oczarowała Darcy’ego. Obawiała się, że w ostatecznym rozrachunku jej wyjazd do Kalifornii przyniósł osłabienie jego uczuć. Choć chwilami zapowiadało się obiecująco, coś między nimi pękło, gdy ona odwołała śniadanie i poprosiła o podwiezienie na lotnisko.

Kusiło ją, by wysłać mu esemes, że dotarła bez problemu, i żałowała, że o to nie poprosił, gdy ją wysadzał. A jeśli właśnie w tym momencie on i Caroline Bingley śmieją się razem, stojąc blisko siebie, a Caroline wygląda sucho obłądnie w drogiej kiecce?

Zbieg tych wydarzeń był straszny, a jednocześnie mało zaskakujący – gdy już miała odbyć z Darcym ostateczną rozmowę, uniemożliwiła to jej rodzina, i to ze skandalem w zanadrzu. Liz nie lubiła dopatrywać się symboliki we własnym życiu, a jednak... konieczność nagłego wyjazdu z Kalifornii odczuwała niemal jako karę. Zastanawiała się, czy to los ją karał za wcześniejsze traktowanie Darcy’ego.

W końcu zmorzył ją sen. Ale nawet wtedy, gdy snuła się przez senne marzenia, wyrzuty sumienia jej nie odstępowały.

## Rozdział 134

Gdy rano, po joggingu i prysznicu, Liz weszła do sypialni matki, dochodziła dziewiąta, a pani Bennet wisiała na telefonie.

– Musisz jeszcze raz sprawdzić – mówiła. – Może dotarli tam w chwili, gdy odjechaliście.

Liz z trudem wyobrażała sobie ojca i Kitty w Chicago. Jeździli w tę i z powrotem po Michigan Avenue czy chodzili piechotą wokół Navy Pier i Grant Parku? Wystawiali przed zamkniętym sądem i restauracjami, pokazując ludziom zdjęcia Hama i Lydii na telefonie Kitty? Czy też może najprościej, i najprawdopodobniej, siedzieli w pokoju hotelowym i oglądali telewizję?

– Na miłość boską, Fred, ty musisz ją znaleźć – ciągnęła pani Bennet. – W nocy oka nie zmrużyłam. – Dopiero gdy minęło kilka sekund, Liz zorientowała się, że rozmowa telefoniczna już się zakończyła, a ostatnie słowa matka skierowała do niej.

– Bardzo mi przykro – odrzekła.

– Jak to się nazywa, jak wrzucają dziewczynom pigułki do drinków? – spytała pani Bennet. – Robią tak na imprezach. Możliwe, że dzięki takiej pigułce Ham zabrał Lydię do Chicago.

– Mamo, jestem pewna, że nie podał jej pigułki gwałtu.

– Mam do ciebie pytanie: której szafki używa Ham na basenie? Bo w Cincinnati Country Club nikt by nie chciał się przebierać w strój kąpielowy obok takiej osoby.

– Ham może włożyć strój w domu, można ten problem obejść. Ale idę o zakład, że korzysta z męskiej szatni. Myśl o nim jak o mężczyźnie.

– Lydia nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. – Pani Bennet spojrzała gniewnie na Liz. – I ty też nie, jak tak dalej pójdzie.

– Lydia i Ham mogą adoptować dziecko. Albo... – siłą rzeczy musiały pomyśleć o Jane – są inne opcje.

Pani Bennet pokręciła głową.

– Gdy ludzie adoptują, nigdy nie wiadomo, co jest w tych genach.

– Tak do końca nie wiadomo, co jest w genach każdego z nas – odrzekła Liz, a jej matka poprawiła się, by przyjąć wyniosłą pozę.

– Wypraszam sobie. Twój ojciec i ja pochodzimy z wybitnych rodzin.

## Rozdział 135

– Od Lydii nadal nie ma wiadomości? – spytała Jane.

Liz wyniosła laptopa i telefon na podwórko i siedziała na starym krześle ogrodowym z łuszczącą się farbą.

– Skoro nie wzięli telefonów – odparła – pewnie nie zamierzają się kontaktować, dopóki nie wrócą do Cincinnati.

Reakcja Jane była zaskakująca: roześmiała się.

– Lizzy – rzuciła Jane – oczywiście, że Lydia wzięła telefon. Prędzej by sobie dała rękę odciąć.

Gdy tylko to powiedziała, Liz uświadomiła sobie, że siostra ma rację.

– Rany, ale jestem idiotką.

– Mam wrażenie, że powinnam tam być – mówiła Jane. – Ale mama tylko by na mnie spojrzała i by wiedziała, a to nie jest właściwy moment.

– Nie musisz przyjeżdżać. Wprawdzie mama doprowadza mnie do szału, a Mary zaginęła w akcji, lecz nie wiem, co miałabyś tu robić.

– To brzmi durnie, ale cały czas mam przed oczami bródkę Hama.

– Musi brać testosteron – wyjaśniła Liz i pomyślała o Darcym.

– Zastanawiam się nad jednym – mówiła Jane – jeśli Ham wybierał ze wszystkich męskich imion na świecie, to dlaczego wybrał właśnie to? Wiem, że to skrót do Hamilton, ale to i tak dziwne. Wiesz, jakie imię nosił jako kobieta?

– Nie.

– Szkoda, że nie poznałam go lepiej. Choć pewnie teraz to nadrobię.

– Nie powinnam ci tego mówić – podjęła Liz – ale gdy wieczorem tu przyjechałam, widziałam w holu nowe nieotwarte kartony z Horchow, a w lodówce jest pełno surowych steków. A, na blacie leżą donuty. Najwyraźniej mama i tata bardzo niekonwencjonalnie podchodzą do naszej troski o ich dobrobyt fizyczny i finansowy.

– Jedyne, co możemy zrobić, to wspierać ich, gdy dokonują właściwych

wyborów – odrzekła Jane. – Nie możemy zarządzać ich zachowaniem. Ach, Lizzy, chyba dziecko kopnęło.

– Czekał, naprawdę?

– To był taki trzepot, który na pewno nie pochodził z mojego ciała.

– Niesamowite.

– Wiem. – I Jane dodała: – Obiecuj, że zadzwonisz do mnie, jak tylko będą jakiegokolwiek wieści z Chicago.

## Rozdział 136

Wiedziała, że powinna się martwić o Lydię, a jednak bardziej ją nurtowało pytanie, czy dostanie wiadomość od Darcy'ego. Podobnie jak ona pierwotnie planowała, wybrał nocny lot, aczkolwiek teraz, skoro już ujrzała Pemberley, sądziła, że on korzysta z pierwszej klasy. Gdy Święto Pracy miało w zupełnie nieświęteczny sposób – pani Bennet nieustannie płakała i rozpamiętywała w swoim pokoju, Mary nadal nie pojawiała się w Tudor, a jej starsza siostra sama nie mogła zdecydować, czy żywić urazę za to zniknięcie, czy czuć ulgę, że tamtej nie ma – Liz wyobrażała sobie, co porabia Darcy. Prawdopodobnie na lotnisko w San Francisco wyruszy dopiero około północy w Cincinnati, więc widziała w głowie, jak pakuje walizkę w domu gościnnym w Pemberley, może idzie pobiegać albo pograć w scrabble z Georgie. (Liz nie miała pojęcia, czy Darcy i Georgie w ogóle grają w scrabble). Czy Caroline Bingley wróciła już do Los Angeles? No, Liz na pewno miała taką nadzieję.

Sporadycznie matka wzywała ją na smutne rozważania o Hamie, czasami patrząc na problem pod nowym kątem, a czasami pod kątami już przeanalizowanymi chwilę wcześniej. Poza tym Liz znajdowała zajęcie, sprzątając Tudor, jak również intensywnie węsząc po szafkach i kątach, czy pomimo zapewnień Kena Weinricha nie zapodziały się tam aby resztki fluorku siarkowodorowego.

Chciała, by jej niecierpliwe oczekiwanie na wiadomość od Darcy'ego zajęło miejsce niecierpliwego oczekiwania na wiadomość od Lydii, ale nic z tego; w dwójnasób niespokojna, Liz wciąż czuła fantomowe wibrowanie w kieszeni oznajmiające nadejście esemesów, które – jak się okazywało – nie istniały. Zaczęła układać w głowie pseudospontaniczny list, który wyśle, gdy Darcy wróci do Cincinnati: *Cześć, może znalazłbyś czas na kawę/kolację/cokolwiek, zanim wrócę do Nowego Jorku?* Ponieważ już dwukrotnie zmieniała rezerwację na lot, odkąd wyjechała z Cincinnati do

Houston, ostatecznie została bez biletu do Nowego Jorku, ale uznała, że nie zaszkodzi zasugerować pośpiech.

Wczesnym popołudniem wracała ze Smoothie King w Hyde Park Plaza, gdy jej telefon rzeczywistą wibracją obwieścił nadejście rzeczywistego esemesa. Ale nie od Darcy'ego ani Lydii, niestety. Tylko od Georgie.

*Liz – pisała – BARDZO się cieszę, że Cię poznałam. Na pewno wiesz już o moim bracie i Caroline i teraz czuję się bardzo niezręcznie z powodu rozmowy z Tobą. Naprawdę żałuję, że nie ugryzłam się w język. Nie mogę się doczekać Twojego artykułu o Kathy de Bourgh i mam nadzieję, że niedługo znowu się spotkamy!*

Serce Liz przyspieszyło nieprzyjemnie i dalej przyspieszało, gdy czytała esemes po raz drugi, wypatrując fragmentu, w którym Georgie skonkretyzowała, co Liz mogła słyszeć na temat Darcy'ego i Caroline. No ale naprawdę, czy taki konkret był konieczny? Niemniej jednak doznała szoku, że wydarzyło się dokładnie to, czego ona się obawiała. Czyż nie poświęciła tej ewentualności tyle troski, by ją wykluczyć? Czy omówienie tematu z Charlotte nie wystarczyło, by się przed tym ustrzec?

Co jej zostało? Mogła tylko się przebrać i znowu pobiegać. Choć w jej żołądku chlupotał prawie kilogram przetartych malin i mango, nie mogła tak siedzieć w Tudor, wiedząc, że Darcy i Caroline są razem. (Jakim cudem? Czy tylko sobie wyobrażała tę całą naelektryzowaną energię pomiędzy nią, Liz, a Darcym w Atherton, jego troskliwość, ten moment, gdy prawie się pocałowali? Zaprosił ją na śniadanie, by jej powiedzieć, że jest z Caroline? By oficjalnie odwołać swoją deklarację uczuć i ustalić bardziej przyjacielskie i nieoficjalne relacje, na wypadek gdyby się mieli spotkać w przyszłości?).

Ręce się jej trzęsły, gdy wiązała tenisówki. Na korytarzu na piętrze zawołała: „Mamo, idę pobiegać”, i wyszła, nie czekając na odpowiedź ani nie biorąc kluczy. I gdy znalazła się na dworze, nie rozciągnęła się nawet, tylko ruszyła sprintem.

Przez kilometr napędzały ją adrenalina i niedowierzanie, a narzuciła sobie tempo szybsze niż zwykle. Prędko jednak zatriumfowały smutek i wzdęcie po smoothie; zmniejszyła tempo, oczy wypełniły się jej łzami. Już była gotowa przyznać się Darcy'emu do błędu, poprawić się i uderzyć w pierś. Teraz Caroline pozbawiła ją tej możliwości, a co gorsza, Darcy nie zaoponował.

Zanim dotarła do Madison Road, łzy zalały jej policzki, a w prawym

boku chwyciła ją niewątpliwa kolka. Po chwili już szlochała i walczyła z nudnościami w środku dnia, na ruchliwej ulicy, więc zamiast skręcić w prawo, przecięła Torrence Parkway, usiadła na ławce i pogrążyła się żalu i smutku, które doprowadziły ją do duszności i dygotu. Pochyliła się, łokcie oparła na udach, dłońmi zasłoniła twarz zalewaną łzami i smarkami, gdy płakała i płakała, i płakała. Po pewnym czasie usłyszała jakiś nieśmiały głos:

– Kochanie?

Liz podniosła głowę.

Była to szczupła czarna kobieta w średnim wieku, która chyba też wyszła poćwiczyć. Miała na sobie solidne białe buty do chodzenia, szorty i T-shirt drużyny Bearcats Uniwersytetu Cincinnati.

– Coś się stało, kochanie?

Liz wierzchem dłoni otarła nos.

– Mam złamane serce – powiedziała, bo to był chyba najzwięźlejszy sposób na przekazanie faktów.

– Och, kochana. – Kobieta pokręciła głową. – A kto nie ma?



## Rozdział 137

*Wiem, że masz telefon – napisała Liz do Lydii. Nie mówię Ci, żebyś nie wychodziła za Hama, ale może skontaktujesz się z rodzicami i zawiadomisz ich, że nic Ci nie jest?*

Żadna natychmiastowa odpowiedź nie nadeszła. Chociaż podejrzewała, że to niewiele da, znalazła numer do siłowni Hama i zostawiła wiadomość.

Leżała po ciemku na łóżku, gdy w San Francisco startował samolot Darcy'ego, w każdym razie była tego prawie pewna. Nie czekała już na wiadomość od niego, ale beznadziejny smutek wywołany przez esemes Georgie nie ustąpił. Ten nowy zwrot na pewno oznaczał coś więcej niż kilka ukradkowych podlanych winem pocałunków pomiędzy Darcym a Caroline, prawda? Bo przecież Georgie nie wyrażałaby się o nich w taki oficjalny sposób. Oni chyba nie wzięli szybkiego ślubu? Czy wzięli? Ta myśl była dopiero paraliżująca!

W trakcie wielu lat romantycznych udręk doświadczanych za sprawą Jaspera Wicka Liz stale zapłakiwała się tak, że w końcu zasypiała. Ale to było jakiś czas temu i tu, w Tudor, w łóżku z dzieciństwa, to płkanie nie miało tamtego smaku; było niemal – niemal zupełnie! – obce.

## Rozdział 138

Minęły siedemdziesiąt dwie godziny, zanim Liz dostała potwierdzenie, że Lydia odebrała jej esemes, ale w odpowiedzi siostry nie było żadnych słów. Było tylko zdjęcie przedstawiające ją i Hama na tle białej ściany. Za ich plecami widać było część okrągłego niebieskiego logo Cook County. Ham wyglądał wytwornie w koszuli i sportowej marynarce, z czerwoną różą w klapie, a Lydia nieznośnie młodo i olśniewająco w białej sukience bez rękawów. Za prawe ucho miała wetkniętą taką samą czerwoną różę. Trzymali razem jasnoniebieski dokument pokryty pismem zbyt drobnym, by Liz je odczytała. Czytelny był tylko nagłówek: „Świadectwo ślubu”. Oboje promiennie się uśmiechali.

*Gratulacje!* – odpisała Liz. *Wspaniale wyglądacie!* I jeszcze: *Kiedy wracacie???*

I znowu bez odpowiedzi.

## Rozdział 139

Pan Bennet i Kitty wrócili do Cincinnati w czwartek wieczorem, cztery dni po swoim wyjeździe i kilka godzin po tym, jak Liz dostała zdjęcie od Lydii. W ogóle nie widzieli się z nowożeńcami.

Pani Bennet jak zwykle leżała w łóżku – potrzeby lunchu Ligi Kobiet, wszak niecierpiące zwłoki, na cały weekend zeszyły na dalszy plan, aby ona mogła się poświęcić w pełnym wymiarze swojej hańbie i cierpieniu – a pan Bennet i Kitty weszli do pokoju, by jej, Liz oraz Mary złożyć raport, który nie zawierał żadnych informacji.

– Naprawdę przez ten cały czas niczego się nie dowiedziałeś? – spytała pani Bennet.

– Dowiedziałem się, że parking w Hiltonie kosztuje czterdzieści siedem dolarów za dobę – odrzekł pan Bennet tonem skrajnie znużonym. – Coś jeszcze, Kitty?

– Cloud Gate jest fajny.

– Zawsze wiedziałam, że z Hamem jest coś nie tak – powiedziała pani Bennet. – Miał w oczach coś dziwnego i ja mu nie ufałam.

– Teraz pewnie są w podróży poślubnej – podsunęła Mary ze złośliwą uciechą.

– Kitty, co ty myślisz? – spytała Liz. Skoro ona się skontaktowała z Lydią, to Kitty na pewno też. Ale młodsza siostra tylko wzruszyła ramionami.

– Powinniśmy wynająć detektywa – odezwała się ponownie pani Bennet. – Fred, pamiętasz, jak Hoessle'owie się rozwodzili i Marilyn wynajęła kogoś, żeby śledził Buddy'ego?

– Prawdę mówiąc, ja miałam wiadomość od Lydii – wyznała Liz.

– Nie przyszło ci do głowy, żeby nam ją przekazać? – spytał ojciec.

– Dostałam ją niedawno i nic nie napisała. To zdjęcie. – Liz stuknęła w ikonkę galerii zdjęć na ekranie, potem w samo zdjęcie: Ham i Lydia

w swoich eleganckich strojach, trzymający świadectwo ślubu, tacy radośni. Pokazała je najpierw ojcu, a na jego twarzy odmalowało się coś na kształt tłumionego ubawienia.

– Rany, wygląda zabójczo – oceniła Kitty.

– No to chyba po sprawie – podsumowała Mary.

Gdy Liz wreszcie podała telefon matce, ta spojrzała na zdjęcie ze ściągniętymi ustami i znowu wybuchnęła płaczem.

– Jeśli Lydia tak sobie życzy, to proszę bardzo – powiedziała. – Proszę bardzo. Ale ja nie chcę mieć już z nimi nic wspólnego.

## Rozdział 140

Liz znalazła ojca w gabinecie.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, czy Mary jest lesbijką – zagaiła – a ty na to powiedziałeś, że niech ludzie robią, co chcą, byle nie na ulicach i byle nie straszili koni?

Pan Bennet westchnął.

– Twoja najmłodsza siostra robi chyba wszystko, co w jej mocy, żeby mnie sprawdzić.

– Rozumiem, że transpłciowość wydaje ci się dziwna. Ale świat się bardzo zmienił.

– W rzeczy samej.

– Nie chcę, żebyśmy byli taką rodziną, w której jest wielka rozpadlina i nikt z nikim nie rozmawia. A ty?

– Co mam zrobić?

– Pomóż mamie przez to przejść. Kiedy Lydia i Ham wrócą do Cincinnati, zaproście ich na obiad jak gdyby nigdy nic. Albo nie wiem... podarujcie im gofrownicę. Oni się nie pobrali na przekór wam. Oni się kochają.

Pan Bennet uśmiechnął się cierpko.

– Pewnie tak. Ale to jest stan ostry, a nie przewlekły.

## Rozdział 141

– Od kiedy wiedziałaś? – spytała Liz Kitty, kiedy jechały po obiad do Bangkok Bistro. – Odkąd zaczęłyście uprawiać crossfit?

– Mniej więcej.

– Czyli nie było tak, że Lydia flirtowała z właścicielem sali treningowej, a potem się dowiedziała, że jest transpłciowy. Wiedziała cały czas?

– O takich rzeczach ludzie gadają. Poza tym Ham jest chorobliwie silny. Może zrobić pięćdziesiąt pompek w minutę, co jest niesamowite, a kiedy weźmiesz pod uwagę, że się urodził jako dziewczyna... – Najwyraźniej Kitty nie podzielała troski Liz o używanie języka poprawnego politycznie. Dodała jeszcze: – Jeśli już, to Ham jako trans bardziej Lydię intrygował.

– Ciekawe, czy teraz zaczniesz walczyć o prawa LGBT – rzuciła Liz, a Kitty się roześmiała.

– Ona siebie w ogóle tak nie widzi, jego też nie. Zdecydowanie myśli o nim jak o facecie i leci na tę całą galanterię. Cóż, wygląda na to, że jeśli masz z pierwszej ręki wiedzę o kobiecym ciele, to w seksie tylko pomaga.

– Uch. – Liz podniosła rękę, próbując powstrzymać siostrę.

– Ale jesteś pruderyjna.

– Wcale nie – odparła Liz. – Dobrze im życzę, ale nie muszę o tym słuchać.

– To po co mi zadajesz te wszystkie pytania?

## Rozdział 142

Przed południem następnego dnia przyszedł od Lydii esemes wysłany do całej grupy, czyli do Jane, Liz, Mary i Kitty: *Wracamy dzisiaj i robimy imprezę. Możecie przynieść alkohol?*

I kolejny: *U nas około 21.*

I trzeci: *Szampan za słodki, ale tequila, cydr okej, tylko nie taniocha.*

Nastąpiła eksplozja odpowiedzi:

Od Kitty: *Gratulacje!!!!!!*

Od Jane: *Szkoda, że mnie tam nie ma! Wszystkiego najlepszego!*

Od Mary: *Podoba Ci się życie lesbijki?*

Od Liz: *Myślę, że powinnaś się skontaktować z rodzicami.*

Od Kitty: *Oni naprawdę wariują.*

Od Liz: *I powiedz Hamowi, że bardzo się cieszę, że jest moim szwagrem.*

Od Mary: *Szwagrem jak szwagrem.*

Od Lydii: *Mary, wierz mi, Ham jest bardziej męski niż 99% facetów.*

Od Lydii: *Rodzice niech sobie myślą, co chcą.*

Od Lydii: *Mary, używamy 22 cm dildo. Powinnaś kiedyś spróbować, może być, kurwa, tyle nie zrzędziła.*

Od Lydii: *Jestem najmłodsza, a pierwsza wyszłam za mąż. Głupio wam, co?*

## Rozdział 143

Zdania, które wcześniej krążyły w głowie Liz – „Zakochałem się w tobie. Ciągle o tobie myślę” – teraz ustąpiły innym. Gdy stała pod prysznicem, spłukując szampon z włosów, po tym jak zjadła kanapkę z indykiem, jak już pojechała do Hyde Park Wine & Spirits i posłusznie kupiła nietanią tequilę i cydr, a potem do księgarni Joseph-Beth, gdzie nabyła książkę pod tytułem *101 pytań o transpłciowość. Prosty przewodnik po zagadnieniu*, przez ten czas po jej głowie rozбивały się słowa: „Na pewno wiesz już o moim bracie i Caroline”. Gdy jechała Edwards Road, myślała: „Na pewno wiesz już o moim bracie i Caroline. Na pewno wiesz już o moim bracie i Caroline. Na pewno wiesz już o moim bracie i Caroline”.

Po powrocie do swojego pokoju wyszukała w internecie miejsce i godziny spotkań grup wsparcia dla członków rodzin osób transpłciowych. Potem znalazła nazwiska trzech terapeutów rodzinnych, spisała o nich informacje na kartce, złożyła ją, wsadziła do koperty, na której napisała „Mama i Tata”, i przymocowała gumką do książki *101 pytań o transpłciowość*. Wreszcie, gdy już nie przychodziły jej do głowy żadne gesty, które by ją przekonały, że jest przykłądną córką i siostrą, kupiła bilet do Nowego Jorku na rano.



## Rozdział 144

Lydia miała na sobie krótką żółtą letnią sukienkę i buty na płaskim obcasie, i rzeczywiście wydawała się wypełniona małżeńską szczęśliwością, w której istnienie Liz nigdy nie wierzyła. Na powitanie panna młoda wyciągnęła lewą rękę do Kitty i Liz (Mary postanowiła nie wziąć udziału w imprezie), a wówczas światło odbiło się w ogromnym brylancie o szlifie schodkowym i obrączce wysadzanej brylancikami.

– Kupiliśmy je u Tiffany’ego na Magnificent Mile – poinformowała. – Kosztowały w sumie dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Są piękne – powiedziała Liz.

– Ham zapłacił gotówką? – spytała Kitty.

W tym momencie podszedł Ham i chociaż Liz wyczuła skrywaną rezerwę, gdy się uściskali na powitanie, on też sprawiał wrażenie naprawdę szczęśliwego.

– Gratulacje – powiedziała. – Witam w rodzinie.

– Mam świadomość, że to się nie rozegrało w sposób idealny – przyznał – ale wiesz, mam nadzieję, że zawsze będę szanował twoją siostrę i troszczył się o nią.

Mówił to z żarliwością wzruszającą i krępującą zarazem; poza tym Liz zdawała sobie sprawę, że przygląda się jego bródce jak nigdy wcześniej.

– Oczywiście – rzuciła pod nosem.

– Będę się starał dotrzeć do waszych rodziców – kontynuował. – Myślę, że teraz lepiej ich zostawić w spokoju, ale się nie poddam.

– Miło mi to słyszeć – odrzekła i w tym momencie Hama objęła wysoka ruda kobieta, której Liz nie знаła. Rozmowa się urwała.

W domu kręciło się jakieś czterdzieści zaproszonych osób – wysportowanych mężczyzn i kobiet, dwudziesto-, trzydziesto- i czterdziestoletnich, a do tego znane Liz z widzenia eleganckie młode kobiety, które były przyjaciółkami Lydii z dzieciństwa. Ham mieszkał

w wąskim i nieskazitelnie czystym pięciokondygnacyjnym domu w Mount Adams z granitową kuchnią i tarasem na dachu. Gdy Liz stawiała tequilę i cydr na stole w jadalni, gdzie urządzono barek – znalazło się tam kilka butelek szampana, którego sobie naląła – zaczęła ją Jenny Teetelbaum, najlepsza przyjaciółka Lydii z Seven Hills.

– Nieźle z tym Hamem, co? – spytała na cały głos. – W życiu bym się nie domyśliła.

Liz ściszyła głos, w nadziei, że poświęci tamtej przykładem:

– Bardzo się cieszę z ich związku.

– Podobno wasi rodzice się wściekli – kontynuowała Jenny. – I naprawdę trudno się dziwić.

– Nadal pracujesz w przedszkolu?

Wysłuchawszy szczegółowej relacji o kapryсах pięciolatek, Liz znalazła się w salonie, gdzie trafiła prosto w środek dyskusji, czy podrzut sztangi, czy podciąganie na drążku jest najlepszym pojedynczym ćwiczeniem crossfitowym, gdy Ham zastukał widelcem o kieliszek. Stał przed kominkiem z Lydią u boku.

– Dziękuję wam wszystkim, że przyszedliście dzisiaj – rzekł, a sam początek wywołał oklaski i okrzyki. – Chcę tylko powiedzieć, w imieniu swoim i Lydii, że bardzo się cieszymy, że z nami świętujecie, i że doceniamy wasze wsparcie, teraz, gdy zaczynamy nowy etap wspólnego życia. Lydio, skarbie, dziękuję ci, bo dzięki tobie jestem najszczęśliwszym facetem na świecie!

Odwrócili do siebie twarze do pocałunku, wywołując prawdziwą radosną wrzawę. Gdy wypuścili się z objęć, Lydia podniosła ręce nad głowę jak olimpijczyk, który ukończył zwycięski bieg narciarski.

– Muzyka! – krzyknęła.

Liz mimowolnie się zastanowiła, czy pierwsza piosenka, *I Don't Want to Miss a Thing* Aerosmith, to wybór zaplanowany czy przypadkowy. Natomiast niewątpliwa wydawała się miłość Lydii i Hama.

Kilka minut później, gdy Lydia tańczyła z Jenny Teetelbaum, Liz postukała siostrę w ramię.

– Wychodzę – powiedziała. – Jeszcze raz wszystkiego najlepszego.

Lydia zrobiła pogardliwą minę.

– Nie ma nawet jedenastej!

– Jutro rano wracam do Nowego Jorku. Lydio, naprawdę mam nadzieję,

że się skontaktujesz z rodzicami.

– Nie męcz mnie na naszym przyjęciu.

– Może są starzy, dziwni i mają ograniczone horyzonty, ale to twoi rodzice.

– Jezu Chryste, nie możesz przestać chociaż na chwilę? – Lydia sięgnęła po dłoń Liz, chwyciła ją mocno, podniosła i zaczęła pod nią wirować. – Zupełnie zapomniałaś, jak się bawić? – spytała, a Liz pomyślała: „Może”.

Uściskała swoją okropną, uroczą młodszą siostrę.

– Daj mi znać – powiedziała.

## Rozdział 145

Na dworze Liz szybko ruszyła do samochodu ojca i dzielił ją od niego z metr, gdy usłyszała, że ktoś ją woła. Odwróciła się i zobaczyła, że biegnie ku niej Ham.

– Wymknęłaś się, nie dając mi szansy, żebym ci podziękował jeszcze raz za to, że dzisiaj przyszałaś. Naprawdę.

– To ja dziękuję za zaproszenie – odrzekła Liz odruchowo, po czym zamilkła. Zastanawiała się, czy przez najbliższe kilkadziesiąt lat on będzie częścią jej życia, a ona jego. O ile Ham i Lydia pozostaną małżeństwem.

– Mam nadzieję, że nie czujesz się... no nie wiem... wprowadzona w błąd.

– Nie przejmuję się tym, że jesteś transpłciowy – odparła. – Zresztą mam świadomość, że niepotrzebna ci moja aprobata. Ale gdyby Lydia nie pogodziła się z rodzicami, byłoby naprawdę źle.

– Najbardziej na świecie chcę mieć z nimi dobre relacje. Ja tego nie planowałem, to ona wpadła na pomysł ze ślubem. Mogłem oczywiście się nie zgodzić, ale gdybym się nie zgodził, a wasi rodzice jakoś jednak nastawili ją przeciwko mnie? Nie mogłem ryzykować, że stracę miłość swojego życia.

Czy ona kiedykolwiek doświadczy takiego niepojętego uwielbienia, jakim Ham obdarzył Lydię?

– Uznałem, że najlepiej będzie teraz wziąć ślub, a potem na spokojnie przekonywać waszych rodziców, że jestem porządnym człowiekiem – mówił Ham. – To nadal jest mój cel i chętnie przyjmę twoją radę.

– A te inne rzeczy, które mi powiedziałeś – podjęła Liz – twój biogram na stronie... Czy to wszystko prawda? Jeśli nie, to zrozumieć. Ale byłeś w wojsku i wychowałeś się w Seattle?

– To zdecydowanie wszystko prawda. Służyłem w Signal Corps jako kobieta i miałem inne imię, ale tak.

Liz westchnęła.

– Myślisz, że w magazynie z rzeczami z piwnicy moich rodziców są pająki?

– Przeszło mi to przez głowę. Mogę sprawdzić. Liz, ja wiem, że Lydia daje ci popalić, ale oboje bardzo się liczymy z twoim zdaniem. Cieszę się, że mamy twoje błogosławieństwo, i obiecuję, że wyprostuję sprawy z waszymi rodzicami.

– Wierzę ci. A teraz wracaj do środka, bo przegapisz własne wesele. – A gdy Ham przysunął się, żeby ją uściskać, dodała: – Lydia ma wielkie szczęście, że cię znalazła.

## Rozdział 146

Samolot wylądował na JFK o jedenastej z minutami i zanim jeszcze się zatrzymał, Liz przełączyła telefon z trybu samolotowego. Na ekran natychmiast wyskoczyły trzy esemesy, jeden od Talii, jej redaktor naczelnej, drugi od Jane, a trzeci od Darcy'ego: *Mam nadzieję, że z Twoją rodziną wszystko w porządku. Mogę Cię zaprosić w weekend na drinka?*

Serce jej urosło i natychmiast się ścisnęło. Dlaczego teraz? No oczywiście, że teraz! „Na pewno słyszałaś o moim bracie i Caroline” – pomyślała Liz i gdy sobie wyobraziła, że mogłaby siedzieć w barze i słuchać, jak on opisuje swój wznowiony romans, bardzo się ucieszyła, że już jej nie ma w Cincinnati.

Była gotowa – to mało powiedziane – po raz kolejny wrócić do swojego życia w Nowym Jorku. Z Darcym się nie udało; Liz miała trzydzieści osiem lat i nie udało się z mnóstwem facetów. *Właśnie wróciłam do Nowego Jorku* – odpisała szybko. *Wygląda na to, że się minęliśmy.* Wysłała, a parę minut później wysiadła z samolotu i szybkim krokiem szła przez terminal, podniesiona na duchu – choćby na chwilę – świadomością, że coś za sobą zamknęła.

# **Część III**

## Rozdział 147

Na rano tego dnia, gdy miał się odbyć lunch Ligi Kobiet, Liz zamówiła wielki bukiet jasnoróżowych róż przybranych jagodami dziurawca i słodkim groszkiem. Miał być dostarczony do Tudor wraz z kartką od niej i od Jane. W zaplanowanych godzinach lunchu napisała esemes do Mary i Kitty z pytaniem, jak idzie.

*Okej. Prawie koniec* – odpisała Mary.

*Wyobraź sobie imprezę studentek, które przeniosły się w czasie o 50 lat. Oprócz picia* – odpisała Kitty.

Czyli na swoje pytanie Liz nie dostała odpowiedzi.

Poprzedniego dnia odebrała wiadomość od Shane'a Williamsa, że kolejna para szykuje się do złożenia oferty na dom, i celowo czekała z tą wiadomością do imprezy. Gdy pod wieczór zadzwoniła do Tudor, dowiedziała się od ojca, że matka już się położyła.

– Z poczuciem klęski czy triumfu? – spytała.

– Czasami trudno powiedzieć, prawda?



## Rozdział 148

Oferta opiewała na osiemset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy dolarów; po negocjacjach stanęło na dziewięćuset dwudziestu tysiącach. W trakcie telekonferencji z Liz i panem Bennetem Shane zdecydowanie zalecał przyjęcie tej sumy.

– Chyba że chcecie wycofać dom z rynku, zrobić remont i ponownie go wystawić na wiosnę – rzekł. – Ale teraz trwa rok szkolny, na horyzoncie ferie, ludzie nie szykują się do przeprowadzek.

Za drugim razem inspekcja techniczna nie znalazła żadnych niespodzianek; ostateczny termin wydania nieruchomości ustalono na osiemnastego października i na ten dzień Liz kupiła bilet na lot do Cincinnati.

## Rozdział 149

Wrzesień w Nowym Jorku nie stronił od niemiłych upałów, ale w październiku, ulubionym miesiącu Liz, miasto zawsze rozkwitało – liście w Central Parku zmieniały kolor, stylowe kobiety pracujące w „Mascarze” i siostrzanych czasopismach chodziły w płaszczach z paskiem, a jej ulubiona knajpa serwowała zupę dyniową. Przyszło jej do głowy, że po przedłużonym pobycie w Cincinnati oddaliła się od nowojorskich przyjaciół, że może nawet własne nawyki wydadzą się jej obce, a tymczasem miasto podobało jej się od nowa, i to uczucie wydawało się odwzajemnione: wychodziła często na drinka, na kolację, na brunch, w wielu wypadkach z ludźmi, z którymi nie zadawała się od ponad roku, więc było dużo do obgadania i omówienia. Chociaż pilnowała, by co drugi dzień wieczorem dzwonić do rodziców i równie często, jeśli nie częściej, pisać esemesy do sióstr, to pozbawiona ciągłych rodzinnych obowiązków czuła się, jakby zyskała dodatkowe godziny i mogła je spożytkować na czytanie książek, długie biegi, chodzenie do kina albo na wystawy, których by pewnie poprzedniej wiosny nie zobaczyła – chociażby chciała – uważając, że jest zbyt zajęta.

Kilka tygodni minęło, zanim zdała sobie sprawę, że ów zasób dodatkowego czasu zawdzięcza nie tylko temu, że nie jest już na każde zawołanie członków rodziny, lecz także zakończeniu związku z Jasperem. W drugim tygodniu października, bez radości i bez mściwej satysfakcji, wyrzuciła nigdy niewłożone czerwone przezroczyste body i stringi, które przysłał jej do Cincinnati. Do makulatury trafiła też kartka, na której ponad piętnaście lat temu zapisała to, co wówczas uznała za najlepsze zdania Jaspera: „Z tobą rozmawiam bardziej otwarcie niż z nią”, „Czasami myślę, że stanowilibyśmy dobraną parę”, „Moje życie bez ciebie byłoby beznadziejne”. Jak mizerne okazały się te podarki, jak prowizoryczne te wyrazy uznania. Winę jednak w równej mierze jak on ponosiła ona. Wspominając swoje swobodne spekulacje, kiedy to umrze babcia żony Jaspera, by mógł się on

rozwieść już bez przeszkód, Liz postawiła sobie pytanie, czy istnieje wyrazistszy znak gruntownego zepsucia związku niż uzależnienie jego formalnej realizacji od śmierci innej ludzkiej istoty.

Tak czy owak, gdy jesienne wieczory napełniały Liz przede wszystkim tęsknotą, gdy wychodząc z pracy, czuła w zimnym powietrzu zapach nerkowców w cukrze i spadłych liści, jej myśli nie zaprzętał Jasper, tylko ktoś zupełnie inny.

## Rozdział 150

*Gratulujemy, Kathleen Bennet – napisano w mejlu, który Kitty przekierowała do Liz. Instytut Kosmetologii Kenwood z przyjemnością oferuje Pani miejsce w naszym prestiżowym i supernowoczesnym szesnastotygodniowym Kursie Manikiuru; Pani zajęcia rozpoczną się w PONIEDZIAŁEK, 4 LISTOPADA 2013 ROKU.*

*Zadowolona? – dopisała Kitty nad mejlem, a Liz odpisała: Tak, bardzo. Powodzenia!*

## Rozdział 151

Do Liz zadzwoniła pani Bennet, co było o tyle niezwykle, że nie chodziło o wyprzedaż mat łazienkowych w Gattle's.

– Twój ojciec poszedł na wykład z tym zbrodźcą – niemal wysyczała. – Wyobrażasz sobie?!

– Masz na myśli Hama? – spytała Liz.

– Nie wiem, co twój ojciec sobie wyobraża.

Liz już wcześniej z radością dowiedziała się, że pan Bennet i Lydia wybrali się, i to kilka razy, na śniadanie do Echo, o ile się jednak orientowała, oto po raz pierwszy od ślubu córki ojciec spotykał się z zięciem.

– O czym jest ten wykład? – spytała.

– To nie ma kompletnie żadnego znaczenia – odrzekła pani Bennet.

Wystarczyło trochę poszperać w internecie, by przekonać się, że panowie postanowili wysłuchać wykładu profesora Uniwersytetu Cincinnati na temat prawa i polityki w starożytnej Grecji.

*Pasjonujesz się historią?* – napisała w esemesie do Hama.

*Pasjonuję się wszystkim, co trzeba* – odpisał Ham. *Wszystkim J*

## Rozdział 152

Za pomocą aplikacji randkowej na smartfona, nieistniejącej jeszcze w czasach, gdy ostatnio była singielką, Liz wyprawiła się na kilka randek, które nie wypadły ani strasznie, ani obiecująco. Za piątym razem – jak się okazało – umówiła się na drinka z mężczyzną, z którym poszła na jedną randkę siedem lat temu, chociaż żadne z nich sobie tego nie uświadomiło, dopóki nie usiedli naprzeciwko siebie w restauracji na Wschodniej Trzydziestej Szóstej i nie pogadali z dziesięć minut. Miał na imię Eric, teraz mieszkał na przedmieściach New Jersey, był rozwiedziony i miał dzieci w wieku pięciu i dwóch lat.

Niewątpliwie był bardzo miły, ale gdy rozmawiali, zaczęło jej przeszkadzać to wszystko, co przeszkadzało jej ostatnim razem, jeśli nie liczyć drobnych zmian. Nawet nie wiedziała, że przez siedem lat przechowywała w głowie listę przeciwwskazań do wiązania się z Erikiem Zantim, lecz gdy ta się reaktywowała, nie dało się jej wykasować: Nie czytał za dużo, jak powiedział, bo był zbyt zajęty. Lubił polować na zwierzyne drobne, chociaż na ostatnim męskim weekendzie z kumplami zdjął sporego jelenia. Jego zdaniem była żona spędzała za dużo czasu na Facebooku.

Kiedy Liz miała dwadzieścia parę lat, mieszkała z dziewczyną o imieniu Asuka, która nienawidziła zakupów spożywczych; mówiła, że patrzenie na to całe jedzenie na tyłu regałach, myślenie o posiłkach, które musi przygotować, dzień po dniu i rok po roku, napełnia ją rozpaczą. Gdy Liz pożegnała się z Erikiem przed knajpą – pocałowali się w policzek, a ona powstrzymała się od żartu, że do zobaczenia za siedem lat – zrozumiała rozpacz Asuki, tyle że w odniesieniu do mężczyzn. Jeszcze zanim wróciła do domu, skasowała z telefonu aplikację randkową.

## Rozdział 153

Przyleciała do Cincinnati na czterdzieści osiem godzin, by pomóc rodzicom w przeprowadzce i ostatecznym rozliczeniu w kancelarii prawnej. Przez cały ten czas wypatrywała Darcy'ego. Wypatrywała go, czy nie biegnie Madison Road, gdy krążyła w tę i z powrotem – dostosowując kursy do wozu meblowego – pomiędzy Tudor a Grasmoor, w którym to budynku rodzice ostatecznie zdecydowali się zamieszkać, choć nie kupili trzypokojowego mieszkania, tylko wynajęli dwupokojowe, a fundusze, które na kupno mogły posłużyć, przeznaczyli na opłatę członkowską w Country Clubie. Wypatrywała Darcy'ego w centrum, gdy pojechała z ojcem do kancelarii prawnej (nigdy wcześniej Darcy'ego nie spotkała w centrum) i gdy czekała u Deweya w Oakley na odbiór pizzy – pierwszy posiłek rodziców w nowym mieszkaniu. Wypatrywała go, kiedy sama poszła pobiegać następnego dnia, i kłamstwem byłoby twierdzenie, że nie rozważała, czy aby nie zająć do niego, ale była siódma dwadzieścia rano, a on miał bardzo skomplikowany grafik dyżurów i dziewczynę. („Na pewno słyszałaś o moim bracie i Caroline”).

Przed wyjazdem umówiła się na lunch z Lydią i Hamem w Teller's.

– Nie wiem, czy Lydia ci wspomniała, że napisałem list do waszej mamy – powiedział Ham. – Niestety, nie dostałem odpowiedzi.

Poprzedniego wieczoru nad pizzą Liz spytała matkę, czy zamierza przerwać milczenie i skontaktować się z córką i zięciem. „Na pewno nie” – zadeklarowała pani Bennet.

– Myślę, że jeszcze potrzebuje czasu – powiedziała teraz do Hama. – Może jak już się przyzwyczają do nowego mieszkania, będzie bardziej otwarta. Ale cieszę się, że próbujesz.

– Lizzy, ja mam pytanie – odezwała się Lydia. – Korygowałaś sobie kiedyś brwi?

Wstali całą trójką do wyjścia, gdy ujrzeli kobietę w średnim wieku,

w której Liz rozpoznała Gretchen Keefe. Dawno temu, jako nastolatka, była ich opiekunką, mieszkała po sąsiedzku na Grandin Road. Towarzyszyła jej druga kobieta, a obie miały na sobie czarne legginsy, markowe drogie bluzy z kapturem i pierścionki z wielkimi brylantami.

– Cześć! – przywitała się Gretchen ciepło. – Czy to prawda, że Mary wyszła za transwestytę w tajemnicy przed rodziną?

Liz się skrzywiła, a Ham wyciągnął rękę i rzekł równie ciepło:

– Tak dokładnie to jestem transseksualistą, a nie transwestytą, i ożeniłem się z Lydią, ale miło mi panią poznać. Hamilton Ryan.

– O mój Boże. – Zamiast uścisnąć dłoń Hama, Gretchen podniosła rękę do ust; z jej twarzy wymiotło całą wesołość.

– Czy to prawda – zagaiła ją Lydia z udawaną pogodą – że od piętnastu lat nie sypia pani z mężem? Bo tak powiedział zeszłego lata naszej Kitty na basenie.

– Nie miałam pojęcia... – wydusiła Gretchen.

– Rzeczywiście – przerwała jej Liz nienaturalnie głośno – w naszej rodzinie nastąpiło wiele zmian. Nasi rodzice na przykład wczoraj wyprowadzili się z Grandin Road. Dom zrobił się dla nich za duży. – Takie wyjaśnienie pani Bennet przedstawiła koleżance z Ligi Kobiet, Abigail Rycraw, wdowie, na którą wpadli na parkingu pod Grasmoor, a matka powiedziała to tak przekonująco, że Liz na chwilę sama jej uwierzyła.

Gretchen była chyba bliska łez, więc Liz dodała:

– W każdym razie miło, że się spotkaliśmy! – Zerknęła na Hama oraz Lydię i wskazała wyjście: – Idziemy?

– Pieprzona Gretchen Keefe – zaklęła Lydia już na zewnątrz.

– Musisz się uodpornić, skarbie – rzekł Ham. – Nie przejmuj się.

– Przykro mi – powiedziała Liz.

Ham wzruszył ramionami.

– Słyszałem gorsze rzeczy.



## Rozdział 154

*Pamiętasz tego Darcy’ego, który Cię obraził na grillu u Lucasów? – napisała Mary do Liz w Halloween. Właśnie go widziałam w Skyline, ale był jakiś dziwnie miły.*

Liz siedziała przy swoim biurku w redakcji „Mascary”, szykując się do spotkania o trzynastej.

*Od Mary nadszedł kolejny esemes: Może ma dwubiegunówkę.*

*O czym ty mówisz? – napisała Liz, ale skasowała.*

*Była z nim Caroline, siostra Chipa? – napisała i też skasowała.*

*Padło moje imię? – napisała i również skasowała.*

*Wreszcie napisała: Chyba lubi chili, i tę wiadomość wysłała.*

## Rozdział 155

Czterdzieste urodziny Jane wypadały w pierwszą sobotę listopada. Liz wybrała się pociągiem do Rhinebeck, by pomóc przy kolacji, którą przygotowywały Amanda i Prisha. Już wcześniej jeździła dwukrotnie do Rhinebeck i za każdym razem uspokajała się, że siostra ma rumieńce, jej nastrój się poprawia, a mała urocza wypukłość w środkowym rejonie jej ciała miarowo przyrasta. Do dnia urodzin, wypadających w dwudziestym drugim tygodniu ciąży, Jane zdecydowanie nabrała bujnych kształtów i zmysłowości. Nosila koszule odcinane pod biustem, podkreślające jej pełne piersi, i dżinsy, których rozciągliwy panel na brzuchu pokazała siostrze z rozbawieniem.

– Wyglądasz jak bogini urodzaju – powiedziała Liz, a Jane się roześmiała i nie sprawiała wrażenia niezadowolonej.

Państwo Bennetowie zadzwonili po południu i odśpiewali *Happy Birthday* – i był to jedyny zgodny duet w wykonaniu rodziców, jaki Liz w życiu słyszała. Goście nadjechali około dziewiętnastej: przyjaciele Amandy i Prishy, których Jane niedawno poznała, koleżanka z Barnard i jej mąż mieszkający w niedalekim Kingston, dwie koleżanki ze studia jogi, które podobnie jak Liz przyjechały aż z miasta. Chociaż Jane nie piła, Amanda otworzyła kilka butelek wina, niewątpliwie drogich. Liz przywiozła tort z piekarni Cobble Hill – w zatłoczonym pociągu siedziała z pudełkiem na kolanach jak karne dziecko, a nad nim trzymała czytaną książkę – i pomimo sytego posiłku nikt nie odmówił skosztowania kawałka.

Liz spała z Jane i jej cielesną poduszką w podwójnym łóżku sypialni dla gości, a w niedzielę rano, gdy Amanda i Prisha jeszcze nie wstały, ich syn zaś oglądał telewizję, siostry poszły na spacer po leśnych drogach wokół domu.

– I jak się czujesz jako czterdziestka? – spytała Liz. – Fantastycznie i seksownie?

– Raczej zmęczona i niemądra – odrzekła Jane, ale w jej głosie słychać było radość. – Dziękuję, że przyjechałaś.

– Jak sobie radzisz finansowo?

Jane pokręciła głową.

– Amanda nie pozwala mi za nic płacić, a jej przyjaciółki są niesamowite, jeśli chodzi o dostawy używanych ubranek. Teraz muszę tylko wykombinować, jak powiedzieć rodzicom. Mama dalej nie rozmawia z Lydią i Hamem, co?

– Raczej nie. Słyszałaś, że Lydia przedstawiła listę prezentów? Nie chcę mówić jak mama, ale czy to dopuszczalne, jeśli się bierze ślub w ten sposób?

– Będę musiała jej coś zamówić.

– Może porcelanowy serwis obiadowy po dwieście czterdzieści dolarów za nakrycie? Czy wolałabyś sokowirówkę za sześćset pięćdziesiąt?

– Zmysłasz czy to prawdziwe pozycje?

– Gwoli sprawiedliwości sokowirówka też sieka i przeciera.

Jane wybuchnęła śmiechem.

– Może stać mnie na zakup widelca. Lizzy, nie wiem, jak sobie wyobrażałam swoją sytuację finansową, gdy będę miała czterdzieści lat, ale zebrania po znajomych na pewno nie przewidziałam.

Zadziwiający zdaniem Liz nie było to, że ktoś bogaty zjawił się, by wesprzeć finansowo ciężarną Jane; zadziwiający było to, że Jane znalazła się w takiej sytuacji, że potrzebowała wsparcia. Była tak wytworna, tak urocza i kochana, że jej związek z Chipem w pewien sposób wydawał się nieuchronny. I to raczej ich zerwanie, nie zaś obcowanie wyglądało na odstępstwo od scenariusza. Poza tym – gdyby Liz jako członek rodziny nalegała na przejęcie odpowiedzialności – czy niestosowna była jej ulga, że to nieprzyzwoicie bogata Amanda, a nie tak sobie majątna Liz wspiera Jane finansowo?

– Chyba im nie przeszkadza to zebranie, jak je nazwałaś – zauważyła teraz.

– Ty byś tak nigdy nie zrobiła. Wręcz przeciwnie. Czy aby nie płacisz czynszu za Kitty i Mary?

– Tylko do chwili, gdy skończą szkoły i dostaną pracę. Muszę ci coś jeszcze powiedzieć o Lydii. Przyjęła nazwisko Hama i teraz nazywa się Lydia Ryan.

– Hm. Wygląda na to, że jednak jest tradycjonalistką – odrzekła Jane.

## Rozdział 156

Nic dziwnego, że w końcu wpadła na Jaspera. Biorąc pod uwagę niewielki rozmiar świata mediów na Manhattanie, musiało to kiedyś nastąpić i pozostawało tylko pytanie kiedy. Jak się okazało, odpowiedź brzmiała: w środowu wieczór na promocji pamiątek byłej doradcy bezpieczeństwa narodowego z Białego Domu, znanej też ze swoich oszalamiająco wymodelowanych łydek.

Impreza odbywała się w sali na dwudziestym pierwszym piętrze budynku przy Columbus Circle. W holu na dole wraz z Liz wsiadły do windy trzy inne osoby, a gdy już drzwi się zamykały, w ostatniej chwili wcisnęło się między nie ramię i męski głos zawołał:

– Czekaście! – Po chwili pojawiła się reszta Jaspera. Napotkał wzrok Liz i się uśmiechnął. – Hej! To ty!

– Hej – odpowiedziała Liz z rezerwą.

Zawsze był przystojny i to się nie zmieniło, ale Liz po raz pierwszy zauważyła, jak staro wygląda: kręcone blond włosy były bardziej srebrzyste, w kącikach oczu rysowały się kurze łapki. Kiedy to się stało? Te spostrzeżenia nie przyniosły jej satysfakcji. Wręcz przyprawiły ją o smutek.

Wszyscy wysiedli na dwudziestym pierwszym piętrze, a Jasper zatrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

– Staram się uszanować twoją wolę – powiedział – ale naprawdę chcesz mnie zamorzyć głodem?

– Nie morzę cię głodem.

– A więc co? Koniec z nami, tak po prostu? Po tym wszystkim?

– Miałeś swoją szansę.

– Jeśli się z kimś pukasz, powiedz tylko, że to nie Darcy. – Milczała, a gdy minęli ich kolejni goście, którzy wysiedli właśnie z drugiej windy, Jasper dodał: – Może chociaż pójdziemy na kawę? Brakuje mi naszych rozmów.

Uwolniła się z jego uchwytu.

– No to chyba trzeba było mnie lepiej traktować.

## Rozdział 157

Esemes od Kitty nadszedł, gdy Liz wyciągała pranie z suszarki w piwnicy swojego budynku: *Wczoraj rodzice zabrali L&H na kolację do Country Clubu. Tak żebyś wiedziała.*

Natychmiast zadzwoniła do siostry.

– To wypas, nie sądzisz?

– Pewnie tak – odparła Kitty głosem bez wyrazu, może znudzonym.

– Malujesz właśnie paznokcie?

– Gdybym malowała paznokcie, jak miałabym do ciebie pisać?

## Rozdział 158

Następnie Liz zadzwoniła do matki.

– Słyszałam, że jedliście wczoraj kolację z Lydią i Hamem.

– Mają w menu nowy makaron z krewetkami – odrzekła pani Bennet. – Nie miałam nastroju na owoce morza, ale chyba wezmę je następnym razem. A Lydia jadła filet mignon... to danie w klubie zawsze jest wyśmienite.

Dobrze wiedząc, że powinna dać spokój, kontynuowała:

– Nie masz już problemu z transpłciowością Hama?

– Och, to wada wrodzona – odparła szybko pani Bennet. – Jak rozszczep podniebienia. Nie mamy prawa kwestionować Bożego planu, musimy za to pamiętać, że niektórzy ludzie nie rodzą się tacy, jak powinni.

Czy taką teorię matka znalazła w książce *101 pytań o transpłciowość. Prosty przewodnik po zagadnieniu*? Liz nie przeczytała książki, więc nie wiedziała, co w niej napisano.

– Ham zastanawia się nad otwarciem drugiej siłowni – mówiła pani Bennet. – Wszystkie jego grupy mają listy oczekujących, więc poszerzenie działalności byłoby zasadne. – Niesamowite, ale z tonu głosu przypominała takie wydanie swojej osoby, które zawsze było jej marzeniem: była teraz teściową przechwalającą się sukcesami zięcia. – Liz – dodała – nie mogę znaleźć bardzo ładnej poduszki, którą kupiłam jeszcze do starego domu. Z ananasek. Widziałaś ją może?

Na kilka sekund Liz stanęło serce.

– Może się zaplątała w te dary do aukcji – powiedziała w końcu.

## Rozdział 159

Esemes od Darcy'ego przyszedł chwilę po dwudziestej drugiej w czwartek. *Cześć, Liz, w przyszłym tygodniu będę w Nowym Jorku i chciałbym zaprosić na kolację Ciebie i Jane. Macie wolny czas we wtorek albo w środę? Przepraszam, że tak na ostatnią chwilę.*

Jakież zamieszanie wywołało te kilkanaście wyrazów! Dlaczego Darcy miałby zapraszać na kolację ją oraz Jane? Pamięta, że Jane nie mieszka już w mieście? Może chciał uniknąć podejrzeń o randkę?

I nagle, jak to się czasami zdarzało, w głowie Liz rozbrzmiały deklaracje Darcy'ego. Zakochał się w niej. Chciał być jej chłopakiem. I chwilę potem napłynęło tamto straszliwe echo: „Na pewno słyszałaś o moim bracie i Caroline”.

Owszem, istniały okoliczności łagodzące; żadne jednak, pomyślała Liz ze smutkiem i żalem, nie usprawiedliwiły jej na tyle, by ją rozgrzeszyć.



## Rozdział 160

Materiał o Kathy de Bourgh autorstwa Liz ukazał się w grudniowym wydaniu „Mascary”, a artykuł Jaspera o silnych tradycjach squasha w Cincinnati w grudniowym wydaniu „Sporty”. Oba magazyny trafiły do kiosków dzień po dniu na początku listopada. Nie minęło popołudnie, a Liz od sześciu osób dostała esemes albo mejl z powiadomieniem o artykule Jaspera, z czego cztery wiedziały, że to jej znajomy, a wszystkie wiedziały, że ona pochodzi z Cincinnati. Przeczytała tekst wieczorem.

Dopiero gdy go skończyła – materiał skupiał się na trenerze i na jedenastolatku oraz jego zasadniczym ojcu – zdała sobie sprawę, że po części oczekiwała, że tekst Jaspera przeobrazi się z nieskomplikowanego materiału o sporcie w bezpośrednie orędzie do Liz, postmodernistyczne wyznanie win albo samooczyszczenie się z zarzutów. Ale nic z tego. Był tylko o squashu. Czuła rozczarowanie czy ulgę? Spodziewała się rozczarowania, ale niewątpliwie poczuła ulgę.

Następnego ranka, choć odkryła to po udaniu się na spoczynek, dostała krótki mejl od Kathy de Bourgh: *Liz, dziękuję, że zadałaś sobie trud, by przedstawić mnie z szacunkiem i wiernie. Cieszę się, że się poznałyśmy, jestem bardzo, bardzo wdzięczna. Kathy.*

Do tej pory Liz nie komunikowała się bezpośrednio z ikoną feminizmu i przez chwilę nie wiedziała, jak się do niej zwrócić. W końcu jednak zdecydowała: *Kathy, cała przyjemność po mojej stronie. Jestem zachwycona, że artykuł się Pani podoba. Liz.* Mejl od Kathy de Bourgh przekierowała do Talii, redaktor naczelnej „Mascary”, dopisując: *Zobacz, jak miło!*

## Rozdział 161

Drogą wymiany esemesów, które twardo trzymały się tematu logistyki, Liz uzgodniła z Darcym, że razem z Jane spotkają się z nim o dziewiętnastej w bistro na Dolnym Manhattanie. Jane nie paliła się do tego projektu, ale oczywiście wyczuła, że Liz pragnie jej obecności, i po południu przyjechała pociągiem do Nowego Jorku.

Liz chciałaby być tak obojętna wobec Darcy'ego jak Jane, lecz zżerała ją przemożna ciekawość. Może po tej kolacji będzie zraniona i rozżalona, ale musiała się dowiedzieć, dlaczego on chciał się z nimi spotkać. Gdy weszły do lokalu, serce jej łomotało, a ciało pulsowało roztrzęsione.

Podążając za kelnerem, nawiązała kontakt wzrokowy z Darcym z odległości kilku metrów, a gdy wstał – bez uśmiechu, podniósł prawą rękę – wypełniło ją dziwne poczucie szczęśliwości.

– O mój Boże, Chip tu jest – szepnęła Jane.

Rzeczywiście – Liz, skupiona na Darcym, nie zauważyła, że przy stoliku czeka również Chip.

Spojrzała na siostrę i powiedziała:

– Nie miałam pojęcia, przysięgam. – Jane zagryzła wargę, a Liz dodała: – W porządku? Bo możemy wyjść.

– W porządku – odrzekła cicho siostra.

Jeszcze zanim dotarły do stolika, Liz poczuła, jak się cała uśmiecha, robi się za głośna i nadmiernie entuzjastyczna.

– Cześć! – zawołała do Darcy'ego i Chipa. – Chip! Co za niespodzianka!

Chip już zdążył wstać. Fizyczne i symboliczne subtelności, gdy się wszyscy witali, wydawały się nie do przebycia. I tak, pomimo złych przeczuć, Liz zarzuciła Chipowi ręce na szyję w najprzyjaźniejszym i rasowo środkowozachodnim uścisku, a on ją lekko przytulił i pocałował w prawy policzek. Potem uściskała Darcy'ego. Czy oni się wcześniej kiedykolwiek ściskali? No, nie w ubraniu, to na pewno. Ledwie jej ta myśl przeszła przez

głowę, uścisk dobiegł końca, i już usiedli. Zastanawiała się, czy na panach zrobił wrażenie powiększony brzuch Jane.

– Co tu porabiasz? – zagaiła Chipa z wielkim zapałem. Wolałaby choć odrobinę się przyciszyć i nie zgrywać tak kumpla, ale w tej dziwnej i niejasnej sytuacji czuła się w obowiązku przejąć wodze konwersacji. – Na długo przyjechałeś do Nowego Jorku?

– Nie. – Choć był znacznie bardziej opanowany niż Liz, w jego głosie zabrzmiała ta sama co zawsze szczerłość i uprzejmość. – Ale naprawdę się cieszę, że was widzę. – Te słowa oczywiście były zaadresowane do Jane; każda cząsteczka ciała Chipa wydawała się nastrojona i nakierowana na nią. Czy to możliwe, zastanawiała się Liz, że jemu też tak podoba się Jane w tym bujnym i krągłym wydaniu? Gdy powiedział do niej: „Mam nadzieję, że u ciebie wszystko dobrze”, z jego głosu tchnęła ogromna głębia uczucia.

– Mieszkam w Rhinebeck, co jest bardzo odprężające. – Jane wzięła swoją serwetkę ze stołu i położyła ją sobie na kolanach. – A ty ciągle jesteś w Kalifornii?

Kiwnął głową.

– W październiku skończyliśmy zdjęcia do *Dobrej partii po latach*.

Liz chciała spytać, czy znalazł miłość, prawdziwą lub scenariuszową, ale stawianie tego pytania w obecności Jane wydawało się okrutne. Zapytała więc tylko:

– I co dalej?

– Dobrze, że pytasz. Mam agenta, i on rozmawia z paroma osobami, żebym poprowadził medyczny talk-show w kablówce. Byłyby to takie rozmowy okrągłego stołu: ja, pielęgniarka i ktoś z medycyny alternatywnej, akupunkturzysta czy kręgarz. Mam nadzieję, że w ten sposób wykorzystam swoją wiedzę i doświadczenie, nie walcząc w okopach jak ten tu. – Kciukiem wskazał Darcy’ego i dodał lekko: – To tak na wypadek, gdyby ktoś jeszcze miał wątpliwości, czy jestem zerem.

„Nikt nie ma” – pomyślała Liz, ale Jane powiedziała z zadziwiającą siłą:

– Jesteś dla siebie zbyt surowy. Skoro praca w szpitalu ci nie odpowiada, nie masz co się dołować.

Czy ona na pewno mówi tylko o medycynie? zastanowiła się Liz.

Podszedł kelner, a Darcy rzekł:

– Możemy prosić butelkę wina? Jane, nie wiem, czy ty pijesz... – On sam i Chip już mieli przed sobą koktajle.

– Nie – odrzekła Jane.

– Darcy, nie słyszałam w twoim głosie doktorskiego osądu – zauważyła Liz.

Trudno było odczytać jego wyraz twarzy, mogła to być irytacja. „Sam nas tu zaprosiłeś” – pomyślała.

– Jane na pewno wie, że nie musi się przede mną spowiadać – odrzekł sztywno i po raz pierwszy Liz pomyślała, że on jednak nie jest tak całkiem odprężony i wyluzowany, a tylko tego jej było potrzeba do rozproszenia resztek napięcia. Poza tym ci dwaj mężczyźni obecni przy stole złamali serce jej i jej siostrze. Nie zasługiwali na jej nerwy!

– Chip – powiedziała – zastanawiałeś się, czy się zgłosić do tego show tanecznego?

– Wierz mi, tam ciężko się dobić. Nie wspominając, że na pewno się do tego nie nadaję. Nie, jeżeli mam choć trochę szacunku do siebie, *Dobra partia po latach* będzie moim łabędzim śpiewem, jeśli chodzi o reality show. Mogę zostać w telewizji, ale tworząc programy.

Wszyscy wybrali przystawki, przyniesiono im je, Chip mówił najwięcej, Liz była druga, a Darcy i Jane zabierali głos tylko sporadycznie. Chip ani razu nie wypowiedział słowa „ciąża”, natomiast raczej bez skrupowania kilka razy zrobił aluzję do stanu Jane, pytając, jak ona się czuje, kiedy ma termin i czy po urodzeniu dziecka dalej zamierza uczyć jogi. Za posiłek płacił Darcy – Liz wyjęła portfel z torebki, ale on stanowczo pokręcił głową – a gdy podał kelnerowi swoją kartę kredytową, Jane poszła do łazienki. Kiedy wstawiała, obaj panowie również się podnieśli.

– U niej chyba naprawdę wszystko okej – powiedział Chip do Liz.

– To prawda.

– I wygląda na to... że zadomowiła się w Rhinebeck, tak? – Wolałby, żeby było odwrotnie? W czasie posiłku Liz doszła do wniosku, że zebrali się, by Chip i Darcy oficjalnie uzyskali rozgrzeszenie. Żeby ruszyli do przodu i przez resztę życia byli pewni, że nie wyrządzili siostrze Bennet żadnej głębokiej ani trwałej krzywdy i że łączą ich wszystkich przyjazne, politycznie poprawne relacje. To przekonanie, że w ogóle rozgrzeszenie im się należy – w odczuciu Liz to był szczyt pobłażliwości. Ale jeśli się spotkali, żeby Chip podjął próbę powrotu do Jane? Ta ewentualność była intrygująca i niepokojąca.

– Wydaje mi się, że Jane nie ma jeszcze konkretnego planu na czas po

narodzinach – powiedziała ostrożnie.

– Cieszę się, że... – zaczął Chip, ale zadzwonił jego telefon. Zerknął na ekran i powiedział: – Wybaczcie, proszę, to Caroline. – Odszedł od stolika, a Darcy z Liz zostali sami.

– Chcesz dołączyć do rozmowy? – To pytanie miało wypaść zabawnie, a wypadło gorzko.

Darcy spojrział na nią zaintrygowany.

Liz podniosła swój telefon.

– Właśnie ściągnęłam sobie pasjansa, więc sama się zabawię. – Skoro nadal nic nie mówił, znowu odezwała się ona. – To brzmi jak eufemistyczne określenie masturbacji, prawda? – W głowie usłyszała głos: „Liz! Przestań! Masz natychmiast przestać!”. – A swoją drogą, co robisz w Nowym Jorku? – spytała.

Ruchem głowy wskazał stolik.

– Przyjechałem na kolację.

– Nie, poważnie.

– Przyleciałem do Nowego Jorku dzisiaj po południu i o szóstej rano lecę do Cincinnati.

Liz znowu poczuła mętlik w głowie.

– A Chip wyjeżdża jutro? – spytała.

Darcy pokręcił głową.

– Nie, przyjechał na kilka dni. – I dodał: – Wygląda na to, że twoi rodzice pogodzili się z małżeństwem Lydii.

Liz zmrużyła oczy.

– Skąd o tym wiesz?

– To dobra wiadomość, prawda?

– Tak – przyznała. – To dobra wiadomość.

– Może chciałabyś też wiedzieć, że Georgie zgodziła się ofiarować Pemberley jako pomnik historyczny. Nalega, żebyśmy przed przekazaniem odbyli jakiś rytuał pożegnalny, i, jak rozumiem, tobie mam za to podziękować.

– Tak dokładnie to działka Jane, nie moja. Ale mówiłam o tym Georgie. – Chciała zapytać o zdrowie dziewczyny, lecz powstrzymała ją wrogość pomiędzy nią a Darcym. Ucieszyła się z powrotu Jane, po minucie zaś dołączył do nich też Chip.

– Mam nadzieję, że nie zwątpicie w moje maniery, jeśli zasugeruję,

żebyśmy poszli na spacer, Jane i ja – powiedział. – Jane, rozważysz to?

Jane zarumieniała się olśniewająco. Spojrzała na Liz.

– Mamy dzisiaj jeszcze jakieś plany? – spytała, choć oczywiście wiedziała doskonale, że nie mają.

– Nie – odrzekła Liz.

– W takim razie z przyjemnością – powiedziała Jane do Chipa.

Liz i Chip jeszcze raz się objęli, a Jane mało wylewnie podziękowała Darcy’emu za kolację (znowu Liz zazdrościła siostrze, że ta nie musi okazywać Darcy’emu ani sztucznej życzliwości, ani ostentacyjnej drwiny). Ledwie Chip i Jane odeszli od stolika, Liz spytała:

– Czy on próbuje do niej wrócić?

– Musisz jego zapytać – odrzekł Darcy.

Liz wywróciła oczami.

– Za dużą wagę przykładasz do dyskrecji.

Uśmiechnął się lekko.

– A może ty za małą.

Milczenie nabrzmiewało, milczenie, w którym na siebie nie patrzyli ani nie bawili się telefonami; on chyba się jej przypatrywał. Liz czuła, że jeśli się nie będzie pilnować, wypali: „Jak mogłeś wybrać Caroline Bingley zamiast mnie?!”.  
Musiał, musiał coś powiedzieć. Ale nie. Nic nie powiedział, a ona nie była w stanie znieść tego milczenia.

– Pewnie wstajesz bladym świtem? – spytała.

– Samochód przyjeżdża po mnie do hotelu o czwartej.

– W takim razie w ogóle nie powinieneś się kłaść. Lepiej iść w tango.

– Moi jutrzejsi pacjenci na pewno woleliby, żebym tego nie robił.

Czy zrozumiał, że siląc się na żart, Liz badała grunt, czy on chciałby jeszcze pójść gdzieś na drinka? Zerwała się od stolika i sięgnęła po płaszcz.

– No to pozwolę ci już odpocząć. – Założyła torebkę na ramię. – Wszystkiego dobrego, Darcy.

Wiedziała, że nie czekając na niego, zachowuje się dość niegrzecznie. I że zachowuje się niemal chłodno, gdy macha mu ręką z udawanym ożywieniem, zamiast go uściskać, jak to się robi w Ohio, czy cmoknąć w policzek po nowojorsku. Niech sobie ponarzeka na jej maniery u Caroline – jakie to ma znaczenie w tej chwili? Chciała się znaleźć z dala od niego, sama, chciała już wyjść na zimną noc, gdy łyzy przepełnią jej oczy

i popłyną po policzkach.

## Rozdział 162

Czekając na siostrę, Liz zasnęła na kanapie w salonie. Dlatego światło było włączone, a powieść, którą czytała, zdążyła spaść na podłogę, gdy Jane zapukała do drzwi. Liz nawet się do końca nie rozbudziła, gdy otwierała jej, mówiąc:

– Naprawdę nie miałam pojęcia, że Chip tam będzie. Wierzysz mi, prawda?

Jane położyła dłoń na brzuchu.

– Lizzy, on mi się oświadczył.

– Co?! Mówisz poważnie?

Jane skinęła głową.

– Jasna dupa! – zaklęła Liz. – Co ty na to?

– Zgodziłam się. – Starsza siostra praktycznie szeptała.

– O mój Boże! – Liz objęła siostrę. – To szaleństwo. Zaczynać od początku.

– Czekaj, wezmę sobie wody. Też chcesz?

– Nie, dzięki. – Liz zerknęła na zegarek i stwierdziła, że jest trzecia trzydzieści. – Czy wyście się bzykali?

Jane przeszła z części kuchennej do salonu. Z całym wdziękiem, na jaki stać kobietę w dwudziestym czwartym tygodniu ciąży, przysiadła na poręczu kanapy, na którą wcześniej wróciła Liz. Na twarzy starszej siostry malowały się jednocześnie i wstyd, i radość.

– Bałam się, że on... – machnęła ręką w okolicy brzucha – że będzie się bał. I myślę, że z początku czuł się dziwnie, ale potem było naprawdę miło.

– To było przed oświadczynami czy później?

– Później. Lizzy, ja wiem, że twoim zdaniem on się zachował jak tchórz, ale ja też nie byłam zdecydowana. Wtedy sytuacja była taka zagmatwana, a teraz oboje wiemy, czego chcemy.

– Rozumiem, że nie miał pierścionka?



Jane pokręciła głową.

– Zupełnie nie wiedział, jak zareaguję. – Ściągnęła brwi. – Ale to nie koniec. *Dobra partia po latach* będzie nadawana w styczniu i oczywiście stacja chce, żeby to, co pokażą, było niespodzianką. Przy wszystkich takich programach każą uczestnikom podpisywać umowy o zachowaniu poufności i one obowiązują do końca emisji sezonu. Nawet jeśli dwójka ludzi się zakocha w czasie zdjęć, nie mogą się spotykać jeszcze przez całe miesiące, do emisji ostatniego odcinka. Jeśli złamią warunki umowy, można ich zasądzić nawet o cały budżet programu, czyli jakieś pięć milionów dolarów.

Jane napiła się wody i mówiła dalej:

– *Dobłą partię po latach* kręcono w takim eleganckim ośrodku nad oceanem w Malibu i Chip powiedział, że od chwili gdy tam przybył, wiedział, że popełnił błąd. Nie że porzucił medycynę, tylko że zostawił mnie. Dopuścił do tego, że wątpliwości na temat zawodu lekarza, a miał je od lat, wpłynęły na ocenę naszego związku, a gdy dowiedział się o mojej ciąży, nie wytrzymał. Ale tam, w Kalifornii, gdzie miał w romantycznej scenerii flirtować z innymi kobietami, myślał tylko o mnie. Chce wychować moje dziecko jako swoje. Problem w tym, że ze względu na umowę nie możemy być razem jeszcze co najmniej cztery miesiące, no chyba że... i to jest właśnie ta szalona część, jeśli ja się zgodzę... no chyba że weźmiemy ślub teraz w ramach odcinka specjalnego *Dobrej partii*. W trakcie zdjęć rozmawiał o mnie dużo z producentką, którą zna od swojego sezonu, i ona próbowała go przekonać, żeby mnie zaprosił do programu, żebym przyjechała do Malibu, ale on uznał, że to by było nie w porządku wobec mnie, bo to wszystko zostałoby nakręcone. Wręcz w ogóle nie zamierzał się ze mną kontaktować, dopóki Darcy tego nie zasugerował. Chip się martwił, że go nienawidzę. No w każdym razie widział się w zeszłym tygodniu z producentką i ona zapewniła go, że jeśli weźmiemy ślub na planie, stacja zapłaci za wesele, a potem, zanim odcinek specjalny zostanie nadany, wynajmą dla nas dom gdzieś na uboczu, gdzie będziemy czekać na narodziny dziecka.

– To wariactwo – powiedziała Liz.

– On na mnie nie naciska, żebym to zrobiła – zastrzegła Jane. – Mówi, że wybór należy do mnie i że jeśli będziemy musieli zaczekać do marca albo do kwietnia, żeby być razem, to okej. Ale wiesz, Lizzy, w marcu będę miała noworodka. Emocjonalnie to będzie zupełnie co innego, dla Chipa też. Chcę,

żebyśmy zostali rodzicami razem. Możemy później zacząć w miejscu, w którym teraz przerwiemy, ale nie ma gwarancji, że to się uda.

Liz milczała kilka sekund.

– Chciałabym się z tobą nie zgodzić. Jednego nie kumam: dlaczego nie możesz się przenieść do L.A., wynająć mieszkania i spotykać się z nim dyskretnie?

– Też o to zapytałam, a on mówi, że producenci na to nie pozwolą. Mówi, że nie mają nic przeciwko naszemu związkowi, jeśli w pewien sposób będą go mieli pod kontrolą albo jeśli będą mieli z niego korzyści, ale w innym wypadku powiedzą, że ryzyko jest za duże. W L.A. Chip jest o wiele bardziej rozpoznawalny niż gdzie indziej.

– Jezu – jęknęła Liz. – A ja sądziłam, że to mama próbuje nami rządzić. – I skoro siostra milczała, podjęła: – Jak staram się sobie wyobrazić, że ty, taka słodka joginka, bierzesz ślub przed kamerami i ogląda to cały kraj... to nie jest normalne.

– Wiem. Miałam kiedyś pewne konkretne zdanie, jak powinien wyglądać mój ślub. Pamiętasz tę zabawę, w której wybierałyśmy drużny? Ale to było dawno temu. Dzisiaj mam czterdzieści lat, niedługo urodzę dziecko. Nie obchodzi mnie żadna oprawa. Wolę po prostu wyjść za Chipa i zająć się naszym życiem. – Spojrzała na siostrę. – Może straciłam rozum.

– No cóż, niewątpliwie oglądalność sięgnie szczytu – powiedziała Liz. – Nawet ja bym włączyła telewizor, żeby zobaczyć, jak Chip Bingley żeni się z kobietą w ciąży. Ale czy ty masz świadomość, co cię czeka? Będziesz na okładkach magazynów plotkarskich.

– Serio?

– Bardzo serio! Bez wątpienia. Musisz podpisać umowę tak jak Chip i na bank będą od ciebie wymagać, żebyś rozmawiała z mediami. Poza tym miliony gównianych stron, z którymi nie zamieniłaś nawet słowa, będą pisać o was, co chcą. Czy Chip wspomniał o rekompensacie?

– W sensie pieniędzy?

Liz kiwnęła głową.

– Tylko mgliście – odrzekła Jane. – W tym momencie nie zapadła jeszcze decyzja, czy oni chcą robić ten odcinek specjalny ze ślubem. Teraz my z Chipem musimy usiąść z jego agentem i z tą producentką.

– Producentka widziała twoje zdjęcie?

– Nie wiem.

– Założę się, że Chip jej jakies pokazał. Wierz mi, Jane, będą chcieli to zrobić.

– Jeśli się zgodzę, to pod jednym warunkiem: że wy wszyscy będziecie przy tym obecni. Mama i tata, oczywiście, i ty, i Mary, i Kitty, i Lydia, i teraz Ham. Myślisz, że pójda do telewizji na mój ślub?

– Niektórzy – odpowiedziała Liz ze śmiechem.

– A ty?

– No pewnie. Dla ciebie.

– Myślisz, że to szaleństwo?

– Tak – odparła Liz. – Myślę też jednak, że wy z Chipem naprawdę się kochacie. – Poklepała siostrę po ramieniu. – Dobrze, że on się ogarnął.

## Rozdział 163

Niemal natychmiast rozpętała się istna zawierucha. Następnego wieczoru, gdy w Los Angeles było jeszcze popołudnie, Liz, Jane i Chip usiedli w mieszkaniu tej pierwszej i odbyli telekonferencję z agentem Chipa, Davidem Scanlonem, i z producentką *Dobrej partii*, z którą Chip rozmawiał o Jane, a która nazywała się Anne Lee. Postanowiono, że za dwa dni, gdy Chip poleci do Los Angeles, Jane też uda się na zachód, innym lotem. Tymczasem Jane wypełni mnóstwo formularzy, dzięki którym stacja ją sprawdzi.

– Dlaczego oni muszą mnie sprawdzać, skoro my się już znamy? – spytała Jane Chipa, kiedy rozmowa się skończyła.

Chip i Liz odpowiedzieli jednocześnie.

– Są dokładni – wyjaśnił Chip.

– Bo nie chcą, żeby rodzina Chipa pozwała ich, jeśli się okaże, że jesteś psychopatką i zabijesz go w noc poślubną – wyjaśniła Liz.

Narzeczeni siedzieli na kanapie, trzymając się za ręce.

– Nawet nie poznałam twoich rodziców – powiedziała, zerkając na niego. – Mam nadzieję, że nie są na mnie źli.

– Jak ktokolwiek mógłby być na ciebie zły? – spytał Chip i pocałował ją.

Biorąc jednak pod uwagę, że rodzice Chipa to również rodzice Caroline – pomyślała Liz – kto wie, jacy są? Nawet jeśli są niebywale sympatyczni, to oglądanie w telewizji krajowej uroczystości, podczas której ich syn weźmie ślub z kompletnie im nieznaną brzemenną kobietą, może nie być szczytem ich marzeń. Chociaż – skoro tenże syn wcześniej postanowił wystąpić w dwóch sezonach *Dobrej partii*, zrozumieją pewnie, o ile gorzej mogli trafić z doborem synowej.

Jeśli chodzi o samą Caroline, Liz czuła przerażenie, że będzie musiała spędzać z nią czas w trakcie ślubu, gdyż zakładała, że jej partnerem będzie Darcy. Tylko dla Jane Liz była gotowa do takiego poświęcenia.

## Rozdział 164

Rano Chip i Jane wynajęli samochód i pojechali razem do Rhinebeck, gdzie mieli zostać na noc, zanim Jane się spakuje i pożegna z Amandą i Prishą.

Następnego dnia Amanda zadzwoniła do Liz.

– Jane naprawdę tego chce? – spytała. – Chce na oczach całego kraju wyjść za gościa, który ją rzucił, gdy tylko się dowiedział o jej ciąży?

Nawet w normalnych warunkach Amanda budziła w Liz lekkie przerażenie – gdyby Liz nie uważała, że Amanda wykpi ten pomysł, z rozkoszą napisałaby o niej do rubryki *Siłaczki* – i teraz bardzo się starała nie mówić jak osoba potulna i niepewna:

– Ja na pewno nie próbowałam Jane do tego przekonać. I jeśli jesteś zła, że rzuciła pracę, powinnaś porozmawiać z nią, nie ze mną.

– Możemy znaleźć inną instruktorkę. Ale zawsze uważałam Chipa za totalnego pozera.

– A poznałaś go wcześniej? Czy dopiero wczoraj?

– Nie, ale przysięgam, że te jego krokodyle łyż w finale sezonu... – Amanda szybko dodała: – Nie oglądam tego programu, to Prisha. Liz, jeśli Chip ją znowu rzuci, zrobię mu krzywdę. Nie żartuję.

– Wyręczę cię.

– Prisha chce z tobą rozmawiać – dodała Amanda.

Po chwili ciszy związanej z przekazywaniem telefonu Liz usłyszała podekscytowany głos:

– Pojedziemy na ślub?

## Rozdział 165

Producenci zaplanowali sobie – wyjaśniła Jane siostrze przez telefon z Kalifornii – trzydniową imprezę w ośrodku w Palm Springs. Pierwszy dzień Jane i Chip mieli spędzić osobno, na równoległym wieczorze kawalerskim i panińskim. Następnego dnia miała się odbyć próba kolacji weselnej. Trzeciego dnia po południu – ślub. Mogli w sumie zaprosić dwadzieścia osób, i te osoby będą nocować w ośrodku, a także zostaną pokryte ich koszty podróży. Para młoda dostanie wynagrodzenie w wysokości dwustu tysięcy dolarów, przy czym Chip chciał, by to wynagrodzenie dostała Jane, a Jane chciała, by zostało równo podzielone pomiędzy członków jej rodziny, po odliczeniu dziesięciu procent dla agenta Chipa, teraz już ich wspólnego.

– Nie musisz mi płacić za przyjazd na twój ślub – powiedziała Liz. Zmywała naczynia, gdy Jane zadzwoniła, i teraz zakręciła kran. – Czułabym większy spokój, gdybyś otworzyła tajne konto w banku i tam odłożyła te pieniądze. Podpisujecie intercyzę?

– Nie rozmawialiśmy o tym – odrzekła Jane. – Ale gdybyśmy sobie nie ufali, tobyśmy się nie pobierali.

„Tak mówi kobieta zaślepiona miłością” – pomyślała Liz, choć brak intercyzy był dla jej siostry wyłącznie korzystny.

– Chcą, żeby to wszystko wydarzyło się za dwa tygodnie – mówiła dalej Jane. – Od środy do piątku, bo wtedy wynajmują cały ośrodek. Myślisz, że to będzie gościom pasować?

– W tej chwili Kitty pewnie ma najbardziej napięty grafik z nas wszystkich, bo chodzi na zajęcia. Ale na pewno da radę opuścić kilka dni.

– Agent wynegocjował między innymi, że fryzjerzy i wizażyści pomogą się przygotować nam wszystkim, nie tylko mnie – powiedziała Jane. – Więc może Kitty by się czegoś od nich nauczyła.

– A jeśli nie, to nie ma problemu. Jane, twój ślub może chociaż trochę

dotyczyć ciebie.

– Nie powtórzyłam ci, z jakiego powodu producentka chce, żeby to wszystko się odbyło tak szybko – odparła Jane cierpko. – Cytuję Anne Lee: „Ponieważ mniejsza nie będziesz, a gdy Amerykanki fantazjują, że wychodzą za Chipa Bingleya, nie widzą się pod postacią wieloryba”.

– Jezu, jaka taktowna.

– Nie, ona to powiedziała żartobliwie. Nie obraziła mnie. Producenci są naprawdę fajni i kumaci. Kojarzą mi się z tobą i twoimi znajomymi z pracy.

– To nie są twoi przyjaciele. Ich celem jest robienie rozrywki w telewizji.

– Wiem. – Jane nic nie wzruszało. – Chociaż dają nam też gratisowe obrączki. Mówiłam ci to?

– Na pewno jakiś jubiler ma umowę reklamową. – Liz sama usłyszała cynizm w swoim głosie i łagodniej już dodała: – Jak wyglądają?

Jane się roześmiała.

– Tyle wiem, co i ty.

## Rozdział 166

– Muszę wam coś powiedzieć – mówiła Jane do mikrofonu – a właściwie kilka rzeczy.

Było Święto Dziękczynienia, Jane wróciła już do Nowego Jorku. Za dwie godziny miały z Liz, wraz z garnkiem słodkich ziemniaków pod pierzynką marshmallow, stawić się w Park Slope u Talii, redaktor naczelnej Liz. W Cincinnati Bennetowie świętowali tradycyjnie u Lucasów. Na skutek intensywnego mobilizowania i popędzania przez najstarsze Bennetówny pozostali członkowie rodziny zebrali się przed kolacją w salonie rodziców w Grasmoor.

Jane się zawahała.

– No, śmiało – zachęcił ją pan Bennet.

Jane i Liz spojrzały po sobie, starsza zagryzła wargę i ściągnęła brwi. Liz kiwnęła głową.

– Jestem w ciąży – wydusiła Jane. Usłyszały kilka okrzyków po drugiej stronie, przy czym Liz nie umiała stwierdzić, czy to okrzyki wsparcia czy wręcz przeciwnie. – Zaczekajcie, to nie wszystko – podjęła Jane. – Zaszłam w ciążę dzięki zapłodnieniu nasieniem anonimowego dawcy. Dziecko urodzi się pod koniec lutego.

– Jane – odezwała się pani Bennet wysokim, rozemocjonowanym tonem – nie miałam pojęcia, że...

– Chwileczkę – przerwała jej córka. – To nadal nie wszystko. Wychodzę za Chipa Bingleya i wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale postanowiliśmy wyrazić zgodę, by nasz ślub posłużył za materiał do odcinka specjalnego *Dobrej partii*. Chociaż ten odcinek zostanie wyemitowany dopiero w kwietniu, zdjęcia odbędą się niedługo, od jedenastego do trzynastego grudnia w Palm Springs. I najbardziej na świecie pragnę, żebyście wszyscy tam byli. Dobra, skończyłam.

Wybuchła kakofonia głosów, przez którą przebiła się Liz:



- Bardzo trudno was zrozumieć, jak mówicie wszyscy naraz.
- Sądziłam, że Chip wrócił do Los Angeles, a ty mieszkasz z tymi paniami na wsi – powiedziała pani Bennet.
- Wrócił – odrzekła Jane – a ja mieszkałam tak, jak mówisz, chociaż teraz przeprowadzam się do Los Angeles. Ale Chip tu przyjechał z wizytą.
- Zastanawiam się, czy dadzą radę cię sfilmować od szyi wzwyż – ciągnęła pani Bennet. – Albo mogą zrobić to samo, co z tą dziewczyną z kręconymi włosami z serialu, tą, co zaszła w ciążę, możesz trzymać w rękach papierową torbę z zakupami.
- Moja ciąża nie będzie tajemnicą. Na pewno ją pokażą.
- A mogą powiedzieć, że to dziecko Chipa?
- Nie cieszycie się, że zostanieie dziadkami? – spytała Liz. – I ciotkami?
- A właśnie, Jane – głos zabrała Lydia – skoro o tym mowa, zanim wyjechałaś z Cincinnati, strasznie urosły ci cycki.
- Nie ma mowy, żebym poszła do *Dobrej partii* – odezwała się Mary. – I dlaczego chcesz wyjść za Chipa? On nie ma kręgosłupa moralnego.
- Mary, mężczyźni często się gubią – interweniowała pani Bennet. – Chip pochodzi z cudownej rodziny i będzie oddanym mężem.
- Wprowadzając w życie wcześniej opracowaną strategię, Jane powiedziała:
  - Mary, miałam nadzieję, że przeczytasz wiersz w trakcie uroczystości.
  - Nie – odrzekła średnia siostra.
  - Jane, gratuluję – rzucił Ham. – To cudowne wiadomości. – Dopóki się nie odezwał, Liz nie miała pewności, czy w ogóle przyszedł.
  - Skoro mamy dzień wyznań – zabrała głos Kitty – to i ja coś powiem. Spotykam się z Shane’em, więc on powinien pojechać ze mną.
  - Z pośrednikiem? – spytał pan Bennet.
  - Z Murzynem? – spytała pani Bennet.
  - Poszerzamy wasze horyzonty – odrzekła Kitty. – Witajcie w dwudziestym pierwszym wieku.
  - W takim razie i ja coś powiem. – W głosie Lydii słychać było niecodzienną niepewność. – Mary, nadal cię nie lubię, ale nie powinnam na siłę wyciągać cię z szafy. Twoja homoseksualność to twoja sprawa.
  - Nie jestem lesbijką – odparła Mary oschle.
  - Ona uprawia bowling – wypaliła Kitty. – To jej sekretne zajęcie.
  - Na miłość boską, co to za tajemniczy bowling? – spytała pani Bennet

drżącym głosem.

– Mary uprawia sport – wyjaśniła Kitty.

– Skąd wiesz? – spytała Mary.

– Przecież ja teraz z tobą mieszkam.

Pan Bennet odchrząknął.

– Ktoś jeszcze ma jakieś rewelacje? – spytał. – Lizzy?

– Nie tym razem.

– Jane – odezwała się pani Bennet – będziemy musieli zaprosić na twój ślub Lucasów, Hickmanów i Nesbitów. Ach, i Hoffów. W przeciwnym wypadku będą bardzo urażeni.

– Możemy zaprosić tylko dwadzieścia osób – odparła Jane.

– Mamo, wszyscy będą wiedzieli, że obecna jest tylko najbliższa rodzina – powiedziała Liz. – Dowód zobaczą w telewizji.

– Będziecie musieli podpisać umowy o zachowaniu poufności i producenci traktują je bardzo poważnie – mówiła Jane. – To oznacza, że przed emisją odcinka specjalnego nie możecie rozmawiać o ślubie. Zwłaszcza w mediach społecznościowych, dodam na użytek Kitty i Lydii. Ale fajne jest to, że będą nam pomagać ludzie od garderoby i makijażu. To super, prawda?

– Powiedz im, że mam styl nowoczesny, ale klasyczny – zastrzegła pani Bennet. – Nie ma mowy o żadnych granatach.

– Ja się nie pomaluję – wtrąciła Mary. – Podkład ma obrzydliwą konsystencję.

– Tato, a co ty myślisz? – spytała Jane. – W ogóle się nie odzywasz.

Zanim pan Bennet zdążył zabrać głos, uprzedziła go małżonka:

– A może oni by przyjechali tutaj do Knox Church? U nas się odbywają takie eleganckie msze.

– Myślę, że łatwiej im kręcić w Kalifornii – odrzekła Jane. – Tato?

– Masz czterdzieści lat, Jane. Jeśli chcesz z siebie robić widowisko, to ja cię nie powstrzymam.

– Fred, Chip jest lekarzem po Harvardzie, a jego rodzina założyła Bingley Manufacturing – powiedziała pani Bennet. – Jest bardzo dystyngowany.

– Naprawdę tak właśnie myślisz, tato? – Słysząc było, że Jane jest zrozpaczona.

– Jane, daj im się oswoić z tym pomysłem – powiedziała Liz. – Nie

możesz oczekiwać, że będą wszyscy skakać z radości.

– Wiesz, że my cię słyszymy, prawda? – spytała Mary.

– Powiedz im jeszcze to ostatnie – przypomniała Liz starszej siostrze.

– Żeby przebić to, co padło do tej pory – odezwał się pan Bennet – musiałyby to być porwanie przez UFO albo zoofilia.

– Każdy z was dostanie po trzydzieści tysięcy dolarów – oznajmiła Jane. – Ham, ty nie, przykro mi. Ale cała reszta.

– Ha! – krzyknęła Kitty. – Mary, nadal brzydzisz się podkładem?

– No, w takim razie to wspaniała okazja dla całej naszej rodziny – orzekł pan Bennet.

## Rozdział 167

Dwanaście dni później w samolocie do Phoenix, gdzie przesiadały się na lot do Palm Springs – ku rozczarowaniu Liz, ale ku zaskoczeniu niekoniecznie, w obu maszynach miały rezerwację na klasę ekonomiczną – Jane powiedziała:

– W całym tym zamieszaniu jeszcze cię oficjalnie o to nie spytałam, ale zakładałam cały czas, że będziesz moją świadkową. Będiesz?

– Oczywiście.

– I dla twojej informacji, świadkiem Chipa będzie Darcy. Nie masz nic przeciwko, prawda? W restauracji byliście dla siebie chyba bardzo uprzejmi.

Uczestnictwo Darcy’ego w uroczystościach było tak wysoce prawdopodobne, że Liz już się z tym pogodziła. W końcu jako przyjaciel Chipa i facytant Caroline był podwójnie związany z Bingleyami. Rozważała taką ewentualność, że jego domniemana wzdarda dla reality show, w połączeniu z napiętym grafikiem służbowym zaowocują w rezultacie jego nieobecnością, lecz zdawała sobie sprawę, że takie rozwiązanie to raczej pobożne życzenia. Ale że będzie on świadkiem, nie wzięła pod uwagę.

– Chip jest bardzo wdzięczny Darcy’emu – ciągnęła Jane. – Nie bralibyśmy ślubu, gdyby on nie doprowadził do tej kolacji.

– Albo może gdyby nie on, w ogóle byście nie zrywali.

– Ale i tak byłabym w ciąży. – Przez śliczną twarz Jane przemknął wyraz troski. – Lizzy, ten cały zamęt medialny szybko się rozwieje, prawda? Kiedy ludzie w kółko pojawiają się w tabloidach, to dlatego, że są w zмовie z paparazzi, prawda?

– Mniej więcej. Ale skoro dziecko się urodzi przed emisją programu, na pewno zostanie wyznaczona nagroda za zdjęcia potomka *Dobrej partii*.

Jane zadygotała.

– Chip zakłada, że Caroline będzie też teraz twoim menadżerem? – spytała Liz. – Chcą, żebyś się targowała... nie wiem... z producentem

pieluszek?

Jane pokręciła głową.

– W ten dzień, kiedy mi się oświadczył, powiedział, że jestem jedyną osobą poznaną od chwili, gdy wziął udział w programie, która kocha go dla niego samego, a nie dlatego, że chce robić karierę na jego plecach. Wie, że ja nie chcę sławy. Nie powiedział tego, ale... Lizzy, on się chyba zastanawia, czy Caroline go trochę nie wykorzystuje.

– Trochę?! – powtórzyła Liz. – Zastanawia się?!

– Ten dom, w którym będziemy mieszkać po ślubie, znajduje się na osiedlu strzeżonym w Burbank – mówiła dalej Jane. – Mam nadzieję, że życie w takiej izolacji nie jest upiorne. Strasznie się cieszę na L.A., ale będę szczęśliwa, jak się skończy ta cała akcja z *Dobłą partią*.

– Wiem – powiedziała Liz, ale pomyślała: „Ta cała akcja z *Dobłą partią* w ogóle się jeszcze nie zaczęła”.

## Rozdział 168

Liz, Jane i Chip przybyli do Palm Springs dzień wcześniej niż ich rodziny, aby narzeczeni wzięli udział w rozmaitych niezbędnych zajęciach, do których należały przymiarka strojów ślubnych, rozmowy przed kamerą i przygotowanie dodatkowego materiału filmowego (Jane szła zadumana i samotna po polu golfowym, a potem oboje siedzieli nad basenem, wpatrując się w zachód słońca, przy czym Chip trzymał opiekuńczo dłonie na jej brzuchu). Sześciuosobowy zespół z ogólnokrajowej sieci jubilerskiej, rzeczywiście należącej do sponsorów programu, przeprowadził konsultacje, w których trakcie narzeczeni wybrali obrączki; to spotkanie oczywiście również zarejestrowała kamera.

Liz sądziła, że w chwili ich przybycia Hermoso Desert Lodge będzie świeciło pustkami, ale gdy już przy odbiorze bagażu na lotnisku spotkała się z nimi Anne Lee – która okazała się pewną siebie, wesołą i bezpretensjonalną kobietą z elegancko ostrzyżonymi czarnymi włosami – jak również kierowca, który zatargał ich bagaże do białej furgonetki, odkryła, że w ośrodku aż roi się od członków ekipy produkcyjnej liczącej chyba osiemdziesiąt osób. Cały wręcz teren – główny budynek ze swoimi różowymi tynkowanymi ścianami i dachem z hiszpańskich dachówek, elegancki dziedziniec z łupkowym jacuzzi i podgrzewanym basenem, piękne pole golfowe z osiemnastoma dołkami i palmami, za którym w oddali malowały się porośnięte karłowatą roślinnością beżowe góry – przypominał małe, lecz ludne i ruchliwe miasteczko. Członkowie ekipy, głównie mężczyźni, ubrani w ciemne koszulki i spodnie z wielkimi kieszeniami, przemieszczali się szybko i mówili do walkie-talkie; ciężarówki i furgonetki wjeżdżały na parking i wyjeżdżały, wokół niego poustawiano przyczepy i namioty; na ogromnych wózkach przewożono złożone drabiny, wielkie czarne wiadra plastikowe, zwoje grubych pomarańczowych przedłużaczy i tajemnicze wyposażenie kryjące się w czarnych walizkach; w czasie przerw na parkingu pojawiały się

długie stoły z cateringiem, członkowie ekipy gromadzili się przy nich, a potem w mgnieniu oka znikali i ludzie, i jedzenie. Liz doszła do wniosku, że na piętrze w apartamencie, którego okna wychodziły na dziedziniec, znajduje się jakaś reżyserka. Czarne płótno zasłaniało okna od środka, a ludzie wchodzili tam z wyraźnym pośpiechem i równie szybko wychodzili.

Pokój, który przydzielono Liz i Jane, miał dwa podwójne łóżka, balkon (Liz obserwowała stamtąd, co się dzieje na dziedzińcu) i kominek. Na biurku czekał kosz podarunkowy z wielką białą świecą zapachową, dwiema parami perłowych kolczyków, kremem do depilacji, nożykami do golenia, miniaturkami rumu i wódki i trzema kompletami bikini składającymi się ze stringów i staników z wyściełanymi miseczkami. Na dołączonym bileciku przeczytały: „Liz i Jane, w Palm Springs wita Was cała ekipa przyjaciół z *Dobrej partii*”.

Liz podniosła górę od bikini.

– To ma być dla mnie?

– No na pewno nie dla mnie – odrzekła Jane.

Drugą ręką Liz chwyciła paczkę różowych nożyków.

– Bardzo subtelne.

Wiele rzeczy wyobrażała sobie inaczej: nie skonfiskowano jej komórki ani nie zabrano im z pokoju telewizora.

– Tak robimy tylko podczas dłuższych zdjęć – wyjaśniła Anne Lee, gdy je odprowadzała na górę, zanim wskazała kamerę (zdaniem Liz wyglądała jak zwykła kamera monitoringu) wiszącą w rogu pokoju pod sufitem. – Chodzi o to tylko, żeby nagrać jakieś ewentualne wasze zabawne swobodne rozmowy – powiedziała lekkim tonem, a Liz ze względu na siostrę powstrzymała się od żartu z komunistyczną inwigilacją.

Fryzjerzy i wizażyści, o których wspomniała Jane, mieli pracować z gośćmi tylko przy samym ślubie – Jane, zaskoczona tą informacją, bardzo przepraszała – więc Liz sama była odpowiedzialna za swój wygląd. I chociaż jako siostra niebiorąca ślubu zakładała, że będzie się cieszyć urokami hotelu – a to rezerwując sobie masaż, a to zanurzając się w jacuzzi, aczkolwiek to zanim zdała sobie sprawę, jak bardzo jest uczęszczane – ona też miała mnóstwo zajęć.

Jej rozmowę przed kamerą nagrano pierwszego wieczoru, w czasie gdy Jane i Chip mieli kolację „we dwoje” w hotelowej restauracji – później Jane powiedziała, że filmowały ich trzy ekipy, każda złożona z trzech osób.

(Odkrywszy, że przed ślubem to ona i Jane mieszkają w jednym pokoju, a nie Jane i Chip, Liz przypuszczała, że starsza siostra będzie się wymykać nocą do narzeczonego. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że kamerka zdradziłaby ich przed produkcją, i pewnie zaraz by się pojawili członkowie ekipy).

Anne Lee przeprowadziła wywiad z Liz w salonie apartamentu na piętrze. Za kamerą umieszczoną na statywie stał mężczyzna. Na osobnych statywach rozmieszczono dwa panele ze światłami, a zanim rozpoczęto nagranie, długo poprawiano światła, meble i nawet postawę Liz. Siedziała na fotelu obitym brokatem, na identycznym za kamerą zajęła miejsce Anne.

– Tak bardzo się cieszymy z cudownej love story twojej siostry i Chipa – powiedziała ciepło Anne. – I Ameryka też się bardzo ucieszy.

Od pierwszej telekonferencji Anne była głównym kontaktem Jane; gdy Jane wyrażała się pozytywnie o poznanych ludziach z *Dobrej partii*, głównie miała na myśli producentkę, i to ona wraz z czterema innymi osobami przed tygodniem przyleciała do Cincinnati nagrać Bennetów. Liz kusilo, by też tam polecieć, osobiście wszystkiego dopilnować i ewentualnie interweniować, ale musiała w tym czasie przeprowadzić w Nowym Jorku dwa wywiady dla „Mascary”. Poza tym przecież ta cała afery z *Dobrą partią* nie podlegała jej jurysdykcji, prawda? Niemniej jednak gdy członkowie jej rodziny zgodnie wychwalali Anne Lee pod niebiosa, raczej ją to niepokoiło, niż napełniało otuchą. Pani Bennet na przykład mówiła o niej „ta miła Chinka”, choć Liz podejrzewała, że Anne ma raczej koreańskich przodków. Im korzystniejsze słyszała opinie, tym bardziej podejrzliwa się robiła wobec producentki, a spotkanie oko w oko nie rozwiało jej wątpliwości. Rzecz w tym, że Anne była tak optymistyczna, tak łatwo się z nią rozmawiało, tak pokrzepiała w tej niecodziennej sytuacji, a przede wszystkim wydawała się tak wiarygodna, że Liz głównie nie wierzyła w tę jej wiarygodność; nic dziwnego, że na skinienie tej kobiety setki Amerykanów upijały się, biły, obnażały, migdaliły się i wyznawały sekrety, a wszystko na oczach kamer.

– Chcę, żebyś mówiła całymi zdaniami – wyjaśniła Anne – co nie powinno stanowić problemu, bo zdecydowanie jesteś superinteligentna. Ale jeśli spytam „Jaki kolor lubisz najbardziej?”, musisz powiedzieć „Mój ulubiony kolor to niebieski”, a nie samo „Niebieski”. Dasz radę?

– Może już wiesz, że jestem dziennikarką – powiedziała Liz. – Piszę dla „Mascary”. Więc doskonale się orientuję, jak wygląda wywiad, choć zwykle siedzę po drugiej stronie.



– Fantastycznie. – Anne uśmiechnęła się promiennie. – No ale telewizja to inne medium i ja nie będę mówiła „uhm, aha” ani nie będę się śmiała, nawet jeśli powiesz coś najśmieszniejszego na świecie, bo nie chcę wydawać dźwięków, gdy ty coś mówisz. Jeśli zgubisz myśl, nie przejmuj się. Przerwij tylko i zacznij od początku. I nie musisz się cenzurować. Mów tak, jak mówisz normalnie, a jeśli wymknie ci się brzydkie słowo, wypikamy to. To nie leci na żywo.

– Tylko nie zróbcie mi frankensztajna, proszę – rzuciła Liz. Anne patrzyła na nią nieruchomym wzrokiem. – Tak się mówi, prawda? Chodzi mi o to, żebyście nie wzięli jednego słowa stąd, drugiego stamtąd i nie poskładali ich w zdanie, którego użycie jako wypowiedzi z offu.

– W życiu nie słyszałam tego określenia. – Anne ciągle się uśmiechała. – Ale jesteś zabawna. Dobra, na rozgrzewkę może mi powiesz, jak się nazywasz, co cię łączy z Jane, ile masz lat i skąd jesteś.

„Gówna prawda” – pomyślała Liz. „Gówna prawda, że nie słyszałaś”.

– Nazywam się Liz Bennet – zaczęła. – Jestem siostrą Jane, najbliższą jej wiekiem. Mam trzydzieści osiem lat i mieszkam w Nowym Jorku.

Rozmowa trwała godzinę i Liz musiała przyznać, że Anne jest bardzo kompetentna – zadawała wszystkie pytania, które Liz sama by zadała – a także doświadczona w maskowaniu poszukiwań słabych punktów czy ewentualnych napięć. Większość pytań dotyczyła Jane – jej „podróży przez życie” jako samotnej kobiety i jej „love story” z Chipem – chociaż Anne pytała też o sojusze i niezgodę w rodzinie Bennetów oraz o życie samej Liz. (W tym temacie przesłuchiwana uprzejmie nabierała wody w usta). Liz dowiedziała się z ulgą, że Anne wie o transseksualności Hama i że ona nie musi już tego wyjawiać czy też przed nią ukrywać; ale w jednym temacie Liz pożałowała swojego braku dyskrecji.

– Znasz Caroline, siostrę Chipa, prawda? – spytała Anne po blisko godzinie.

– Tak, znam Caroline Bingley.

– I co o niej myślisz?

Liz była zmęczona i podróżą – w Nowym Jorku był środek nocy – i odpowiedziem na pytania Anne.

– Jest w porządku – odparła.

– Powściągliwa opinia. – Anne jak zawsze mówiła przyjaznym tonem. – Na pewno tak właśnie uważasz?

– Caroline Bingley jest czarująca – uzupełniła Liz żartobliwie egzaltowanym głosem. – Zachwycająca. – Tu spojrzała prosto na kamerzystę i dodała: – Tego proszę nie wykorzystywać.

– Dlaczego on ma tego nie wykorzystywać? – spytała Anne. – Mówisz z sarkazmem?

Jednocześnie Liz poczuła, jak ogarnia ją żal, i wypełnia pragnienie, by porozmawiać z tą kobietą otwarcie, żeby powiedzieć: „Jestem wykończona. Muszę wrócić do pokoju i pójść spać. Nie lubię Caroline Bingley, ale na pewno rozumiesz, że publiczne dyskredytowanie nowej szwagierki mojej siostry przysporzy problemów, które potrwać dłużej niż wasz program. Pogadajmy jak profesjonalistka z profesjonalistką i wykasujmy to”.

– Pomiędzy tobą a Caroline coś się wydarzyło? – spytała Anne.

Liz pokręciła głową.

– Naprawdę lubię Caroline – odrzekła. – Tak sobie tylko żarty stroję.

– Uważasz ją za sukę? Słyszałam, że niektórzy ludzie tak ją odbierają.

Liz się roześmiała. Nie mogła się powstrzymać.

– Którzy ludzie? – spytała.

– Tak mówią na mieście.

Liz kusilo, by na głos powiedzieć, że ta rozmowa jest niedorzeczna, by wyjawić: „Doskonale rozumiem, do czego dążysz”.

– Cóż – podjęła stanowczym tonem – ja zawsze się dogadywałam z Caroline.

Po powrocie do swojego pokoju wyszukała w internecie „robić frankensztajna”. Wysypało jej mnóstwo wyników, nawet sprzed kilkunastu lat, a wyrażenie oznaczało dokładnie to, co ona miała na myśli.

## Rozdział 169

– Lizzy, zupełnie nie rozumiem, dlaczego nigdy nie wyszłaś za mąż – mówiła Lydia. – To naprawdę fajne. Robię steki dla Hama, jak wieczorem wraca z pracy, i czuję się zupełnie dorosła.

Zaraz po tym, jak grupa z Cincinnati przybyła do Hermoso Desert Lodge – było ich siedmioro razem z Hamem i Shane'em – Lydia i Kitty przyszyły obejrzeć pokój najstarszych sióstr. Na tym samym korytarzu znajdował się pokój Lydii i Hama oraz pokój Kitty i Shane'a; Mary przydzielono osobny pokój, a Liz zadała sobie pytanie, dlaczego jej takiego pokoju nie zaoferowano, aż sobie przypomniała wzmiankę Anne Lee o kamerze, która ma nagrywać zabawne, przypadkowe rozmowy najstarszych sióstr. Raz jeszcze obiecała sobie, że żadnego takiego materiału nie dostarczy.

Jane nie było, ale Lydia i Kitty rozsiadły się na jej łóżku jak na swoim, chociaż Liz siedziała przy biurku nad otwartym laptopem, próbując napisać w końcu toast, który wygłosi na przyjęciu.

Nie podnosząc wzroku, odpowiedziała:

– Kiedy podjęłam stałą pracę i zaczęłam płacić za swoje mieszkanie, wtedy się poczułam dorosła. I to było jakieś... – udawała, że liczy – szesnaście lat temu.

– Nie chcesz, żeby ktoś wieczorem wracał do domu? – ciągnęła Lydia. – Ja bym się zanudziła, gdybym mieszkała sama.

– No to chyba dobrze, że nie mieszkasz.

– Jeśli dziecko Jane będzie słodkie, może my z Hamem skorzystamy z tego anonimowego dawcy, z którego ona skorzystała.

– Wasze dzieci byłyby podwójnie spokrewnione – zauważyła Kitty. – To chore.

– To tylko sperma jakiegoś kolesia – mówiła dalej Lydia – On nie będzie uczestniczył w ich życiu. Zresztą czasami tak jest, że dwóch braci żeni się

z dwiema siostrami i ich dzieci są podwójnymi kuzynami. Jessica i Rachel Finholt wyszły za braci.

– Nie cierpię Jessiki Finholt – wyznała Kitty. – W przedszkolu ukradła mi z szafki lalkę. – Wertowała broszurę, która leżała na nocnym stoliku. – Musimy tu płacić za spa?

Liz obejrzała się przez ramię.

– Na pewno.

– To marnotrawstwo, że Jane wychodzi za mąż na planie *Dobrej partii*, skoro nawet nie ogląda tego programu – powiedziała najmłodsza siostra. – Myślisz, że my z Hamem zrobilibyśmy dobre reality show?

Lydia nie jest zła, co jeszcze nie znaczy, że jest mądra, pomyślała Liz. Łagodnie, tak żeby jej nie zachęcić, odrzekła:

– Moim zdaniem życie przy tych wszystkich kamerach by was irytowało. – Wstała. – Chodźcie ze mną. – Poszła do łazienki, a młodsze siostry spojrzały po sobie zdziwione.

– Będziesz nas uczyć samobadania cycków? – spytała Lydia.

– Chodźcie tutaj, i to już.

Kiedy do niej dołączyły, zamknęła drzwi i ściszyła głos do szeptu.

– Zauważyłyście kamerę w rogu pokoju? – spytała. – Kiedy tu jesteście, ani przez chwilę nie mówcie nic, czego nie chciałybyście usłyszeć w telewizji. Nie żartuję.

– Na przykład? – spytała Lydia.

W najlepszym wypadku to ostrzeżenie było prawdopodobnie bezużyteczne. W najgorszym mogło wywołać wynik wręcz przeciwny, niż Liz miała nadzieję uzyskać.

– Producentów nie obchodzi, czy wypadniemy dobrze czy źle – wyjaśniła. – Jedyne, co ich obchodzi, to tworzenie telewizji, którą ludzie chcą oglądać. Nie mówcie po prostu nic niemiłego o kimkolwiek i się nie kłóćcie. – Mimowolnie pomyślała o mało powściągliwych uwagach, które sama poczyniła poprzedniego dnia na temat Caroline Bingley. – Oni tylko szukają konfliktów.

Lydia wybuchnęła śmiechem.

– Wątpię, czy będą musieli długo szukać.

Liz westchnęła.

– Dobra. Róbcie, co chcecie. Ale ostrzegałam.

## Rozdział 170

W pokoju rodziców Liz zastała matkę na krzątaniu, a ojca na siedzeniu w fotelu z ogromną książką na temat renesansu. Stało tam tylko jedno podwójne łóżko; Liz pomyślała, że to pewnie pierwszy raz od lat, gdy jej rodzice będą spali pod jedną kołdrą.

– Nie mogę znaleźć suszarki – zawołała matka z łazienki. – Dzwoniłam do recepcji i powiedzieli, że tu jest, ale, Lizzy, oni zapomnieli jej nam dać.

Weszła do łazienki i wskazała półkę pod zlewem.

– Jest tam, mammo.

– Wcześniej jej nie było – odparła pani Bennet z irytacją. – Wzięła sprzęt do ręki i oznajmiła: – Moim zdaniem o wiele lepiej by było, gdyby powiedzieli, że ojcem dziecka Jane jest Chip. Tak to widzowie będą zdezorientowani.

– Widziałaś już Jane? – spytała Liz. – Dobrze wygląda, nie sądzisz?

– Ma nisko brzuch – orzekła pani Bennet z pewnością w głosie. – To będzie chłopiec w takim razie. – I szeptem zarezerwowanym do delikatnych kwestii dodała: – Liz, ja nie wiem, czy Kitty i Shane tak na poważnie, ale Mulaci mają ciężkie życie.

Liz się skrzywiła.

– Ja bym im tego nie powtarzała.

– Świadkiem Chipa jest Fitzwilliam Darcy. – Pani Bennet teraz mówiła z zastanawiającą aprobatą. – To doskonale świadczy o Chipie, że ma takich dobrze urodzonych przyjaciół. Fitzwilliam jest wolny?

Kiedy i jakim cudem opinia jej matki o Darcym zmieniła się na korzystną? Jeszcze w lipcu, na przyjęciu u Lucasów, pani Bennet poczuła się przez niego obrażona, ze względu na Liz.

– On chodzi z siostrą Chipa.

– Jaka szkoda. – Pani Bennet ściągnęła brwi. – Teraz musimy dopilnować, żeby ta Chinka powiedziała w programie, że sytuacja Hama

wynika z wady wrodzonej. Żeby ludzie nie pomyśleli, że to coś obrzydliwego. Jeśli się dowiedzą, że to wada wrodzona, zrozumieją.

Przekonanie matki, że przy pomocy Anne Lee może kontrolować narrację odcinka specjalnego *Dobrej partii...* było tak absurdalne, że żadne próby korekty nie miały sensu. Jakby wyczuwając nielojalne refleksje Liz, pani Bennet przyjrzała się jej bacznie.

– A ty nie uważasz, że to dezorientujące, że Jane zaszła w ciążę z mężczyzną, którego nie zna?

– Mamo, nikt tak nie mówi o zapłodnieniu nasieniem anonimowego dawcy. I nie, nie uważam, że trudno to zrozumieć.

– Moim zdaniem lepiej by było, gdyby powiedzieli, że to dziecko Chipa.

– Ale to nie jest prawda.

– Och, na miłość boską. To nie ma znaczenia.

## Rozdział 171

Odkąd pojechała do Cincinnati pomóc rodzicom w przeprowadzce, Liz nieustannie czujnie wyczekiwała spotkania z Darcym. Ponieważ do wieczoru kawalerskiego i panieńskiego zostało tylko kilka godzin, na pewno przybył już do ośrodka, ale choć Liz wystawała na balkonie i rozglądała się co jakiś czas po okolicy, nie zauważyła go. Pocieszyła się, że lepiej go nie widzieć, niż patrzeć, jak przechadza się po polu golfowym z Caroline u boku.

Z balkonu miała też okazję przyglądać się zapoznaniu państwa Bennet i państwa Bingley, w którym to spotkaniu oczywiście uczestniczyli Jane i Chip. To spotkanie na szczycie odbyło się na dziedzińcu przy stole, na którym ustawiono piękną kompozycję kwiatową, kieliszki z szampanem i zero jedzenia. Choć Liz nie słyszała rozmowy, niewątpliwie została ona zarejestrowana dla potomnych; jeden człowiek trzymał mikrofon z metr nad głowami członków rodziny, dwaj inni stali za nimi z kamerami na ramieniu, a ponieważ zapadł zmierzch, scenę oświetlały reflektory.

Pani Bingley była szczupłą blondynką z włosami ułożonymi w klasycznego boba. Miała na sobie beżowe spodnie trzy czwarte i beżową kurteczkę, beżowe płaskie buty i bladofioletowy jedwabny szal. I się nie uśmiechała. Liz rozpoznała w niej typową kobietę, która gra w tenisa w Cincinnati Country Club, podobną do niektórych przyjaciółek pulchniejszej i bardziej tandetnej pani Bennet. Pan Bingley wyglądał jak starsza wersja Chipa, miał siwe włosy z przedziałkiem na boku; był ubrany w granatowy garnitur, białą płócienną koszulę i zieloną muszkę. Obserwując ich interakcje, Liz z niepokojem pomyślała o przyszłości starszej siostry, i szybko wróciła do środka, by wziąć prysznic i przebrać się na wieczór.

Jane pojawiła się w pokoju po godzinie, a towarzyszyły jej Anne Lee, dwie makijażystki i stylistka.

– Jak poszło z Bingleyami? – spytała Liz.

– Świetnie – odrzekła Jane. – Jego mama ćwiczy jogę.

Jane niewątpliwie miała podłączony mikroport – transponder umieszczono jej na plecach, a mikrofon wpięto pod kołnierzyk bluzki – ale jeśli w swojej wypowiedzi zaszyfrowała jakąś wiadomość, sprzeczną z oficjalną wersją, to Liz nie zauważyła żadnych tego śladów; zadowolenie siostry wydawało się szczere.

Gdy w sypialni poprawiano Jane makijaż, Liz pomalowała się w łazience, za zamkniętymi drzwiami, i dopiero wtedy dołączyła do reszty. Proces robienia Jane na bóstwo ciągle trwał, kiedy zgodnie z planem do drzwi zapukali asystent produkcji i dźwiękowiec. Dźwiękowiec przypiął mikrofon Liz, asystent zaś odprowadził ją do wejścia do budynku. Na podjeździe czekały dwie kamery i czarna limuzyna, a gdy Liz wsiadała do pojazdu – celowo włożyła szykowne dżinsy, a nie spódniczkę – pilnowała, by pokazać jak najmniejszą część pupy. W limuzynie, jak się okazało, czekał jeszcze jeden operator z kamerą. Był to czterdziestoparoletni facet z siwym zarostem i w bejsbolówce.

– Jedziemy dzisiaj do restauracji czy do klubu? – spytała.

Po chwili facet odrzekł:

– Nie możemy rozmawiać z panią o programie. Jeśli ma pani pytania, proszę spytać producentkę.

Asystent, który ją przyprowadził z pokoju, zdążył zniknąć. Liz spojrzała na kamerzystę, na faceta z wielkimi czarnymi słuchawkami i trzeciego, który chyba zajmował się oświetleniem.

– Wszyscy pracujecie na pełny etat dla *Dobrej partii*? – spytała.

– Ja tak – odrzekł kamerzysta i wskazał ruchem głowy pozostałych. – Oni nie.

– Jak długo... – zaczęła, ale nie dokończyła, bo do limuzyny wsiadła Caroline Bingley. Liz przysięgłaby, że w pierwszych kilku sekundach nozdrza Caroline się rozdęły.

– Cześć – powiedziała chłodno.

– Cześć – odrzekła Liz, świadoma obecności kamery oraz swojego mikrofonu, a także transpondera na plecach. – Chyba żadne z nas by się tu nie znalazło, gdybyś kiedyś tam nie wysłała Chipa do *Dobrej partii*, co?

– Twoja rodzina na pewno nie posiada się z radości – odparła Caroline.

– A twoja tym bardziej – rzuciła Liz, siłąc się na ton wyjątkowo przyjazny.

Doświadczenia aktorskie Liz ograniczały się jedynie do występu



w chórze w liceum Seven Hills, gdy wystawiali *Olivera*. A jednak, w miarę jak wieczór się rozwijał, miała dziwne poczucie, że znowu uczestniczy w przedstawieniu, że nade wszystko nie może wyjść z roli, przy czym jej rola w tym wypadku to miła i wspierająca siostra panny młodej. Do Caroline i Liz dołączyły Mary, potem Kitty i Lydia, które pojawiły się razem, następnie starsza siostra Chipa, Brooke, o której istnieniu Liz dowiedziała się właśnie w tym momencie. (Była najstarsza z rodzeństwa, zamężna, miała dziesięcio- i ośmioletnie dziecko, i mieszkała z rodziną niedaleko rodziców na przedmieściach Filadelfii). Na koniec stawiała się Jane, przy wtórze oklasków, które przynajmniej ze strony Liz były serdeczne. Gdy limuzyna ruszyła spod hotelu, opuściła się ciemna szyba oddzielająca przednie fotele i ukazała się uśmiechnięta Anne Lee trzymająca dwie butelki szampana. (Oczywiście, że tam była, i oczywiście, że to był szampan).

– Kto ma ochotę na najlepszy wieczór panieński na świecie? – zawołała.

## Rozdział 172

Jadły kolację w prywatnej sali w restauracji. Z początku rozmowy były bardzo sztuczne; gdy Liz wyszła do toalety, Anne Lee, stojąca za kamerą, dopadła ją i spytała niewiarygodnie normalnym tonem:

– Jak idzie twoim zdaniem?

– Świetnie.

– Nie sądzisz, że jest trochę niezręcznie?

– Nie znamy za dobrze sióstr Chipa – odrzekła Liz. – Brooke poznałam dopiero dzisiaj.

– I wyczuwam napięcie pomiędzy tobą a Caroline. – Na twarzy Anne malowała się niewątpliwa empatia. – Może lepiej byłoby otwarcie pogadać z nią przed ślubem. No wiesz, oczyścić atmosferę i zbliżyć się do siebie?

Liz z góry postanowiła, że wypije najwyżej dwa drinki. Po szampanie w limuzynie i koktajlu na wódce zaraz po przyjeździe do restauracji, a także kieliszku wina do posiłku, już przekroczyła tę ilość. Nadal jednak Anne zdecydowanie nie wydawała się jej przekonująca. Rozciągnęła usta w udawanym uśmiechu.

– Mówiłam ci, że nie mam problemu z Caroline.

Krótko po przystawkach rozległo się pukanie do drzwi; Liz spodziewała się Chipa, ale kiedy drzwi się otworzyły, stanęli w nich policjant i strażak czy też, jak Liz szybko się domyśliła, sącząc czwartego drinka, striptizerzy w stroju policjanta i strażaka. Nieprędko miała zapomnieć widok, gdy panowie wirują wokół brzemiennej, trzeźwej Jane – ona jedyna nie piła – jak lśniące od olejku mięśnie klatki piersiowej odsłaniają się, w miarę jak spadają ubrania, aż zostali tylko w majtkach i strażak w hełmie, pasie i butach, a policjant w czapce i z kajdankami na nadgarstku. Następnie tańczyli z niektórymi paniami do *Single Ladies* Beyoncé: Lydia i Kitty kręciły biodrami i kołysały pośladkami ze szczególnym entuzjazmem, Liz chybotając się z boku na bok na tyle, by sprawiać wrażenie (miała nadzieję)

rozbawionej, i nawet Brooke zakręciła strażakiem, przez co sympatia Liz do niej znacznie wzrosła. Ale i Mary, i Caroline przyglądały się im z pogardą i odmawiały stanowczo, gdy ktoś chciał je zachęcić do tańca.

Ledwie striptizerzy wyszli, kiedy rozległo się kolejne pukanie do drzwi, i to znowu nie był Chip. Był to gospodarz *Dobrej partii*, Rick Price. Pośród kobiet rozległy się spontaniczne wiwaty, do których Liz ku własnemu zdumieniu dołączyła i wtedy właśnie (a piła piątego drinka) zdała sobie sprawę, że jest kompletnie pijana – nie wstawiona, tylko totalnie narąbana – oraz że jest o wiele szczęśliwsza niż dwie, trzy godziny temu. Poczowała wyrzuty sumienia, że ze swojej wygodnej kanapy tyłu uczestników *Dobrej partii* uznała kiedyś za tandetnych i idiotycznych; najwyraźniej – podobnie jak w wypadku pizzy teriyaki i zabiegu kosmetycznego z jadem pszczoł – wykorzystania przez reality show nie należało krytykować, dopóki się samemu nie spróbowało.

– Słyszałem, że tu się odbywa niezłe szaleństwo – zazartował Rick Price, a kobiety znowu zaczęły wiwatować. – Przychodzę prosto od chłopaków i oni rzucają wam wyzwanie. Macie do nich dołączyć w ich klubie i wziąć udział w Grze Przedślubnej. Wchodzicie w to? – Tu nastąpiła fala kolejnych okrzyków, a gdy ucichła, Liz usłyszała głos Mary:

– Mogę wrócić do hotelu?

Kiedy wszystkie na powrót wsiadły do limuzyny, Mary znalazła się obok Liz.

– Beznadzieja – powiedziała. – I tego właśnie dokładnie się spodziewałam.

– Przynajmniej dostaniesz za to pieniądze.

Prawdopodobnie informacja, że ktoś komuś płaci, nigdy nie miała zostać wyemitowana, ale na wszelki wypadek, a także dla draki Liz spojrzała w kamerę i uśmiechnęła się wspaniałomyślnie.

W klubie oprócz kompanii Chipa nie było nikogo. Gra miała się odbyć w saloniku, gdzie stały pomarańczowo-czerwone kanapy i krzesła; jeszcze zanim na dobre weszła do środka, Liz ujrzała Darcy'ego, który siedział pomiędzy Shane'em a Chipem ze szklaneczką chyba szkockiej i ponurym wyrazem twarzy. Poza tym byli tam obecni Ham i szwagier Chipa, Nick. Liz pomyślała sobie, że o ile kolacja kobiet była niezręczna, to mężczyźni musieli być wręcz nieznośni. Bo przecież Shane i Ham byli praktycznie obcy dla pozostałych, a także nie znali się nawzajem.

Z przykrością patrzyła, jak Caroline kieruje się prosto do Darcy'ego. Rozmawiali, a Darcy spojrział przy tym w oczy Liz. Czy Caroline ją oczerniała? Odwróciła wzrok.

Gra polegała na tym, że goście Jane i goście Chipa na zmianę zgadywali, jak narzeczona i narzeczony dokończąliby zdanie: „Zrozumiałam/em, że jestem zakochana/y, gdy...”.

Rick Price, który zadawał pytania, stanął przed nimi wszystkimi; Jane i Chip siedzieli po obu jego stronach na krzesłach podobnych do tronu, drużyny stanęły naprzeciwko siebie, a na niskim stole pomiędzy nimi ustawiono co najmniej setkę – jak naliczyła Liz – naczyń wypełnionych płynami w rozmaitych odcieniach. Początkowo sądziła, że kolejkę wypija każdy, kto udzieli niepoprawnej odpowiedzi, ale może ten, kto udzieli poprawnej – też.

Czy to niespodzianka, że gra okazała się niesamowicie zabawna? Na pewno w porównaniu z kalamburami w Cincinnati wypadła korzystniej, a może chodziło o to, że tym razem Liz była najlepsza. Czy zdanie brzmiało: „Pierwszą randkę mieliśmy w...”, „Zaręczyliśmy się w...”, ona się prawie nie wahała. Chociaż Rick Price zachęcał ją, by się naradzała z koleżankami z drużyny, Liz po prostu szybko wykrzykiwała odpowiedzi, a potem wybuchł totalny chaos: Lydia usiadła Hamowi na kolanach, Brooke zwymiotowała w kącie, po czym otarła usta wierzchem dłoni i radośnie wróciła do zespołu. („Jesteście fantastyczni!” – powiedziała do Liz, a ta ledwie powstrzymała się od odpowiedzi: „Bardzo się cieszę, że nie jesteś taka straszna jak Caroline!”). Rick Price często im przypominał, by nie przerywali sobie nawzajem, a w wypadku kilku pytań operatorzy musieli zarządzić powtórki, bo za dużo ludzi mówiło naraz. Gdy Liz po raz czwarty zawołała: „Pierwsza randka odbyła się w Orchids!”, zastanawiała się, czy ma szansę na Oscara dla najlepszej aktorki drugoplanowej.

Potem znalazła się w innej części klubu i razem z Kitty tańczyła do piosenki rapowej, do której znały słowa. Kitty miała na głowie cienką plastikową opaskę z antenką, na której końcu kołysały się błyszczące różowe penisy naturalnej wielkości. Ależ ta opaska była obłądna! Co lepsze, Kitty wskazała, że Liz ma na głowie taką samą. To naprawdę była magiczna noc. Liz straciła z oczu Darcy'ego – on nie tańczył – ale nie pamiętała, by kiedykolwiek tak szalowo bawiła się w towarzystwie swoich sióstr.

Gdy dołączyła do nich Lydia, przyłożyła usta do ucha Liz i przekrzyknęła

muzykę:

– Wiesz, kto jest świadkiem Chipa? – Choć ich twarze były o centymetry od siebie, Liz raczej czytała z ruchu warg siostry.

– Darcy! – odkrzyknęła.

– Darcy! – powtórzyła Lydia. – Nienawidzę go! To on wcisnął mamie to gówno o transseksualistach i wadzie wrodzonej.

– Masz na myśli to, co ona mówi o rozszczepie podniebienia? To Darcy? Lydia kiwnęła głową.

– Właśnie wyszedł, ale jak go jutro zobaczę, powiem mu, żeby nie wtykał nosa w nie swoje sprawy.

– Ale musisz przyznać... – Z wielu powodów parkiet wydawał się niewłaściwym miejscem do tej rozmowy; niemniej jednak Liz nie rezygnowała, krzycząc co sił w płucach: – Nie sądzisz, że dzięki temu mama zaczęła rozumieć Hama?

– Jak mama nie rozumie Hama, to jej problem. On nie przeprasza, że żyje.

– Ale czy to nie lepiej, że rozmawiasz z rodzicami?

Lydia uśmiechnęła się znacząco.

– Trudno powiedzieć.

– A dlaczego w ogóle Darcy rozmawiał z mamą? – krzyknęła Liz.

– Bo uważa się za najmądrzejszego na świecie i lubi, jak inni go słuchają.

– Nie! Pytam, skąd wiedział, że jego interwencja jest potrzebna.

– Właśnie! – odkrzyknęła Lydia. – Wcale nie była potrzebna!

## Rozdział 173

Niespełna godzinę później Liz leżała w ciemności na wirującym łóżku w pokoju hotelowym, podczas gdy biedna Jane stała na dziedzińcu i dalej rozmawiała w oślepiającym świetle reflektorów. Choć Liz przeżyła właśnie jedną z najdoskonalszych nocy w swoim życiu, Jane na pewno zaświtały już wątpliwości co do sposobu, w jaki postanowiła wyjść za mąż. Nagle Liz usiadła gwałtownie, okupując to mdłościami, włączyła nocną lampkę, wstała z łóżka, chwyciła plastikową kartę, która była jej kluczem do pokoju, i pospieszyła korytarzem.

Kiedy zapukała do drzwi pokoju Mary, ta otworzyła jej ze szczoteczką do zębów w buzi i spienioną pastą wokół ust.

– Czego chcesz? – spytała.

– Wtedy jak wpadłaś na Darcy’ego w Skyline – wypaliła Liz – powiedziałaś mu, że mama nie rozmawia z Lydią?

– A co? – spytała Mary podejrzliwie.

– Myślę, że dlatego poszedł z nią porozmawiać.

– Och, rzeczywiście. – Ton Mary zmienił się na nieco przyjaźniejszy. Odwróciła się i ruszyła do łazienki, a Liz podążyła za nią. Mary wypluła pastę do zlewu i wypluknęła szczoteczkę. – W Skyline spytał, czy ma tak zrobić. Sądził, że ze względu na swój zawód może wyjaśnić mamie kwestię transseksualności, tłumacząc, co się dzieje w mózgu Hama.

– I powiedział jej, że to wada wrodzona?

– Nie było mnie przy rozmowie, ale domyślałam się, że nic innego do mamy nie przemawiało.

To oznaczało, że Darcy ocalił szczęście jej rodziny nie raz, lecz dwa razy; nie tylko doprowadził do pojednania Jane i Chipa, ale także Lydii i pani Bennet. Ale dlaczego? Co nim kierowało? Żadna z tych sytuacji nie dotyczyła bezpośrednio jego i w żadnym wypadku nie szukał pochwały – wręcz Liz nagle sobie przypomniała, jak Darcy zignorował pytanie, które mu

zadała podczas kolacji w Nowym Jorku: skąd wie, że pani Bennet i Lydia już ze sobą rozmawiają – a jednak jego wysiłki daleko wykroczyły poza zwyczajną uprzejmość.

Mary zakręciła wodę i siostry spojrzały sobie w oczy w lustrze.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę – powiedziała młodsza – ale dzisiaj się strasznie upiłeś i w tej chwili nieprawdopodobnie cuchniesz.

## Rozdział 174

O dziewiątej rano Ham poprowadził trening crossfitowy na dziedzińcu; poprzedniego wieczoru powiedział Liz, że wszyscy są mile widziani, rodzice również, i że zmodyfikuje ćwiczenia tak, by dopasować je do każdego uczestnika, w zależności od tego, jaką dziedzinę sportu aktualnie uprawia, nawet jeśli żadną. Niestety, choćby nie wiadomo jak się namodyfikował, nie uwzględniłby kaptura w ustach i łomotu w głowie, z którymi obudziła się Liz. Nie wzięła udziału w zajęciach, nie wzięła udziału w lunchu dla obu rodzin i dopiero krótko przed próbą kolacji weselnej, która jakimś cudem również odbywała się na dziedzińcu, z wielkim oporem wstała z łóżka. Na kolacji nie wymagano strojów wieczorowych, były dopuszczalne nawet stroje kąpielowe, jak niezliczoną ilość razy przypominali producenci.

Liz się pomalowała, wypila kubek czarnej kawy, którą sobie zrobiła w łazience, i wreszcie przyszli po nią ten sam asystent producenta co wczoraj oraz inny dźwiękowiec.

To, że próba kolacji jest nie tylko rzeczywistą próbą wesela, lecz także wydarzeniem, które jest nagrywane ku uciesze widzów, stanowiło bolesne dla mózgu kuriozum, ale mózg Liz cierpiał z innych powodów i przede wszystkim zajmowało ją pytanie, który napój spożyje jako klin, gdy tylko zakończy się nagranie. W trakcie pogawędki z panem Bingleyem chwyciła kieliszek białego wina z pobliskiej tacy. Dowiedziawszy się o jej pracy, pan Bingley wyznawał, że zawsze pragnął napisać powieść. Z winem w ręku perspektywy na wieczór znacznie się poprawiły.

Co prawda Liz włożyła letnią sukienkę, a nie strój kąpielowy, ale Lydia, Kitty, Ham, Shane i Caroline pływali. (Liz usiłowała się nie gapić na klatkę piersiową Hama, ale ponieważ się jednak pogapiła, zauważyła, że jest to imponująca męska kłata. Nad pępkiem i poniżej biegła ścieżynka i jedynym śladem po niegdyś kobiecym ciele były dwie cieniutkie czerwone blizny pod męskimi obecnie sutkami). Kobiety miały na sobie bikini pochodzące, jak



zakładała Liz, z koszy podarunkowych; Caroline nosiła biały strój i w pewnym momencie wynurzyła się z wody, podeszła do Darcy'ego – który miał na sobie spodnie khaki oraz białą koszulę z długim rękawem, rozpiętą pod szyją – i ewidentnie próbowała go przekonać, żeby dołączył do niej w basenie. On pokręcił głową, ona zadrżała seksownie, on znowu pokręcił głową.

– Wskakujesz do wody? – spytała Jane stojąca obok Liz.

– Obawiam się, że niechcący stałabym się wzorcem dla Amerykanek, które nie powinny nosić bikini, ale noszą.

Jane wskazała na swój brzuch.

– A co ja mam powiedzieć?

– Och, litości – odparła Liz – tobie wszystko ujdzie na sucho.

Chciałaby omówić z siostrą mnóstwo tematów, lecz nie miała szansy ich poruszyć z obawy, że zostaną później puszczane w telewizji. Czy Jane cierpiała katusze, czy uważała to całe widowisko za zabawne? Czy rzeczywiście lubiła Bingleyów, czy tylko udawała? Czy ich rodzice zachowywali się jak trzeba i czy matka już wygłosiła jakąś tyradę do kamery? Ku ubawieniu Liz pan Bennet i pan Bingley odkryli, że łączy ich upodobanie do cribbage'u i cygar i większość dnia spędzali przy stoliku na dziedzińcu, pałac i grając.

W basenie wywiązała się walka parami – Lydia siedziała na ramionach Hama, a Kitty na ramionach Shane'a.

– Denerwujesz się przed jutrem? – spytała Liz starszą siostrę.

Jane się uśmiechnęła.

– Jestem gotowa na początek nowego życia.

Ponieważ trudno jej się było powstrzymać, Liz znowu spojrzała prosto w oko kamery i na dźwiękowców stojących w odległości półtora metra.

– To dobrze – powiedziała.

## Rozdział 175

Szła przez hol z Mary i ojcem, a wszyscy zmierzali do windy, by wrócić do swoich pokoi po zakończeniu próbnej kolacji, gdy usłyszała, że ktoś ją woła. Odwróciła się i ze zdumieniem ujrzała zdążającą szybko ku niej Caroline Bingley.

– Jedźcie beze mnie – powiedziała do ojca i siostry i nieufnie czekała na Caroline. Ta przebrała się już w ciemne dżinsy i obcisłą szarą bluzę z kapturem, która wyglądała na kaszmir.

– Czego chcesz? – spytała Liz, gdy Caroline znajdowała się z półtora metra od niej.

– Mylisz się co do Darcy'ego. Całkowicie się mylisz.

– Słucham?

– Nie zgrywaj przede mną idiotki, Liz. Widać wyraźnie, że upatrzyłaś go sobie od tego okropnego barbecue Czwartego Lipca. Ale on był poza twoim zasięgiem i nic się w tej kwestii nie zmieniło.

– Okej. – Liz zastanawiała się, co, na miłość boską, doprowadziło do tej konfrontacji.

– Twoja siostra ma szczęście, że wychodzi za Chipa – ciągnęła Caroline. – Wielkie szczęście. Ale nie sugeruj się tym. Wiem, że twoja rodzina ma się za jakąś taką... – Caroline nakreśliła w powietrzu cudzysłów – „elitę Cincinnati”. Ale to oksymoron. A Darcy i ja będziemy znowu razem. Zawsze było wiadomo, że jesteśmy sobie pisani. Między nami jest silna chemia i teraz jest doskonały moment, żebyśmy zaczęli poważny związek.

Liz uśmiechnęła się najzłośliwiej, jak umiała.

– No to cudownie.

– Jeśli Darcy na ciebie poleci, to tylko dlatego, że mieszkając w Ohio, stracił perspektywę. Na tej samej zasadzie ludzie zaczynają sympatyzować ze swoimi porywaczami.

„Jeśli Darcy na ciebie poleci...?” – czyżby Darcy i Caroline nie byli parą? Bo jeśli byli, to ten występ był jeszcze bardziej pojechany, niż gdyby nie byli. „Na pewno słyszałaś o moim bracie i Caroline” – przypomniała sobie Liz i własna głupota dotarła do jej mózgu jak uderzenie pioruna. Kiedy dostała ten esemes od Georgie, oczywiście postawiła sobie pytanie: „Co miałam słyszeć?”. Ale szybko przeszła od pytania do podejrzenia, że wie, o co chodzi, a następnie do pewności. Gdyby pisała artykuł, w życiu by się nie posunęła do takiego wnioskowania, w życiu by nie uznała na ślepo faktu, na którego temat usłyszałaby aluzję. Ufaj, ale sprawdzaj – to była jej maksyma. A jednak w ciągu ostatnich trzech miesięcy ani razu nie pokusiła się o weryfikację. Jakże niedbale i z jak wątlwym dowodem uznała ten koniec swoich marzeń. Dlaczego, u diabła, z taką gotowością porzuciła to, czego pragnęła najbardziej na świecie?

– A jeśli Darcy poleci na ciebie – powiedziała powoli Liz do Caroline – stworzycie stosowniejszą parę? Nikt nie poczuje się zakłopotany?

– Posłuchaj. Nie jest tajemnicą, że twój ojciec doprowadził rodzinę do bankructwa. Twoja matka i siostry są idiotkami, a teraz masz jeszcze za szwagra obojnaka. Nie nadajesz się na partnerkę Fitzwilliamia Darcy’ego.

– Zaczekaj, niech no ogarnę. Twój brat jest gwiazdą reality show, i to dzięki tobie. Ale to moja rodzina jest zbyt tandetna dla Darcy’ego?

– Ta cała telewizja to biznes. *Dobra partia* to tylko etap, dzięki któremu wyrobimy Chipowi markę i wprowadzimy go do nowych projektów.

– Na twoją obronę mogę powiedzieć, że wierzysz w to, co mówisz, chociaż to czysty absurd. Ale tak czy owak, Darcy jest dorosłym mężczyzną i sam podejmuje decyzje.

Caroline zmrużyła oczy.

– Czy wy już jesteście razem?

Liz wybuchnęła śmiechem.

– Jakim cudem?! Kto by się ośmielił naruszyć twoje prawo własności?! To byłoby gorsze niż noszenie sandałów we wrześnie. Może tak straszne jak zjedzenie dania głównego widelcem do sałaty.

– Wydaje ci się, że jesteś taka bystra – wyszczała Caroline. – Wszyscy to wiedzą.

– Idę do łóżka – odrzekła Liz. – Dobrej nocy, Caroline. – Przeszła kilka kroków w stronę windy i jednak się odwróciła. – A swoją drogą bardzo się cieszymy, że Ham dołączył do naszej rodziny. I nikt nie używa słowa

„obojnak” w odniesieniu do transseksualistów. A w każdym razie nikt na poziomie.

Już w windzie, w trakcie krótkiej podróży na drugie piętro, Liz przypomniała sobie, że przez całą tę rozmowę miała na sobie mikrofon.

## Rozdział 176

W pokoju Liz chwyciła swoją komórkę z biurka, tam gdzie ją zostawiła przed próbną kolacją, i gorączkowo odszukała esemes od Georgie. Przeczytała go (*Na pewno wiesz już o moim bracie i Caroline i teraz czuję się bardzo niezręcznie z powodu rozmowy z Tobą. Naprawdę żałuję, że nie ugryzłam się w język*) i napisała pospiesznie:

*Georgie, bardzo mi przykro, że w końcu nie odpisałam na tę wiadomość. Ja też się cieszę, że się poznałyśmy. Przepraszam, że pytam tak ni z gruszki, ni z pietruszki, ale co miałaś na myśli, pisząc, że na pewno wiem już o Twoim bracie i Caroline?*

W ciągu następnych dziesięciu minut Liz była tak ogłupiała i tak się niecierpliwiła, że zaczęła robić pajacyki, by się czymś zająć; przez grzeczność wobec osoby, która zajmowała pokój niżej, po kilku pajacykach przeszła do przysiadów. Chociaż od lat nie paliła, zastanawiała się, czy teraz nie sięgnąć po papierosa, aż wreszcie nadeszła odpowiedź od Georgie: *Chodziło mi o wypadek samochodowy. Twój artykuł o Kathy de Bourgh jest odlotowy! Wiedziałam, że tak będzie.*

*Jaki wypadek samochodowy? Bardzo dziękuję za komplement – odpisała.*

Tym razem odpowiedź Georgie przyszła w trzech odcinkach.

*Nie wiem, ile wiesz – to było w pierwszym – ale gdy tamtego dnia wracali z wycieczki, jakiś kierowca wjechał w samochód mojego brata i Caroline miała złamany obojczyk.*

Druga wiadomość: *To nie była wina Fitzy’ego, ale czuł się odpowiedzialny, bo to on prowadził. Caroline już do końca weekendu zdecydowanie NIE była szczęśliwa. Teraz już jej chyba lepiej!*

I trzecia: *Jesteście wszyscy na ślubie Chipa i Twojej siostry, prawda? Jakie to śmieszne, że Fitzy będzie w Dobrej partii. Mówiłam, żeby zrobił sobie selfie z Rickiem Price’em. Pewnie „zapomni”, więc przypomnij mu, proszę!*

Czy skoro Caroline została poszkodowana, zastanawiała się Liz, to ona

powinna jej bardziej współczuć? Czy już nie wypada jej nie cierpieć?

*Jeszcze się upewnię – napisała. Twój brat i Caroline nie są parą teraz i nie byli od tamtego weekendu w Atherton?*

*Nie!*

Z tego powodu powinna odpuścić Caroline – nie dlatego, że tamta przestała być okropna, lecz dlatego, że nie była z Darcym. I nagle Liz zrozumiała, co musi powiedzieć Darcy’emu i – co ważniejsze – o co musi go zapytać. I poczuła, że musi to zrobić natychmiast. Wręcz chciała w tej chwili napisać do niego esemes albo po prostu dowiedzieć się, w którym pokoju nocuje, i zapukać do drzwi. Ale takiej rozmowy na pewno lepiej było nie inicjować pod wpływem impulsu.

*Dzięki, Georgie – napisała jeszcze. Zrobię, co się da, żeby zdobyć zdjęcie Ricka i Twojego brata.*

## Rozdział 177

Łzy Chipa w trakcie ceremonii zaślubin same w sobie nikogo nie zaskoczyły, ale ich obfitość i nieskończoność były widowiskiem, jakiego Liz w życiu nie widziała. Pojawiły się w chwili, gdy Chip ujrzał Jane, przed którą szły siostry i przyszłe szwagierki: panna młoda wyglądała olśniewająco w sukni z organzy w kolorze kości słoniowej; blond włosy zebrane w luźny niski kok skrywał tiulowy welon obszyty perełkami, niosła też bukiet białych róż. Na nogach miała złote satynowe szpilki z otwartym przodem, na obcasach – pomyślała Liz z konsternacją – nieprzewidzianych dla osoby w obecnym jej stanie; chociaż niewątpliwie przykładały się do końcowego rezultatu niespotykanego, wręcz magicznego piękna. Jane wyglądała jak brzemienny anioł.

Do ołtarza prowadził ją pan Bennet w nowym smokingu. W walizce przywiózł do Kalifornii smoking od Brooks Brothers zakupiony w 1968 roku, gdy towarzyszył debiutantce Peggy Isborne na balu Cincinnati Bachelors Cotillion. Trzeba było zachęć ze strony rozmaitych młodych i atrakcyjnych stylistek pracujących dla *Dobrej partii*, by przekonać go, że będzie jeszcze bardziej szykowny, jeśli jego oficjalny strój zostanie zaktualizowany. Druhny miały na sobie szyfonowe suknie, lawendowe ze śliwkowymi szarfami, i chociaż Liz zasadniczo nadal nieufnie podchodziła do produkcji, doceniła fakt, że styliści dostosowali kroje sukien tak, by kobiety wyglądały w nich jak najkorzystniej. Ona miała sukienkę do kolan, bez rękawów, z dekoltem w szpic.

Uroczystość odbyła się na dziedzińcu. Przez noc, za sprawą chyba cudu basen został zakryty przezroczystymi akrylowymi płytami, na których ustawiono krzesła dla gości podzielone na dwie grupy tak, by utworzyć korytarz. Na drugim końcu basenu wzniesiono drewniany ołtarz, z którego zwisały pasy leciutkiej białej tkaniny ozdobionej perełkami we wzorek powielający ten z welonu Jane, a dokoła białe róże takie jak z jej bukietu.

Uroczystość uwieczniało sześć kamer, w tym jedna na wysięgniku. Również na wysięgniku umieszczono prostokątny panel oświetleniowy, który mierzył ze dwa metry na trzy. Ślubu udzielał Rick Price.

Na widok Jane Chip zrobił grymas. Potok, który chwilę potem wypłynął z jego oczu, na pewno by wystarczył do wykąpania średniej wielkości psa corgi albo może border collie. Jako świadkowa Liz stała tuż za Jane i miała najlepszy widok na burzę emocji deformującą rysy Chipa. Gdy Jane przeszła z ojcem między gośćmi, pan Bennet podniósł jej welon, pocałował ją w policzek, a potem ujął jej prawą dłoń i podał Chipowi, by ten ją chwycił. (Kiedy tę scenę później pokazano z dwóch kamer, Liz pomyślała, że ta tradycja jest raczej czarująca niż niepokojąco patriarchalna). Pan Bennet usiadł, a Chip wydusił słowa: „Jesteś taka pięk...”, ale nie mógł ich dokończyć, gdyż przerwał mu nowy potok łez. Jane położyła dłoń na jego ramieniu, poklepała go delikatnie, i chociaż Liz nie widziała jej wyrazu twarzy, była pewna, że oddaje ogromną miłość.

– Witajcie – zaintonował Rick Price. – Zebraliśmy się tu dzisiaj z okazji błogosławionego wydarzenia, ukoronowania życia i miłości. Chipie i Jane, dziś w obecności swych rodzin, Boga i świata uroczycie zdeklarujecie wzajemną więź – przerwał i mrugnął do gości. – No, kto ma ochotę się zabawić?

Zapadła krępująca cisza, aż w końcu odezwała się Jane:

– Ja.

Chip usiłował coś powiedzieć, ale nie dał rady, siąknął nosem, gdy popłynęły nowe łzy, i tylko kiwnął głową.

– Rick, powtórzmy to bez tego mrugnięcia – przerwał brodaty producent stojący za jedną z ekip operatorskich i tak właśnie potoczyła się ceremonia: ciąg poprawek i potoki łez, przez które procedura zajmująca normalnie jakieś dziesięć minut potrwalała ponad godzinę. W przerwach poprawiano makijaż, zwłaszcza Jane, ale też Chipowi, Rickowi Price’owi i reszcie kompanii; zrobiono przerwę, gdy Jane w towarzystwie Liz i trzech stylistów poszła się wysikać; i całymi minutami po prostu czekali, aż Chip się weźmie w garść, przy czym Jane szeptała mu pokrzepiające słowa, które w rzeczywistości wszyscy słyszeli.

A jednak Liz się nie nudziła. Cała ceremonia była surrealistyczną i rozkoszną męką, którą ona z zadowoleniem znosiłaby wiecznie, wymieniając trudne do zinterpretowania, ale prawdopodobnie zalotne



spojrzenia z Fitzwilliamem Darcym. Liz przeszła do ołtarza jako ostatnia drużna, przed samą panną młodą, i dziwnym trafem nie widziała przed sobą ani Chipa, ani Ricka Price'a, lecz tylko Darcy'ego, który stał tam niemożliwie wysoki, poważny i przystojny. Tak przystojny, że ciągle ją to zdumiewało. Nie spieszyło się jej jednak do końca ceremonii, bo chciała mu powiedzieć tak ważne rzeczy, a nie wiedziała, jak on zareaguje. Biorąc pod uwagę, że Darcy nie był chłopakiem Caroline, i biorąc pod uwagę pogłoskę, że nadal żywi uczucia do Liz – pogłoskę przyprowadzającą o zawroty głowy, bezwiednie rozpuszczoną przez Caroline – czuła pewną dozę optymizmu. Ale optymizm może zgasnąć w jednej chwili, a jej serce raz jeszcze może pęknąć.

Ostatecznie pomimo obfitości łez Chipa uroczystość dobiegła końca. Nowożeńcy triumfalnie przeszli pomiędzy gośćmi, budząc powszechną radość. Następnie, tak dla pewności, że kamerom nie umknęło ani jedno ujęcie pod żadnym kątem, zatoczyli koło i jeszcze dwukrotnie dokonali tego samego przemarszu. Od tej chwili goście mogli się bawić, aczkolwiek Liz wiedziała, że ją czeka wciąż dużo wyzwań, w tym wygłoszenie toastu. Prawdopodobnie udokumentowanie pierwszego tańca i krojenie tortu też będzie wymagało wyjątkowej cierpliwości od zebranych. Podano już jednak szampana, serwowano przystawki – faszerowane pieczarki, crostini z kozim serem – i goście mieli co najmniej kilka minut jako takiej wolności. Darcy rozmawiał przy jacuzzi z Shane'em, a gdy Liz ruszyła ku nim szybkim krokiem, dopadła ją Lydia.

– To najnudniejszy dzień mojego życia – powiedziała z ustami pełnymi faszerowanej pieczarki. – A ty się nie nudzisz?

– Pewnie nie jesteś stworzona do reality show – odrzekła Liz. – I to chyba dobrze, co?

– Jane będzie mogła zatrzymać suknię?

– Mam coś do załatwienia – rzuciła Liz. – Zaraz wrócę.

Gdy mijala Jane, Chipa i zebraną wokół niewielką grupkę osób, które chciały im złożyć życzenia, wyłączyła mikrofon dyskretnie przypięty do jej sukni, przy obojczyku. Dotarła do jacuzzi i postukała Darcy'ego w ramię.

– Cześć – powiedziała, kiedy na nią spojrział. – Cześć, Shane. Mogę na chwilę zabrać Darcy'ego? – Z bliska widziała wyraźnie, że Darcy ma makijaż – bodajże podkład i puder – co może by ją stropiło, gdyby nie była tak zaabsorbowana misją, którą sobie wyznaczyła.

– Świetnie wyglądasz, Liz – stwierdził Shane. Podniósł w górę kieliszek

z szampanem. – Na zdrowie.

Liz nie miała kieliszka, ale odpowiedziała „Na zdrowie” i zwróciła się do Darcy’ego:

– Pójdiesz ze mną?

– Dokąd? – spytał niezbyt ciepło.

Wcześniej upatrzyła sobie miejsce przy ścieżce prowadzącej na tyły hotelu.

– Tam. – Wskazała drogę. – I możesz wyłączyć mikrofon?

– Co takiego?

Łatwiej było to zrobić, niż wyjaśniać – wspięła się na palce, sięgnęła do jego klapy i sama wyłączyła urządzenie. Zrobiła w tył zwrot i szybkim krokiem ruszyła w kierunku ścieżki, wciąż niosąc swój bukiet i unikając kontaktu wzrokowego z rodziną oraz członkami ekipy, a także mając nadzieję, że nikt za nimi nie pójdzie. Na pewno jakiś dźwiękowiec, może ktoś w reżyserce, już zauważył brak kontaktu ze świadkową i świadkiem i zbierał się, by naprawić sytuację. Obejrzała się przez ramię – Darcy podążył za nią – a potem zeszła ze ścieżki i stanęła za wielkim głazem okolonym trawą ozdobną i białym piaskiem. Dołączył do niej z pytającym wyrazem twarzy i stanęli naprzeciwko siebie.

– Rozmawiałeś z moją mamą o Hamie, prawda? – zaczęła Liz. Patrzył zaskoczony, więc dodała: – Mówiły mi o tym Lydia i Mary.

Badawczo przyjrzał się jej twarzy, nim odrzekł:

– Obawiam się, że wada wrodzona jest wyjaśnieniem niepoprawnym politycznie, ale próbowałem znaleźć określenia, które będą zrozumiałe dla osoby z jej pokolenia.

– Rozmawiałeś z nią osobiście czy przez telefon? – O to nie zamierzała pytać, ale nagle ją to zastanowiło.

Uśmiechnął się.

– To pytanie typowe dla ciebie. Zaprosiłem twoich rodziców na lunch.

– Jesteś bardzo odważny. – Po chwili dodała: – Jak coś jest typowe dla mnie, to dobrze czy źle?

– To pytanie też jest bardzo w twoim stylu – odrzekł.

– Nie poszliście do Skyline, prawda?

– Poszliśmy do Teller’s. Chcesz wiedzieć, co zamówiliśmy?

Lecz w jego głosie słychać było coraz więcej uczucia, nie sarkazmu. Liz wyobraziła sobie, jak Darcy zaprasza jej rodziców na lunch, siedzi z nimi

przy stoliku w Teller's, pomaga im, z całym swoim autorytetem nadanym przez wykształcenie medyczne, zrozumieć, że transseksualny zięć to nic strasznego – i bardzo się wzruszyła.

– Dziękuję ci – powiedziała. – I dziękuję, że pogodziłeś Jane i Chipa, że doprowadziłeś do tamtej kolacji.

– Cieszę się, że takie masz odczucia po tym, przez co przeszliśmy przez kilka ostatnich dni. – Palcami podrapał się po szczęce. – I gdy patrzysz, jak tu stoję jak głupiec z makijażem.

– Pasuje ci. W szpitalu bez problemu dali ci wolne?

– Będę pracował w Boże Narodzenie i Nowy Rok, co mi nie przeszkadza. Georgie przyleci na święta do Cincinnati. – Znowu spojrzeli sobie w oczy. – Georgie wczoraj do mnie dzwoniła. Zmartwiła się, że w Święto Pracy wysłała ci mylący esemes.

– To nie była wina Georgie. Po prostu... – Liz przełknęła ślinę. – To ja od razu wyciągnęłam wnioski. Nie wiedziałam, że mieliście z Caroline wypadek, i sądziłam, że jesteście znowu razem. Widziałam przecież, że rozżłościłam cię, przerywając nasze śniadanie i lecąc do Cincinnati, bo Lydia pojechała wziąć ślub z Hamem. Jak potem wysłałeś mi esemes, gdy dotarłam do Nowego Jorku... teraz żałuję, że odpowiedziałam tak chłodno, ale się stało. I dlatego właśnie nie zachowywałam się najlepiej na kolacji z Jane i Chipem.

– Tak, tamtego wieczoru widać było wyraźnie, że czymś cię rozdrażniłem – przyznał Darcy. – Chociaż nie wiedziałem czym.

– W Nowym Jorku w sumie chciałam cię spytać, jak się czuje Georgie.

– O wiele lepiej. Dziękuję.

Na chwilę zapadła cisza, kiedy Liz zbierała się na odwagę.

– Przepraszam – powiedziała. – Przepraszam, bo zachowałam się wobec ciebie niegrzecznie, a ty na to nie zasłużyłeś. W Atherton miałam wrażenie, że między nami wszystko się ułoży, inaczej niż wcześniej. Bardzo dobrze się z tobą czułam i mimo że byłam okropna w Cincinnati, sądziłam, że mi wybaczysz. Ale gdy wybuchła cała ta afera z Lydią, wydawało mi się, że wszystko zniszczyłam bezpowrotnie.

– Tamtego ranka nie byłem zły. Byłem rozczarowany. A potem nawrzucałem sobie, że tak powoli ogarniam. Ponieważ jednak ciebie pochłoneły sprawy rodziny, uznałem, że lepiej zostawić cię w spokoju.

– No wiesz, miałeś rację, że moja rodzina to katastrofa, o czym niedługo

dowie się reszta Ameryki. I że jestem plotkarą, wcale nie taką zabawną, jak myślę.

– Liz. – Darcy wyciągnął rękę i położył ją na jej nagim ramieniu, a od tego dotyku serce jej eksplodowało. – Twój talent do plotkowania to jeden z powodów, dla których tak lubię twoje towarzystwo, mam nadzieję, że o tym wiesz. – Patrzył na nią czule i z zachwytem. – Nigdy nie znałem nikogo, kto tak jak ty interesowałby się ludźmi. Nawet jeśli ich osądzasz, robisz to z uwagą i troską. Nie umiem przewidzieć, kogo polubisz, a kogo nie, ale mam pewność, że będziesz miała konkretne powody i przedstawisz je z wielką pasją. I nigdy też nie znałem nikogo, kto byłby tak lojalny wobec swojej rodziny.

– Żartujesz sobie? Ja nawet nie lubię wszystkich swoich sióstr. Ani rodziców.

– A jednak bez wahania wskakujesz do samolotu albo w upale biegniesz w samo południe, by im pomóc, gdy cię potrzebują. – Darcy odwrócił wzrok, ale nadal dotykał jej skóry, naelektryzowanej. – Jeśli to nie jest oczywiste, ja też się myliłem w wielu sprawach. Tamtego ranka w mieszkaniu twoich sióstr myślałem chyba... – urwał. – Myślałem, że muszę być niegrzeczny, żeby nadrobić to, że się w tobie zakochałem. Bałem się, że lecę za tobą jak uczeń, a ty uznasz mnie za cikliwego. Ale przesadziłem.

Liz przeżyła w jednej chwili napływ nadziei, bo wspomniał o miłości do niej, i panikę, że już nie jest w niej zakochany. Czy nie mógłby się zdeklarować tak albo siak i zaoszczędzić jej cierpień? Choć trudno było jej wydobyć z siebie głos, wydusiła:

– Caroline ostrzegła mnie wczoraj, że nie wolno mi się do ciebie zbliżać. Z powodu mojej tandetnej rodziny i tak dalej. Ale wtedy przyszło mi do głowy... – zawahała się. – Wtedy przyszło mi do głowy, że ona się myli. Sądzi, że zamierzasz mi powiedzieć, że jesteś mną zainteresowany, bo nie wie, że już to powiedziałeś.

Darcy patrzył na nią z powagą.

– Jeśli znowu ci powiem, że jestem tobą zainteresowany – rzekł – to będzie dobry pomysł, jak myślisz?

Kiwnęła głową. Starła się mówić spokojnym głosem:

– W tym wieku już wiem, że czasami człowiek nie dostaje drugiej szansy.

– Kochana... – Darcy oderwał dłoń od jej ramienia i położył ją na

policzku, a ona się do niej przytuliła. Bliska płaczu, zamknęła oczy. – Dałbym ci... dam ci tyle szans, ile zechcesz. Moje uczucia do ciebie nigdy się nie zmieniają. I te słowa, na które wtedy nie wystarczyło mi odwagi, teraz są równie prawdziwe. Jesteś inna niż wszystkie kobiety, które znam. Nawet jeśli się ze mną kłócisz, to cudownie być z tobą. A wtedy, jak do mnie przychodziłaś... w życiu się tak nie bawiłem.

Liz otworzyła oczy.

– Codziennie masz do czynienia z chorymi mózгами. Bez urazy, ale poprzeczka rozbawienia cię wisi raczej nisko.

– Nieprawda. Patrzyłem przez okno, jak wychodzisz w tych sportowych ciuchach, i pomyślałem: „Któregoś razu ona wyjdzie i już jej więcej nie zobaczę”. To mnie ścięło z nóg. Nie chciałem, żeby to był nasz ostatni raz. I zrozumiałem, że się w tobie zakochałem.

Takie komplementy... były porywające, ale ona nie mogła ich wchłonąć w tej ilości i w tym tempie. Zupełnie jakby ją zasypywano gradem wspaniałości, a ona chciałaby zachować poszczególne grudki na później, by dokładniej im się przyjrzeć. Lecz czas uciekał.

Przykucnęła w śliwkowych jedwabnych pantofelkach i odłożyła bukiet, który wciąż trzymała w rękach, na ziemię; potem wstała i wyciągnęła do Darcy’ego ramiona. Po krótkim wahaniu, w którego czasie Liz w myśli przyzywała ducha przewodniego Kathy de Bourgh, ujął jej dłonie w swoje.

– Darcy... – zaczęła. – Fitzwilliamie Corneliusie Darcy Piąty. Znam twoje drugie imię, bo cię wygooglowałam. To przerażające czy imponujące?

– Bardzo cię zranię, jeśli nie opowiem się za żadną opcją?

Uśmiechnęła się.

– Fitzwilliamie Corneliusie Darcy, niesamowicie cię podziwiam. Praca, którą wykonujesz, to, że ratujesz ludziom życie, że jesteś taki pryncypialny... Jesteś najbardziej zasadniczą osobą, jaką znam; nawet jeśli to oznacza, że czasami kogoś obrażasz. I jesteś jedyną znaną mi osobą, wliczając mnie, która nigdy nie kłamie. I jesteś obłędnie inteligentny, a kiedy nie mówisz bolesnej prawdy, potrafisz być nieprawdopodobnie uprzejmy, miły i sympatyczny. Kocham cię, kocham cię żarliwie. I chcę wiedzieć... – Jedno z nich drżało, a może oboje; ich złączone dłonie dygotały, w klatce piersiowej Liz ciężko waliło serce. Podniosła na niego wzrok i podjęła: – Chcę wiedzieć, czy się ze mną ożenisz. Wyświadczysz mi ten zaszczyt i zostaniesz moim mężem?

Nie miała pojęcia, że Darcy jest w stanie uśmiechnąć się tak szeroko.

– Myślałem, że nigdy nie zapytasz.

– Nie mam pierścionka – dodała – ale... – Pochyliła się i pocałowała palec serdeczny jego lewej dłoni, wciąż złączonej z jej prawą.

Nachylał się już do niej, a ona podnosiła twarz ku niemu, ale jeszcze powiedziała:

– A, i oczywiście podpiszę intercyzę. Twoja rodzina ma miliony, a moja stoi na granicy nędzy, ale absolutnie nie dlatego chcę cię poślubić.

– Bardzo romantyczne. Myślę, że te szczegóły zdążymy dopracować.

– I mam świadomość, że będę musiała się przeprowadzić do Cincinnati. Nie wierzę, że to mówię, ale nawet nie mam nic przeciwko temu. Co za ironia, prawda?

– Liz?

– Tak?

– Przystaniesz na chwilę gadać, żebym mógł cię wreszcie pocałować?

– A nie boisz się, że pomieszymy sobie szminki?

– To chyba jedyny kosmetyk, którego w tej chwili na sobie nie mam – odrzekł i w końcu, tam, na tyłach hotelu, gdy stali za głazem, on w smokingu, ona w lawendowej sukience druhny, ich usta się zetknęły i pocałowali się, a pocałunek trwał tak długo, że przechodził różne fazy, w tym taką, kiedy oboje się uśmiechali, a potem wręcz się śmiali, i taką, w której ona zapomniała, gdzie jest.

Gdy przerwali, Darcy powiedział:

– Chyba złamalibyśmy warunki umowy z telewizją, gdybyśmy teraz poszli do mojego pokoju, prawda?

Patrzyli na siebie, naradzając się w duchu, kiedy zza głazu wyłoniła się Anna Lee, a tuż za nią kamerzysta. Darcy i Liz odruchowo odsunęli się od siebie.

– Nie działają wam mikrofony – odezwała się producentka energicznym tonem. – Musimy je naprawić. – Dźwiękowiec już sięgał do sukienki Liz; robił to jak najbardziej profesjonalnie, ale i tak wyglądało to trochę dziwnie. – Czy wyście celowo je wyłączyli? – spytała Anne.

– Nie – odpowiedziała Liz.

– Tak – odpowiedział Darcy.

Anne patrzyła to na jedno, to na drugie.

– Dlaczego je wyłączyliście?

– Chcieliśmy odrobiny prywatności – odparła Liz.

– Czy was coś łączy?

Po kolejnej chwili ciszy odezwał się Darcy:

– To raczej zupełnie nie ma związku z programem.

– Wiem, że coś was łączy. Widziałam, jak się obściskujecie.

Blefowała?

– No to chyba masz odpowiedź na swoje pytanie – odrzekła Liz.

– Od kiedy jesteście razem?

Znowu zapadła cisza, aż Anne przerwała ją, nie kryjąc irytacji:

– Świetnie. Proszę w tej chwili wrócić na przyjęcie.

Gdy szli ścieżką na dziedziniec, Liz czuła za sobą obecność Darcy’ego, a jej ciało drżało z radości.

„Seks na wroga” – myślała wesoło. „Seks na wroga! Tylko że już bez wrogów”.

Przyjęcie trwało jeszcze długo po północy i w tym czasie ona i Darcy często znajdowali się obok siebie, a rzadko się odzywali, niekiedy wymieniali tylko trywialne grzeczności.

– Dobrze się bawisz? – spytał on w pewnym momencie z najwyższą uprzejmością.

– Doskonale, a ty? – odpowiedziała grzecznie.

– Ja również.

Tańczyli ze sobą tylko raz – Darcy tańczył jedynie wolne, a i przy nich czuł się trochę niezręcznie, co nie było niespodzianką dla żadnego z nich – i prawie nie rozmawiali. Ale ona oparła głowę na jego klatce piersiowej i tę solidną podporę odbierała jako zapowiedź ich wspólnej przyszłości.

Gdy odgrywano i nagrywano rozmaite rytuały weselne, w tym toast świadkowej (o ironio, zaabsorbowana czym innym, wygłosiła go zaskakująco gładko), Liz pomyślała sobie, że ekipa *Dobrej partii* robi tylko to, co do niej należy, na co zgodziły się rodziny Bennetów i Bingleyów. Nie chciała jednak podarować im dostępu do swojego nowego, cudownego romansu; kochała Darcy’ego za bardzo, by przed kimkolwiek prócz niego udowodniać tę miłość.

*Cztery miesiące później*



## Rozdział 178

W wyniku bezproduktywnej dyskusji, gdzie i jak Bennetowie będą oglądać specjalne, ślubne wydanie *Dobrej partii*, gdy już zostanie wyemitowane, jako najbardziej prawdopodobna uchowała się opcja, że Ham i Lydia przygotowują kolację i salon dla całej rodziny. Liz i Darcy wciąż mieszkali przy Madison Road – ona przeniosła się z Nowego Jorku w lutym, a ostatnio kupili wyremontowany loft w dzielnicy Over-the-Rhine w śródmieściu, ale jeszcze się tam nie przeprowadzili – Liz zaś naprawdę bała się oglądać program z członkami rodziny. Ich próżność mogła tak ucierpieć, że niezbędne okazałoby się selekcjonowanie rannych.

Wszystkich Bennetów w Cincinnati zaskoczyło pierwsze pojawienie się Jane na ekranie, i to nie w odcinku *Dobra partia: Chip i Jane w drodze do ołtarza*, tylko dwa tygodnie wcześniej, w *Dobrej partii po latach*. Liz spodziewała się, że będzie musiała odwracać wzrok, gdy Chip będzie się całował przez cały sezon, ale na razie dobrał sobie partnerkę tylko raz. Na hamaku doszło do intensywnej pieszczoty pomiędzy nim a Rachele B. (nie mylić z Rachele T.) i ewidentnie angażowały się w nie obie strony, lecz nazajutrz rano Chip z wielkim smutkiem oznajmił Rachele B., że jego serce należy do innej. W następnym odcinku wspomniał Jane w Pokoju Zwierzeń, ale nadal ani Liz, ani nikt z Bennetów nie był przygotowany, że Jane we własnej osobie pojawi się tydzień później na ekranie w przedostatnim odcinku serii.

W jacuzzi w ośrodku w Malibu uczestnicy regenerowali się po rozbieranych zawodach na torze przeszkód, gdy głośno zadzwonił telefon. Uczestniczka o imieniu Lulu wyskoczyła z jacuzzi i w ociekającym wodą bikini pobiegła do głównego budynku. Ze stołu w salonie chwyciła słuchawkę czarnego aparatu z tarczą, który w przekonaniu Liz na bank był atrapą; dałaby się wręcz pokroić, że wtedy na terenie ośrodka nie było żadnego telefonu.

– Chip! – zawołała Lulu. – To do ciebie!

Chip przejął słuchawkę, ekran się podzielił i pojawiła się Jane. Leżała na łóżku, w którym Liz rozpoznała mebel z Hermoso Desert Lodge.

– Mówi Jane... Muszę ci coś powiedzieć. Wiem, że zerwaliśmy, ale... – Obraz się powiększył i objął jej brzuch, który poklepała. – Jestem w ciąży. – Chipowi ze zdumienia opadła szczęka i obraz zniknął, gdyż zaczęła się przerwa na reklamy.

Najwyraźniej Jane i Chip oboje maczali palce w tej komedii i Liz już chciała zadzwonić do siostry i wypytać ją o szczegóły, ale zawahała się, bo Adelaide Bennet Bingley, urodzona trzy tygodnie temu i ważąca trzy tysiące dwieście trzydzieści gramów, marudziła popołudniami, a w Los Angeles w tej chwili była osiemnasta trzydzieści. W kolejnych scenach Jane i Chip zapewnili się telefonicznie o niewygasłych uczuciach i Chip wyruszył na długi spacer po plaży, a w eskapadzie towarzyszyły mu (sądząc po wyrazie jego twarzy) albo smętne kontemplacje, albo bóle żołądkowo-jelitowe. Telefon Liz wibrował od esemesów od Lydii i Kitty, które oglądały program z matką w Grasmoor (*Co jest? Wiedziałaś o tym? Jane nie pojechała na plan Dobrej partii po latach, prawda?*). W następnej przerwie na reklamy Liz pękła i napisała do najstarszej siostry: *Wiesz, że właśnie jesteś w Dobrej partii po latach?*

Po chwili zadzwonił jej telefon.

– Producenci chcieli mnie przedstawić w tej serii, tak żeby wprowadzić widzom temat naszego związku, zanim zobaczą ślub – wyjaśniła Jane. – Zrobili to przekonująco?

– Owszem.

W tle Liz słyszała biadolenie Adelaide. Trzy dni po narodzinach dziewczynki udała się do Los Angeles, żeby ją poznać. Była cudownym maleńkim człowieczkiem, Liz poczuła natychmiastowe przywiązanie do niej oraz ulgę, że nie jest jej matką.

– Jak moja siostrzenica? – spytała teraz.

– Nie chce spać, trzeba ją stale nosić na rękach, a nawet wtedy niekoniecznie zasypia. – Głos Jane stał się wysoki i melodyjny. Wydawała się uszczęśliwiona do granic błogości. – Prawda, Addie? Prawda, maleńka? Po co zamykać oczka, skoro tyle się trzeba nauczyć o świecie?

– Daj mi ją. – Liz usłyszała głos Chipa. – I pozdrów Liz.

– Oglądacie? – spytała Liz.

– Nie mieliśmy takich planów. – Jane się roześmiała. – No wiesz, przecież znamy zakończenie.

## Rozdział 179

– Fred, chodź tu szybko! – zawołała pani Bennet, spostrzegłszy na ekranie najstarszą córkę. – Boże wszechmogący, Lydio, powiedz ojcu, żeby natychmiast tu przyszedł.

– Tato! – zawołała Lydia, nie podnosząc się z kanapy. – To pilne.

Pan Bennet powolnym krokiem wyszedł nieprzejęty z sypialni.

– Jane! – Pani Bennet wskazała telewizor. – Tam jest Jane!

Pani Bennet dalej krzyczała w trakcie przerwy na reklamy i gdy na ekran wrócił program.

– Mamo – rzuciła w tym momencie Kitty – nic nie słyszę, jak ty się wydzierasz.

„W życiu bym nie wyjechał, gdybym wiedział – mówił tymczasem Chip do Jane przez telefon. – Nie jestem facetem, który by porzucał matkę swojego dziecka. Zawsze cię kochałem i zawsze chciałem, żeby nam się udało”.

– Och! – Pani Bennet zaklaskała. – Mówią, że to jego dziecko! Wiedziałam, że tak powiedzą, po prostu wiedziałam! To ma o wiele więcej sensu!

– Ale to głównie prawda – zauważyła Kitty.

– Kitty – zwróciła się do niej Lydia. – To jest telewizja, a telewizja nie musi być prawdziwa.

Ani Ham, ani Shane nie towarzyszyli siostronom w Grasmoor; w osobliwej atmosferze w Palm Springs zrodziła się między nimi więź, Shane ćwiczył u Hama i w czwartki po zajęciach wieczornej grupy wychodzili razem na koreańskie barbecue.

– Czy to nie zabawne – powiedziała pani Bennet – że pierwszy raz w życiu oglądam *Dobrą partię* i akurat występuje w niej moja córka?

Pan Bennet parsknął.

– Już czas włożyć to między bajki, Sally.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Mamo, co tydzień oglądasz *Dobrą partię* – powiedziała Kitty.

– No, widziałam jakieś kawałki, ale nie cały program. – Kitty, Lydia i ojciec wymienili spojrzenia. – Nie widziałam! Znać mnie, zawsze przeskakuję z kanału na kanał.

W rzeczywistości, jak zawsze, zasiadła do oglądania całego odcinka, a ten leciał już prawie dwie godziny; owszem, studiowała swoje katalogi z wyposażeniem wnętrza, ale głównie w czasie reklam.

– Nigdy nie przepadałam za telewizją – oznajmiła pani Bennet i czy ktoś jej uwierzył czy nie, było aż nadto oczywiste, że ona sama w to wierzy; mówiła to z pewnością i przyjemnością. Dodała jeszcze: – Zawsze wolę poczytać dobrą książkę.

*Dwa tygodnie później*

## Rozdział 180

– Do tej pory żyłem w przekonaniu, że ten program jest straszny – powiedział Darcy w siódmej minucie *Dobrej partii: Chip i Jane w drodze do ołtarza*. – Ale tego dosłownie nie da się oglądać.

– Nie przesadzaj – rzuciła Liz. – Nie topią ci się przecież gałki oczne.

Wtulili się w siebie na kanapie, pod kocem. Był już kwiecień, ale w Cincinnati nadal panował chłód.

Darcy chwycił końcami palców dolne powieki i ściągnął je w dół.

– Jesteś pewna?

– Proponuję układ. Jeśli obiecasz, że wytrzymasz przy tym jeszcze trzy wieczory, już nigdy nie będę cię namawiać do oglądania *Dobrej partii*.

Uśmiechnął się radośnie.

– Wydaje ci się, że to kusząca propozycja? I tak przecież nie muszę tego oglądać.

– Poniekąd musisz. Bo w nim występujesz, i ja też, i ty jesteś miłością mojego życia, a ja twojego.

Darcy nachylił się, by ją pocałować.

– Ty jesteś miłością mojego życia, a ja twojego, ale to nie ma nic wspólnego z *Dobłą partią*.

Liz nie wiedziała jeszcze, choć moment olśnienia zbliżał się nieuchronnie, że *Dobra partia: Chip i Jane w drodze do ołtarza* głównie jej przyniesie upokorzenie. Ona, jej siostry i siostry Chipa pojawią się na ekranie z paskami podającymi nie tylko ich imiona, lecz także – może w celu rozróżnienia tego stada kobiet – przezwiska, sprowadzające do stereotypu ich tożsamość z wątpliwym poszanowaniem dla faktów. Brooke Bingley została „Pełnoetatową mamą”, co akurat się zgadzało, ale Caroline Bingley stała się „Romantyczką”. Lydia Bennet to „Wolny duch”, Kitty „Przedsiębiorcza”, Mary „Uczona”, a Liz (och, ależ to zabolowało!) „Imprezowiczka”. Zaraz po klipie, w którym Kitty deklarowała: „W dłuższej perspektywie interesuje

mnie stworzenie sieci salonów, w których będziemy dbać nie tylko o fizyczne piękno, lecz także o wewnętrzne samopoczucie naszych klientów”, pojawiła się Liz i powiedziała: „Opisałabym siebie jako osobę zrównoważoną, twardo stającą po ziemi i trzeźwo patrzącą na życie”, i tu nastąpił montaż jej ujęć, na których pije wino czy drinki, a w jednym ujęciu trzyma dwa kieliszki szampana i z obydwu pije. Co rzeczywiście wydarzyło się na weselu, ale tylko dlatego, że wzięła szampana dla siebie i dla matki, przy czym matce nalano za dużo i Liz starała się zapobiec rozlaniu.

Oczywiście konfrontacja między nią a Caroline została zaprezentowana w pełnej krasie, poprzedziły ją liczne sceny, w których siostra Chipa mieszała Liz z błotem i opowiadała z zaskakującą szczerością, o ile złudzenie może być szczere, że ona i Darcy są sobie pisani. Kamera uchwyciła, choć bez dźwięku i z odległości kilkunastu metrów, jak Liz oświadcza się Darcy’emu, a także ich uściski. Tę scenę urozmaicono przebitkami z Caroline płaczącą wściekle, jakby sama wszystko widziała, w co Liz szczerze wątpiła. Ale może płacz przed kamerą był ceną, którą Caroline Bingley musiała zapłacić, by zostać gwiazdą następnego sezonu *Dobrej partii*; w przyszłym tygodniu miano obwieścić jej udział, zaznaczając, że po raz pierwszy w historii rodzeństwo wystąpi w programie jedno po drugim.

Liz wcześniej zakładała, że nie jest na tyle interesująca, by zapewnić sobie eksponowaną rolę w odcinku weselnym, ponieważ zbliżała się do czterdziestki, nie była transpłciowa ani nawet nie miała partnera innej rasy, no i nie włożyła bikini. Może by jej pochlebiało, że się myliła, gdyby wynik nie był tak żenujący.

– Chyba już nigdy w życiu nie wyjdę z domu – powie później do Darcy’ego. – Nie przeraża cię, że ludzie się dowiedzą, że zaręczyłeś się z Imprezowiczką? (Ślub mieli wziąć w sierpniu w Knox Church. Zastanawiali się, czy ceremonia nie powinna się odbyć w Pemberley, zanim majątek zostanie przekazany na własność National Trust for Historic Preservation, ale Liz uznała, że to jej matka najbardziej przejmuje się uroczystością, a za sprawą jakiegoś niewyobrażalnego zbiegu okoliczności właśnie Liz okazała się córką, która ma szansę zrealizować marzenia matki o ślubie. Więc czemu nie?).

Darcy spojrzy na nią ubawiony.

– A kogo obchodzi, co ludzie myślą? – spyta. Pocałuje Liz w czoło i doda: – Poza tym kto by nie chciał poślubić Imprezowiczki?



## Rozdział 181

Mary święcie wierzyła, że żadna kobieta zdolna do zaspokojenia swoich potrzeb – czyli wszystkie kobiety na świecie, choć nie wszystkie o tym wiedziały – nie musi się hańbić bieganiem za mężczyznami. Dwudziestodwucentymetrowe dildo, którym przechwalała się Lydia, było imponujące, ale Mary po wieloletnich eksperymentach zdecydowała się na foremny i ergonomiczny wibrator z pięcioma trybami stymulacji, zasilany niemal bezszmerowo. Używała go co wieczór przed spoczynkiem i czasami również rano, gdy już wyrwał ją ze snu budzik, by przygotowała się do pracy na stanowisku kierownika produktu w Procter & Gamble.

Żeby zrobić licencjat, Mary uczęszczała do Macalester College, gdzie związała się po kolei z dwoma mężczyznami i jedną kobietą, a z tych związków wyniosła taką oto lekcję: niewiele ją obchodzi seks, a jeszcze mniej sypianie z kimś w jednym łóżku. W tym czasie, nim portale randkowe stały się codziennością, zbliżenie fizyczne wymagało takich skomplikowanych procedur... przez całe tygodnie czy miesiące trzeba było z kimś chodzić na kolacje i rozmawiać, zanim człowiek doczekał się prawdziwej gratyfikacji, a nawet wtedy gratyfikacja nie była gwarantowana; to wszystko wydawało się niewiarygodnie nieefektywne. Jeśli chodzi o sypianie z kimś w jednym łóżku, czyjeś chrapanie czy zabieranie kołdry, gadki szmatki, które trzeba odczynić, zanim pójdziesz spać czy zanim wstaniesz... naprawdę, jaki w tym sens? Mary wolała się rozwalić sama na całym materacu i włączać czy wyłączać światło, kiedy się jej podobało.

Wyjaśnienie jej zapatrywań siostróm, czy komukolwiek innemu, nie wchodziło w rachubę. Każdy, kogo znała, był zajęty spółkowaniem, albo swoim, albo cudzym, i Mary rozumiała, że próba przekonania innych byłaby wysiłkiem nie tylko daremnym, lecz także nudnym. (A skoro mowa o wysiłku – to kolejna rzecz, której unikała, podobnie jak trzymania diety, golenia nóg i pach, regulacji brwi czy malowania się. Myła się codziennie,

szorowała zęby, używała dezodorantu i uważała, że to wystarczy, by wypełnić umowę społeczną o higienie).

Choć Mary wiedziała, że siostry uważają ją za dziwaczkę, a uważałyby za jeszcze większą, gdyby podzieliła się swoimi prawdziwymi poglądami, zauważyła, z antropologiczną drwiną, że ich wymyślne fitnessowe rytuały, fałszywie pachnące kosmetyki i godziny – ba, lata! – które poświęcały, by mężczyzna ujrzał je w jakiś konkretny sposób, kojarzą się jej z plastikowymi baletnicami w pozytywkach, wirującymi po orbitach własnego narcyzmu.

Nie powiedziałyby, że nie lubi swoich sióstr, nie uważała ich za złe – na pewno za płytkie, ale nie złe – a jednak gdyby nie była z nimi spokrewniona, nie spędzałyby czasu w ich towarzystwie. Zresztą dotyczyło to większości ludzi.

Nawet członków ligi bowlingowej, jedynej namiastki społeczności, do której Mary się zbliżyła, widywała tylko we wtorki. W skład jej drużyny wchodziły dwie inne kobiety i dwóch mężczyzn, a osoba najbliższa jej wiekiem była osiemnaście lat od niej starsza. I co najważniejsze, żadnej z tych osób Mary nie mogła spotkać w Cincinnati Country Club.

Tak naprawdę to raczej sport niż ludzie przyciągał średnią Bennetównę co tydzień do Madison Bowl. Za każdym razem, kiedy wchodziła do budynku, z jego zapachem siłowni i frytek, jego rytmicznym pukaniem ciężkiego poliuretanu o drewno, podniecenie uruchamiało jej ślinianki.

Gdyby pierwszy odcinek produkcji *Dobra partia: Chip i Jane w drodze do ołtarza* wyemitowano w inny wieczór niż wtorkowy, Mary może by go obejrzała, a może nie; decyzja zależałaby od tego, czy miałyby jakieś pilne prace w Procter & Gamble albo przyjemną lekturę. Stało się jednak tak, że pierwszy odcinek puszczono we wtorek, a Mary ani myślała rezygnować z kręgli. W ten oto sposób dokładnie w tym momencie, gdy jej wizerunek pojawił się na ekranach telewizorów w całym kraju (Mary Bennet „Uczona”), ona czekała na swoją kolej na torze numer dziesięć. Kiedy Felicia, koleżanka z drużyny, pięćdziesięciosiedmioletnia nauczycielka pedagogiki specjalnej, zrobiła jej miejsce, Mary podeszła do kul, wsunęła palce w otwory jednej z nich (używała kuli o masie ponad sześciu kilogramów), podniosła ją ze stojaka, celowo stanęła przy samej linii spalonych, zamachnęła się prawą ręką, i nie odrywając wzroku od kręgli, puściła kulę. Ta potoczyła się po olejowanym drewnianym torze. Kiedy tylko zderzyła się z kręglami, Mary wiedziała, że będzie strike, i był: wszystkie kręgle się przewróciły, to było

takie... takie satysfakcjonujące. Gdy opuścił się podajnik kręgli, Mary zacisnęła w pięść prawą dłoń, zgięła ramię i wykonała gest zwycięstwa. Jej siostry mogły się zakochiwać i zalecać, mieć te swoje komedie i pojednania. Mary teraz właśnie była w raju.

## *Podziękowania*

Mam niewiarygodne szczęście, gdyż pracuję z tercetem silnych, inteligentnych, zabawnych kobiet, a są to: Jennifer Rudolph Walsh, moja agentka, Jennifer Hershey, moja wydawczyni, i Maria Braeckel, moja rzeczniczka.

Za to, że mnie wspierają, i za to, że są ludźmi, z którymi miło się współpracuje, jestem wdzięczna wielu innym osobom w WME, i tu wymienię: Cathryn Summerhayes, Raffaellę DeAngelis, Tracy Fisher, Alicję Gordon, Erin Conroy, Suzanne Gluck, Eve Attermann, Erica Zohna, Maggie Shapiro, Katie Giarlę i Elizabeth Goodstein.

W Random House skorzystałam ogromnie ze wsparcia i mądrości Giny Centrello, Avideh Bashirrad, Theresy Zoro, Sally Marvin, Leigh Marchant, Susan Kamil, Toma Perry'ego, Sanyu Dillon, Caitlin McCaskey, Anastasii Whalen, Anne Speyer, Allyson Lord, Christine Mykityshyn, Janet Wygal, Bonnie Thompson, Alainy Waagner, Maggie Oberrender, Paola Pepego, Robbin Schiff oraz Liz Eno.

W Wielkiej Brytanii jestem dłużniczką Louisy Joyner i Katie Espiner, które zwróciły się do mnie z pomysłem na tę książkę, jak również Kate Elton, Jaime Frost, Suzie Dooré, Cassie Brown i Charlotte Cray w Borough Press, które doprowadziły to do końca. Jestem pełna wdzięczności wobec przyjaciół w Transworld, między innymi Marianne Velmans i Patsy Irwin, które umożliwiły mi tę zawodową przygodę.

Dziękuję moim wspaniałomyślnym pierwszym czytelnikom, a zaliczają się do nich: Emily Miller, Susanna Daniel, Samuel Park, Jynne Dilling Martin, Sheena Cook, Eric Bennett, Rory Evans, Anne Morriss, Susan Marrs, Tiernan Sittenfeld, Jo Sittenfeld, a także P.G. Sittenfeld, mój stały ekspert od wszystkich spraw związanych z Cincinnati. Moi rodzice, Paul i Betsy Sittenfeldowie, nie są (chwała Bogu) w niczym podobni do Freda i Sally Bennetów, choć jestem pewna, że wszyscy spotkali się na koktajl party. Mój

mąż Matt i nasze dzieci to moi ulubieni mieszkańcy Środkowego Zachodu.

Doskonale wspominam zabawne rozmowy i smakowite przekąski w moim Klubie Książki Jane Austen: z Hillary Sale, Maggie Penn, Becky Patel, Stephanie Park Zwicker, Jane Price, Susan Appleton, Susan Stiritz i Kristin Maher.

Uwielbiam ludzi, którzy w pewnych tematach mają wiedzę większą niż moja i którzy pozwalają korzystać ze swoich zasobów, często bardzo szczegółowo: to Ben Hatta, Jute Ramsay, Elizabeth Randolph, Liz Rohrbaugh, Mariagiovanna Baccara, Bruce Hall, Wyman Morriss, Cynthia Wichelman, Craig Zaidman, Stephanie Park Zwicker (po raz drugi!), Maurizio Corbetta, John Stewart, Jarek Steele, Kris Kleindienst i Tricia Sanders.

W kwestii zbierania materiałów chcę nadmienić, że skorzystałam ze strony internetowej posiadłości Filoli w Woodside w Kalifornii oraz z artykułu o pająkach pióra Susan Weich, opublikowanego w październiku 2014 roku w „St. Louis Post-Dispatch”. *101 pytań o transpłciowość. Prosty przewodnik po zagadnieniu* to rzeczywiście istniejąca książka pióra Nicholasa M. Teicha.

I na koniec, choć mam nadzieję, nie muszę tego mówić, ale i tak powiem: jestem bardzo wdzięczna Jane Austen, której książki sprawiły wielką przyjemność wielu osobom, w tym mnie.